

Victoria Holt

Król na zamku

King Of The Castle
Przełożyła Zofia Dąbrowska

Dla Monique Madeleine Paule Régnier

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jeszcze wtedy, gdy pociąg lokalnej linii kolejowej zbliżał się do stacyjki, gdzie miałam wysiąść, nie przestawałam powtarzać sobie: „Nadal nie jest za późno. Nawet teraz możesz natychmiast zawrócić”.

W czasie podróży — przepłynęłam Kanał poprzedniej nocy i jechałam pociągami przez cały dzień — usiłowałam uzbroić się w odwagę, tłumacząc sobie, że nie jestem jakąś głupiutką dziewczyną, lecz rozsądną kobietą, która zdecydowała się podjąć pewnego zadania i zamierza je wypełnić. To, co się miało wydarzyć na zamku, kiedy już tam dotrę, będzie zależeć od innych ludzi. Złożyłam tylko w duchu przyrzeczenie, że zachowam się z godnością i nie dam po sobie poznać ogromnego niepokoju, a w szczególności tego, że na myśl o przyszłości — w razie gdybym nie została zaakceptowana — ogarniała mnie niemal panika. Nikt nie powinien się dowiedzieć, jak bardzo mi zależy na tej pracy.

Jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny, to czułam — po raz pierwszy w życiu — że przemawia na moją korzyść. Miałam dwadzieścia osiem lat i w ciemnobrązowym, podróżnym płaszczu oraz pilśniowym kapeluszu tego samego koloru, bardziej praktycznym niż ozdobnym, po całonocnej podróży niewątpliwie wyglądałam na swój wiek. Byłam niezamężna i z tego powodu często zdarzało mi się uchwycić pełne politowania spojrzenia, a także usłyszeć odnoszące się do mnie uwagi jako do starej panny lub osoby „bezużytecznej”.

Złościły mnie takie określenia, gdyż miało z nich wynikać, iż podstawowy cel istnienia kobiety to poświęcenie się jakiemuś mężczyźnie. Od czasu mych dwudziestych trzecich urodzin pragnęłam zdecydowanie udowodnić, że ów typowo męski sposób myślenia jest całkowicie błędny. Sądzę, że to właśnie robiłam. W życiu może być wiele interesujących spraw i pocieszałam się, że właśnie zaangażowałam się w jedną z nich.

Pociąg zwalniał. Poza mną na malutkiej stacji wysiadła jeszcze tylko jedna osoba, wieśniaczka niosąca pod jedną pachą koszyk z jajkami, a pod drugą żywego koguta.

Wzięłam swoje bagaże — było tego kilka sztuk, gdyż zawierały cały mój dobytek, na który składała się niewielka ilość garderoby oraz narzędzia potrzebne mi do pracy.

Za ogrodzeniem stał tylko dróżnik.

— Dzień dobry, madame — zwrócił się do kobiety. — Jak się pani nie pośpieszy, to dziecko urodzi się przed pani przyjściem. Słyszałem, że u waszej Marie bóle rozpoczęły się trzy godziny temu. Położna już do niej pobiegła.

— Tylko się modlić, żeby tym razem był chłopiec. Te wszystkie dziewczynki. Co też dobry Bóg sobie myśli o...

Dróżnik był bardziej zainteresowany mną niż płcią spodziewanego dziecka. Zauważyłam, że w czasie rozmowy bacznie mnie obserwował.

Czekałam z ustawionymi wokoło bagażami, on zaś przeszedł parę kroków do przodu i gwizdkiem dał znak, że pociąg może już ruszyć w dalszą drogę. W tym momencie na peron wpadł w pośpiechu starszy mężczyzna.

— Jak się masz, Josephie! — powitał go dróżnik i wskazał mnie ruchem głowy.

Joseph spojrział w moim kierunku i potrząsnął głową przecząco.

— Miał przyjechać mężczyzna — powiedział.

— Czy pan jest z Château Gaillard? — spytałam po francusku, gdyż językiem tym władałam płynnie od dzieciństwa. Moja matka była Francuzką, więc między sobą rozmawialiśmy po francusku. W obecności ojca zawsze używaliśmy angielskiego.

Joseph zbliżył się do mnie prawie że z rozdziawionymi ustami i wyrazem niedowierzania w oczach.

— Tak, mademoiselle, ale...

— Przyjechał pan, żeby mnie zabrać.

— Mademoiselle, przyjechałem po monsieur Lawsona. — Wymówił angielskie nazwisko z pewną trudnością.

Uśmiechnięta, starałam się na siłę przybrać nonszalancką minę, nie zapomniałam bowiem, że to najniższy z płotków, które będę musiała przeskoczyć. Wskazałam na nalepkę na mojej torbie: „D. Lawson”.

Uświadomiwszy sobie, że Joseph prawdopodobnie nie umie czytać, wyjaśniłam:

— Jestem mademoiselle Lawson.

— Z Anglii? — zapytał.

Zapewniłam go, że tak właśnie jest.

— Powiedziano mi, że przyjedzie angielski dżentelmen.

— Zaszło pewne nieporozumienie. Zamiast niego przybyła angielska lady.

Podrapał się po głowie.

— Czy nie powinniśmy już ruszyć? — spytałam, kierując wzrok na pakunki. Dróżnik zbliżył się powoli i kiedy wymieniali spojrzenia z Josephem, odezwałam się tonem nieznośnym sprzeciwu:

— Proszę zanieść moje rzeczy do ...ee... pojazdu. Jedziemy do zamku.

Od lat ćwiczyłam sztukę panowania nad sobą, więc nie okazałam nawet cienia dręczącej mnie obawy. Moja stanowczość wywołała tu taki sam skutek jak w Anglii i Joseph z dróżnikiem zanieśli pakunki do czekającej dwukołowej bryczki. Podążyłam za nimi i w chwilę później byliśmy już w drodze.

— Czy daleko stąd do zamku? — spytałam.

— Jakies dwa kilometry, mademoiselle. Niedługo go pani zobaczy.

Rozglądałam się wokół — wszędzie rozciągały się bujne uprawy winnej latorośli. Był koniec października, a więc już po zbiorach. Zapewne ludzie przygotowują teraz krzewy na następny rok. Przejechaliśmy przez małe miasteczko, gdzie na rynku wyróżniały się dwa budynki: kościół i magistrat — *hôtel de ville*. Jadąc wąskimi uliczkami, mijaliśmy sklepy i domy mieszkalne. Wtedy po raz pierwszy mignął mi zamek.

Nigdy nie zapomnę tej chwili. Zdrowy rozsądek — w ostatnim roku będący mi podporą i pewną rekompensatą za to, że poza nim niewiele więcej miałam — nagle gdzieś się zapodział. Zapomniałam o kłopotach, w które sama lekkomyślnie się wpakowałam. Na przekór wszystkim zatrwającym prognozom, nieuniknionym przy logicznym rozumowaniu, roześmiałam się całkiem głośno i równie głośno odezwałam:

— Nie obchodzi mnie, co się stanie. Cieszę się, że tu przyjechałam.

Na szczęście powiedziałam to po angielsku i woźnica nie mógł nic zrozumieć. Dodałam szybko:

— Więc to jest Château Gaillard!

— To właśnie ten zamek, mademoiselle.

— Nie on jeden nosi we Francji tę nazwę. Znam jeszcze inny, w Normandii oczywiście. Tam gdzie był więziony Ryszard Lwie Serce. — Joseph coś mruknął, a ja dodałam: — Ruiny są fascynujące, ale o wiele bardziej zachwycają stare budowle, zachowane przez wieki do naszych czasów.

— Nasz zamek cudem uniknął nieszczęścia. W dniach terroru o mało nie został zniszczony.

— Jakie szczęście, że tak się nie stało! — Usłyszałam napięcie we własnym głosie, ale miałam nadzieję, że Joseph tego nie wyczuł.

Byłam wprost oczarowana zamkiem. Pragnęłam w nim mieszkać, badać jego wnętrza,

poznawać go. Miałam wrażenie, jakby to miejsce przeznaczono właśnie dla mnie i gdybym została stąd odesłana, popadłabym w rozpacz, a brak dalszych perspektyw w Anglii nie byłby jedynym tego powodem.

Podczas rozmyślań o zamku na krótko dopuściłam do siebie owe zatrważające możliwości. Gdzieś na północy Anglii mieszkała nasza daleka kuzynka, a właściwie kuzynka mego ojca, o której od czasu do czasu wspominał. „Jeżeli coś by się ze mną stało, zawsze mogłabyś pojechać do kuzynki Jane. Jej charakteru nie można nazwać łatwym i miałabyś z nią ciężkie życie, ale przynajmniej spełniłaby swój obowiązek”. Co za perspektywa dla kobiety, która pozbawiona fizycznych uroków, otwierających drogę do małżeństwa, wytworzyła wokół siebie ochronny pancerz, głównie zbudowany z dumy. Kuzynka Jane... nigdy! — mówiłam sobie w duchu. Wolałabym już zostać jedną z tych nieszczęsnych guwernantek, uzależnionych od fanaberii oschłych pracodawców lub złośliwych dzieci, które potrafią być szatańsko okrutne. Ewentualnie znaleźć miejsce u boku jakiejś kłótlivej damy jako panna do towarzystwa. Nie, w takim wypadku czułabym wewnętrzną pustkę nie tylko z powodu otwierającej się przede mną czarnej otchłani samotności i upokorzenia, lecz także dlatego, że odmówiono by mi nieskończonej radości z wykonywania pracy, którą najbardziej ukochałam, gdy samo jej istnienie stwarzało możliwość uczynienia mego życia interesującą przygodą.

Stało się całkiem nie tak, jak sobie wyobrażałam, rzeczywistość przeszła moje oczekiwania. W życiu są sytuacje, kiedy przyszłość rysuje się znacznie bardziej ekscytująco niż obraz podsuwany nam przez wyobraźnię — wręcz jak zaczarowana. Takie wypadki zdarzają się rzadko, ale kiedy do nich dojdzie, należy się nimi w pełni delektować.

Być może ja szczególnie potrafiłam cieszyć się takimi chwilami, gdyż nie oczekiwałam, by zbyt wiele przypadło mi jeszcze w udziale.

Dlatego z uwagą zaczęłam się przypatrywać temu wspaniałemu, wzniesionemu pośród winnic dziełu piętnastowiecznej architektury. Moje doświadczone oczy potrafiły określić czas powstania zamku w przybliżeniu do jednej lub dwóch dekad. Zauważyłam dobudowane fragmenty, pochodzące z szesnastego i siedemnastego wieku, lecz te uzupełnienia nie naruszały symetrii gmachu, a raczej podkreślały jego charakter. Dostrzegłam okrągłe baszty obronne przylegające do murów głównego budynku. Wiedziałam, że centralne schody mieściły się w wielokątnej wieży. Zdobyłam całkiem sporą wiedzę na temat starych budowli i choć często w przeszłości miałam za złe ojcu jego nastawienie do mnie, czułam dlań wdzięczność za wszystko, czego mnie nauczył. Wystawa budynku była czysto średniowieczna, a masywne przypory i baszty wskazywały, że wzniesiono je w celach obronnych. Oszacowałam grubość murów upstrzonych wąskimi szparami okien. Prawdziwa forteca. Kiedy przeniosłam wzrok z wieży wznoszącej się ponad zwodzonym mostem na fosę — oczywiście niewypełnioną obecnie wodą — dojrzałam w przelocie rosnącą tam gęstą, bujną trawę. Ogarnęło mnie radosne podniecenie na widok zewnętrznej fasady okolonej występem podpartym konsolami, formującymi machikuły.

Stary Joseph coś powiedział. Mogłam się tylko domyślać, iż uznał, że niespodziewane przybycie — jak się okazało — kobiety zamiast mężczyzny, to nie jego kłopot.

— Tak — mówił — na zamku nic się nie zmienia. *Monsieur le comte* już tego pilnuje.

Monsieur le comte. Pan hrabia. To był człowiek, któremu miałam stawić czoło. Wyobrażałam go sobie — wyniosłego arystokratę, w rodzaju tych, którzy z największą obojętnością jechali ulicami Paryża w dwukołowych wózkach na gilotynę. Tak więc mnie skaże na banicję.

„To śmieszne — powie zapewne. — Moje wezwanie w sposób jednoznaczny dotyczyło pani ojca. Proszę niezwłocznie opuścić mój dom!”

Nic by nie dały wyjaśnienia: „Mam takie same kwalifikacje jak mój ojciec, pracowałam z nim i w istocie znam się na starym malarstwie lepiej od niego. Tego typu powierzane nam zadania

zawsze pozostawiał mnie”.

Powierzane nam zadania! Jak wytłumaczyć pyszałkowatemu francuskiemu hrabiemu, że kobieta może być równie fachowa i zdolna w dziedzinie restaurowania starych obrazów jak mężczyzna.

„Monsieur le Comte, ja sama jestem malarką...”. Wprost czułam na sobie jego pogardliwe spojrzenie.

„Mademoiselle, mnie nie interesują pani kwalifikacje. Posłałem po pana Lawsons. Nie zapraszałem pani. Wobec tego byłbym zobowiązany, gdyby opuściła pani mój dom (...moją rezydencję? ...mój zamek?) bez zwłoki”.

Joseph przypatrywał mi się z uwagą. Z pewnością uważał pomysł zatrudnienia przez pana hrabiego kobiety za bardzo dziwny.

Pragnęłam dowiedzieć się odeń czegoś o chlebodawcy, ale oczywiście nie mogłam zapytać. Dobrze by też było uzyskać jakieś wiadomości na temat pozostałych domowników, lecz to także nie wchodziło w rachubę. Nie. Muszę przede wszystkim wprowadzić się we właściwy nastrój; powinnam sama zdobyć przekonanie, iż nie ma niczego niezwykłego w fakcie, że zajęłam miejsce ojca, i przekonać o tym innych.

Czułam w kieszenie list hrabiego zawierający prośbę o przyjazd. Nie, prośba to było niewłaściwe słowo. Monsieur le Comte nie zwykł prosić. On rozkazywał jak król swemu poddanemu. Król na Zamku! — pomyślałam. Monsieur le Comte de la Talle oczekuje, że D. Lawson stawi się na zamku — Château Gaillard — w celu przeprowadzenia renowacji tutejszych obrazów, jak uprzednio uzgodniono. Cóż, przecież ja jestem Dallas Lawson, a jeżeli wezwanie dotyczyło Daniela Lawsons, to należało wyjaśnić, że nie żył już od dziesięciu miesięcy, a ja, jego córka, przejęłam po nim zlecenia.

Minęło około trzech lat od czasu, gdy ojciec prowadził korespondencję z hrabią, który słyszał o jego osiągnięciach. Ojciec bowiem był niezwykle cenionym autorytetem jako znawca średniowiecznego budownictwa i malarstwa. To było naturalne, że wzrastałam w kulcie owych dzieł sztuki, co z czasem przeobraziło się w namiętą do nich miłość. Ojciec podsycił moje zainteresowania i wiele tygodni zwiedzaliśmy Florencję, Rzym, Paryż, przez cały czas oglądając zabytki i arcydzieła starych mistrzów. Również w Londynie każdą wolną chwilę spędzałam w muzeach.

W sytuacji gdy matka miała słabe zdrowie, a ojciec był prawie zawsze zaabsorbowany pracą, zostałam w znacznej mierze zdana sama na siebie. Spotykaliśmy się z niewieloma znajomymi i nie nabrałam zwyczaju łatwego zawierania przyjaźni. Jako niezbyt ładna dziewczyna szybko pojęłam, iż brak urody działa na moją niekorzyść, więc chyba dlatego odczuwałam stałą potrzebę ukrywania owego mankamentu, co z kolei powodowało, że przybierałam nadmiernie dumną postawę, to zaś również nie było pociągające. A przecież pragnęłam dzielić moje przeżycia z innymi i marzyłam o przyjaciółach. Zawsze namiętnie interesowały mnie losy obcych ludzi, gdyż wydawały mi się o wiele bardziej ekscytujące niż to, co mogło mi się przydarzyć. Z ogromnym zainteresowaniem wsłuchiwałam się w rozmowy nieprzeznaczone dla moich uszu, siadywałam cicha jak myszka w kuchni, podczas gdy nasze służące — jedna starsza, a druga młoda — rozprawały na przemian o swych dolegliwościach i sprawach sercowych. Również w sklepach, gdy chodziłam na zakupy z matką, stałam spokojnie, zwracając uwagę, co kto mówi. Gdy ktoś przychodził do nas do domu z wizytą, często się zdarzało, że przyłapywano mnie na tym, co ojciec zwał nasłuchem. Bardzo miał mi za złe ów nawyk.

Kiedy poszłam do szkoły sztuk plastycznych, przez krótki czas mogłam poznawać życie niejako „z pierwszej ręki”, zamiast wyłącznie za pośrednictwem uszu. Ojciec jednak nie był z tego zadowolony, gdyż zakochałam się w młodym studencie. Nadal pamiętałam ów romantyczny

nastrój, z tęsknotą wracając myślami do owych wiosennych dni, kiedy to włóczyliśmy się po parkach St. James's i Green, słuchaliśmy mówców przy Marble Arch, spacerowaliśmy obok jeziora Serpentine aż do Kensington Gardens. Zawsze w tych miejscach nawiedzają mnie wspomnienia i pewnie dlatego unikam ich, jak mogę. Ojciec sprzeciwiał się naszej znajomości, gdyż Charles nie miał pieniędzy. A ponadto matka była już w tym czasie obłożnie chora i potrzebowała mej opieki.

Nie doszło do jakiegoś gwałtownego zerwania. Ten romans narodził się z wiosny i młodości, a z nadejściem jesieni było już po wszystkim.

Zapewne ojciec uważał, że korzystniej będzie, jeżeli nie zaangażuję się kolejny raz uczuciowo, gdyż zasugerował, żebym porzuciła szkołę sztuk plastycznych i zaczęła razem z nim pracować. Utrzymywał, że od niego dowiem się tego, czego nie nauczy mnie żadna szkoła. Oczywiście miał rację, lecz chociaż istotnie skorzystałam od niego bardzo wiele, zaprzepaściłam jednocześnie sposobność poznawania ludzi w moim wieku i w ogóle samodzielnego życia. Swój czas dzieliłam między pracę z ojcem a opiekę nad matką. Po jej śmierci przez długi czas żyłam pogrążona w żalu, gdy zaś doszłam nieco do siebie, poczułam, że nie jestem już taka młoda. A skoro dawno temu przekonałam sama siebie, że nie mogę być atrakcyjna dla mężczyzn, moje pragnienie miłości i małżeństwa przekształciło się w pasję do malarstwa.

— To praca dla ciebie — orzekł pewnego razu ojciec. — Ty chcesz wszystko poprawiać.

Wiedziałam, co ma na myśli. Starłam się uczynić z Charlesa wielkiego malarza, a on chciał być tylko beztróskim studentem. Pragnęłam przywrócić matce dawną energię i zainteresowanie życiem, usiłowałam przepłoszyć jej znużenie. Nigdy natomiast nie próbowałam zmienić ojca. To byłoby zupełnie niemożliwe. Niewątpliwie po nim odziedziczyłam charakter, jednak w owym czasie miał silniejszą psychikę ode mnie.

Pamiętam dzień, kiedy nadszedł pierwszy list z Château Gaillard. Hrabia de la Talle posiadał galerię obrazów, które wymagały fachowej opieki. Chciałby również poradzić się ojca w sprawie odnowy pewnych części zamku. Czy monsieur Lawson mógłby przybyć do Château Gaillard i określić, jakie prace należy wykonać, a po osiągnięciu porozumienia w tym zakresie pozostać na miejscu do ich końca?

Ojciec był zachwycony.

— Jeśli to tylko będzie możliwe, przyślę po ciebie — powiedział mi. — Będę potrzebował twojej pomocy przy ewentualnej renowacji obrazów. To miejsce bardzo ci się spodoba. Zamek pochodzi z piętnastego wieku i sędzę, że duża część budowli pozostała oryginalna. Można oczekiwać fascynujących przeżyć.

Byłam ogromnie podekscytowana. Po pierwsze dlatego, że bardzo chciałam spędzić parę miesięcy we francuskim zamku. A po drugie, ojciec najwyraźniej zaczynał akceptować fakt, że jeśli chodzi o obrazy, to przewyższam go wiedzą.

Jednak wkrótce potem przyszedł od hrabiego list przesuwiający datę spotkania. Pan de la Talle pisał, że pewne okoliczności uniemożliwiają obecnie przyjazd ojca. Nie podał bliższych szczegółów, obiecując ponowny kontakt w późniejszym terminie.

Po dwóch latach od otrzymania tego listu ojciec zmarł całkiem niespodziewanie na udar mózgu. Przeżyłam szok, uświadomiwszy sobie, że muszę rozpocząć życie na własny rachunek. Byłam pogrążona w smutku, samotna, oszołomiona i na dodatek miałam bardzo mało pieniędzy. Przez lata przyjełam jako normalną sytuację, że pomagam ojcu w pracy, i teraz zastanawiałam się, co dalej robić, gdyż wprawdzie zleceniodawcy akceptowali mnie jako jego asystentkę — bez wątplenia wielce użyteczną w tej roli — nie wiedziałam jednak, jak zostaną potraktowana, gdybym spróbowała wykonywać owe zajęcia na własną rękę.

Stale rozmawiałam na ten temat z Annie, naszą starą służącą, która była z nami od wielu lat, a

teraz postanowiła zamieszkać ze swą zamężną siostrą, posiadającą własny dom. Uważała, że mogłabym robić tylko dwie rzeczy. Być guwernantką, tak jak inne panie, zmuszone do podjęcia pracy, lub damą do towarzystwa.

— Jedno i drugie napawa mnie odrazą — odparłam na to.

— Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby, panno Dallas. Wiele młodych dam, wykształconych jak pani, zostało na lodzie i musiało podjąć się takich zajęć.

— Jest jeszcze praca, którą wykonywałam razem z ojcem, pokiwała głową, lecz wiedziałam, co myśli: nikt nie zatrudniłby młodej kobiety do prac, których podejmował się mój ojciec. Nie chodziło o to, czy potrafiłabym to robić. Byłam kobietą i tylko dlatego nikt by nie uwierzył w moje umiejętności.

Annie nadal jeszcze mieszkała ze mną, gdy nadeszło wezwanie. Hrabia de la Talle obecnie gotów jest przyjąć monsieur D. Lawsona, by ten rozpoczął swe zajęcia.

— Ostatecznie ja jestem D. Lawson — zauważyłam, zwracając się do Annie. — Umiem odnawiać obrazy tak samo dobrze jak ojciec i nie widzę powodu, dla którego nie powinnam tego robić.

— A ja widzę — odparła Annie nieubłaganie.

— To jest wyzwanie. Albo to, albo całe życie spędzić na belferce. Adwokaci ojca zwracają mi uwagę na pilną konieczność zarabiania na życie. Wyobraź sobie tylko — uczyć rysunku dzieci, które nie mają do tego talentu ani ochoty. Lub zajmować się zgryźliwą damą, szukającą błędów we wszystkim, co tylko zrobię.

— Panno Dallas, musi pani wziąć to, co się pani trafi.

— Właśnie mi się trafiło i jest to mój zawód.

— Nie ma pani racji. Ludziom to się nie będzie podobało. Wszystko byłoby w porządku, gdyby pojechała pani z ojcem i razem z nim pracowała. Nie może pani występować we własnym imieniu.

— Ale po śmierci ojca zakończyłam pracę... w Mornington Towers, przecież pamiętasz.

— Tak, ale to on ją rozpoczął. A w ogóle jechać do Francji, do obcego kraju... Młoda dama... sama!

— Nie możesz mnie postrzegać w kategoriach młodej damy. Jestem renowatorem obrazów. To zasadnicza różnica.

— Cóż, mam nadzieję, że mimo wszystko nie zapomni pani, że jest młodą damą. Panno Dallas, pani nie może tam pojechać. To się nie uda. Mam takie przekonanie. I ten wyjazd nie byłby dla pani korzystny.

— Niekorzystny? W jakim sensie?

— Nie całkiem... na miejscu. Jaki mężczyzna ożeniłby się z młodą damą, która wyjechała sama za granicę?

— Annie, ja nie szukam męża, tylko pracy. I coś ci powiem: moja matka miała dokładnie tyle lat co ja, gdy wraz ze swą siostrą przyjechała do Anglii, żeby zamieszkać u ciotki. I dwie młode kobiety chodziły same do teatru. Wyobraź to sobie! Matka opowiadała mi o czymś jeszcze bardziej zuchwałym. Poszła kiedyś na wiec polityczny, na Chancery Lane... I to tam, gwoli ścisłości, poznała mego ojca. Tak więc gdyby nie była odważna i nie szukała przygód, nie miałyby męża, a przynajmniej nie tego.

— Pani zawsze jest pierwsza do tego, żeby robić to, na co ma ochotę. Od dawna już panią znam. Ale powtarzam, to się nie uda. I zostanę przy swoim.

Musi się udać. A zatem po wielu rozważaniach, nie bez drżenia serca, zdecydowałam się podjąć wyzwanie i wyruszyć w drogę do Château Gaillard.

* * *

Przejechaliśmy zwodzony most i gdy tak patrzyłam na te starodawne, omszałe mury pokryte bluszczem, wsparte na potężnych przyporach, i podziwiałam okrągłe baszty z obłymi, zakończonymi stożkiem daszkami, modliłam się, żeby mnie stąd nie odprawiono. Spod sklepionego przejścia wydostaliśmy się na dziedziniec wyłożony kamieniami, pomiędzy którymi porastała trawa. Uderzyła mnie panująca tam cisza. Pośrodku dziedzińca była studnia, otoczona murkiem z kamiennymi kolumnami podtrzymującymi kopułę. Kilka stopni wiodło do portyku widocznego z jednej strony budynku. Nad drzwiami na ścianie dojrzałam wykute w murze nazwisko: de la Talle, wplecione w lilię burbońską.

Joseph wziął moje bagaże, postawił je przy drzwiach i zawołał: „Jeanne!”

Zjawiała się pokojówka. Zauważyłam przestraszony wzrok, gdy oczy kobiety spoczęły na mnie. Joseph powiedział, że jestem mademoiselle Lawson, mam być zaprowadzona do biblioteki i trzeba zawiadomić pana o moim przybyciu. Bagaże zostaną odniesione później do mego pokoju.

Byłam tak podniecona wkroczeniem w progi zamku, iż poczułam się niemal beztrasko. Podążałam za Jeanne. Przeszliśmy przez ciężkie, nabijane ćwiekami drzwi do ogromnego holu. Na kamiennych ścianach wisiały wspaniałe gobeliny i różnego rodzaju broń.

Zaraz rozpoznałam kilka mebli w stylu *regence*; jednym z nich był wspaniały stół z pozłacanego, rzeźbionego drewna, zdobiony ornamentalnym motywem romboidalnej kratki, tak popularnym we Francji we wczesnych latach osiemnastego wieku. Przepiękne gobeliny, pochodzące z tego samego okresu co meble, nosiły wyraźne znamiona stylu tkanin zgromadzonych w Beauvais, a przedstawione na nim postaci przypominały malarstwo Bouchera. To było cudowne; pragnienie, żeby tu się zatrzymać i dokładnie wszystko obejrzeć, niemal przemogło mój strach, lecz już skierowaliśmy się ku kamiennym schodom i weszliśmy na piętro.

Jeanne odsunęła na bok ciężką zasłonę, a ja postawiłam stopę na grubym dywanie, tak kontrastującym z kamiennymi stopniami. Stałam teraz w krótkim, ciemnym korytarzu, zakończonym drzwiami. Kiedy zostały otwarte, ukazała się biblioteka.

— Jeśli mademoiselle zechciałaby zaczekać...

Skłoniłam przyzwalająco głowę, drzwi się zamknęły i zostałam sama.

Pokój był wysoki, sufit pokrywały piękne malowidła. Wiedziałam już, że w tym zamku znajdują się prawdziwe arcydzieła, i myśl, że mogę być odprawiona, była nie do zniesienia. Przy ścianach stały w rzędach oprawione w skórę książki, a kilka wypchanych głów zwierząt wyglądało, jakby ich czujnie strzegło.

Pomyślałam, że hrabia jest zapalonym myśliwym, i wyobraziłam go sobie, jak bezlitośnie ściągają swą ofiarę.

Na gzymsie kominka stał zegar, którego podstawę stanowiła rzeźba kupidyna; z obu jego stron umieszczono dwie wazy z Sevres w pastelowych kolorach. Krzesła rzeźbione we wzory kwiatów i ślimacznicy miały oparcia obite tkaniną dekoracyjną.

Byłam pod wrażeniem tych skarbów sztuki, jednak nie mogłam poświęcić im całej uwagi, gdyż przytłaczała mnie obawa. Myślałam o zbliżającej się rozmowie z groźnym hrabią i powtarzałam sobie w myślach, co mam mu powiedzieć. Nie wolno mi zachować się z uszczerbkiem dla mej godności. Muszę okazać spokój i nie dać poznać, że marzę o tym zajęciu. Powinam ukryć, jak bardzo pragnę, żeby pozwolono mi pracować tutaj, i liczę na sukces, gdyż wtedy zyskałabym szansę zdobycia dalszych zleceń. Miałam przekonanie, że moja przyszłość zależy od tego, co zdarzy się w ciągu następnych kilku minut. O, jakże okazało się słuszne.

Usłyszałam głos Josepha:

— W bibliotece, monsieur...

Odgłos kroków. Już za moment stanę z nim twarzą w twarz. Podeszłam do kominka. Leżały w nim szczapy drewna, lecz nie rozpalono ognia. Uniosłam wzrok na obraz wiszący ponad owym zegarem z czasów Ludwika XV, ale nie dostrzegłam, co przedstawiał. Serce biło mi szybko, ścisnęłam dłonie, żeby ukryć ich drżenie. Drzwi się otworzyły. Udawałam, że nie jestem tego świadoma, by zyskać w taki sposób parę sekund zwłoki, dającej mi szansę na opanowanie strachu.

Po chwili ciszy odezwał się chłodny głos:

— To w najwyższym stopniu zadziwiające.

Przewyższał mnie wzrostem może o dwa centymetry, gdyż jestem wysoka. Jego czarne oczy miały nieodgadniony wyraz, lecz czułam, że potrafią emanować ciepłem. Linia orlego nosa sugerowała pychę, jednak zarys pełnych warg przeczył arogancji. Ubrany był w bardzo elegancki strój do konnej jazdy, nawet nieco zbyt wytworny. Nosił ozdobny krawat, a na małym palcu każdej ręki złoty pierścień. Miał powierzchowność niezwykle wykwintną i wcale nie wyglądał tak groźnie, jak sobie wyobrażałam. Powinno mi to sprawić przyjemność, a jednak czułam się nieco zawiedziona. Z drugiej strony jednak taki człowiek powinien się odnieść do mnie bardziej życzliwie niż ten mój wyimaginowany dumny hrabia.

— Dzień dobry — powiedziałam.

Zbliżył się do mnie o parę kroków. Okazał się młodszy, niż myślałam — może starszy ode mnie o rok... albo nawet w moim wieku.

— Bez wątpienia — odezwał się mężczyzna — będzie pani tak uprzejma i przedstawi jakieś wyjaśnienie.

— Oczywiście. Przyjechałam pracować tu nad obrazami wymagającymi renowacji.

— Według naszej wiedzy to monsieur Lawson miał dzisiaj przybyć.

— Niestety, to byłoby niemożliwe.

— Czy mam rozumieć, że zjawi się później?

— Zmarł przed kilkoma miesiącami. Jestem jego córką i kontynuuję prace, których się podjął.

— Mademoiselle Lawson, te obrazy są niezwykle cenne...

— Gdyby nie były, nie zachodziłaby raczej potrzeba ich renowacji —

— Do zajmowania się nimi możemy dopuścić jedynie specjalistów.

— Jestem specjalistką. Ojciec został panu polecony, a ja pracowałam z nim od dawna. W istocie jego mocną stroną było restaurowanie budynków, a moją — obrazów.

To już koniec, pomyślałam. Był zirytowany, że został postawiony w tak przykrew sytuacji. W żadnym wypadku nie pozwoli mi tu zostać. Podjęłam ostatni desperacki wysiłek.

— Słyszał pan o mym ojcu. To znaczy, że słyszał pan także o mnie. Pracowaliśmy razem.

— Pani nas nie zawiadomiła...

— Sądziłam, że sprawa jest pilna. Uważałam, że lepiej będzie posłuchać wezwania bez zwłoki. Gdyby nawet ojciec potwierdził teraz swe przybycie, przyjechałabym razem z nim. Zawsze pracowaliśmy razem.

— Proszę usiąść — powiedział.

Usiadłam na krześle z rzeźbionym drewnianym oparciem, co zmusiło mnie do trzymania się prosto, podczas gdy on usadowił się na sofie, wyciągając przed siebie nogi.

— Czy pani uważała, mademoiselle Lawson — mówił te słowa powoli — że gdyby pani zawiadomiła nas o śmierci ojca, nie chcielibyśmy skorzystać z pani usług?

— Sądziłam, że chodzi o odnowienie obrazów i miałam wrażenie, że istotna jest sama praca, a nie płeć wykonawcy.

Znowu pozwoliłam sobie na arogancką uwagę! Widomy znak mego niepokoju! Byłam przekonana, że mój rozmówca zamierza mnie odesłać z kwitkiem. Ale musiałam podjąć walkę o moją szansę, ponieważ wiedziałam, że jeżeli ją otrzymam, pokażę, co potrafię.

Zmarszczył brwi, jak gdyby zmagał się z podjęciem decyzji, przy czym otwarcie mi się przypatrywał. Roześmiał się krótko, jakby tak wypadło, i rzekł:

— Wydaje się dziwne, że pani do nas nie napisała i nie wyjaśniła, co się stało.

Wstałam. Tego wymagała moja godność.

On też się podniósł. Rzadko kiedy czułam się tak ogromnie przygnębiona jak wtedy, gdy już spieszenie kierowałam się ku drzwiom.

— Chwileczkę, mademoiselle.

Odezwał się pierwszy, co wyglądało na moje małe zwycięstwo. Nie odwróciłam się, spojrzałam jedynie przez ramię.

— Z naszej stacji odjeżdża tylko jeden pociąg dziennie. O dziewiątej rano. Musiałaby pani przejechać około dziesięciu kilometrów, żeby na głównej linii wsiąść w pociąg do Paryża.

— Oo! — Nie zamierzałam ukrywać rozczarowania.

— Widzi więc pani — ciągnął dalej — w jak niezręcznej sytuacji się pani postawiła.

— Nie sądziłam, że moje rekomendacje zostaną zlekceważone bez zbadania. Nigdy przedtem nie pracowałam we Francji i jestem całkiem nieprzygotowana na takie przyjęcie.

To był dobry przytyk. Rumieńce wystąpiły mu na policzki.

— Mademoiselle, zapewniam panią, że we Francji będzie pani traktowana z taką samą uprzejmością jak gdzie indziej.

Wzruszyłam lekko ramionami.

— Przypuszczam, że jest tutaj jakaś gospoda albo hotel, gdzie mogłabym spędzić noc?

— Nie możemy na to pozwolić. Proszę skorzystać z naszej gościny.

— To miło z pana strony, ale w tych okolicznościach...

— Wspomniała pani o rekomendacjach.

— Pochodzą od ludzi, którzy byli bardzo zadowoleni z mojej pracy w Anglii. Pracowałam w kilku naszych znakomitych domach, gdzie powierzano mi arcydzieła. Ale pan nie jest tym zainteresowany.

— To nieprawda, mademoiselle. Jestem zainteresowany. Wszystko, co wiąże się z zamkiem, stanowi dla mnie sprawę najwyższej wagi. — Wyraz jego twarzy uległ zmianie. Teraz odbijała się na niej wielka pasja — miłość do tej starej budowli. Nabierałam do niego sympatii. Czułabym to samo co on, gdyby ten zamek był moim domem. Mężczyzna dodał pośpiesznie: — Musi pani przyznać, że moje zaskoczenie jest usprawiedliwione. Oczekiwałem dojrzałego, doświadczonego fachowca, a zostałem postawiony wobec młodej damy...

— Nie jestem już taka młoda, zapewniam pana.

Nie usiłował zaprzeczać; robił wrażenie całkowicie pochłoniętego własnymi myślami. Rozumiałam jego emocjonalne podejście do spraw dotyczących zamku i wahanie, czy dopuścić mnie, w której kwalifikacje wątpił, do swych cudownych obrazów.

— A może pokazałaby mi pani owe listy polecające?

Wróciłam do stołu, wyjęłam z wewnętrznej kieszeni płaszcza plik papierów i mu je wręczyłam. Wskazał dłonią, żebym usiadła. Sam również usiadł i zaczął czytać listy. Złożyłam ręce na kolanach i mocno zacisnęłam dłonie. Dosłownie przed chwilą myślałam, że przegrałam. Teraz już jednak nie byłam tego taka pewna. Obserwowałam go, udając, że rozglądam się po pokoju. Najwyraźniej usiłował zdecydować, co powinien uczynić. To mnie zaskoczyło. Wyobrażałam sobie hrabiego jako mężczyznę, który rzadko miewa jakieś wątpliwości, szybko podejmuje decyzje i nie kłopotuje się tym, czy są trafne, gdyż uważa sam siebie za nieomylnego.

— Te opinie są niestęchanie pochlebne — powiedział, oddając mi listy. Patrzył mi w oczy przez kilka sekund, po czym dodał z pewnym wahaniem: — Rozumiem, że chciałaby pani obejrzeć obrazy.

— To raczej nie miałyby wielkiego sensu, jeżeli nie będę nad nimi pracować.

— Może pani będzie, mademoiselle Lawson.

— Czy to znaczy, że pan uważa...

— Uważam, że powinna pani zostać przynajmniej na noc. Odbyła pani długą podróż i z pewnością czuje się zmęczona. A skoro jest pani takim ekspertem — rzucił okiem na papiery, które trzymałam w ręku — i uzyskała takie pochwały od wybitnych osobistości, na pewno miałyby pani ochotę chociaż zobaczyć obrazy. Tu, w zamku, posiadamy wspaniałe dzieła malarstwa. Zapewniam panią, że nasza kolekcja jest warta pani uwagi.

— Nie wątpię. Ale sądzę, że powinnam się udać do hotelu.

— Nie polecam go.

— Tak?

— Jest bardzo mały i podają tam nie najlepsze jedzenie. Byłoby pani z pewnością o wiele wygodniej na zamku.

— Nie chciałabym sprawiać kłopotu.

— Ależ nie ma o tym mowy. Nalegam, żeby pani została. A teraz proszę pozwolić mi przywołać pokojówkę, która zaprowadzi panią do pokoju. Został przygotowany, jak się pani domyśla, choć oczywiście nie wiedzieliśmy, że ma być dla damy. Ale tym proszę się nie kłopotać. Służąca przyniesie pani do pokoju coś do zjedzenia. Proponuję, żeby po posiłku trochę pani odpoczęła, a potem musi pani koniecznie obejrzeć obrazy.

— Czy to znaczy, że pan chce, abym podjęła się ich konserwacji?

— Najpierw mogłaby pani służyć nam swą poradą, prawda? Odczułam taką ulgę, że moje nastawienie do niego się zmieniło.

Z minuty na minutę niechęć przeradzała się w sympatię.

— Dołożę wszelkich starań, by się z tego dobrze wywiązać, *monsieur le comte*.

— Jest pani w błędzie, mademoiselle. Nie jestem hrabią de la Talle.

Nie byłam w stanie ukryć zdumienia.

— Wobec tego kim...?

— Philippe de la Talle, kuzyn hrabiego. Jak zatem pani widzi, to nie mnie powinna się pani spodobać, tylko hrabiemu de la Talle. To on osobiście zadecyduje, czy powierzyć pani odnawianie swych obrazów. Zapewniam panią, że gdyby decyzja leżała w moich rękach, poprosiłbym o niezwłoczne przystąpienie do pracy.

— Kiedy będę mogła zobaczyć się z hrabią?

— Nie ma go w zamku i na pewno nie wróci jeszcze przez kilka dni. Proponuję, żeby pani została do jego powrotu. Do tego czasu mogłaby pani zbadać stan obrazów i gdy hrabia przyjedzie, będzie pani gotowa przedstawić mu swą opinię o wymaganych zabiegach.

— Kilka dni! — powtórzyłam zaskoczona.

— Niestety tak.

Kiedy podszedł do dzwonka i pociągnął taśmę, pomyślałam: to odroczenie wyroku. Przynajmniej będę w zamku przez parę dni.

* * *

Odgadłam, że mój pokój znajduje się w pobliżu baszty. Wnęka okienna była na tyle szeroka, by pomieścić po obu stronach dwie kamienne ławy, które jeszcze zawężyły prześwit niemalże do szczelny. Żeby wyjrzeć na zewnątrz, musiałam wspiąć się na palce. Poniżej dostrzegłam fosę, a dalej drzewa i winnice. Samą mnie bawiło, że w sytuacji gdy nie byłam pewna swego położenia, nie mogłam się powstrzymać od oceny walorów zamku i jego skarbów. Ojciec robił to samo. W

jego życiu najważniejsze miejsce zajmowały stare budowle, stanowiące pomniki dawnej przeszłości; malarstwo mniej go zajmowało. Dla mnie malarstwo stało na pierwszym planie, ale też odziedziczyłam coś z ojcowskich pasji do starodawnych rezydencji.

Wysoki pokój zalegały liczne cienie, chociaż był dopiero początek dnia, gdyż kamienne framugi, niezależnie od swej malowniczo — ści, ograniczały dostęp światła. Zdumiała mnie grubość murów, choć byłam na to przygotowana. Olbrzymi gobelin, pokrywający niemal całą powierzchnię jednej ściany, miał przytłumiony pawi kolor, a te ptaki stanowiły jego główny ozdobny motyw: pawie w ogrodzie z fontannami, w kolumnadach, spadające pomiędzy damami i wytwornymi panami. Niewątpliwie szesnastowieczna tkanina. Nad łóżkiem znajdował się baldachim, a z tyłu zasłona, i kiedy ją odciągnęłam na bok, zobaczyłam *ruelle* — alkowę, zazwyczaj budowaną we francuskich zamkach. Wielkości małego pokoju, wyposażona była w szafkę, krótką wannę i toaletkę z lustrem. Spojrzałam na swe odbicie i zaśmiałam się nagle.

Z pewnością wyglądałam na osobę kompetentną i niemal wzbudzającą postrach — ze śladami odbytej podróży, kapeluszem zsuniętym do tyłu, przez co wyglądał jeszcze mniej twarzowo niż zwykle, gdyż zakrywał mi całkowicie włosy, długie, gęste i proste, jedyny mój atut.

Służąca przyniosła gorącą wodę i spytała, czy mam ochotę na zimnego kurczaka i karafkę *vin du pays*. Odrzekłam, że bardzo mi to odpowiada i odetchnęłam z ulgą, gdy wyszła, gdyż jej rzucające się w oczy zaciekawienie, a nawet widoczne podekscytowanie moją obecnością tutaj, przypominały mi, na jakie nierozważne przedsięwzięcie się poważyłam.

Zdjęłam płaszcz i szpecący mnie kapelusz, wyjęłam szpilki z włosów, które opadły mi na ramiona. Jak bardzo mnie to odmieniło — wyglądałam nie tylko młodziej, lecz wręcz bezbrannie. Teraz mogłam ukazać oblicze przestraszonej, młodej kobiety, ukryte pod postacią pewnej siebie damy, jaką udawałam. Muszę pamiętać, że wygląd jest ważną sprawą. Byłam dumna z mych włosów. Ciemnobrązowe, o kasztanowym odcieniu, w słońcu wydawały się prawie rude.

* * *

Po kąpieli w wannie poczułam się odświeżona. Włożyłam czystą bieliznę, szarą spódnicę z cienkiej merynosowej wełny i kaszmirową bluzkę w jaśniejszym odcieniu. Bluzka zapinała się wysoko pod szyją i byłam pewna, że w tym stroju można mnie wziąć nawet za kobietę trzydziestoletnią, oczywiście jeżeli upnę wysoko włosy. Nie znosiłam szarości, gdyż miałam wielkie upodobanie do żywych kolorów. Czułam instynktownie, że pewien odcień błękitu, zieleni, czerwieni czy fioletu dobrze harmonizowałby z szarą spódnicą, lecz niezależnie od tego, jak bardzo lubiłam łączyć barwy gwoli osiągnięcia efektu piękna, nigdy nie chciałam tak eksperymentować na własnych strojach. Fartuchy, które wkładałam do pracy, zawsze były koloru przytłumionego brązu, tak samo proste i pozbawione ozdób jak kitle mego ojca. W istocie nosiłam jego, bo choć nieco za obszerne, w sumie na mnie pasowały.

Kiedy dopinałam bluzkę, rozległo się pukanie do drzwi. Rzuciłam okiem w lustro przy toalecie. Miałam nieco zarumienione policzki; a z włosami opadającymi niemal do pasa i okalającymi ramiona jak płaszcz, wyglądałam zupełnie inaczej niż ta nieustraszona kobieta, wprowadzona do tego pokoju.

— Kto tam? — zawołałam.

— Pani posiłek, mademoiselle. — Do pokoju weszła pokojówka. Odrzuciłam do tyłu włosy jedną ręką, a drugą odsunęłam nieco zasłonę.

— Proszę zostawić tacę — poleciłam.

* ft. wino miejscowe

Postawiła ją i wyszła. Uświadomiłam sobie, że jestem głodna, więc obejrzałam przyniesione jedzenie. Udka kurczęcia, kromka chrupiącego chleba, jeszcze ciepłego, prosto z pieca, masło, ser i karafka wina. Usiadłam i zaczęłam jeść. Wszystko okazało się pyszne. A tutejsze wino — z winogron rosnących w zasięgu wzroku! Po posiłku zachciało mi się spać. Prawdopodobnie wino miało swoją moc, ponadto byłam zmęczona. Miniony dzień i noc spędziłam w podróży. Poprzedniej nocy mało spałam i ostatnio ledwie co jadłam.

Ogarnął mnie miły, senny nastrój. Pozostanę w zamku, przynajmniej przez jakiś czas. Miałam obejrzeć zgromadzone tu skarby. Pamiętałam, jak przy innych okazjach bywałam w różnych wspaniałych rezydencjach razem z ojcem. Wracały wspomnienia pełnego emocji oczekiwania na możliwość kontaktu z niezwykłymi dziełami sztuki, owego olśnienia, jakie dawało ich rozumienie i podziwianie, podobnego do dzielenia się radością ze Stwórcą. Z pewnością podobne doświadczenia czekały mnie w tym domu... jeżeli tylko mogłabym tu zostać i nimi się cieszyć.

Zamknęłam oczy i poczułam kołysanie pociągu; wyobrażałam sobie życie na zamku i w okolicy. Wieśniacy doglądający winorośli i upojeni radością w czasie *vendange**. Byłam ciekawa, czy na wsi urodziło się już owo dziecko i czy to chłopiec. Zastanawiałam się, co pomyślał o mnie kuzyn hrabiego, a może w ogóle o mnie zapomniał. Spałam i śniło mi się, że jestem w galerii obrazów, że przywracam pierwotne barwy jednemu z nich, a ukazujące się kolory są bardziej olśniewające niż wszystkie, jakie dotąd widziałam — szmaragd zamiast szarości... purpura i złoto.

— Mademoiselle...

Zerwałam się z krzesła i przez chwilę nie wiedziałam, gdzie jestem. Przede mną stała kobieta — drobna, chuda, ze zmarszczonymi brwiami, który to grymas wskazywał raczej na niepokój niż irytację. Jej bezbarwne włosy, ułożone w loczki, tworzące również grzywkę, były nastroszone, pewno w złudnej nadziei ukrycia, jak bardzo są rzadkie. Niespokojne oczy przyglądały mi się badawczo spod zmarszczonych brwi. Miała na sobie białą bluzkę, ozdobioną pod wąską szyją różową kokardką, której końce nerwowo szarpała.

— Zasnęłam — wyjaśniłam.

— Musiała być pani bardzo zmęczona. Monsieur de la Talle polecił mi zaprowadzić panią do galerii obrazów, ale może pani wołałaby jeszcze trochę dłużej odpocząć.

— O nie, nie. A która to godzina? — Schyliłam głowę, żeby spojrzeć na złoty zegarek przypięty do bluzki, który należał kiedyś do mojej matki. Na skutek tego ruchu włosy opadły mi na ramiona i poczułam, że się rumienię. Szybko odgarnęłam je do tyłu. — Musiałam usnąć ze zmęczenia. Podróżowałam całą noc.

— Oczywiście. Wrócę później.

— To miło z pani strony. Czy może pani być tak uprzejma i się przedstawić? Pani wie, że ja jestem miss Lawson, przyjechałam z Anglii do ee...

— Tak, wiem. Oczekiwaliśmy dżentelmena. Ja jestem mademoiselle Dubois, guwernantka.

— Och, nie miałam pojęcia... — Umilkłam. Skąd miałam mieć jakiegokolwiek pojęcie o tym, kto zamieszkuje zamek? Falujące na plecach włosy wyraźnie mnie rozpraszały. To dlatego zaczęłam się jękać, co uniemożliwiałoby mi zademonstrowanie zwykłej, pełnej powagi postawy.

— A może wołałaby pani, żebym przyszła, powiedzmy... za pół godziny?

— Proszę mi dać dziesięć minut na przygotowanie się i wtedy z największą przyjemnością skorzystam z pani uprzejmej propozycji.

Jej czoło się wygładziło. Uśmiechnęła się dość niepewnie i wyszła. Wróciłam do *ruelle* i przyjrzałam się sobie w lustrze. Co za widok! — pomyślałam. Na policzkach wypieki, oczy błyszczące, włosy w nieładzie! Chwyciłam je w dłonie i mocno ściągnęłam do tyłu, po czym

* ft. winobranie

zaplotłam w dwa warkocze, które upięłam szpilkami w duży kok na czubku głowy. Z taką fryzurą wyglądałam na wyższą. Rumieńce ustąpiły, oczy przybrały zwykłą szarą barwę. Miały odcień wody z jeziora i odbijały kolory, w które się ubierałam, podobnie jak zmienia się kolor morza pod wpływem barwy nieba. Z tej przyczyny powinnam ubierać się w rzeczy zielone i niebieskie. Lecz tym razem, w przekonaniu, że moje walory nie polegają na atrakcyjnej powierzchowności i jeżeli mam zdobyć zaufanie moich pracodawców, to powinnam zaprezentować się jako kobieta poważna, trzymałam się więc spokojnych kolorów, podobnie jak pragnęłam stonować mój w pewnym sensie rzucający się w oczy wygląd zewnętrzny. Sądziłam, że taką bronią musi się posługiwać kobieta, która została sama na świecie i zmuszona jest prowadzić własną batalię o uznanie. Wreszcie nadałam wargom stanowczy wyraz i zanim mademoiselle Dubois wróciła, byłam gotowa do dalszego grania narzuconej i znanej sobie roli.

Gdy mnie zobaczyła, była wyraźnie zaskoczona, więc się zorientowałam, jak złe wrażenie zrobiłam za pierwszym razem. Skierowała wzrok ku mojej głowie i odczułam wątpliwą satysfakcję, gdyż teraz każdy włoszek był na swoim miejscu, a uładzona i poważna fryzura wzmacniała zamierzony przeze mnie efekt.

— Przepraszam, że zakłóciłam pani spokój. — Kobieta nazbyt przejęła się sytuacją. Ten nic nieznaczący wszakże incydent sama wywołałam, gdyż usnęłam i nie usłyszałam jej pukania do drzwi.

To właśnie jej wyjaśniłam i dodałam:

— Więc monsieur de la Talle prosił panią, żeby pokazała mi galerię. Z największą chęcią obejrzę obrazy.

— Właściwie to prawie nie znam się na malarstwie, ale...

— Powiedziała pani, że jest guwernantką. Zatem w zamku są dzieci?

— Jedynie Geneviève. Monsieur le Comte ma tylko jedno dziecko.

Pożerała mnie ciekawość, ale wypytywanie nie byłoby na miejscu, mademoiselle Dubois zaś zawahała się, jakby nie wiedząc, czy Powinna coś więcej wyjaśnić. Jakże pragnęłam dowiedzieć się czegoś jeszcze! Wykazałam jednak powściągliwość, a z upływem czasu coraz bardziej optymistycznie widziałam moją sytuację. To cudowne, co może zdziałać krótki odpoczynek, posiłek i zmiana ubrania.

Moja towarzyszka westchnęła.

— Geneviève jest trudnym dzieckiem.

— Wszystkie takie zwykle bywają. Ile ma lat?

— Czternaście.

— Jestem pewna, że z łatwością pani nad nią panuje.

Spojrzała na mnie, jakby nie dowierzając własnym uszom, a jej wargi wykrzywiły się lekko w gorzkim grymasie.

— Tak pani mówi, mademoiselle Lawson, gdyż nie zna pani Geneviève.

— Przypuszczam, że jako jedynaczka jest rozpieszczona.

— Rozpieszczona! — W jej głosie usłyszałam dziwną nutę. Strach? Udręczenie? Nie potrafiłam tego rozszyfrować. — Och... to także.

Ta kobieta była nieudolna, to oczywiste. Ostatnia osoba, którą wybrałabym na guwernantkę. Skoro hrabiostwo zgodzili się, żeby taka nauczycielka objęła u nich posadę, moje widoki na odnawianie obrazów były dobre. Lecz choć i ja byłam kobietą, powinnam zrobić wrażenie o wiele bardziej kompetentnej niż ta biedaczka. Czy hrabia nie uważał edukacji swej jedynej córki za sprawę przynajmniej tak istotną jak odnawianie obrazów? To się okaże. Niecierpliwie czekałam na spotkanie z tym człowiekiem.

— Muszę pani powiedzieć, mademoiselle Lawson, że panowanie nad tą dziewczynką wydaje

się niemożliwe.

— Może nie jest pani wystarczająco stanowcza — odrzekłam lekkim tonem, po czym zmieniłam temat. — Jakie to wnętrze ogromne. Czy galeria znajduje się gdzieś w pobliżu?

— Pokażę pani, gdzie. Na początku by się tu pani zgubiła. Tak było ze mną. A właściwie to i obecnie miewam trudności.

Pani zawsze będzie miała pewne trudności, pomyślałam.

— Rozumiem, że jest pani na zamku już od jakiegoś czasu — powiedziałam jedynie dla podtrzymania rozmowy, gdy wyszliśmy z pokoju i udałyśmy się korytarzem w kierunku schodów.

— Dość długo... osiem miesięcy.

Roześmiałam się ze zdziwieniem.

— Pani to nazywa długo?

— Inne nauczycielki nie utrzymały się przez taki okres. Żadna nie została dłużej niż pół roku.

Oderwałam się od widoku rzeźbionej poręczy schodów i wróciłam myślą do córki pana domu. To dlatego mademoiselle Dubois nadal tu pracuje. Geneviève była tak rozpieszczonym dzieckiem, że nie udało się utrzymać guwernantek. Można by zakładać, że srogi król na zamku potrafi zapanować nad córką. Lecz być może zbyt go nie obchodziła. A hrabina? To dziwne, ale zanim mademoiselle Dubois wspomniała o córce, nie myślałam w ogóle o hrabinie. Z pewnością musi być, skoro jest dziecko. Pewnie teraz towarzyszy hrabiemu i dlatego zostałam przyjęta przez ich kuzyna.

— W istocie — ciągnęła dalej moja przewodniczka — nieustannie powtarzam sobie, że powinnam odejść. Kłopot w tym...

Nie dokończyła zdania i nie musiała, gdyż rozumiałam ją bardzo dobrze. Dokąd mogłaby pójść? Wyobraziłam ją sobie w jakimś ponurym mieszkaniu... a może miała własną rodzinę... Tak czy owak musiała zarabiać na chleb. Wiele było takich jak ona — rozpaczliwie wymieniały dumę i godność na jedzenie i dach nad głową. Och, świetnie ją rozumiałam. Chyba tak, jak nikt inny, gdyż to był los, w obliczu którego sama stałam. Kobieta z dobrego domu, ale bez środków do życia. Czyż może być coś gorszego do zniesienia niż dystygowana bieda! Istota wychowana na damę, wykształcona tak samo dobrze, a może nawet lepiej niż pracodawcy, musi im usługiwać. I stale myśleć o tym, żeby utrzymać się na posadzie. Nie dzielisz prostackich przyjemności służby zamieszkującej pod schodami, nie zaznasz również tej satysfakcji, że chlebodawcy traktują cię jak członka rodziny. Tkwisz zawieszona w pustce. O, to sytuacja nieznośna, a jednocześnie jakże często nieunikniona. Biedna mademoiselle Dubois! Nie zdawała sobie sprawy, jaką litość we mnie wzbudziła i jaką trwogę.

— Każda posada ma swoje złe strony — zauważyłam pocieszająco.

— O tak, rzeczywiście. A tu jest tyle...

— Zamek robi wrażenie kopalni skarbów.

— Sądzę, że obrazy warte są majątek.

— Tak słyszałam. — Mój głos się ożywił.

Przechodząc przez kolejny pokój, dotknęłam płaszczyzny ściany, obitej dekoracyjną tkaniną. Co za piękne miejsce, pomyślałam. Ale te zabytkowe budowle wymagały nieustannego konserwowania. Przeszliśmy do obszernego pokoju, czegoś, co w Anglii nazywano »solarium», pomieszczenia maksymalnie nasyconego słońcem. Zatrzymałam się, żeby obejrzeć wymalowane na ścianach herby. Były dość świeżej daty i zastanawiałam się, czy pod zaprawą wapienną nie znajdują się freski. Uznałam, że to całkiem możliwe. Pamiętałam podniecenie ojca, kiedy raz odkrył cenne malowidła na ścianie, niewidoczne przez setki lat. Co to byłoby za triumf, gdybym to Ja dokonała takiego odkrycia! Osobista satysfakcja to oczywiście sprawa drugorzędna — owa myśl zaświtała mi w głowie jedynie w związku z tym, jak mnie tu przyjęto. Chodziło nade wszystko o

zwycięstwo sztuki, jak zwykle przy tego typu odkryciach.

— A hrabia bez wątpienia jest bardzo z nich dumny.

— Właściwie... to nie wiem.

— Z pewnością musi być. W każdym razie wystarczająco o nie dba, skoro pragnie, żeby zostały przebadane i w razie potrzeby odnowione. Dzieła sztuki stanowią cenne dziedzictwo. Posiadanie ich jest przywilejem i każdy musi pamiętać, że sztuka — wielka sztuka — nie należy do konkretnej osoby.

Zamilkłam. Już wsiadłam na swego ulubionego konika, jak mawiał ojciec. Ostrzegał mnie, że ci, którzy interesują się sztuką, wiedzą prawdopodobnie tyle co ja, innych natomiast zanudzałam.

Miał rację, a mademoiselle Dubois zaliczała się do tej drugiej kategorii.

Zaśmiała się krótko, jakby zadzwonił dzwoneczek, jednak bez śladu wesołości czy zadowolenia.

— Trudno byłoby mi oczekiwać, że pan hrabia mnie się zwierzy ze swych odczuć.

To prawda, nie zwierzyłby się jej. Ani ja.

— Ojej — wyszeptła — mam nadzieję, że nie zgubiłam drogi. O, nie... tędy.

— Jesteśmy teraz prawie w centrum zamku — odpowiedziałam.

— Została zachowana autentyczna pierwotna struktura. Nie wahałabym się sądzić, że znajdujemy się poniżej okrągłej baszty.

Popatrzyła na mnie z niedowierzaniem.

— Mój ojciec zajmował się zawodowo restaurowaniem starych budowli — wyjaśniłam. — Wiele się od niego nauczyłam. Zawsze pracowaliśmy razem.

Guwernantka sprawiała wrażenie, jakby nagle powzięła do mnie niechęć, co wydawało się całkiem niezgodne z jej naturą. Odezwała się niemal ostrym tonem:

— Jak mi wiadomo, oczekiwano mężczyzny.

— Oczekiwano mego ojca. Miał przyjechać trzy lata temu, lecz z jakichś przyczyn umówiony termin został odwołany.

— Trzy lata temu — powtórzyła bezbarwnym głosem. — To pewnie wtedy, gdy...

Czekałam, ale skoro nie dokończyła myśli, spytałam:

— To było jeszcze przed pani przybyciem tutaj, prawda? Ojciec już się wybierał, lecz został zawiadomiony raczej stanowczo, że jego przyjazd wypadłby w niedogodnych okolicznościach. Zmarł prawie rok temu, a skoro ja kontynuowałam podjęte przez niego prace, było całkiem oczywiste, że przyjechałam zamiast niego.

Popatrzyła na mnie takim wzrokiem, jakby uważała, że podobne postępowanie dalekie jest od oczywistego, z czym się w duchu zgadzałam. Nie miałam jednak najmniejszego zamiaru zdradzać się z tym przed moją towarzyszką, tak jak jej się zdarzyło wobec mnie.

— Jak na Angielkę mówi pani bardzo dobrze po francusku.

— Jestem dwujęzyczna. Matka była Francuzką, a ojciec Anglikiem.

— To się szczęśliwie złożyło... w tych okolicznościach.

— W każdych okolicznościach dobrze jest posługiwać się kilkoma językami.

Moja matka mawiała, że mam skłonności do pouczenia. To cecha, nad którą powinnam panować. Chyba ta skłonność jeszcze się wzmogła po śmierci ojca. To on kiedyś powiedział, że przypominam statek, który strzela ze wszystkich dział, aby pokazać, iż jest gotowy do obrony na wszelki wypadek, gdyby przeciwnik szykował się do otwarcia ognia.

— Ma pani oczywiście rację — odrzekła potulnie mademoiselle Dubois. — A oto galeria obrazów.

Od tej chwili guwernantka przestała dla mnie istnieć. Znalazłam się w długim pomieszczeniu, oświetlonym szeregiem okien... a na ścianach wisały obrazy! Nawet pomimo zaniedbania

wyglądały wspaniale i jeden rzut oka wystarczył mi, abym oszacowała je jako bardzo cenne. Była to głównie szkoła francuska. Rozpoznałam wiszących koło siebie Poussina i Lorraina i od razu uderzyła mnie, jak jeszcze nigdy dotąd, chłodna dyscyplina pierwszego i głęboki dramatyzm drugiego. Delektowałam się czystym, złotym słonecznym światłem w pejzażach Lorraina i chciałam zwrócić uwagę stojącej koło mnie kobiety na to światło i lekkie pociągnięcia pędzla, być może pod wpływem malarstwa Tycjana, oraz na to, jak zostały zastosowane ciemne pigmenty na soczystych kolorach dla uzyskania owego wspaniałego efektu gry światła i cieni. Był tam też Watteau... tak delikatny, pastelowy, niemalże koronkowy... a jednak w jakiś sposób wyrażał nastrój nadszarpniętej burzy. Szłam jak w transie od wczesnego Bouchera, doskonałego przykładu stylu rokoko, do Fragonarda, ukazującego pełną radości tematykę miłosną.

Nagle porwała mnie wręcz złość, gdyż było oczywiste, że wszystkie te obrazy wymagały konserwatorskich zabiegów. Jak można było dopuścić do takiego stanu! Niektóre z nich fatalnie pociemniały, inne pokrywał matowy, mgielny nalot, który my, fachowcy, nazywamy »zmydleniem«. Parę było zadrapanych, kilku zaszkoziła wilgoć lub kontakt z wodą. Dostrzegłam całe fragmenty z brązowymi śladami pozostawionymi przez muchy; w niektórych miejscach farba się łuszczyła. Zdarzały się też miejsca nadpalone, jakby ktoś za blisko trzymał świecę.

Przechodziłam w milczeniu od obrazu do obrazu, całkiem zapomniawszy o bożym świecie. Jak mogłam to ocenić na pierwszy rzut oka, praca nad obrazami musiałaby trwać co najmniej rok, a zapewne jeszcze dłużej, gdyż zawsze jest tak, że po bliższym zbadaniu płótna wychodzą nowe defekty.

— Uważa je pani za interesujące? — spytała niespodziewanie mademoiselle Dubois.

— W najwyższym stopniu, a poza tym z pewnością wymagają odnowienia.

— Przypuszczam więc, że niezwłocznie przystąpi pani do pracy. Zwróciłam na nią wzrok.

— To wcale nie znaczy, że ja będę ją wykonywała. Jestem kobietą i jak się pani domyśla, z tej przyczyny nie traktuje się mnie jak fachowca.

— To raczej niezwykle zajęcie dla kobiety.

— Istotnie. Jednak jeśli ktoś ma talent do wykonywania jakiejś pracy, to płeć nie ma żadnego znaczenia.

Zaśmiała się niezbyt mądrze.

— Ale są profesje kobiece i męskie.

— I są guwernantki i guwernerzy, prawda? — Miałam nadzieję, że wyraziłam się jasno i nie zamierzając kontynuować tej bezcelowej wymiany zdań, zmieniłam temat. — To oczywiście zależy od hrabiego. Jeżeli ma uprzedzenie...

Nie skończyłam zdania, gdyż gdzieś w pobliżu rozległy się wykrzyczane w złości słowa:

— Chcę ją zobaczyć! Mówię ci, Nounou, że muszę ją poznać. Starej Gruchotce polecono zaprowadzić ją do galerii.

Spojrzałam na mademoiselle Dubois, ale ta zapewne często już słyszała owo przezwisko.

Usłyszałam uspokajający głos innej kobiety, a potem znowu ten pierwszy:

— Chodźmy, Nounou. Ty stara, głupia babo, myślisz, że zdołasz mnie powstrzymać?

Drzwi do galerii otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich dziewczynka, którą od razu rozpoznałam jako Geneviève de la Talle. Rozpuszczone, ciemne włosy były jakby niemal celowo rozczochrane. Piękne, czarne oczy błyszczały z uciechy. Jasnoniebieski kolor sukienki dobrze podkreślał ciemne akcenty jej urody. Wiedziałabym od razu, nawet gdyby mnie nie uprzedzono, że jest dzieckiem trudnym do prowadzenia. Utkwiła we mnie oczy, więc i ja zatrzymałam na niej wzrok. Potem powiedziała po angielsku:

— Dzień dobry, miss.

— Dzień dobry, mademoiselle — odpowiedziałam w tym samym języku. Robiła wrażenie

rozbawionej, gdy szła w głąb sali. Za nią pojawiła się też siwowłosa kobieta. Nie miałam wątpliwości, że to jej niania, Nounou. Domyślałam się, iż opiekowała się małą od wczesnego dzieciństwa i walnie przyczyniła do tego, że dziecko było tak rozpuszczone.

— Więc przyjechała pani z Anglii — odezwała się dziewczynka. — Oni spodziewali się mężczyzny.

— Spodziewali się mego ojca. Pracowaliśmy razem, a ponieważ on nie mógł przyjechać, gdyż zmarł, ja dalej prowadzę prace, do których się zobowiązałam.

— Nie rozumiem — stwierdziła.

— Więc może będziemy mówić po francusku? — spytałam w tym języku.

— Nie — odparła wyniośle. — Potrafię dobrze mówić po angielsku. Jestem mademoiselle de la Talle.

— Tak przypuszczałam. — Odwróciłam się do starej kobiety i powitałam ją z uśmiechem. — Te obrazy wydają się nad wyraz piękne — powiedziałam do niej i mademoiselle Dubois — ale jest oczywiste, że zupełnie zaniedbano ich konserwację.

Żadna z nich nie odrzekła, dziewczynka zaś, zirytowana, że ją zlekceważyłam, rzuciła niegrzecznie:

— A co to panią obchodzi, skoro i tak tu pani nie zostanie?

— Cicho, kochanie — odezwała się szeptem Nounou.

— Będę cicho, jak mi się spodoba. Niech tylko ojciec wróci!

— Daj spokój, Geneviève... — Niania przeniosła na mnie pełne niepokoju spojrzenie, przepaszając za złe zachowanie swej podopiecznej.

— Zobacz pani — dziewczynka zwróciła się do mnie. — Może pani sobie wyobraża, że tu zostanie, ale mój ojciec...

— Jeżeli — odparłam — twój ojciec ma takie same maniery jak ty, to żadna siła mnie tu nie zatrzyma.

— Miss, proszę mówić po angielsku, kiedy się pani do mnie zwraca.

— Okazało się, że zapomniałaś już tego języka, podobnie jak dobrych manier.

Nagle zaczęła się śmiać, wywinęła się opiekunce, która ją przytrzymała i podeszła do mnie

— Pewnie pani myśli, że jestem bardzo nieuprzejma.

— W ogóle o tobie nie myślę.

— Wobec tego o czym?

— W tej chwili o obrazach.

— To znaczy, że są bardziej interesujące niż ja?

— Zdecydowanie — stwierdziłam.

Nie wiedziała, jak zareagować. Wzruszyła ramionami, odwróciła się ode mnie i powiedziała rozdrażnionym, choć cichym głosem:

— No i zobaczyłam ją. Nieładna i stara. — Po tych słowach z zuchwale uniesioną głową wypadła z galerii.

— Proszę jej wybaczyć, mademoiselle — wyszeptała piastunka. — Jest w jednym z tych swoich nastrojów. Usiłowałam jej tu nie wpuścić. Boję się, czy pani nie obraziła.

— Bynajmniej — zapewniłam ją. — Nie muszę mieć z nią nic wspólnego... na szczęście.

— Nounou! — zawołała dziewczynka tym samym władcym tonem. — Chodź tutaj, natychmiast!

Staruszka wyszła, a ja spojrzałam na mademoiselle Dubois zdumionym wzrokiem.

— Ona jest w jednym z tych swoich nastrojów. Nikt nad tym nie panuje. Przykro mi.

— Mnie jest przykro ze względu na panią i tę starą nianię. Jej twarz rozjaśniła się nieco.

— Wychowankowie bywają trudni, ale jeszcze nigdy nie spotkałam kogoś aż tak...

Rzuciła ukradkowe spojrzenie na drzwi, a ja zastanawiałam się, czy do uroczych cech charakteru Geneviève należy jeszcze dodać zwyczaj podsłuchiwania. Biedna kobieta, pomyślałam, nie ma sensu przysparzać jej przykrości i mówić, że według mnie to nierozsądne, iż zgadza się znosić podobną arogancję.

Zamiast tego powiedziałam:

— Jeżeli nie miałaby pani nic przeciwko temu, zostaną tutaj i dokonam oględzin obrazów.

— A czy trafi pani sama z powrotem do swego pokoju?

— Z pewnością. Zwracałam baczną uwagę na to, którędy szliśmy. Proszę pamiętać, że już nieraz przebywałam w starych budowlach.

— Cóż, wobec tego zostawiam panią. Zawsze może pani zadzwonić, jeżeli będzie czegoś potrzebowała.

— Dziękuję za pomoc.

Wyszła bezszelestnie, a ja wróciłam do obrazów, lecz byłam zbyt zbulwersowana, by w skupieniu przystąpić do pracy. Co to za dziwni domownicy. Dziewczynka wydawała się wręcz nie do zniesienia. Kto następny? Hrabia i hrabina? Jakimi ludźmi się okażą? Ich córka była źle wychowana, samolubna, a do tego wręcz okrutna. Zaniepokoił mnie fakt, że to wszystko odkryłam w ciągu zaledwie pięciu minut spędzonych w jej towarzystwie. Jakiego rodzaju środowisko, co za wychowanie wytworzyło tego typu istotę?

Patrzyłam na ściany obwieszane bezcennymi i zaniedbanymi obrazami i w ciągu tych paru chwil przewijały mi się przez głowę następujące myśli: może najmądrzej byłoby wyjechać stąd z samego rana? — mogłabym przeprosić monsieur de la Talle'a, przyznać, że mój przyjazd tutaj okazał się pomyłką i opuścić ten dom.

Pragnęłam uciec przed losem, który zwłaszcza po zawarciu znajomości z mademoiselle Dubois (Starej Gruchotki — biedaczki) jawił mi się jako okropny. Ale też chciałam dalej pracować w mojej ukochanej dziedzinie. Przecież właśnie dlatego zjawiłam się tu podstępem i naraziłam się na ubliżające mi słowa.

Doszłam jednak do tak niezłomnego przekonania o konieczności wyjazdu, iż prawie uwierzyłam, że instynkt ostrzega mnie przed pozostaniem w zamku. Nie powinnam ulegać dalszej pokusie studiowania tych obrazów. Wrócę do pokoju, który oddano mi do dyspozycji, i spróbuję odpocząć przed trudami jutrzejszej długiej podróży.

Podeszłam do drzwi i gdy usiłowałam przekręcić gałkę klamki, stwierdziłam, że nie mogę nią poruszyć. Może to wydać się dziwne, ale w pierwszej chwili wpadłam w prawdziwą panikę. Wyobraźnia podsuwała mi dramatyczny obraz — mnie samej uwięzionej i nie mogącej się wydostać z galerii. Miałam wrażenie, że ściany pomieszczenia coraz bardziej zacieśniają się wokoło.

Zwolniłam ucisk na klamkę i drzwi się otworzyły. Po drugiej stronie stał Philippe de la Talle. Teraz rozumiałam, dlaczego nie mogłam wyjść — bo on usiłował wejść.

Być może, pomyślałam, mieszkańcy zamku mi nie ufają. Może zawsze ktoś musi przebywać ze mną — na wypadek, gdybym próbowała coś ukraść. Wiedziałam, że to absurd, i tego rodzaju nielogiczne przypuszczenie było do mnie niepodobne. Ale przecież w ciągu dwóch ostatnich nocy prawie nie spałam, a wciąż towarzyszył mi niepokój o przyszłość. Zrozumiałe zatem, że nie jestem całkiem sobą.

— Właśnie pani wychodziła, mademoiselle?

— Zamierzałam udać się teraz do pokoju. Chyba nie ma sensu, żebym dalej dokonywała oględzin obrazów. Zdecydowałam, że juro wyjeżdżam. Bardzo dziękuję panu za gościnność i przepraszam za spowodowane kłopoty. Nie powinnam była przyjeżdżać.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

— Zmieniła pani zamiar? Czy dlatego, że renowacja tych obrazów przekracza pani umiejętności?

Poczerwieniałam z gniewu.

— W żadnym razie — odparłam. — Te obrazy są bardzo zaniedbane, zbrodniczo zaniedbane... to znaczy z punktu widzenia artysty malarza, lecz odnawiałam już dzieła w gorszym stanie. Po prostu czuję, że moja obecność jest tu niepożądana i byłoby lepiej dla pana, gdyby pan znalazł kogoś... tej samej płci, co pan, skoro to takie ważne.

— Moja droga mademoiselle Lawson — odpowiedział niemal dobrotliwie — decyzja należy do mego kuzyna, który jest właścicielem tych obrazów... jak w ogóle wszystkiego w tym zamku. On wróci w ciągu najbliższych kilku dni.

— Mimo to uważam, że powinnam jutro wyjechać. Mogę odwdziaczyć się za gościnność oceną jednego z wybranych przez pana obrazów, jeżeli uznałby pan moją opinię za użyteczną w razie zaangażowania do prac konserwatorskich kogoś innego.

— Obawiam się, że moja siostrzenica zachowała się wobec pani niegrzecznie. Mój kuzyn będzie na mnie zły, jeżeli pani nie pozna. Nie powinna pani przejmować się tą dziewczynką. W czasie nieobecności ojca nie da się jej poskromić. On jest jedyną osobą, której Geneviève się boi.

A ja dodałam w myślach: pan też się go boi. Czulałam, że coraz bardziej pragnę poznać pana hrabiego, jak również zając się jego obrazami.

— Mademoiselle, czy zostanie pani jeszcze przez kilka dni, przynajmniej po to, aby usłyszeć, co mój kuzyn ma do powiedzenia?

Zawahałam się na moment, po czym odrzekłam:

— Dobrze, zostanę...

Wyglądało na to, że mój rozmówca przyjął z ulgą to postanowienie.

— Teraz chciałabym wrócić do mego pokoju. Uświadomiłam sobie, że jestem zbyt zmęczona, aby wykonać należycie jakąś pracę. Jutro dokładnie zbadam obrazy w galerii i kiedy pański kuzyn wróci, będę mu mogła przedstawić wyczerpującą ocenę.

— Doskonale — stwierdził i przepuścił mnie przez drzwi.

* * *

Następnego dnia rano, po dobrze przespanej nocy, wstałam pełna animuszu, gdy tylko zrobiło się widno. Zamierzałam rozejrzeć się po terenie przylegającym do zamku, a być może również w jego sąsiedztwie. Chciałam zobaczyć miasteczko, gdyż wydawało mi się na pierwszy rzut oka, że stary kościół został wybudowany w tym samym czasie co zamek, a i *hôtel de ville* bez wątpienia także był wiekowy.

Poprzedniego dnia wieczorem zjadłam w pokoju kolację. Jedzenie było wyśmienite. Wkrótce potem poszłam do łóżka i od razu zasnęłam. Nowy ranek przyniósł ze sobą sporą dozę optymizmu.

Umyłam się, ubrałam i zadzwoniłam po śniadanie, które natychmiast mi przyniesiono. Gorąca kawa, chrupiący chleb domowego wypieku, masło — wszystko było pyszne.

Jedząc, rozmyślałam o wydarzeniach poprzedniego dnia i już nie wydawały mi się one tak dziwne, jak ubiegłej nocy. Musiałam jeszcze się przekonać, jakiego rodzaju ludzie zamieszkują zamek. W tej chwili wiedziałam jedynie, że byli dość niezwykli. Kuzyn Philippe sprawujący nad wszystkim pieczę pod nieobecność pana i pani domu. Rozkapryszona dziewczynka zachowująca się niegrzecznie, gdy ojca nie było w domu, niewątpliwie dlatego, że przy nim, ze strachu, musiała być układna. Niezbyt stanowcza i nieudolna guwernantka oraz biedna Nounou, siwowłosa, stara niania, która jeszcze mniej panowała nad swą wychowanką niż guwernantka. Poza tym był tu stajenny Joseph, a także liczni służący — kobiety i mężczyźni, niezbędni do utrzymania porządku

w tak rozległej rezydencji. Niby nie dostrzegłam nic niezwykłego w tym układzie, a jednak wyczuwałam otaczającą ten dom tajemnicę. Może wynikało to ze sposobu, w jaki każdy, kto wspominał o zamku, mówił zawsze o hrabim. Był jedyną osobą, z którą liczyła się jego córka. Wszystko od niego zależało — w każdym razie mój pobyt tutaj na pewno.

Poszłam do galerii, gdzie w ciszy i spokoju spędziłam przedpołudnie na szczegółowym badaniu obrazów i dokładnym spisywaniu wszelkich uszkodzeń każdego z nich. To było fascynujące zajęcie i zdumiałam się, jak szybko minął czas. W ogóle zapomniałam o swych niepokojach i wręcz zaskoczyła mnie służąca, gdy zapukała do drzwi i oznajmiła, iż jest już dwunasta, więc może przynieść mi do pokoju *dejeuner*^{*}, jeżeli sobie tego życzę.

Nagle poczułam, że jestem głodna, wobec czego chętnie się zgodziłam. Zabrałam notatki i wróciłam do pokoju, dokąd pokojówka przyniosła mi wyborną zupę, mięso i sałatę, a na deser ser i owoce. Ciekawa byłam, czy w czasie całego pobytu mam zawsze jadać posiłki sama, o ile oczywiście spotkam się z uznaniem Monsieur le Comte'a. Zaczynałam już nazywać go w myślach tak jak pozostali — „Monsieur le Comte” — jakby dużą literą, choć nie bez pewnej dozy kpiny. Inni mogą się pana bać, panie hrabio, ale zobaczy pan, że ja do nich nie należę.

Doświadczenie nauczyło mnie, że czas po południu nie jest już tak odpowiedni do pracy, a poza tym potrzebowałam trochę ruchu. Nie mogłabym, oczywiście, bez pozwolenia zwiedzać samego zamku, ale nic nie stało na przeszkodzie, abym rozejrzała się po jego otoczeniu i okolicy.

Nie miałam żadnych trudności ze znalezieniem drogi wiodącej na dziedziniec, na który przywiózł mnie Joseph, lecz zamiast iść zwodzonym mostem, wydostałam się przez portyk łączący główny budynek z częścią dobudowaną później, na inny podwórzec, od południowej strony zamku. Tam znajdowały się ogrody i — jak pomyślałam z przekąsem — Monsieur le Comte zaniedbywał wprawdzie obrazy, lecz tego nie dało się powiedzieć o roślinach, gdyż widać było wyraźnie, jak wiele troski im poświęcano.

Przede mną schodziły w dół trzy tarasy. Pierwszy zdobiły otoczone trawnikami fontanny, a ponadto różnorodne krzewy i rośliny ozdobne. Wyobrażałam sobie, jak przepięknie kwitły na wiosnę, choć i teraz, jesienią, mieniły się kolorami. Kamienną ścieżką zeszłam na drugi taras. Tu zaprojektowano dekoracyjne klomby oddzielone od siebie starannie przystrzyżonymi żywopłotami i cisami, przy czym tym ostatnim nadano różne kształty, przeważnie lilii burbońskich. Jakie to typowe, pomyślałam, dla Monsieur le Comte'a! Na najniższym tarasie urządzono ogród warzywny, lecz nawet ten był ozdobny — starannie podzielony na kwadraty i prostokąty, pomiędzy którymi ustawiono kraty porośnięte winoroślą, całość zaś otaczały drzewa owocowe.

Miejsce to było opustoszałe. Domyślałam się, że ogrodnicy korzystali teraz z popołudniowej sjeisty, gdyż nawet o tej porze roku słońce mocno prażyło. O trzeciej zapewne wrócą do pracy, którą ukończą przed zmrokiem. Musi być ich wielu, skoro ogród utrzymywano w takim porządku.

Stałam pod jednym z owocowych drzew, gdy usłyszałam wołanie: „Miss! Miss!”. Odwróciłam się i zobaczyłam biegnącą ku mnie Geneviève.

— Dojrzałam panią z okna — powiedziała. Ujęła mnie za ramię i wskazała dłonią zamek. — Widzi pani to okno na samej górze po prawej stronie? To moje. Jeden z dziecinnych pokojów. — Wykrzywiła twarz w pogardliwym grymasie. Mówiła po angielsku. — Nauczyłam się tego na pamięć — wyjaśniła — żeby pokazać pani, że potrafię. A teraz przejdźmy na francuski.

Tym razem wyglądała zupełnie inaczej — spokojna, pogodna, zapewne nadal skłonna do psot, lecz taka, jaka powinna być czternastoletnia dobrze wychowana panienka. Zapewne teraz już nie miała jednego ze swych złych „nastrojów”.

* fr. drugie śniadanie

— Jak sobie życzysz — odrzekłam w jej języku.

— Wiem, że powinnam rozmawiać z panią po angielsku, ale jak już pani zauważyła, niezbyt dobrze sobie z tym radzę, prawda?

— Z powodu akcentu i intonacji wręcz trudno cię zrozumieć. Natomiast wydaje mi się, że masz dostateczny zasób słów.

— Jest pani guwernantką?

— Ależ skąd.

— Mogłaby pani nią być. I to dobrą. — Zaśmiała się głośno. — Wtedy nie musiałyby pani tu się kręcić pod fałszywym pozorem, czyż nie?

— Wyszłam na spacer — odparłam chłodno. — I żegnam cię.

— O nie, proszę. Zeszłam, żeby z panią porozmawiać. Przede wszystkim muszę powiedzieć, że mi przykro. Zachowałam się niegrzecznie, prawda? A pani jest taka opanowana... ale przecież taka powinna pani być, czyż nie? Tego właśnie oczekuje się po Anglikach.

— Jestem w połowie Francuzką — wyjaśniłam.

— To tłumaczy pani temperament. Widziałam, że zrobiła się pani naprawdę zła. Tylko głos pozostał opanowany. W głębi duszy była pani rozgniewana, prawda?

— Byłam zaskoczona, że dziewczynka z twoim wychowaniem i pozycją może tak nieuprzejmie odnosić się do gościa swego ojca w jego własnym domu, to jasne.

— Ale proszę pamiętać, że pani nie jest gościem. Pani się tu zjawiała pod...

— Nie ma sensu kontynuować tej rozmowy. Przyjęłam twoje przeprosimy i teraz idę dalej sama.

— Ale ja zeszłam specjalnie po to, żeby z panią porozmawiać.

— A ja wyszłam na spacer.

— Czy nie mogłybyśmy pospacerować razem?

— Nie zapraszałam cię do towarzystwa.

— Cóż, mój ojciec nie zapraszał pani do przyjazdu, prawda, a jednak pani tu przybyła. — Po czym dodała szybko: — Ale ja się cieszę, że pani tu jest... więc może pani będzie przyjemnie przejść się ze mną.

Usiłowała zatrzeć pierwsze złe wrażenie, a ponieważ nigdy nie byłam zawzięta, więc się uśmiechnęłam.

— Jest pani ładniejsza z tym uśmiechem — uznała Geneviève. — No, jakby to powiedzieć — przechyliła na bok głowę — może nie ładniejsza, ale wygląda pani młodziej.

— Każdy wygląda milej, kiedy się uśmiecha. To coś, o czym powinnaś pamiętać.

Tym razem wybuch śmiechu dziewczynki był szczerzy i całkiem spontaniczny. A ja złapałam się na tym, że jej zawtórowałam i śmiałam się z siebie. Wyglądało na to, że obie jesteśmy zadowolone ze swego towarzystwa, jeśli bowiem o mnie chodzi, ludzie pasjonowali mnie prawie w takim samym stopniu co obraży. Ojciec próbował ukrócić tę moją skłonność i nazywał ją pustą ciekawością. Jednak owo zainteresowanie tkwiło we mnie mocno i być może nie było na tyle naganne, żeby je powściągać.

Teraz nawet chętnie zaakceptowałam obecność mojej towarzyszki. Raz widziałam ją w złym humorze, w tej chwili robiła wrażenie wesołej, choć bardzo ciekawskiej panienki. Czy jednak miałam prawo krytykować ją za to, że pod tym względem niewiele się ode mnie różniła?

— A więc — zaproponowała — pójdziemy na spacer i pokażę pani to, co zechce pani zobaczyć.

— Dziękuję. Będzie mi miło. Znowu się roześmiała.

— Mam nadzieję, że będzie się pani tu podobało, miss. Może spróbuję mówić po angielsku, a pani będzie odpowiadała powoli, żebym mogła zrozumieć?

— Proszę bardzo.

— I nie będzie się pani śmiała, jeśli powiem coś głupiego?

— Z całą pewnością nie. Podziwiam twój zapał do doskonalenia języka.

Uśmiechnęła się znowu. Niewątpliwie i tym razem uznała, że mówię jak guwernantka.

— Nie jestem zbyt grzeczna — oświadczyła. — Wszyscy tutaj mnie się boją.

— Nie sądzę, żeby się ciebie obawiali. Być może tylko są zmartwieni i rozgoryczeni, kiedy czasami zachowujesz się niestosownie.

Również te słowa jakby ją ubawiły, ale natychmiast spoważniała.

— Czy pani bała się swego ojca? — spytała, przechodząc na francuski. Wyczułam, że ze względu na ważny dla siebie temat łatwiej było jej mówić we własnym języku.

— Nie — odrzekłam. — Być może odczuwałam wobec niego onieśmielenie.

— A co to za różnica?

— Tak dzieje się wtedy, gdy mamy do kogoś szacunek, podziwiamy go i boimy się go urazić. To nie to samo, co bać się kogoś.

— Mówmy po francusku. Ta rozmowa jest zbyt zajmująca jak na angielski.

Ona się boi ojca, pomyślałam. Jaki to człowiek, skoro wzbudza strach we własnej córce? Była dziwnym dzieckiem — krnąbrnym i czasem nie mogącym się pohamować, ale oczywiście to z jego winy. A co z matką? Jaką odgrywała rolę w wychowaniu córki?

— Więc w sumie nie bała się pani ojca?

— Nie. A ty boisz się swojego?

Nie odpowiedziała, zauważyłam jednak strwożone spojrzenie jej oczu.

Spytałam szybko:

— A... twoja matka.

Obróciła się ku mnie.

— Zaprowadzę panią do mojej matki.

— Co?

— Powiedziałam, że zaprowadzę panią do niej.

— Ona jest w zamku?

— Wiem, gdzie jest. Zabiorę panią do niej. Pójdzie pani?

— Cóż, tak, oczywiście. Będzie mi miło ją poznać.

— Świetnie. Idziemy.

Ruszyła przodem. Ciemne włosy miała porządnie związane z tyłu błękitną wstążką i być może to uczesanie zmieniło jej wygląd — głowa dumnie uniesiona, ramiona spadziste, szyja długa i kształtna. Pomyślałam, że wyrośnie na piękną kobietę.

Zastanawiałam się, czy jest podobna do hrabiny, a następnie przystąpiłam do przepowiadania sobie w duchu tego, co powinnam powiedzieć. Muszę jasno wyłożyć całą sprawę. Może jako kobieta nie będzie w takim stopniu uprzedzona do wykonywanej przeze mnie pracy.

Geneviève przystanąła, żebym się z nią zrównała.

— Jestem dwoma różnymi osobami, prawda? i

— Co masz na myśli?

— Dwie strony mego charakteru.

— Charakter każdego człowieka ma wiele stron.

— Ze mną jest inaczej. Inni ludzie są jednolici. Ja zaś się składam z dwóch odmiennych istot.

— Kto ci to powiedział?

— Nounou. Ona powiada, że jestem spod znaku Bliźniąt, a to znaczą dwa różne oblicza. Urodziłam się w czerwcu.

— To jakiś wymysł. Nie każdy, kto urodził się w czerwcu, jest podobny do ciebie.

— To nie wymysł. Widziała pani, jaka byłam wczoraj okropna. Byłam tą złą Geneviève. Dzisiaj

czuję się inna. Jestem tą dobrą. Powiedziałam pani, że mi przykro, prawda?

— Mam nadzieję, że naprawdę jest ci przykro.

— Powiedziałam, że tak jest, a nie mówiłabym, gdyby nie było.

— Wobec tego kiedy postępujesz źle, pamiętaj, że później będzie ci przykro i nie zachowuj się niewłaściwie.

— Tak — odrzekła — pani powinna być guwernantką. Zawsze tak mówią, jakby wszystko było łatwe. Nic na to nie poradzę, że bywam okropna. Taka już jestem.

— Każdy potrafi zapanować nad własnym zachowaniem.

— To zostało zapisane w gwiazdach. To przeznaczenie. Nie można przeciwstawić się przeznaczeniu.

No i okazało się, na czym polega kłopot. Ta pełna temperamentu dziewczynka znajdowała się w rękach niemądrej, starej niańki, i tej drugiej biedaczki, obawiającej się własnego cienia, a do tego była córką człowieka, który ją przerażał. Ale przecież miała jeszcze matkę, oczywiście. Z ciekawością oczekiwałam tego spotkania.

Może i ją hrabia przytłaczał. To bardzo prawdopodobne, skoro wszyscy w jego otoczeniu tak się czuli. Wyobraziłam ją sobie jako łagodną istotę, lękającą się wystąpić przeciw małżonkowi. Z każdą nową porcją informacji Monsieur le Comte coraz bardziej wyglądał mi na potwora.

— Możesz być taka, jaka zechcesz być — zapewniłam dziewczynkę. — To nonsens wmawiać sobie, że ma się dwie osobowości i próbować słuchać tej niesympatycznej.

— Ja nie próbuję. Tak się po prostu dzieje.

Nawet już podczas wypowiedzania owych uwag czułam się fatalnie. Zawsze łatwo rozwiązywać cudze kłopoty. Geneviève była młodziutka i czasami robiła wrażenie nawet zbyt dziecinnej jak na swój wiek. Gdyby nawiązały się między nami przyjacielskie stosunki, może potrafiłabym jej pomóc.

— Bardzo pragnę poznać twoją matkę — powiedziałam, ale pominęła te słowa milczeniem i znów wybiegła przede mnie.

Szła między drzewami, a ja podążałam za nią, lecz była o wiele szybsza i nie przeszkadzała jej długa spódnica tak jak mnie. Uniosłam rąbek swojej i ruszyłam szybciej, ale straciłam Geneviève z oczu.

Zatrzymałam się na chwilę. Tutaj drzewa rosły gęsto i znalazłam się właściwie w małym zagajniku. Nie byłam pewna, którędy tu doszłam, a już zupełnie nie miałam pojęcia, w jakim kierunku pobiegła moja przewodniczka. Nagle doznałam wrażenia, że się zgubiłam — To było podobne uczucie do tego wczoraj w galerii, kiedy wydawało mi się, że nie mogę otworzyć drzwi. Dziwne doznanie — jakby powoli ogarniała mnie panika.

Co za absurdalne wrażenie w pełni jasnego dnia! Geneviève mnie oszukała. Wcale się nie zmieniła, tylko udawała, że jest jej przykro. To, co mówiła, było jakby wołaniem o pomoc, ale okazało się zwykłą grą, podstępem.

Wówczas usłyszałam wołanie:

— Miss! Miss! Gdzie pani jest? Tędy, tędy!

— Idę — odpowiedziałam i poszłam w kierunku jej głosu. Dziewczynka ukazała się pomiędzy drzewami.

— Już myślałam, że mi się pani zgubiła.

Wzięła mnie za rękę, jakby się bała, żebym nie uciekła, i poszłyśmy dalej razem. Po paru chwilach drzewa przeredziły się, aż wreszcie zagajnik zniknął. Przed nami rozciągała się otwarta przestrzeń, teren porośnięty bujną trawą. Stały tam tylko nagrobne pomniki, więc domyśliłam się, że znalazłyśmy się na cmentarzu rodziny de la Talle. Wtedy zrozumiałam. Matka Geneviève nie żyła, dziewczynka chciała mi pokazać grobowiec. I to nazwała przedstawieniem mnie swej mamie.

Byłam wstrząśnięta i nieco zaniepokojona. Geneviève była istotnie dziwnym dzieckiem.

— Wszyscy de la Talle'owie przychodzą tu po śmierci — odezwała się poważnym tonem. — Ale i ja często tu przychodzę.

— Twoja mama nie żyje?

— Proszę iść ze mną, pokażę pani, gdzie ona jest.

Pociągnęła mnie za sobą i idąc w wysokiej trawie, doszliśmy do ozdobnego pomnika w kształcie małej kapliczki, na której szczycie ustawiono rzeźbę grupy aniołów trzymających otwartą marmurową księgę. Na obu jej stronach wyryto informacje o osobie tam pochowanej.

— Proszę spojrzeć — odezwała się Geneviève — to jej imię. Przyjrzałam się napisowi. Françoise, hrabina de la Talle, lat trzydzieści. Spojrzałam na datę. To było trzy lata temu.

Więc dziewczynka miała jedenaście lat, gdy jej matka zmarła.

— Często tu przychodzę — powiedziała — żeby z nią pobyc. Rozmawiam z nią. Podoba mi się tutaj. Jest tak spokojnie.

— Nie powinnaś przychodzić sama — odezwałam się cicho. — Lubię przychodzić tu sama. Ale teraz chciałam, żeby i pani ją poznała.

Nie wiem, co mnie skłoniło do postawienia tego pytania, lecz jakoś samo mi się wyrwało:

— Czy twój ojciec tu przychodzi?

— Nigdy. Nie chce z nią przebywać. Przedtem też nie chciał, więc dlaczego teraz miałoby się to zmienić?

— Skąd możesz wiedzieć, czego on chce?

— Och, po prostu wiem. A poza tym ona jest tutaj, gdyż on chciał, żeby tu się znalazła. Bo widzi pani, on zawsze dostaje to, czego pragnie. A jej nie potrzebował.

— Nie sądzę, abyś dobrze orientowała się w sytuacji.

— O, na pewno bardzo dobrze. — Jej oczy zalśniły złym blaskiem. — To pani nic nie rozumie. I nawet nie może. Przecież dopiero co pani tu przyjechała. A ja wiem, że on jej nie chciał. Dlatego ją zamordował.

Nie wiedziałam, jak na to odpowiedzieć. Jedyne, co mogłam zrobić, to popatrzeć na dziewczynkę ze zgrozą. Ale Geneviève sprawiała wrażenie, jakby nie była świadoma mojej obecności, kiedy z czułością kładła dłonie na marmurowych płytach.

Panująca wokół cisza, ciepło słonecznego dnia, widok tych mauzoleów, kryjących szczątki dawno zmarłych członków rodziny de la Talle — to było dziwaczne, a nawet makabryczne. Instykt ostrzegał mnie, żebym trzymała się z dala od tego. Lecz nawet teraz, kiedy znalazłam się tutaj, wiedziałam, że zostanę, jeżeli tylko to będzie możliwe, oraz że w Château Gaillard zafascynowało mnie o wiele więcej niż tylko moje ukochane malarstwo.

ROZDZIAŁ DRUGI

To był mój drugi dzień pobytu w Château Gaillard. Tej nocy nie mogłam spać, głównie z powodu owej sceny na cmentarzu, która tak mną wstrząsnęła, że nie potrafiłam przestać o tym wszystkim myśleć.

Gdy wolnym krokiem wracałyśmy do zamku, tłumaczyłam Geneviève, że nie wolno jej mówić takich rzeczy o ojcu. Wysłuchiwała mnie spokojnie i bez słowa komentarza. Ale nigdy nie zapomnę niezachwianej pewności w jej głosie, gdy powiedziała: „On ją zamordował”.

To niewątpliwie wzięło się z jakichś plotek. Od kogo je usłyszała? Od któregoś z mieszkańców zamku. Czyżby od niańki? Biedne dziecko! Jakie to musiało być dla niej straszne! Moja poprzednia złość do nieznośnej pannicy całkiem minęła. Zapragnęłam dowiedzieć się czegoś więcej o życiu dziewczynki, o tym, jaka była jej matka i w jaki sposób owo okropne podejrzenie zrodziło się w jej umyśle.

Ale cała ta sprawa napełniła mnie niepokojem.

Zjadłam samotnie kolację w pokoju i przejrzałam spisane w galerii notatki. Potem usiłowałam czytać książkę. Wieczór mi się dłużył i zastanawiałam się, czy taki tryb życia mnie czeka, gdybym miała tu pozostać. W innych arystokratycznych domach spożywaliby posiłki z zarządzającymi posiadłością, a czasami nawet z samy — i właścicielami, i nigdy nie czułam się tak samotna. Ale oczywiście nie powinnam zapominać, że jeszcze nie zostałam przyjęta do pracy. Musiałam przejść ten okres oczekiwania.

Poszłam do galerii i spędziłam całe przedpołudnie na badaniu obrazów — oceniałam stopień przyciemnienia barw, ustalałam miejsca odprysku farby, co w zawodowym żargonie nazywaliśmy „brakami” oraz inne uszkodzenia, takie jak zarysowania, w których osiadły kurz i brud. Usiłowałam określić, jakie materiały byłyby mi potrzebne oprócz tych, które przywozłam ze sobą. Pomyślałam sobie, że spytam Philippe’a de la Talle’a, czy mogłabym obejrzeć jeszcze inne malowidła znajdujące się na zamku, zwłaszcza pewne freski, na które zwróciłam uwagę.

Wróciłam do pokoju na lunch, po czym wyszłam na zewnątrz. Zdecydowałam, że dzisiaj powinnam zwiedzić okolice zamku, może również miasteczko.

Wszędzie wokół uprawiano winnice. Wybrałam jedną z dróg pomiędzy winoroślami, choć nie wiodła ona do miasteczka. Wyobrażałam sobie, jakie panuje tu ożywienie w czasie zbiorów winogron, żałując, że nie przybyłam wcześniej i tego nie widziałam. W przyszłym roku... pomyślałam i sama się wyśmiałam. Czy rzeczywiście mam podstawę zakładać, że wtedy jeszcze tutaj będę?

Doszłam do zabudowań, za którymi dostrzegłam dom z czerwonej cegły. We wszystkich oknach znajdowały się oczywiście niezbędne tu żaluzje. Te były pomalowane na zielono. Dodawały uroku domostwu, które — jak oceniłam — musiało mieć jakieś sto pięćdziesiąt lat. Pewnie zostało zbudowane około pięćdziesięciu lat przed Wielką Rewolucją Francuską. Nie mogłam oprzeć się pokusie i podeszłam bliżej, by lepiej mu się przyjrzeć. Przed frontem domu rosło drzewko cytrynowe, a właściwie limona, i gdy się zbliżyłam, usłyszałam wysoki, piskliwy głos wołający:

— Halo, miss!

Nie „mademoiselle”, jak się mogłam spodziewać, lecz „miss”, wymawiane „miis”. To wskazywało oczywiście, że kimkolwiek był ten, co mnie tak powitał, wiedział, z kim ma do czynienia.

— Halo — odpowiedziałam, ale nikogo nie mogłam dojrzeć za żelazną bramą.

Usłyszałam chichot i spojrzawszy w górę, ujrzałam chłopca, bujającego się na gałęzi jak małpka. Nagle zeskoczył i stanął koło mnie.

— Halo, miss. Jestem Yves Bastide.

— Dzień dobry, jak się masz.

— A to Margot. Margot, złaź, nie bądź głuptasem.

— Nie jestem głuptasem.

Dziewczynka ześlizgnęła się z gałęzi i nie bacząc na niebezpieczeństwo, zsunęła się na ziemię. Była nieco mniejsza od chłopca.

— My tu mieszkamy — wyjaśnił.

Dziewczynka energicznie pokiwała głową, patrząc na mnie błyszczącymi z ciekawości oczami.

— To bardzo ładny dom. — Wszyscy tu mieszkamy, my wszyscy. — Musi być wam wszystkim tu bardzo miło. — Yves! Margot! — dobiegło wołanie z głębi domu. — Babciu, miss jest z nami!

— To zaproście gościa do domu i pamiętajcie o dobrych manierach.

— Miss — odezwał się Yves z lekkim ukłonem — czy zechciałaby pani zajść do nas, aby poznać babcię?

— Będzie mi bardzo przyjemnie. — Uśmiechnęłam się do dziewczynki, która ładnie dygnęła. Co za różnica, pomyślałam, między nią a Geneviève.

Chłopiec pobiegł przodem, żeby otworzyć żelazną bramę i teraz nisko się uklonił, gdy mnie przez nią przepuszczał. Dziewczynka ruszyła obok ścieżką pomiędzy krzewami, wołając:

— Babciu, idziemy!

Weszłam do obszernego przedpokoju i zza otwartych drzwi usłyszałam głos:

— Dzieci, przyprowadźcie panią z Anglii tutaj.

W fotelu na biegunach siedziała starsza kobieta. Miała opaloną, pokrytą zmarszczkami twarz, a gęste, siwe włosy upięte wysoko w kok. Ciężkie powieki opadały jej na bardzo błyszczące i bardzo czarne oczy. Dłonie z widocznymi żyłami i brązowymi plamkami, które w kraju nazywamy „kwiatami śmierci”, trzymała zaciśnięte na poręczach fotela.

Uśmiechnęła się na mój widok niemal entuzjastycznie, jakby się mnie spodziewała i cieszyła, że wreszcie przyszedłam.

— Mademoiselle, wybaczy pani, że nie wstanę. Mam tak zeszywniałe nogi, że czasami całe rano zabiera mi podnoszenie się, a całe popołudnie powrót na fotel.

— Ależ proszę siedzieć. — Ujęłam wyciągniętą do mnie dłoń i uścisnęłam. — To miło, że mnie pani zaprosiła.

Dzieci stanęły po obu stronach fotela i przyglądały mi się bacznie, a zarazem z dumą, jakbym była jakimś rzadkim okazem, który udało im się odkryć.

— Zdaje się, że wiecie, kim jestem. — Uśmiechnęłam się do nich. — Macie pod tym względem nade mną przewagę.

— Yves, krzesło dla mademoiselle.

Skoczył po nie i ustawił ostrożnie naprzeciw fotela starej pani. — Bardzo niedługo pani o nas usłyszy, mademoiselle. Wszyscy znają Bastide'ów.

Usiadłam na krześle.

— Skąd państwo wiedzą, kim jestem?

— Mademoiselle, nowiny szybko się rozchodzą w sąsiedztwie. Słyszeliśmy, że pani przyjechała, i mieliśmy nadzieję, że nas pani odwiedzi. Bo widzi pani, my jesteśmy w dużej mierze częścią zamku. Ten dom został zbudowany dla Bastide'ów, mademoiselle. Od tego czasu zawsze mieszkali w nim Bastide'owie. Przedtem nasza rodzina mieszkała na terenie posiadłości, ponieważ Bastide'owie zawsze uprawiali winorośl. Nawet się mówi, że nie byłoby wina Gaillard, gdyby nie było Bastide'ów.

— Rozumiem. Winnice należą do was.

Zaśmiała się głośno, a jej powieki jeszcze bardziej przykryły oczy.

— Jak wszystko tutaj, winnice należą do Monsieur le Comte'a. To jego ziemia, ten dom jest jego. Wszystko jest jego. My jesteśmy jego robotnikami i chociaż mówimy, że bez Bastide'ów nie byłoby wina Gaillard, to jednocześnie mamy na myśli coś więcej — bez tej nazwy wino tu wytwarzane nie miałoby takiej wartości.

— Zawsze ogromnie mnie interesowało, jak powstaje wino... chciałabym widzieć pojawiające się winogrona, ich dojrzewanie, a potem przemianę w napój.

— Och, mademoiselle, to jest najbardziej interesująca rzecz na świecie... dla nas, Bastide'ów.

— Chciałabym to zobaczyć.

— Mam nadzieję, że zostanie tu pani wystarczająco długo. — Zwróciła się do dzieci: — Idźcie i odszukajcie brata. A także siostrę i ojca. Powiedźcie im, że mamy gościa.

— Proszę ich nie niepokoić z mego powodu.

— Byliby bardzo rozczarowani, dowiadując się, że nas pani odwiedziła, a oni nie mieli możliwości poznania pani.

Dzieci wybiegły. Powiedziałam, że są urocze i mają nienaganne maniery. Starsza kobieta pokiwała głową bardzo zadowolona. Niewątpliwie zrozumiała, dlaczego padła taka uwaga z mojej strony. Mogłam porównywać oboje wyłącznie do Geneviève.

— O tej porze dnia — wyjaśniła — nie ma wiele zajęć poza domem. Mój wnuk, który teraz wszystkim zarządza, jest w piwnicach; jego ojciec z powodu wypadku nie może wyjść na pole, więc mu pomaga, a moja wnuczka, Gabrielle, pracuje w naszym biurze.

— Ma pani liczną rodzinę i wszyscy pracują przy uprawie winnej latorośli, i to na dużą skalę! Staruszka pokiwała głową.

— To rodzinna tradycja. Gdy Yves i Margot dorosną, pójdą w ślady starszych.

— Jakie to musi być przyjemne mieszkać tak z najbliższymi w tym ślicznym domu. Proszę mi opowiedzieć o reszcie rodziny.

— Ojcem dzieci jest mój syn, Armand. Najstarszy to Jean Pierre, ma dwadzieścia osiem lat, niedługo skończy dwadzieścia dziewięć. On teraz wszystkim zarządza. Gabrielle ma dziewiętnaście, niech pani zauważy, że jest między nimi dziesięć lat różnicy. Przez te wszystkie lata myślałam, że Jean Pierre zostanie jedynakiem, a tu nagle urodziła się Gabrielle. Potem była znowu długa przerwa i na świat przyszedł Yves, a tuż za nim, zaledwie po roku, Margot. To się stało za szybko i ich matka okazała się zbyt stara na macierzyństwo.

— Czy ona...? Skinęła głową.

— Przeżyliśmy ciężkie chwile. Armand i Jacques, jeden z robotników, jechali wozem, kiedy konie poniosły. Obydwaj odnieśli obrażenia. Moja synowa, biedna kobieta, myślała, że mąż z tego nie wyjdzie, i według mnie tego już było dla niej za wiele. Dostała gorączki i zmarła. Zostawiła małą Margot... zaledwie dziesięciodniową.

— Jakie to smutne.

— Zły czas mija, mademoiselle. To się działo osiem lat temu. Mój syn jest jeszcze zdolny do pracy, a wnuk, dobry chłopak, został teraz prawdziwą głową rodziny. Stał się mężczyzną, kiedy przyszło mu wziąć na barki odpowiedzialność za wszystko. Ale takie jest życie, czyż nie? — Uśmiechnęła się do mnie. — Za dużo opowiadam o Bastide'ach i zanudzam panią.

— Wręcz przeciwnie. To bardzo interesująca historia.

— Pani praca jest zapewne jeszcze ciekawsza. Jak pani się czuje w zamku?

— Jestem tu bardzo krótko.

— Ale spodziewa się pani, że będzie z pracy zadowolona?

— Nawet nie wiem, czy ją rozpocznę. Wszystko zależy od...

— Od Monsieur le Comte'a. Oczywiście. — Spojrzała na mnie i pokręciła głową. — To człowiek niełatwy w kontaktach.

— Nie wiadomo, czego się można po nim spodziewać? Wzruszyła ramionami.

— Oczekiwał, że przyjedzie mężczyzna. Wszyscy tak myśleliśmy, służący mówili o Angielce, która się zjawiła. Tu, w Gaillard, nie można niczego utrzymać w tajemnicy, mademoiselle. W każdym razie większości z nas to się nie udaje. Mój syn twierdzi, że ja za dużo mówię. On, biedak, jest raczej milczący. Śmierć żony odmieniła go, mademoiselle, bardzo go odmieniła.

Nagle staruszka zaczęła czujnie nasłuchiwać, a mnie doszedł odgłos końskich kopyt. Uśmiech dumy rozświetlił jej twarz.

— To na pewno Jean Pierre.

Wkrótce stanął w drzwiach. Średniego wzrostu, o włosach barwy jasnego kasztana, rozjaśnionych — jak przypuszczałam — od słońca. Kiedy się uśmiechał, jego oczy stawały się wąskie jak szparki. Był opalony niemal na kolor miedzi. Robił wrażenie mężczyzny o ogromnej witalności.

— Jean Pierre — powiedziała starsza dama — to mademoiselle z zamku.

Podszedł do mnie z podobnie serdecznym uśmiechem jak rodzeństwo i babka, jakby był zachwycony moim widokiem. Grzecznie się uklonił.

— Witamy w Gaillard, mademoiselle. Miło z pani strony, że nas odwiedziła.

— To nie całkiem odwiedziny. Pańskie młodsze rodzeństwo zobaczyło mnie, jak przechodziłam w pobliżu i zaprosiło do domu.

— To się im chwali! Mam nadzieję, że to pierwsza z wielu pani wizyt u nas. — Przyciągnął sobie krzesło i usiadł. — Co pani sądzi o zamku?

— To wspaniały przykład piętnastowiecznej architektury. Nie miałam jeszcze okazji, żeby dokładnie wszystkiemu się przyjrzeć, ale uważam, że ma takie same charakterystyczne cechy jak zamki w Langeais i Loches.

Jean Pierre się roześmiał.

— Przysięgłbym, że wie pani więcej o skarbach sztuki naszego kraju niż my, mademoiselle.

— No, nie sądzę, lecz na pewno jest tak, że im dokładniej poznajemy jakąś dziedzinę, tym bardziej uświadamiamy sobie, ile jeszcze musimy się nauczyć. W moim wypadku chodzi o obrazy i starą architekturę, w pana o... winorośl.

Znowu wybuchnął śmiechem. Śmiał się żywiłowo, co dodawało mu uroku.

— Niezła różnica! Duch i materia.

— Wyobrażam sobie, jakie to musi być ekscytujące, już mówiła mi o tym madame Bastide, sadzić winorośl, doglądać winnych gron, i pielęgnować je, a potem wytwarzać wino.

— To praca niosąca ze sobą ogromne ryzyko — odrzekł Jean Pierre.

— Jak każda.

— Nie ma pani pojęcia, mademoiselle, jakie przeżywamy katusze. Czy mróz nie zniszczy pędów? Czy winogrona nie będą cierpkie z powodu nadmiernych chłódów? Każdego dnia trzeba sprawdzać krzewy, czy nie pojawiły się na nich czarna zgnilizna albo któryś z licznych szkodników. Wiele spośród nich ma tylko jeden cel — nie popuścić do winobrania. Dopiero po zbiorach czujemy się bezpieczni wtedy powinna pani zobaczyć naszą radość.

— Mam nadzieję, że będę jej świadkiem. Spojrzał na mnie zaskoczony.

— Zaczęła już przecież pani pracę na zamku, mademoiselle? — Nie bardzo. Jeszcze nie zostałam przyjęta. Muszę czekać...

— Na decyzję Monsieur le Comte'a — wpadła mi w słowo madame Bastide.

— To chyba zrozumiałe — zauważyłam, chociaż poczułam się dziwnie w roli obrońcy hrabiego. — Można by powiedzieć, że zjawiłam się tutaj podstępem. Na zamku spodziewano się

mego ojca. Nie napisałam, że już nie żyje i że proponuję na jego miejsce swoją osobę. Wszystko zależy od Monsieur le Comte'a.

— Zawsze wszystko zależy od Monsieur le Comte'a — powtórzyła madame Bastide z nutą rezygnacji w głosie.

— Mademoiselle dlatego traktuje to jako zrozumiałe — odpowiedział jej Jean Pierre — gdyż zamek należy do niego, obrazy, nad którymi ma pracować, należą do niego, winnice także... w pewnym sensie my wszyscy do niego należymy.

— Tak mówisz, jakbyśmy się cofnęli do czasów sprzed rewolucji — mruknęła jego babka.

Jean Pierre zwrócił się do mnie:

— Tutaj, mademoiselle, niewiele się zmieniło przez te lata. Zamek stoi na straży miasteczka i okolicy, tak jak to było przez wieki. Zachował swój pierwotny charakter i my, podobnie jak nasi przodkowie, którzy byli zależni od hojności jego właścicieli, także jesteśmy od nich zależni. W Gaillard mało się zmieniło. Monsieur le Comte de la Talle sobie tego nie życzy.

— Odnoszę wrażenie, że ci, którzy od niego zależą, nie darzą go wielką miłością.

— Być może tylko ci, co lubią być uzależnieni, lubią tych, od których są zależni. Niezależni zawsze się buntują.

Odniosłam wrażenie, że w tych słowach kryje się coś więcej. Było natomiast jasne, że osoba hrabiego wywołuje silne emocje, ja zaś chciałam się dowiedzieć jak najwięcej o człowieku, w którego rękach leżał mój los, więc powiedziałam:

— Cóż, teraz mnie tam tolerują w oczekiwaniu na jego powrót.

— Monsieur Philippe nie odważyłby się podjąć decyzji w obawie, że uraziłby hrabiego.

— Tak bardzo się boi kuzyna?

— Więcej niż bardzo. Jeżeli hrabia się nie ożeni, Philippe mógłby zostać dziedzicem, ponieważ ród de la Talle naśladuje dawne rody królewskie i przestrzega prawa salickiego, które miało zastosowanie do Walezjuszków i Burbonów. Ale, jak wszystko inne, i to zależy od Monsieur le Comte'a. Tak długo, jak hrabia będzie stosował zasadę, że dziedziczy wyłącznie męski potomek rodu, mógłby również pominąć swego kuzyna na rzecz innego krewnego. Czasami chyba Gaillard jest mylony z Wersalem za Ludwika XIV.

— Zakładam, że hrabia jest młody... a przynajmniej nie stary. Dlaczego nie miałby się ponownie ożenić?

— Mówi się, że ma awersję do małżeństwa.

— Zdawałoby się, że mężczyzna dumny ze swego rodu chciałby mieć syna, a on jest niewątpliwie dumnym człowiekiem.

— Najdumniejszym w całej Francji.

W tym momencie wróciły dzieci z Gabrielle i ich ojcem, Armandem. Uroda Gabrielle Bastide była uderzająca. Ciemnowłosa jak reszta rodziny, nie miała jednak tak jak oni czarnych oczu, lecz ciemnoniebieskie, które czyniły z niej niemal piękność. Robiła wrażenie istoty łagodnej, o wiele mniej pewnej siebie niż brat.

Wyjaśniałam właśnie, że miałam matkę Francuzkę, stąd moja znajomość języka, gdy niespodziewanie rozdzwonił się dzwonek, co mnie wręcz przestraszyło.

— Służąca wzywa dzieci na *gouter** — wytłumaczyła madame Bastide.

— Pójdę już — powiedziałam. — Było mi bardzo miło. Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy.

Ale madame Bastide nie chciała o tym słyszeć. Muszę zostać, nalegała, żeby spróbować jej wina.

* fr. podwieczorek

Dla dzieci przyniesiono kanapki z masą czekoladową, a dla nas ciasteczka i wino.

Gawędziliśmy o winach, obrazach i o tym, jak toczy się życie w okolicy. Bastide'owie powiedzieli, że muszę zwiedzić stary kościół i zabytkowy *hôtel de ville*, lecz nade wszystko powinnam ich odwiedzać, kiedy tylko będę w pobliżu. Jean Pierre i jego ojciec — który prawie się nie odzywał — z największą przyjemnością pokażą mi wszystko, co zechcę.

Po podwieczorku dzieciom zaproponowano zabawę w ogrodzie, a nasza rozmowa zaczęła na nowo toczyć się wokół zamku. Być może za przyczyną wina — do którego nie byłam przyzwyczajona, zwłaszcza o tej porze dnia — posunęłam się do niezbyt taktownych stwierdzeń.

— Geneviève jest dziwną dziewczynką — powiedziałam — zupełnie niepodobną do Yves'a i Margot. Oni są tacy spontaniczni i naturalni — to po prostu normalne, szczęśliwe dzieciaki. Być może w Gaillard nie ma najlepszych warunków do wychowania dziecka. — Były to dość lekkomyślnie rzucone uwagi, lecz się tym nie przejęłam. Musiałam dowiedzieć się czegoś więcej o zamku, a przede wszystkim o jego właścicielu.

— Biedne dziecko — westchnęła madame Bastide.

— To prawda — ciągnęłam dalej — ale sądzę, że skoro upłynęły trzy lata od śmierci jej matki, powinna już wrócić do równowagi.

Na chwilę zapadła cisza, po czym odezwał się Jean Pierre:

— Jeżeli mademoiselle pobędzie dłużej w zamku, to i tak się dowie. Hrabina zmarła na skutek przedawkowania opium.

Powróciło do mnie wspomnienie dziewczynki na cmentarzu i wyrwało mi się odruchowo:

— Ale chyba nie została zamordowana!

— Nazwano to samobójstwem — odrzekł Jean Pierre.

— Pani hrabina — dodała madame Bastide — była piękną kobietą.

I po tych słowach wróciła do tematu winorośli. Zaczęliśmy rozmawiać o wielkiej klęsce, jaka dotknęła parę lat temu większość winnic we Francji, kiedy to krzewy zostały zaatakowane przez zarazę, a ponieważ Jean Pierre mówił o winnicach z uczuciem bezgranicznego oddania, wszyscy byli pod wrażeniem jego słów. Mogłam sobie wyobrazić przerażenie, jakie ogarnęło pracowników, gdy wykryto pasożytnicze rośliny, wczepione w korzenie winorośli. Świetnie rozumiałam rozmiar tragedii tych wszystkich ludzi, którzy zajmowali się uprawą winnej latorośli, a stanęli przed dylematem, czy nie zatopić winnic.

— Owa klęska objęła wówczas całą Francję — wyjaśnił Jean Pierre. — Mniej więcej dziesięć lat temu. Prawda, ojcze?

Monsieur Bastide pokiwał głową.

— A potem nastąpił powolny, ale stały powrót do dobrej koniunktury. Gaillard w sumie jeszcze najmniej ucierpiał.

Kiedy wstałam od stołu, Jean Pierre powiedział, że mnie odprowadzi. Chociaż nie zachodziła obawa, bym mogła zabłądzić po drodze, byłam zadowolona z jego towarzystwa, gdyż wszyscy Bastide'owie okazali się sympatyczni i przyjacielscy, a te cechy zawsze gniłam. Przyszło mi na myśl, że będąc tu z nimi, czuję się zupełnie się osobą niż ta opanowana, poważna kobieta, której wizerunek wzywałam mieszkańcom zamku. Byłam jak kameleon zmieniający barwę w zależności od otoczenia. Nie działałam wszakże rozmyślnie, więc wyglądało to zupełnie naturalnie. Nigdy przedtem nie uświadamiałam sobie, jak automatycznie przywdziewałam obronną zbroję, a przyjemnie było znaleźć się w towarzystwie, gdzie osłona nie była potrzebna. Kiedy wyszliśmy za bramę i skierowaliśmy się na drogę wiodącą do zamku, spytałam:

— Czy hrabia... jest rzeczywiście taki przerażający?

— To samowładca... jeden z owych arystokratów z dawnych czasów. Jego słowo jest prawem.

— Przeżył tragedię.

— Wydaje mi się, że pani go żałuje. Kiedy go pani pozna, uświadomi sobie, że współczucie to ostatnia rzecz, której by potrzebował.

— Wspomnił pan, że śmierć jego żony uznano za samobójstwo... — zaczęłam.

Przerwał mi gwałtownie.

— Nawet nie mówimy o tych sprawach. — Ale...

— Ale — dodał Jean Pierre — o nich pamiętamy.

Przed nami ukazał się zamek — ogromny, nie do zdobycia. Pomyślałam o wszystkich mrocznych tajemnicach, mogących się kryć w jego wnętrzu, i ciarki przeszły mi po plecach.

— Proszę już się nie trudzić, dalej pójde sama — powiedziałam. — Na pewno oderwałam pana od pracy.

Odstąpił ode mnie o parę kroków i uklonił się grzecznie. Uśmiechnęłam się na pożegnanie i ruszyłam w stronę bramy.

* * *

Tego wieczoru poszłam wcześniej do łóżka, żeby odespać poprzednią noc. Drzemałam i miałam jakieś mgliste sny. To było dziwne, gdyż w kraju rzadko mi się coś śniło. Tym razem ukazała mi się jakaś gmatwanina obrazów związanych z wizytą u Bastide'ów, widok piwnic zapełnionych butelkami wina, a poprzez to wszystko wyzierał ku mnie niejasny kształt bez twarzy, o którym wiedziałam, że to zmarła hrabina. W pewnych momentach czułam tylko jej obecność, choć jej nie widziałam. Było tak, jakby stała z tyłu i ostrzegała mnie szeptem: „Uciekaj stąd. Nie wikłaj się w sprawy tego domu”. A potem z kolei drwiła ze mnie. Jednak się jej nie bałam. Natomiast moje przerażenie wywołała inna mglista postać. Monsieur le Comte. Słyszałam jego głos, dochodzący jakby z bardzo dużej odległości. Ten głos potężniał, aż wydało mi się, że ktoś krzyczy mi prosto w ucho.

Obudziłam się przestraszona. Ktoś naprawdę krzyczał. Słysząc było głosy dochodzące z parteru, a potem odgłos szybkich kroków wzdłuż korytarza. W zamku nie spano, choć jeszcze nawet nie świtało. Kiedy zaś zapaliłam świecę i spojrzałam na zegarek leżący na stoliku przy łóżku, okazało się, że jest dopiero po jedenastej pojełam, co się stało. Coś, na co wszyscy czekali i czego się obawiali.

Hrabia wrócił do domu.

Leżałam rozbudzona i zastanawiałam się, co przyniesie mi jutro.

* * *

Gdy obudziłam się nazajutrz o zwykłej porze, w zamku panowała cisza. Poderwałam się szybko z łóżka i zadzwoniłam po gorącą wodę. Pokojówka przyniosła ją niezwłocznie. Zauważyłam, że robiła wrażenie zmienionej i niespokojnej. Więc hrabia miał taki wpływ nawet na najmniej ważną ze służących!

— Czy przynieść pani *petit dejeuner** jak zwykle, mademoiselle?

Spojrzałam zdziwiona i odrzekłam:

— Oczywiście, proszę.

Domyślałam się, że wszyscy o mnie mówili i zastanawiali się, jaki będzie mój los. Rozejrzałam się po pokoju. Może już nigdy nie będę tu spała, pomyślałam. Myśl o opuszczeniu zamku przygnębiała mnie — nigdy nie dowiem się niczego więcej o ludziach, którzy tak zawładnęli moją

* fr. — śniadanie

wyobraźnią. Pragnęłam lepiej poznać Geneviève i ją zrozumieć. Ciekawa byłam, jak wpłynie powrót hrabiego na jego kuzyna, Philippe'a de la Talle'a. Chciałam wiedzieć, w jakim stopniu Nounou jest odpowiedzialna za samowolę i wybryki swej podopiecznej. Chętnie usłyszałabym, jaką drogę życiową przeszła mademoiselle Dubois przed objęciem tutaj posady. No i była jeszcze oczywiście rodzina Bastide'ów. Miałam ochotę znowu ich odwiedzić, usiąść w ich przytulnym pokoju i rozmawiać o winnicach i zamku. Ale nade wszystko pragnęłam poznać hrabiego — nie po to, żeby się z nim spotkać na chwilę i usłyszeć od niego, że ze mnie rezygnuje, lecz aby zebrać więcej informacji o człowieku, który — jak powszechnie uważano — był odpowiedzialny za śmierć własnej żony, nawet jeśli osobiście nie podał jej trucizny.

Przyniesiono mi śniadanie i choć ze zdenerwowania zupełnie nie miałam apetytu, postanowiłam je zjeść, żeby nikt nie mógł powiedzieć, że ze strachu nie mogłam nic przełknąć. Wypiłam więc dwie filiżanki kawy jak zwykle i zjadłam kromkę ciepłego jeszcze chleba. Po śniadaniu poszłam do galerii.

Nie miałam nastroju do pracy. Już przygotowałam opinię, którą Philippe de la Talle miał dać hrabiemu po jego powrocie. Uśmiechnął się do mnie, gdy mu ją wręczyłam i po pobieżnym przejrzeniu uznał, że robi wrażenie pracy eksperta. Zapewne miał rację, że te moje uwagi zostaną dobrze przyjęte przez hrabiego, i ekspertyza usprawiedliwi decyzję o zatrzymaniu mnie w zamku. Jednocześnie, jako człowiek niewątpliwie mi życzliwy, chciał, abym otrzymała tę pracę, skoro już się przed nim zdradziłam, jak bardzo mi na niej zależy. Uznałam, że kuzyn hrabiego umie się zdobyć na przyjacielskie gesty, jeżeli niezbyt wiele odeń wymagać.

W myślach potrafiłam przedstawić sobie, jak to będzie, gdy właściciel galerii otrzyma moją ocenę stanu obrazów i dowie się, że zamiast mężczyzny przyjechała kobieta. Ale sam jego wizerunek nie był dla mnie jasny. Wyobraźnia podpowiadała mi jedynie mglisty obraz wyniosłego mężczyzny w białej peruce i koronie na głowie. Kogoś podobnego do Ludwika XIV czy XV, których portrety widziałam. Król... Król na zamku.

Miałam przy sobie notes i usiłowałam zapisać jeszcze kilka szczegółów, jakie poprzednio uszły mej uwadze. Jeśli pozwoli mi zostać, rozważałam w duchu, to praca w galerii tak mnie pochłonie, że dla mnie może sobie mordować i dwadzieścia żon.

W galerii wisiał jeden obraz, który szczególnie wzbudził moje zainteresowanie. Był to portret kobiety. Sądząc po stroju, mógł powstać w osiemnastym wieku, gdzieś w połowie albo nieco później. Nie wyróżniał się mistrzostwem pędzla — w galerii znajdowało się wiele lepszych dzieł — ciekawe natomiast było to, że choć późniejszy niż większość obrazów, okazał się w gorszym stanie od pozostałych. Werniks był mocno pociemniały, a cała powierzchnia wydawała się pocętkowana, jakby płótno cierpiało na jakąś chorobę skóry. Według mnie obraz wyglądał tak, jakby przez długi czas pozostawał na wolnym powietrzu.

Przypatrywałam mu się uważnie, kiedy usłyszałam za sobą jakiś odgłos. Obróciłam się i zobaczyłam, że w galerii jest mężczyzna. Stał w sporej odległości ode mnie i bacznie mi się przyglądał. Poczulałam mocne bicie serca, nogi ugięły się pod mną. Od razu wiedziałam, że wreszcie znalazłam się twarzą w twarz z hrabią de la Talle.

— Mademoiselle Lawson, jeśli się nie mylę? — powiedział. Nawet głos miał niezwykle, niski i zimny.

— A pan jest hrabią de la Talle?

Skłonił się grzecznie. Nie podszedł bliżej. Jego oczy lustrowały mnie z daleka, a od całej postaci wiało chłodem. Zwróciłam uwagę, że jest raczej wysoki, uderzające wydało mi się natomiast to, jak bardzo był szczupły. Zauważyłam pewne podobieństwo do monsieur Philippe'a, na pewno jednak ten mężczyzna nie posiadał żadnej z cech, tworzących coś, co można by nazwać „kobiecością” tamtego. Hrabia miał ciemniejsze włosy niż kuzyn, a wystające kości policzkowe

nadawały jego twarzy sarkastyczny i wręcz diaboliczny wyraz. Bardzo ciemne oczy, które, jak odkryłam później, wyglądały czasem, w zależności od nastroju, niemal jak czarne, były głęboko osadzone pod ciężkimi powiekami. Orli nos dodawał twarzy rysy wyniosłości — Ruchliwe usta dostosowywały się do ogólnego obrazu tego mężczyzny, jakim był w danym momencie. Ale ja wówczas znałam tylko jednego — aroganckiego króla na zamku. Od niego też zależał mój los.

Miał na sobie czarny surdut do konnej jazdy z aksamitnym kołnierzem. Ponad białym krawatem jego blada twarz robiła wrażenie prawie okrutnej.

— Kuzyn powiedział mi o pani przybyciu. — Teraz podszedł do mnie bliżej. Poruszał się tak, jakby był królem krocącym przez Galerię Zwierciadlaną.

Szybko odzyskałam swą zwykłą równowagę ducha. Nic tak jak wyniosłość nie pobudzało mnie do przywdziania najeżonego pancerza.

— Cieszę się z pana powrotu, Monsieur le Comte — odrzekłam — gdyż już od kilku dni czekam na wiadomość, czy życzy pan sobie, abym tu pozostała i przystąpiła do pracy.

— Musiała być dla pani uciążliwa niepewność, czy nie traci pani czasu.

— Obrazy w galerii okazały się niezmiernie interesujące, więc zapewniam pana, że przebywanie tutaj nie było dla mnie niemiłą stratą czasu.

— Szkoda, że nie zawiadomiła nas pani o śmierci ojca — oświadczył. — To by nam oszczędziło mnóstwa kłopotów.

A więc miałam opuścić zamek. Byłam zła, gdyż czułam się z tego powodu tak nieszczęśliwa. Wróć do Londynu, myślałam. Muszę znaleźć jakieś mieszkanie. A jak uda mi się zarobić na życie do czasu otrzymania posady? Widziałam własną przyszłość w ciemnych barwach, a siebie samą coraz bardziej upodabniającą się do mademoiselle Dubois. To nonsens! To niemożliwe. Mogłabym pojechać do kuzynki Jane. Nie. Nigdy. Nigdy!

W tym momencie nienawidziłam wprost hrabiego, gdyż uważałam, że zgaduje, jakie myśli kołatały w mej głowie. Niewątpliwie zrozumiał, że kobieta tak niezależna jak ja musiała zostać doprowadzona do rozpacz, skoro w ogóle zdecydowała się tu przyjechać, więc bawiło go dręczenie mnie. Jak ona musiała go nienawidzić, ta jego zona! Pewnie zabiła się dlatego, żeby się odeń uwolnić. Nie byłabym zdziwiona, gdyby taka właśnie była prawda.

— Nie zdawałam sobie sprawy, że tu, we Francji, panują takie przestarzałe poglądy — odparłam nieco jadowitym tonem. — W Anglii pracowałam razem z ojcem i nikogo nie obchodziło, że jestem kobietą. Jeżeli jednak pan ma inne wyobrażenie na ten temat, to nie ma o czym mówić.

— Nie zgadzam się. Jeszcze o wielu sprawach można mówić.

— Wobec tego — uniosłam na niego wzrok — może pan zacznie.

— Mademoiselle Lawson, chciałaby się pani podjąć restaurowania tych obrazów czy nie?

— Odnawianie obrazów to mój zawód, a im większego nakładu pracy wymagają, tym zajęcie jest ciekawsze.

— A pani uważa, że moje właśnie takiego nakładu wymagają?

— Musi pan wiedzieć, że niektóre są naprawdę w bardzo złym stanie. Właśnie badałam jeden z nich, kiedy pan tu wszedł. Jak to się mogło stać, że został tak uszkodzony?

— Bardzo proszę, mademoiselle Lawson, aby nie patrzyła pani na mnie tak surowo. Nie ponoszę odpowiedzialności za stan tego obrazu.

— Tak? Zakładałam, że od jakiegoś czasu znajduje się w pańskim posiadaniu. Proszę spojrzeć — tu widać sieć spękań. Bardzo źle się z nim obchodzono.

Hrabia uśmiechnął się, co zmieniło wyraz jego twarzy. Jakby rozjaśniła się nagłym rozbawieniem.

— Ależ pani jest porywcza! Bardziej by się pani nadawała do walki o prawa człowieka niż do

ochrony farby na płótnach.

— Kiedy według pańskiego życzenia miałabym wyjechać?

— W każdym razie nie przed zakończeniem naszej rozmowy.

— Skoro pan uznał, że nie może zatrudnić kobiety, nie sądzę, abyśmy mieli jeszcze o czym rozmawiać.

— Jest pani bardzo impulsywna, mademoiselle Lawson. Chyba powinienem zaznaczyć, że to cecha, bez której osoba odnawiająca stare malowidła mogłaby się obyć. Nie powiedziałem, że nie zatrudniłbym kobiety. To była pani sugestia.

— Widzę, że jest pan nieprzychylnie nastawiony do mego pobytu w zamku. To mi wystarcza.

— Oczekiwała pani pochwały za swój... podstęp?

— Monsieur le Comte — odparłam — pracowałam z ojcem i przejęłam ustalone z nim wcześniej zlecenia. Pan zwracał się poprzednio do niego, żeby tu przyjechał. Myślałam, że umowa jest nadal aktualna. Nie widzę w tym żadnego podstępu.

— Wobec tego musiała być pani zaskoczona zdziwieniem, jakie swą osobą wywołała.

— Byłoby trudno wykonywać pracę tak delikatnej natury w atmosferze niechęci — odrzekłam krótko.

— To całkiem zrozumiałe.

— Wobec tego...

— Wobec tego? — powtórzył.

— Mogłabym wyjechać dzisiaj, gdyby ktoś podwiózł mnie na stację przy głównej linii kolejowej. Jest mi wiadomo, że z przystanku w Gaillard odchodzi tylko jeden pociąg rano.

— Jak to rozważnie z pani strony, że zbadala istniejące możliwości. Ale muszę powtórzyć, mademoiselle Lawson, że jest pani zbyt impulsywna. Niech pani zrozumie moje wątpliwości. I proszę wybaczyć, że to powiem, ale po wieku sądząc, nie wygląda pani na osobę, która nabyła dostatecznego doświadczenia, potrzebnego do wykonywania tego rodzaju pracy w profesjonalny sposób.

— Pracowałam z ojcem przez wiele lat. Są tacy, którzy się zestarzeją i nigdy nie osiągną biegłości w tym zawodzie. Do tej pracy potrzebne są szczególna wrażliwość, zrozumienie i miłość do malarstwa, a z tym człowiek się rodzi.

— Nie tylko jest pani malarką, ale i poetką, jak widzę. Jednak w wieku... mm... trzydziestu lat mniej więcej... nie każdy człowiek koniecznie zyskuje doświadczenie życiowe.

— Mam dwadzieścia osiem lat — zareagowałam żywo i od razu uświadomiłam sobie, że wpadłam w pułapkę.

Ten człowiek był zdecydowany strącić mnie z piedestału, na którym usiłowałam tak twardo stać, i pokazać mi, że mimo wszystko czuję się zwyczajną kobietą i nie mogę znieść, by ktoś myślał, że jestem starsza niż w rzeczywistości.

Zrobił zdziwioną minę. Miałam wrażenie, że ta wymiana zdań go bawi. Zrozumiałam, że zdradziłam się, iż znalazłam się w beznadziejnej sytuacji, a okrucieństwo tkwiące w charakterze tego mężczyzny powodowało, iż pragnął przedłużyć ów stan niepewności i dręczyć mnie tak długo, jak mu się spodoba.

Po raz pierwszy od chwili gdy podjęłam to ryzykowne przedsięwzięcie, straciłam nad sobą panowanie.

— Dalsza rozmowa nie ma sensu — oznajmiłam. — Jestem świadoma, iż pan zdecydował, że nie może powierzyć mi tej pracy, ponieważ jestem kobietą. Cóż, monsieur, zostawiam pana z jego przesądami. Wyjadę dzisiaj albo jutro.

Przez parę chwil patrzył na mnie z udanym zdziwieniem, ale gdy szybko ruszyłam w stronę drzwi, natychmiast znalazł się przy mnie.

„Mademoiselle, pani mnie nie zrozumiała. A może pani znajomość francuskiego nie dorównuje umiejętnościom z dziedziny malarstwa.

Jeszcze raz połknęłam przynętę.

— Moja matka była Francuzką. Rozumiem doskonale każde wypowiedziane przez pana słowo.

— Wobec tego nie na mnie spada wina za nie dość jasne sformułowanie myśli. Nie wyrażałem życzenia, żeby pani wyjechała... w każdym razie jeszcze nie teraz.

— Pana zachowanie wskazuje, że nie jest pan gotów mi zaufać.

— To wyłącznie pani założenie, zapewniam panią.

— Czy to znaczy, że chce pan, abym została?

Udawał, że się waha.

— Jeśli mógłbym coś powiedzieć — tylko proszę, bez urazy — to chciałbym, aby przeszła pani taki niewielki... sprawdzian. O, mademoiselle, niech mnie pani nie oskarża o nieprzychylnie nastawienie ze względu na pani płęć. Gotów jestem uwierzyć, że na świecie istnieją niezwykle zdolne kobiety. Pozostaję pod wrażeniem tego, co powiedziała pani o swym rozumieniu i miłości do malarstwa. Jestem także zainteresowany oszacowaniem szkód i kosztów renowacji obrazów, które pani zbadała. Pani opinia zawiera wnioski jasne i rozsądne.

Wprost bałam się, czy moje oczy nie załśniły nadzieją i nie zdradziły emocji. Jeżeli — mówiłam sobie w duchu — on sobie uświadomi, jak bardzo mi zależy na tej pracy, jeszcze dłużej może mnie dręczyć.

Uświadomił sobie.

— Chciałem zaproponować... ale słyszę, że pani sama zamierza już zdecydować, czy wolałaby wyjechać dzisiaj czy jutro — zauważył z ironią.

— Mam przed sobą długą drogę, Monsieur le Comte. Oczywiście że wolałabym tu zostać i wywiązać się z powierzonego mi zadania, założywszy, że pracowałabym w miłej atmosferze. Co chciał mi pan zaproponować?

— Żeby pani odnowiła jeden z obrazów i jeżeli efekty będą zadowalające, zajmie się pani także resztą.

W tym momencie ogarnęło mnie uczucie prawie że szczęścia. Powinna doznać wielkiej ulgi, gdyż przecież nie miałam wątpliwości co do swych kwalifikacji. Nie wchodził w grę niechlubny powrót do Londynu! Ani wyjazd do kuzynki Jane! Ale to było coś więcej: nie dające się wytłumaczyć wrażenie beztronski, radosnego oczekiwania i podniecenia. Mnie samej trudno było to zrozumieć. Miałam pewność, że przejdę sprawdzian pomyślnie, a to oznaczało długi pobyt w zamku. Ta wspaniała średniowieczna budowla stanie się w nadchodzących miesiącach moim domem! Będę miała możliwość poznać każdy jej zakątek i wszystkie zgromadzone tu skarby. Będę mogła nadal pozostawać w przyjacielskich stosunkach z Bastide'ami. No i zaspokoić ciekawość, jaką wzbudzali we mnie mieszkańcy zamku.

A moja ciekawość była nienasycona. Wiedziałam o tym od momentu, gdy tak ją określił ojciec, który ubolewał nad tą cechą mego charakteru. Nie potrafiłam powstrzymać się od szukania odpowiedzi na pytanie, co się kryje za fasadą, którą ludzie ukazują światu. Odkrywanie tego było jak usunięcie warstewki brudu ze starego malowidła. Chciałam dowiedzieć się, jaki naprawdę jest hrabia, zobaczyć jego żywy i realistyczny portret.

— Chyba ta propozycja odpowiada pani, prawda?

Kolejny raz zdradziłam własne uczucia, co — jak się szczyliłam — zdarzało mi się niezmiernie rzadko. Być może mój rozmówca był szczególnie spostrzegawczy.

— Wygląda na uczciwy układ — odrzekłam.

— Wobec tego sprawa jest uzgodniona. — Wyciągnął do mnie rękę. — Przypieczętuujemy porozumienie uściskiem dłoni. Stary, angielski zwyczaj, jak mi się wydaje. Pani, mademoiselle,

była tak uprzejma dyskutować o naszym problemie w języku francuskim; sfinalizujmy umowę po angielsku.

Kiedy trzymał moją dłoń, jego ciemne oczy patrzyły prosto w moje. Zrobiło mi się jakoś nieswojo. Nagle poczułam się jak idiotka, która nie potrafi wykrztusić słowa i byłam pewna, że właśnie o to mu chodziło.

Wysunęłam dłoń z wyniosłą miną, mającą ukryć me zakłopotanie.

— Który obraz pan wybrał na ów... egzamin? — spytałam.

— Może ten, który pani oglądała, kiedy tu wszedłem?

— Doskonale. On właśnie wymaga najwięcej zabiegów renowacyjnych ze wszystkich malowideł w tej galerii.

Podeszliśmy do niego oboje i staliśmy obok siebie wpatrzeni w portret.

— Bardzo źle się z nim obchodzono — powiedziałam poważnym tonem. Teraz poczułam grunt pod nogami. — Nie jest bardzo stary, został namalowany jakieś sto pięćdziesiąt lat temu, najdalej, a jednak...

— Jakaś moja antenatka...

— Szkoda, że stała się ofiarą tak złego traktowania.

— Wielka szkoda. Ale był czas we Francji, kiedy ludzi takich jak a Poddawano jeszcze większym poniżeniom.

— Miałam na myśli to, że obraz prawdopodobnie pozostawał długo niezabezpieczony przed złymi warunkami atmosferycznymi. Zbladł nawet kolor sukni, choć alizaryna jest zwykle trwała. Nie można stwierdzić w tym świetle, jaka jest prawdziwa barwa kamieni naszyjnika. Widzi pan, że pociemniały. Tak samo na bransolecie i w kolczykach.

— Zielony — odrzekł bez namysłu. — O tym mogę panią zapewnić. Te kamienie to szmaragdy.

— Po odnowieniu portret będzie wspaniały, kiedy zostanie przy — wrócona pierwotna barwa sukni i szmaragdów.

— Ciekawe, jak będzie wyglądał, kiedy pani skończy renowację.

— Zacznę od razu.

— Ma pani wszystko, co potrzebne?

— Na początek tak. Pójdę do pokoju po niezbędne rzeczy i natychmiast przystąpię do pracy.

— Widzę, że ogarnął panią prawdziwy zapał, toteż nie będę przeszkadzać.

Nie zaprzeczyłam, więc odsunął się na bok, kiedy triumfalnie skierowałam się ku wyjściu. Czuałam, że z pierwszego pojedynku z hrabią wyszłam obronną ręką.

* * *

Jak cudownie minęło mi przedpołudnie w galerii podczas pracy nad obrazem. Nikt mi nie przeszkadzał. Kiedy wróciłam tam ze swymi przyborami, okazało się, że dwóch służących zdjęło już portret ze ściany. Spyтали, czy czegoś nie potrzebuję. Powiedziałam, że w razie czego zadzwonię. Patrzyli na mnie z niejakim szacunkiem. Wiedziałam, że po powrocie do swej oficyny zaraz rozpoviedzą nowinę, iż pan hrabia pozwolił mi zostać.

Włożyłam na suknię swój brązowy kitel i wyglądałam bardzo poważnie. To dość dziwne, lecz gdy tylko przebrałam się do pracy, z całą mocą wróciła mi pewność siebie profesjonalistki. Szkoda, że nie byłam tak ubrana w czasie spotkania z hrabią.

Zabrałam się do badania stanu farby. Przed próbą usunięcia werniksu musiałam wiedzieć, jaka jest przyczepność farby do podłoża. Było jasne, że w tym wypadku odbarwienie nie wzięło się wyłącznie z warstwy osiadłego na powierzchni kurzu i brudu. Zawsze uważałam, że przed zastosowaniem żywicy na werniks należy delikatnie zmyć powierzchnię wodą z mydłem. Długo

się zastanawiałam, czy spróbować tej metody, i ostatecznie tak zrobiłam.

Byłam zaskoczona, gdy pokojówka zapukała do drzwi, żeby mi przypomnieć, że już czas na *dejeuner*. Zjadłam w swoim pokoju, a ponieważ nigdy nie miałam w zwyczaju pracować po lunchu, wymknęłam się z zamku i skierowałam w stronę domu Bastide'ów. Wydawało mi się, iż zwykła grzeczność wymaga, aby opowiedzieć, im, co się przydarzyło, skoro tak się interesowali, czy zostaną w zamku.

Starsza pani siedziała w swym fotelu na biegunach i okazała szczerą radość na mój widok.

Usiadłam koło niej i oznajmiłam:

— Widziałam się z hrabią.

— Słyszałam, że wrócił do zamku.

— Mam odnowić jeden obraz i jeżeli zrobię to dobrze, hrabia zleci mi renowację reszty. Już zaczęłam, chodzi o portret jednej z jego antenatek. To dama w czerwonej sukni, nosząca ozdoby ze szlachetnych kamieni, które obecnie mają barwę błota. Hrabia twierdzi, że to szmaragdy.

— Szmaragdy — powtórzyła madame Bastide. — To mogły być szmaragdy z Gaillard.

— Rodzinne dziedzictwo?

— Tak, rodowe klejnoty... swego czasu.

— A teraz już nie?

— Zginęły. Chyba w okresie rewolucji.

— Rozumiem, że wtedy zamek nie utrzymał się w rękach rodziny.

— Niezupełnie. Znajdujemy się z dala od Paryża i tutaj było mniej zamętu. Ale zamek został zaatakowany przez rewolucjonistów.

— Wygląda na to, że całkiem dobrze przetrwał napaść.

— Tak. Tę historię przekazywano z pokolenia na pokolenie. Napastnicy chcieli przemocą dostać się do środka. Być może widziała już pani tamtejszą kaplicę? Znajduje się w najstarszej części zamku. Widać na zewnętrznej ścianie ponad drzwiami resztki uszkodzonego tynku. Kiedyś stała tam wysoko nad drzwiami figura świętej Genowefy. Rewolucjoniści zamierzali zbezczcić kaplicę. Szczęściem dla zamku Gaillard najpierw postanowili strącić posąg. Byli już dobrze podpici winem z tutejszych piwnic, kiedy założyli liny na figurę, a wtedy okazało się, że rzeźba jest cięższa, niż przypuszczali — zwała się na bluznierców i trzech z nich poniosło śmierć. Pozostali wzięli to za zły omen. Potem mówiono, że święta Genowefa ocaliła Gaillard.

— To dlatego Geneviève otrzymała takie imię?

— Często je nadawano w ich rodzinie. Jeśli chodzi o ówczesnego hrabiego, to wprawdzie zginął pod gilotyną, ale jego syn, wówczas jeszcze niemowlę, został uratowany i gdy się to stało możliwe, wrócił do zamku. Tę historię my, Bastide'owie, lubimy powtarzać. Byliśmy za ludem — za wolnością, równością i braterstwem, przeciwko arystokratom, ale ukryliśmy dziecko hrabiego, tu, w tym domu, i opiekowaliśmy się nim do czasu, aż wszystko się już uspokoiło. Opowiadał mi o tym ojciec mego męża. Był starszy o rok albo coś takiego od młodego hrabiego.

— Zatem historia waszej rodziny jest ściśle powiązana z ich dziejami?

— Bardzo ściśle.

— A obecny hrabia... jest waszym przyjacielem?

— De la Talle'owie nigdy nie byli przyjaciółmi Bastide'ów — odrzekła z godnością starsza kobieta. — Tylko protektorami. Ani oni się nie zmienili, ani my.

Podjęłyśmy inny temat, a po niedługim czasie wyszłam stamtąd i wróciłam do zamku. Wprost paliłam się do pracy.

Po południu do galerii przyszła jedna ze służących i oznajmiła mi, że Monsieur le Comte byłby zadowolony, gdybym towarzyszyła rodzinie przy kolacji. Jadają o ósmej, a ze względu na nieliczne grono posiłek będzie podany w jednej z mniejszych jadalni. Dziewczyna obiecała, że

przyjdzie po mnie i zaprowadzi na miejsce, jeżeli będę gotowa pięć minut wcześniej.

Poczułam się zbyt oszołomiona, żeby móc dalej pracować. Służąca odnosiła się do mnie z szacunkiem, a to mogło oznaczać tylko jedno: zostałam uznana za godną nie tylko odnawiania obrazów pana domu, ale również jedzenia posiłków w jego towarzystwie.

Zastanawiałam się, jak się powinnam ubrać. Miałam jedynie trzy suknie odpowiednie na wieczór, z których żadna nie była nowa: jedną jedwabną, brązową, przybraną koronką w nieco ciemniejszym odcieniu; drugą — bardzo poważną, z czarnego aksamitu, ozdobioną białą kryzą przy szyi; i trzecią — szarą, bawełnianą z fioletowym paskiem. Wybrałam czarną aksamitną.

Nie mogłam pracować przy sztucznym świetle, więc gdy tylko zaczął zapadać zmierzch, wróciłam do swego pokoju. Wyjęłam suknię i przyjrzałam się jej bacznie. Aksamit nie był zniszczony, lecz fasonu sukni żadną miarą nie można by uznać za modny. Przyłożyłam ją do siebie i spojrzałam w lustro. Policzki miałam lekko zaróżowione, oczy odbijające czerń aksamitu sprawiały wrażenie bardzo ciemnych, z upiętych w kok włosów powysuwały się kosmyki. Byłam zła na siebie, że tak się tym przejmuję, więc odłożyłam suknię i zaczęłam doprowadzać włosy do porządku, gdy nagle usłyszałam pukanie do drzwi.

Do pokoju weszła mademoiselle Dubois. Popatrzyła na mnie z niedowierzaniem i wyjąkała:

— Mademoiselle Lawson, czy to prawda, że została pani zaproszona na kolację z rodziną?

— Tak. Panią to dziwi?

— Mnie nigdy nie poproszono.

Spojrzałam na nią i nie byłam zdziwiona.

— Pewnie chcą ze mną porozmawiać o obrazach. Przy posiłku można swobodniej przedyskutować ten temat.

— Ma pani na myśli hrabiego i jego kuzyna?

— Tak. Zapewne o to im chodzi.

— Uważam, że należy się pani ostrzeżenie — jeśli chodzi o kobiety, to hrabia nie cieszy się dobrą reputacją. Popatrzyłam na nią z zaskoczeniem.

— On nie traktuje mnie jak kobiety! — odparowałam. — Przyjechałam tutaj po to, żeby odnawiać obrazy.

— Mówi się, że jest nieczuły, a mimo to niektórzy nie potrafią mu się oprzeć.

— Moja droga mademoiselle Dubois, żaden mężczyzna dotąd nie wydawał mi się nie do odparcia i nie zamierzam w moim wieku zmieniać swego nastawienia w tym względzie.

— No, nie jest pani taka stara.

Nie taka stara! Czy ona też uważa, że mam trzydzieści lat? Guwernantka zauważyła moją irytację i zaczęła pośpiesznie się wycofywać.

— Chodziło mi o tę biedną, nieszczęsną damę — jego żonę. Plotki na jej temat były... wręcz szokujące. Strach pomyśleć, że przebywa się pod jednym dachem z takim mężczyzną jak on, czyż nie?

— Nie sądzę, aby któraś z nas miała się czegoś obawiać — odparłam.

Podeszła do mnie blisko.

— Zamykam drzwi w nocy na klucz... kiedy on jest w domu. Powinna pani robić to samo. I ja muszę ogromnie uważać... dzisiaj wieczorem. Może się zdarzyć, że on będzie chciał się zabawić z kimś w tym domu. Nigdy nic nie wiadomo.

— Będę uważała — obiecałam, żeby ją zadowolić, i w ten sposób jej się pozbyłam.

Podczas przebierania się rozmyślałam o tej kobiecie. Czyżby w zaciszu swego pokoju marzyła o zakochanym arystokracie, zamierającym ją uwieść? Byłam przekonana, że taki los nie grozi ani jej, ani mnie.

Umyłam się i włożyłam aksamitną suknię. Upięłam wysoko włosy za pomocą licznych szpilek,

żeby nie wymknęły się żadne kosmyki. Przypięłam broszkę po matce — prostą, a jednocześnie uroczą: z wieloma małymi turkusikami osadzonymi pośród drobnych pereł. Byłam gotowa na dziesięć minut przed wyznaczoną porą, kiedy to służąca zapukała do drzwi, żeby zaprowadzić mnie do jadalni.

Udałyśmy się do siedemnastowiecznego skrzydła zamku — najpóźniej dobudowanego — i weszłyśmy do obszernej komnaty o łukowatym sklepieniu; musiała to być sala jadalna, gdzie przyjmowano na ucztach gości. Usadzenie niewielkiej grupki osób przy ogromnym stole byłoby nonsensem, zatem nie zdziwiło mnie, że skierowałyśmy się do sąsiedniego, małego pokoju — ma się rozumieć małego jak na Gaillard. Było to bardzo przyjemne pomieszczenie. Gotyckie okna, prawdopodobnie przedzielone kamiennymi słupkami i zasłonięte ciemnoniebieskimi, aksamitnymi portierami, nie przypominały owych wąskich szpar w grubym murze o obronnym charakterze, przepuszczających tak mało światła.

Na gzymsie kominka po obu stronach stały kandelabry z zapalonymi świecami. Na środku stołu nakrytego do kolacji stał również jeden, podobny do tamtych.

Philippe i Geneviève już tam byli. Oboje sprawiali wrażenie nieco przygaszonych. Hrabianka miała na sobie sukienkę z szarego jedwabiu, ozdobioną koronkowym kołnierzykiem, a włosy związane z tyłu różową jedwabną wstążką. Wyglądała niemal poważnie i wręcz nie przypominała dziewczynki, którą poprzednio widywałam. Philippe, w wieczorowym ubraniu, był jeszcze bardziej elegancki niż podczas naszego pierwszego spotkania. Zachowywał się tak, jakby mój widok sprawił mu niekłamaną przyjemność.

Uśmiechnął się mile.

— Dobry wieczór, mademoiselle Lawson.

Również go powitałam i miałam poczucie, że prawie łączy nas udział w przyjacielskim, tajnym spisku. Geneviève dygnęła zakłopotana.

— Domyślam się, że miała pani pracowity dzień w galerii — odezwał się kuzyn hrabiego.

Odrzekłam, że wykonuję prace przygotowawcze. Trzeba koniecznie posprawdzać wiele rzeczy, zanim się przystąpi do delikatnych czynności przy odnawianiu obrazu.

— To musi być fascynujące — odrzekł Philippe. — Na pewno odniesie pani sukces.

Byłam przekonana, że mówi szczerze, ale przez cały czas, kiedy się do mnie zwracał, odnosiłam wrażenie, iż nasłuchuje, czy nie nadchodzi hrabia.

Zjawił się punktualnie o ósmej i wtedy zajęliśmy miejsca przy stole — pan domu u szczytu, ja po jego prawej stronie, Geneviève po lewej, a Philippe naprzeciwko gospodarza. Zaraz podano zupę, a hrabia zapytał mnie o postępy prac w galerii.

Powtórzyłam to, co mówiłam jego kuzynowi o wstępnych przygotowaniach, ale wypytywał mnie bardziej szczegółowo. Czy istotnie interesował się obrazami, czy też usiłował być tylko uprzejmy, trudno mi było ocenić.

Wyjaśniłam mu, że zdecydowałam się zmyć powierzchnię za pomocą wody z mydłem, aby usunąć warstwę tłustego brudu.

Spojrzał na mnie z błyskiem rozbawienia w oczach i powiedział:

— Słyszałem o tym. Woda musi stać w specjalnym dzbanie, a mydło powinno być zrobione w bezksiężycową noc.

— Obecnie nie kierujemy się takimi przesadami — odrzekłam.

— Czy zatem nie jest pani przesadna, mademoiselle?

— Pewnie w tym samym stopniu co większość współczesnych ludzi.

— To sporo by się znalazło takich uprzedzeń. Ale mam wrażenie, że ma pani zbyt wiele zdrowego rozsądku, by wierzyć w takie rzeczy, co będzie z korzyścią dla pani podczas pobytu w tym domu. Mieliliśmy tu pewne osoby... — zwrócił wzrok na Geneviève, a ta jakby skuliła się na

krześle — ... guwernantki, które nie chciały zostać w naszym zamku. Część z nich twierdziła, że tu straszy; inne nie podawały przyczyny, tylko po prostu wyjeżdżały. Coś okazało się nie do wytrzymania... albo zamek, albo moja córka.

Patrzył na Geneviève z tak jawną niechęcią, że ogarnęła mnie złość. To był typ człowieka, który musi mieć ofiarę. Dokuczał mi w galerii, a teraz przyszła kolej na córkę. W moim przypadku rzecz się miała inaczej — przybyłam tu, dopuszczając się pewnego podstępu, a ponadto potrafiłam sama się obronić. Ale dziecko — gdyż Geneviève wciąż jeszcze nim była — które reagowało na złośliwości tak nerwowo, pozostając w psychicznym napięciu? Wprawdzie nic strasznego nie powiedział, lecz jad tkwił nie w słowach, tylko w sposobie bycia hrabiego. Ale tego można było się spodziewać. Geneviève się go bała. Podobnie Philippe. I wszyscy inni w tym domu.

— Jeżeli ktoś jest zabobonny — odezwałam się, czując, że powinnam pośpieszyć Geneviève z pomocą — to w takim domu jak ten łatwo puścić wodze fantazji. Co do mnie, to przebywałam z ojcem w wielu rezydencjach zbudowanych przed wiekami i nigdy nie spotkałam żadnego ducha.

— Być może angielskie upiory są bardziej powściągliwe od francuskich. Nie zjawiają się bez zaproszenia, a to znaczy, że ukazują się jedynie tym, którzy się ich boją. Nie wiem, może się mylę.

Zaczerwieniłam się lekko.

— Z pewnością nasze zjawy zachowywałyby się zgodnie z zasadami dobrego wychowania obowiązującymi w czasach, gdy owi ludzie jeszcze żyli, a etykieta we Francji była zawsze surowsza niż w Anglii.

— Ma pani oczywiście rację, mademoiselle Lawson. To raczej angielskie duchy powinny mieć tendencję do pokazywania się nieproszone. Wobec tego w naszym zamku jest pani bezpieczna... przy założeniu, że nie zaprosi ich pani do siebie.

Philippe przysłuchiwał się uważnie tej wymianie zdań; Geneviève spoglądała z pewnym niepokojem, chyba dlatego, że w ogóle ośmieliłam się wdać w dyskusję z jej ojcem.

Po zupie podano rybę i hrabia wzniósł kieliszek w moim kierunku.

— Mam nadzieję, że będzie pani smakowało wino, mademoiselle Lawson. Z naszych własnych winnic. Czy jest pani równie dobrą znawczynią wina jak malarstwa?

— W tym przedmiocie orientuję się bardzo słabo.

— Nasłucha się pani dużo o winie w czasie pobytu na zamku. Często to główny temat rozmów. Ufam, że nie uzna go pani za nudny.

— Na pewno nie. Zawsze dobrze jest dowiedzieć się czegoś nowego.

Dostrzegłam ślad uśmiechu błakającego się w kącikach jego ust. Guwernantka! — pomyślałam. Istotnie, gdybym musiała zająć się tą profesją, miałabym do niej predyspozycje.

Wreszcie odezwał się z pewnym wahaniem Philippe:

— Od jakiego obrazu pani zaczęła, mademoiselle Lawson?

— Od portretu namalowanego w ubiegłym wieku, gdzieś w połowie stulecia, według mej oceny około 1740 roku.

— Widzisz, kuzynie — zauważył hrabia — mademoiselle Lawson jest ekspertem. Uwielbia malarstwo. Złajała mnie za zaniedbanie obrazów, jakbym był ojcem zaniedbującym swe obowiązki.

Geneviève opuściła głowę i wpatrywała się z zakłopotaniem w talerz. Hrabia zwrócił się do niej:

— Powinnaś wykorzystać obecność mademoiselle Lawson u nas. Mogłaby natchnąć cię swym entuzjazmem.

— Tak, papo — odrzekła.

— A poza tym — ciągnął dalej — gdybyś namówiła panią do rozmów po angielsku, może potrafiłabyś wypowiadać się w tym języku zrozumiale. Powinnaś spróbować ją przekonać, że

dobrze by było, gdyby w chwilach wolnych od zajęć przy obrazach opowiedziała ci o Anglii i Anglikach. Mogłabyś nauczyć się czegoś z ich mniej surowej etykiety. Mogłabyś zyskać pewność siebie i... mm... zimną krew.

— My już rozmawiamy po angielsku — wyjaśniłam. — Pańska córka ma bogaty zasób słów. Wymowa zawsze stanowi problem w kontaktach z rodowitym Anglikiem. Ale to przyjdzie z czasem.

Znowu wygłosiłam opinię w stylu guwernantki! Wiedziałam, że Monsieur le Comte pomyślał to samo. Pragnęłam jednak podtrzymać na duchu dziewczynkę, a jemu się przeciwstawić. Moja niechęć do pana domu wzrastała z każdą chwilą.

— Masz znakomitą sposobność, Geneviève. Czy jeździ pani konno, mademoiselle Lawson?

— Tak. I bardzo to lubię.

— W stajniach mamy konie. Jeden ze stajennych poradzi pani, który byłby dla niej najodpowiedniejszy. Moja córka też jeździ... raczej rzadko. Mogłybyście wybierać się razem na przejażdżki. Obecna guwernantka jest zbyt bojaźliwa. Geneviève mogłaby pokazać mademoiselle Lawson okolicę.

— Tak, papo.

— Niestety, najbliższe sąsiedztwo nie jest zbyt atrakcyjne, bo w istocie otaczają nas same winnice. Ale jeżeli wybrałaby się pani nieco dalej, to znalazłaby coś, co by jej się spodobało.

— To miło z pana strony. Chętnie pojeżdżę konno.

Zbył to machnięciem ręki i Philippe, czując bez wątplenia, że nadszedł czas podjęcia przez niego wysiłku dalszej konwersacji, powrócił do tematu malarstwa.

Zacząłam mówić o portrecie, nad którym pracowałam. Wskazałam kilka szczegółów i to technicznych, w nadziei że wprawię hrabiego w zakłopotanie. Słuchał z poważną miną, choć w kącikach ust pojawił mu się nikły uśmiezek. Podejrzanie, że rozpoznał moje intencje, pokrzyżowało cały plan. Jeśli jednak domyślałam się słusznie, to niewątpliwie zdał sobie sprawę z mojej niechęci. Dziwne było tylko, że to jakby wzmogło zainteresowanie hrabiego moją osobą.

— Jestem zdania — mówiłam — że choć temu obrazowi daleko do dzieła sztuki, artysta niewątpliwie po mistrzowsku posługiwał się kolorem. To już mogę stwierdzić. Barwa sukni okaże się niezwykła, a szmaragdy, gdy odzyskają kolor zastosowany przez malarza, będą wspaniałe.

— Szmaragdy... — zaczął Philippe. Hrabia spojrzał na niego.

— O tak, na tym portrecie objawią się w całej swej krasie. Będzie ciekawe zobaczyć je... choćby tylko na płótnie.

— Jedyna szansa — dodał cicho jego kuzyn — możliwości podziwiania tych klejnotów.

— Kto wie? — odrzekł hrabia i zwrócił się do mnie. — Philippe bardzo interesuje się naszymi szmaragdami.

— A czy nie dotyczy to nas wszystkich? — spytał tamten, wykazując nagle niezwykłą jak na niego śmiałość.

— Tak by było, gdybyśmy mogli dostać je w swoje ręce. Do rozmowy wtrąciła się bardzo ożywiona Geneviève:

— One muszą gdzieś być. Nounou mówi, że znajdują się tu, w zamku. Gdybyśmy mogli je odnaleźć... to byłoby nadzwyczajne.

— Twoja stara niania wydaje się pewna swych racji — odparł hrabia z sarkazmem. — Ale zgadzam się, że znalezienie ich byłoby nadzwyczajne... pomijając już fakt, że to odkrycie znacznie powiększyłoby rodzinny majątek.

— No właśnie — dodał jego kuzyn z błyskiem w oku.

— A pan sądzi, że szmaragdy znajdują się gdzieś na zamku? — spytałam Philippe'a.

— Skoro w żadnym innym miejscu dotąd ich nie odnaleziono — ochoczo podjął temat — a tego

typu klejnoty zostałyby rozpoznane. I niełatwo byłoby je sprzedać.

— Philippe, mój drogi — powiedział hrabia — zapominasz o tym, kiedy zginęły. Sto lat temu, mademoiselle Lawson. Bizuterię z takich kamieni nietrudno było podzielić, sprzedać osobno i ślad by po nich zginął. Rynek musiał być wtedy zalany szlachetnymi kamieniami, skradzionymi z magnackich rezydencji Francji przez prostaków, którzy nawet nie znali prawdziwej wartości swego łupu. I najpewniej taki los spotkał szmaragdy z Gaillard. *Canaille*, ten motłoch, który plądrował nasze domy i kradł drogocenne mienie, nie zdawał sobie sprawy z tego, co bierze. — Chwilowy gniew w jego oczach już wygasł, gdy pan domu zwrócił się do mnie: — Ach, mademoiselle Lawson, jakie to szczęście, że nie żyła pani w owych czasach. Jak by pani mogła znieść widok zbezczeszczonych dzieł wielkiego malarstwa, wyrzuconych przez okna, zostawionych bez żadnego zabezpieczenia na wolnym powietrzu... pokrywających się — jak to się nazywa — „zmydleniem”?

— To istotnie tragiczne, że tyle pięknych przedmiotów przepadło. — Zwróciłam się do Philippe’a. — Zaczął pan opowiadać o szmaragdach.

— Stanowiły własność rodziny od wielu lat. Miały wartość... trudno powiedzieć, gdyż ceny bardzo się zmieniły. Ale te kamienie były po prostu bezcenne. Trzymano je w naszym domowym skarbcu. Zginęły w czasach rewolucji. Nikt nie wiedział, co się z nimi stało, lecz panuje przekonanie, że nadal znajdują się gdzieś w zamku.

— Od czasu do czasu odbywa się poszukiwanie skarbów — dodał hrabia. — Ktoś wymyśla nową teorię i wszyscy wpadają w podniecenie. Szukamy. Kopiemy. Usiłujemy odkryć nieznanne skrytki w zamku, nieotwierane latami schowki. To nas wprawia w niezwykle ożywienie, ale nigdy nie naprowadza na ślad szmaragdów.

— Papo — odezwała się Geneviève — czy nie moglibyśmy znowu poszukać skarbów?

Wniesiono bażanta. Smakował wybornie, ale ja ledwie go spróbowałam. Rozmowa stała się zbyt absorbująca. A i tak przez cały dzień byłam rozemocjonowana faktem, że jednak zostaję w zamku.

— Mademoiselle Lawson, zrobiła pani takie wrażenie na mojej córce — powiedział hrabia — że według niej właśnie pani się uda to, czego inni nie dokonali. Chcesz, by wznowić poszukiwania, Geneviève, ponieważ uważasz, że na mademoiselle można liczyć.

— Nie — odrzekła dziewczynka — o niczym takim nie myślałam. Po prostu chcę poszukać szmaragdów.

— Ależ jesteś nieuprzejma! Proszę jej wybaczyć, mademoiselle. A dla ciebie, Geneviève, mam propozycję — pokaż pannie Lawson zamek. — Zwrócił się do mnie: — Jeszcze się pani nie rozejrzała, a przy pani ciekawości i wykształceniu z pewnością chętnie pani to zrobi. Podobno pani ojciec znał się na architekturze tak jak pani na malarstwie, a przecież pracowaliście razem. Może więc odkryje pani jakieś ukryte miejsce, które uszło uwagi rodziny przez sto lat!

— Chętnie obejrzałabym zamek — przyznałam — a gdyby Geneviève mi towarzyszyła, byłoby bardzo miło.

Dziewczynka nawet nie zaszczyciła mnie spojrzeniem i hrabia obrzucił ją gniewnym wzrokiem. Dodałam szybko:

— Wobec tego, Geneviève, jesteśmy umówione, jeżeli ci to odpowiada.

Uniosła oczy na ojca, po czym zwróciła je ku mnie.

— Jutro rano? — spytała.

— Rano pracuję, ale po południu z rozkoszą bym się z tobą wybrała na tę wyprawę.

— Świetnie — wymamrotała.

— Jestem przekonany, Geneviève, że odniesiesz korzyść z tej wycieczki — zakończył temat hrabia.

Podczas deseru, na który podano suflet, rozmawialiśmy o okolicy, głównie o winnicach. Czułam, że osiągnęłam znaczny postęp. Jadłam kolację z rodziną, czego biedna mademoiselle Dubois nigdy nie dostąpiła. Zaproponowano mi konne przejażdżki, a w skrytości ducha żywiłam nadzieję na jazdę konną, która w kraju była wręcz mym nawykiem. Jutro miałam obejrzeć zamek. A wreszcie jakoś ułożyłam sobie stosunki z panem domu, choć właściwie nie wiedziałam, jaki to będzie układ.

Byłam więc w sumie w dość dobrym nastroju, kiedy kolacja dobiegła końca, lecz zanim wyszłam z jadalni, hrabia mi powiedział, że w bibliotece jest książka, z którą może chciałabym się zapoznać.

— Mój ojciec specjalnie zatrudnił kogoś do jej napisania — wyjaśnił. — Bardzo interesował się historią naszej rodziny. Tak powstała ta książka i została wydrukowana. Lata już upłynęły od czasu, kiedy ją czytałem, ale sądzę, że panią mogłaby zaciekawić.

Odparłam, że z wielką przyjemnością ją przejrzę.

— Wobec tego przyślę ją pani — odrzekł.

Korzystając ze sposobności, że Geneviève wstała od stołu, razem z nią opuściłam jadalnię, zostawiając panów samych. Odprowadziła mnie do pokoju i pożegnała życzeniem dobrej nocy, wyrażonym chłodnym tonem.

Wkrótce potem usłyszałam pukanie do drzwi — przyszła pokojówka z książką.

— Monsieur le Comte powiedział, że pani o nią prosi. Zostawiła mnie z książką w dłoniach. Tomik był cienki, a na okładce widniał rysunek zamku. Nie wątpiłam, że z ciekawością przeczytam historię Gaillard, ale w tym momencie byłam zbyt zaabsorbowana wydarzeniami minionego wieczoru.

Nie miałam ochoty kłaść się do łóżka, gdyż byłam za bardzo ożywiona, by spać. Moje myśli krążyły głównie wokół osoby hrabiego. Oczekiwałam, że okaże się niezwykle ciekawym człowiekiem — przecież otaczała go tajemnica. Bała się go własna córka; co do kuzyna, to nie byłam pewna, ale podejrzewałam, że i on odczuwał przed nim lęk. Hrabia wydawał się typem człowieka, który lubi mieć wokół siebie tych, którzy się go boją, a jednocześnie pogardza nimi za to — do takiego doszłam wniosku. Zauważyłam, że ci dwoje budzą w nim irytację, a jednak swym zachowaniem jeszcze bardziej ich zastrasza. Zastanawiałam się, jakie wiódł życie z kobietą, która miała nieszczęście go poślubić. Czy okazywał biedaczce pogardę, a żona przed nim drżała? Czy i jak znęcał się nad nią? Nietrudno było sobie wyobrazić, że mógłby się dopuścić nawet fizycznej przemocy... ale czy mogłam być czegokolwiek pewna? Przecież ledwie go znałam... jak dotąd.

Te ostatnie słowa dały mi do myślenia, przyznaję. Co Monsieur le Comte sądził o mnie? Pewnie wcale się nie zastanawiał nad moją osobą. Obejrzał mnie, zdecydował, że da mi pracę, i na tym jego zainteresowanie się skończyło. Dlaczego więc zostałam zaproszona na rodzinną kolację? Żeby mógł uważniej poobserwować jakąś ludzką istotę, która prawie wcale go nie obchodziła? Ponieważ w danej chwili w zamku nie działo się nic ciekawszego? Kolacja tylko z Philippe'em i Geneviève byłaby jednak nudna. Ja mu się przeciwstawiłam — nie całkiem z dobrym skutkiem, gdyż hrabia był zbyt bystry, by nie przejrzeć mojej taktyki — ale skoro wykazałam nieco odwagi, dalszy sprawdzian, mający na celu onieśmielenie mnie, zapewne wydał mu się zabawnym.

Ten człowiek był sadystą — jedynie taki nasuwał mi się wniosek. Odpowiadał za śmierć żony, gdyż jeśli nawet sam nie podał jej trucizny, to doprowadził swą małżonkę do zżycia śmiertelnej dawki. Biedna kobieta! Jakże marny musiała wieść tu żywot! Jak bardzo była nieszczęśliwa, skoro odebrała sobie życie. I biedna Geneviève, jej córka! Postanowiłam postarać się zrozumieć tę dziewczynkę i nawiązać z nią przyjaźń. Czułam, że było to zagubione dziecko, blakające się w labiryncie i w coraz większym stopniu opanowane strachem, iż nie znajdzie stamtąd wyjścia.

A mnie, szcycącej się tym, że twardo stąпам po ziemi, groziło z kolei, iż zacznę pogrążyć się w

fantazjach związanych z tym miejscem, gdzie w ciągu wieków musiały dziać się przedziwne rzeczy i gdzie niedawno zmarła nieszczęśliwa kobieta.

Aby oderwać myśli od tego mężczyzny, usiłowałam zająć się drugim. Jak inna, w porównaniu z tamtą, była otwarta twarz Jean Pierre'a Bastide'a!

Nagle zaczęłam się śmiać. Czyż to nie dziwne, że ja, która nie interesowałam się mężczyznami od czasu młodzieńczego romansu z Charlesem przed laty, teraz znalazłam dwóch, nieustannie zaprzatających moją uwagę.

To nierozsądne! — upomniałam siebie w duchu. Czy któryś z nich ma z tobą coś wspólnego?

Wzięłam książkę, którą przysłał mi hrabia, i zaczęłam czytać.

* * *

Zamek został wzniesiony w 1405 roku i dotąd pozostało dużo jego oryginalnych struktur. Dwa skrzydła znajdujące się po obu stronach starego budynku dobudowano później. Musiały mieć dobrze ponad trzydzieści metrów wysokości, a cylindryczne bastiony przydawały im masywności. Nasuwało się podobieństwo do królewskiej rezydencji w Loches i podejrzewałam, że w Château Gaillard żyło się w dużym stopniu w tym samym stylu, co w Loches, gdyż członkowie rodu de la Talle rządili w Gaillard jak królowie. Mieli tu swe donżony*, gdzie więzili wrogów, a w najstarszej części budynku znajdował się jeden z najbardziej klasycznych przykładów *oubliette**

Kiedy autor książki badał owe donżony, odkryto coś w rodzaju klatek, podobnych do tych w Loches — niewielkie, płytkie nisze, wydrążone w kamieniu, w których nie mieścił się człowiek w pozycji stojącej. Tutaj przykuwano łańcuchami więźniów do muru i pozostawiano na powolną śmierć. Postępowano tak przez trzy stulecia — ród de la Talle traktował swych wrogów w ten sam sposób co Ludwik XI.

Jeden z więźniów, skazany na śmierć i pozostawiony w *oubliette*, próbował wydostać się na wolność i udało mu się przedrzeć tylko do przejścia, z którego prowadziła wyłącznie droga do jednej z nisz w donżonie. Umierał tam w beznadziejnej rozpacz.

Czytałam dalej, zafascynowana nie tylko opisem zamku, lecz także historią zamieszkującego w nim rodu.

W ciągu stuleci zdarzało się, że jego członkowie popadali w konflikt z królami, w zasadzie jednak popierali swych władców. Jedna z zamieszkujących Château Gaillard dam, zanim wyszła za ówczesnego hrabiego de la Talle, była kochanką Ludwika XV i to właśnie król obdarował ją owym niezwykle cennym naszyjnikiem ze szmaragdów. Fakt, że była królewską faworytą, nie stanowił żadnej ujmy na honorze, więc hrabia de la Talle, który poślubił ją już po zakończeniu owego romansu, starał się rywalizować ze swym władcą w hojności. Obdarował mianowicie małżonkę bransoletą z drogimi kamieniami, pasującą do naszyjnika. Okazało się jednak, że bransoleta miała mniejszą wartość, stąd wzięły się jeszcze dwa pierścionki, diadem, brosza oraz pasek — wszystko wysadzane szmaragdami jako dowód, że de la Talle może dorównać królowi. W taki to sposób pojawiły się rodowe klejnoty — słynne szmaragdy de la Talle'ów.

Autor książki potwierdzał to, co już mi było wiadomo, że szmaragdy zginęły w czasie rewolucji. Wcześniej trzymano je wraz z innymi kosztownościami w skarbcu mieszczącym się w zbrojowni, do której klucz miał jedynie pan zamku i tylko on znał miejsce przechowywania owego klucza. Tak było do czasu, kiedy terror zapanował w całej Francji.

Zrobiło się późno, a ja nie mogłam oderwać się od książki i wreszcie doszłam do rozdziału

* z fr. *donjon* — baszty budowane wewnątrz średniowiecznych zamków

* fr. podziemne więzienie, loch dla skazanych

zatytułowanego: „Ród de la Talle i rewolucja”.

Ówczesnym właścicielem zamku był hrabia Lothair de la Talle, trzydziestoletni wówczas mężczyzna. Ożenił się na kilka lat przed owym tragicznym rokiem, kiedy to został wezwany do Paryża na zgromadzenie Stanów Generalnych. Nigdy nie wrócił do domu; był jednym z pierwszych, których krwią spłynęła gilotyna. Jego brzemenna żona, dwudziestodwuletnia Marie Louise, pozostała na zamku ze starą hrabiną, matką Lothaira. Widziałam to, jakbym była świadkiem owych wydarzeń: upalny dzień lipcowy; młoda kobieta otrzymuje wiadomość o śmierci męża; czuje żal po jego stracie i obawę o mające się narodzić dziecko. Wyobraźnia podsuwała mi jej obraz, jak stoi w oknie na samym szczycie najwyższej baszty i wyteża wzrok, śledząc z napięciem całą okolicę, czy nie zbliżają się rewolucjoniści. Zastanawia się, jak długo miejscowi ludzie pozwolą jej żyć w spokoju.

Wyczekiwała tak przez owe wszystkie upalne dni, bojąc się iść do miasteczka, gdzie musiałaby się mieć na baczności przed robotnikami ciężko pracującymi w winnicach. Zapewne obawiała się także służby, która bez wątpienia w miarę upływu czasu coraz mniej chętnie wypełniała swe obowiązki. Miałam przed oczami dumną, starą hrabinę, rozpaczliwie usiłującą zachować w zamku dawny porządek. Wyobrażałam sobie, co te dwie dzielne kobiety musiały przeżywać w owych dniach.

Nielicznym udało się uniknąć terroru, który ostatecznie dotarł też do Château Gaillard. Banda rewolucjonistów maszerowała w kierunku zamku. Wywijali sztandarami, śpiewając nową pieśń z południa. Robotnicy porzucili pracę w winnicach; z małych domków miasteczka wybiegły kobiety i dzieci. Straganiarze i sklepikarze wylegli na rynek. Przyszedł czas na arystokratów. Teraz lud był panem.

Z drżeniem czytałam, że młoda hrabina opuściła zamek, by schronić się w pobliskim domu. Wiedziałam, dokąd poszła. Wiedziałam, która rodzina ją przyjęła. Czy nie słyszałam, jak splotły się losy tych dwóch rodzin? Ale członkowie rodu de la Talle nigdy nie byli dla tamtych przyjaciółmi, tylko protektorami. Dokładnie pamiętałam dumne spojrzenie madame Bastide, wymawiającej te słowa.

Tak więc tamta madame Bastide, która miała być prababką Jean Pierre'a, dała schronienie młodej hrabinie. Ona rządziła w swym domu i nawet mężczyźni nie śmieli jej się sprzeciwić. Razem z rewolucjonistami szykowali się do obrabowania zamku, gdy ukryła uciekinierkę i zakazała domownikom szepnąć nawet słowo o tym, co się stało.

Stara hrabina odmówiła opuszczenia zamku. Tu żyła i tu umrze! Poszła do kaplicy w oczekiwaniu na śmierć z rąk buntowników. Miała na imię Geneviève i modliła się do świętej Genowefy o pomoc. Usłyszała grubiańskie wrzaski i szydery rechot, kiedy motłoch wdzierał się do zamku. Wiedziała, że zrywają ze ścian obrazy i gobeliny i wyrzucają je przez okna swym towarzyszom.

Wreszcie ukazali się rabusie, którzy zamierzali wtargnąć do kaplicy. Przedtem jednak postanowili strącić posąg świętej Genowefy, ustawiony ponad drzwiami. Wspięli się do niego, lecz nie mogli go ruszyć. Rozpaleni winem, przywołali towarzyszy. Przed splądrowaniem kaplicy muszą strącić figurę świętej!

Stara hrabina nie przestawała modlić się przed ołtarzem do swej patronki, choć krzyki były coraz głośniejsze i w każdej chwili spodziewała się, że tłum wpadnie do środka i ją zabije.

Przyniesiono liny; tamci przerzucali je, wyśpiewując pijackimi głosami „Marsylianek” i „Ca ira”. Hrabina usłyszała rozlegający się echem głośny krzyk: „Ciągnąć, obywatele... wszyscy razem!”. A potem huk, wrzaski... i zapadła straszliwa cisza.

Zamek został ocalony. Święta Genowefa leżała rozbita przy drzwiach kaplicy, ale pod nią znajdowały się ciała trzech martwych napastników. Uratowała zamek, gdyż rewolucjoniści —

wbrew swej rzekomej bezbożności — przesądni i przerażeni, chyłkiem się stamtąd wynieśli. Kilku zuchwalców usiłowało jeszcze podburzać tłum, lecz daremnie. Wielu z nich pochodziło z pobliskich terenów i życie upływało im w cieniu rodu de la Talle. Teraz bali się swych panów tak samo jak w przeszłości, a ich jedynym pragnieniem było pozostawać jak najdalej od Château Gaillard.

Stara hrabina wyszła z kaplicy, gdy zapanował już całkowity spokój. Zobaczyła rozbity posąg, uklękła przy nim i złożyła podziękowanie swej świętej patronce. Później z pomocą jedynej pozostałej służącej próbowała doprowadzić wszystko w zamku do porządku. Mieszkały tam we dwie przez kilka lat, opiekując się młodziutkim hrabią, którego potajemnie sprowadzono z powrotem do domu. Matka chłopca zmarła przy porodzie, czemu trudno się dziwić, skoro tak się nacierpiała bezpośrednio przedtem, a w dodatku madame Bastide bała się wezwać akuszerkę. I tak żyli przez lata — stara hrabina, małe dziecko i jedna służąca. Aż czasy się zmieniły, ogień rewolucji wygasł, a życie w zamku powoli zaczęło iść dawnym torem. Powróciła służba, wykonano niezbędne naprawy, winnice dawały dobre plony. Zniknęły natomiast szmaragdy, choć skarbiec, w którym je przechowywano, pozostał nietknięty. Od tego czasu ślad po klejnotach zaginął.

Zamknęłam książkę. Byłam tak zmęczona, że zaraz usnęłam.

ROZDZIAŁ TRZECI

Następnego dnia całe przedpołudnie spędziłam w galerii. Spodziewałam się wizyty hrabiego w związku z zainteresowaniem okazanym przez niego mojej pracy poprzedniego wieczoru, ale nie przyszedł.

Lunch zjadłam w swoim pokoju, jak zwykle, i gdy skończyłam jeść, rozległo się pukanie do drzwi. Zjawiała się Geneviève.

Włosy miała porządnie związane z tyłu i nadal wyglądała na przygaszoną, jak podczas kolacji. Doszłam do wniosku, że obecność ojca w domu tak na nią wpływa.

Najpierw poszliśmy na górę schodami w wielokątnej wieży, aż dotarliśmy na sam szczyt budynku. Wskazała mi roztaczający się stamtąd rozległy widok na okolicę i wyjaśniła wszystko, raczej z trudem i powoli, ale po angielsku, jak polecił jej ojciec. Pomyślałam, że choć niekiedy robiła wrażenie, jakby go nie znosiła i się bała, to jednocześnie pragnęła zyskać uznanie hrabiego.

— Mademoiselle, czy widzi pani tę wieżę po prawej stronie na południu? Tam mieszka mój dziadek.

— To niezbyt daleko.

— Prawie dwanaście kilometrów. Dzisiaj widać ją wyraźnie tylko dlatego, że powietrze jest takie przejrzyste.

— Często go odwiedzasz?

Popatrzyła na mnie w milczeniu podejrzliwym wzrokiem.

— To nie tak daleko — powtórzyłam.

— Czasami do niego jeżdżę. Papa go nie odwiedza. Proszę mu nie mówić, że tam bywam.

— Nie życzyłby sobie tego?

— Tego nie mówił. — W jej głosie zabrzmiała nieco gorzka nuta. — Widziała pani, on w ogóle niewiele do mnie mówi. Proszę przyrzec, że mu pani nie powie.

— Dlaczego miałabym mu powiedzieć?

— Bo on z panią rozmawia.

— Moja droga Geneviève, tylko dwa razy widziałam się z twoim ojcem. Oczywiście, rozmawia ze mną o swych obrazach, interesuje się nimi. Jest jednak mało prawdopodobne, żeby chciał pogawędzić ze mną o innych sprawach.

— On zwykle nie rozmawia z ludźmi... którzy tu przyszli do pracy.

— Zapewne chodzi o tych, którzy nie zostali zatrudnieni do odnawiania jego obrazów.

— On się panią interesuje, mademoiselle.

— Obchodzi go to, jak sobie poradzę z waszymi dziełami sztuki. O, popatrz tutaj, na sklepienie krzyżowo-żebrowe sufitu i zwróć uwagę na kształt lukowatych drzwi. To pozwala określić czas budowy — jakieś sto lat temu.

Tak naprawdę to chciałam dalej rozmawiać z dziewczynką na temat jej ojca i zapytać, jak zazwyczaj zachowuje się wobec innych domowników. Pragnęłam się dowiedzieć, dlaczego nie pochwała jej wizyt u dziadka.

— Mademoiselle, pani mówi za szybko, nie nadążam.

Ruszyliśmy w powrotną drogę schodami, a kiedy doszliśmy na sam dół, powiedziała po francusku:

— Była już pani na szczycie, teraz musi pani zobaczyć część położoną najniżej. Czy pani wie, mademoiselle, że my tu w zamku mamy donżony?

— Tak, twój ojciec przysłał mi książkę, napisaną na zamówienie twojego drugiego dziadka. Na

tej podstawie wyrobiłam sobie dobry pogląd na całe wnętrze zamku.

— Kiedyś, mademoiselle, trzymano tam więźniów. Jeśli ktoś obraził hrabiego de la Talle, był umieszczany w donżonie. Mama mi mówiła. Zaprowadziła mnie tam kiedyś i wszystko pokazała. Powiedziała mi też, że niekoniecznie trzeba być w donżonie, żeby zostać uwięzionym. Wyraziła się tak: „Kamienne ściany i łańcuchy to jeden sposób trzymania więźnia pod kluczem, ale są też i inne”.

Spojrzałam na dziewczynkę uważnie, ale wyraz jej oczu był niewinny, a twarz miała obojętną.

— W królewskich zamkach znajdowały się donżony... nazywano je *oubliettes*, ponieważ zamykano tam ludzi i o nich zapominano. To więzienia wymazane z pamięci. Czy pani wie, mademoiselle, że jedyna droga do tych więziennych lochów prowadzi przez drzwi zapadniowe, które niełatwo zauważyć?

— Tak. Czytałam o tym. Niczego nie podejrzewająca ofiara była prowadzona do miejsca, które otwierano, przesuwając lewar w innej części pomieszczenia; podłoga nagle się zapada i człowiek leci na dół.

— Na dół, do *oubliette*. Takie spadanie trwa jakiś czas. Widziałam ten loch. Może się zdarzyć, że ktoś połamie sobie nogi i nie znajdzie się nikt, kto by mu pomógł. Leżałby tam zapomniany wraz z kośćmi innych, tych, którzy przed nim tam się znaleźli. Mademoiselle, czy pani boi się duchów?

— Oczywiście, że nie.

— Większość służących się boi. Nie weszliby do pomieszczenia nad *oubliette*... W każdym razie nie sami. Oni mówią, że w nocy słychać odgłosy dochodzące z *oubliette*... takie dziwne jakby jęki. Jest pani pewna, że chce ten loch zobaczyć?

— Moja droga Geneviève, przebywałam już w wielu domach w Anglii, nieustannie nawiedzanych przez duchy.

— Wobec tego jest pani bezpieczna. Papa powiedział, pamięta pani, że francuskie duchy powinny być lepiej wychowane niż angielskie i zjawiać się tylko wtedy, kiedy są oczekiwane. Skoro pani się ich nie boi i nie wierzy w nie, to nie będzie ich pani oczekiwała, prawda? To miał na myśli papa.

Jak dobrze zapamiętała jego słowa! Pomyślałam, że temu dziecku potrzeba czegoś więcej niż dyscypliny. Geneviève domagała się uczucia. Minęły trzy lata od śmierci jej matki. Jak bardzo przez ten czas musiała za nią tęsknić, przebywając z takim ojcem.

— Mademoiselle, czy na pewno nie boi się pani *oubliette*?

— Z całą pewnością.

— Loch nie jest już taki, jak był — stwierdziła niemal z żalem. — Dawno temu usunęli stamtąd mnóstwo kości i innych strasznych rzeczy, wtedy kiedy szukali szmaragdów. To zrobił mój dziadek, gdyż oczywiście pierwszym miejscem, gdzie należało szukać, był ten loch, prawda? Ale tam nie znaleziono klejnotów, więc ich tam nie ma. Mówi się, że gdzieś zostały stamtąd zabrane, ale ja sądzę, że jednak są tutaj. Chciałabym, żeby papa zorganizował znowu poszukiwanie skarbów. Czy nie byłaby to dobra zabawa?

— Zakładam, że przeprowadzono bardzo dokładne poszukiwania. Z tego, co wyczytałam, wydaje się niemal pewne, że szmaragdy zostały skradzione przez rewolucjonistów, którzy włamali się do zamku.

— Ale oni nie włamali się do skarbcza, a jednak klejnoty zniknęły.

— Może zostały sprzedane przed rewolucją i już wtedy od wielu lat nie było ich w zamku? Mogę się tylko domyślać. Przypuśćmy, że któremuś z twoich przodków potrzebne były pieniądze i sprzedał szmaragdy. On — albo ona — nikomu o tym nie powiedział. Kto wie, jak było.

Spojrzała na mnie zaskoczona, po czym spytała wyzywająco:

— Mówiła to pani mojemu ojcu?

— Z pewnością jemu samemu przyszło to na myśl. To dość oczywisty wniosek.

— Ale dama z portretu, nad którym pani pracuje, ma te szmaragdy. Więc wtedy musiały być jeszcze własnością rodziny.

— Może to imitacja.

— Mademoiselle, nikt z rodu de la Talle nie nosiłby fałszywych klejnotów!

Uśmiechnęłam się i zaraz wyrwał mi się cichy okrzyk zachwyty, gdyż już weszliśmy na wąskie i nierówne schody.

— Prowadzą do podziemi, mademoiselle. Tu jest osiem stopni, liczyłam je. Da sobie pani radę? Proszę trzymać się sznurowej poręczy.

Posłuchałam mojej przewodniczki i zaczęłam zstępować za nią w dół. Schody biegły spiralnie i były tak wąskie, że mogłyśmy iść tylko pojedynczo.

— Czuje pani ten chłód, mademoiselle? — Usłyszałam podniecenie w jej głosie. — Och, proszę sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy jest się tam prowadzonym, i wie się, że być może nigdy stamtąd nie będzie można wyjść. Znajdujemy się teraz poniżej poziomu fosy. Tu zazwyczaj trzymaliśmy tych, którzy nas obrazili.

Po przejściu owych ośmiu stopni zobaczyłam przed sobą ciężkie, dębowe drzwi, nabijane żelaznymi ćwiekami. Widniał na nich wyryty napis:

*Entrez, Messieurs, Mesdames,
chez votre maitre le Comte de le Talle.*

„Do waszego pana hrabiego de la Talle zapraszamy zarówno panów, jak i damy...” — słowa były wyraźnie ironiczne.

— Nie uważa pani, że to miłe powitanie, mademoiselle? — Genevieve uśmiechnęła się do mnie chytrze, jakby inna dziewczynka przezierала spoza tej z pozoru grzecznej miny.

Ciarki mnie przeszły.

Podeszła do mnie bliżej i zaczęła mówić szeptem:

— Ale to się skończyło, mademoiselle. Nie można powiedzieć *chez nous**. My teraz już tu nie podejmujemy gości. Proszę dalej, niech pani spojrzy na te nisze w ścianach. Nazywali je klatkami. Proszę popatrzeć na łańcuchy, używaliśmy ich do przykuwania tych więźniów, którzy od czasu do czasu dostawali chleb i wodę. No cóż, długo nie żyli. Jak pani widzi, nawet teraz jest tu ciemno, a kiedy drzwi zostaną zamknięte, w ogóle nie ma światła... ani światła... ani powietrza. Następnym razem, kiedy tu przyjdziemy, musimy przynieść świece... albo, jeszcze lepiej, latarnię. Tak tu duszno. Gdybym miała coś do oświetlenia ścian, pokazałabym pani, jakie są na nich napisy. Niektórzy z więźniów wydrapali modlitwy do świętych i Matki Boskiej. Inni pisali, jak się zemszczą na rodzie de la Talle.

— Przebywanie na dole może być szkodliwe dla zdrowia — zauważyłam, patrząc na zagrzybione, wilgotne mury. — I jak sama stwierdziłaś, bez światła niewiele można tu zobaczyć.

— *Oubliette* znajduje się po drugiej stronie muru. Proszę iść za mną, pokażę pani. Tamte więzienne lochy są jeszcze straszniejsze niż to miejsce, mademoiselle, gdyż w nich trzymano więźniów, o których w ogóle się zapominało.

Z tajemniczym uśmiechem poprowadziła mnie schodami na górę. Nagle otworzyła na oścież jakieś drzwi i oznajmiła:

— A tutaj teraz mamy zbrojownię.

* fr. do nas

Weszłam do środka i zobaczyłam umieszczoną przy ścianach broń wszelkiego rodzaju i wielkości. Sufit miał ostrołukowe sklepienie, podtrzymywane przez kamienne słupy; podłogę wykonaną z brukowych kamieni miejscami przykrywały dywany. Okna były takie same jak w moim pokoju i podobnie jak tam ich prześwit ograniczał się do wąskiej szpary, wpuszczającej bardzo mało światła. Musiałam przyznać — choć nie powiedziałabym tego Geneviève — że w tej komnacie panowała jakaś niesamowicie odpychająca atmosfera. Nic tu się nie zmieniło od setek lat i łatwo potrafiłam wyobrazić sobie niczego nie podejrzewające ofiary, które wchodziły do tego pomieszczenia. Stało tu jedno krzesło, tak bogato zdobione, że wyglądało niemal jak tron. Zastanawiające, że ów mebel tu pozostał. Krzesło było szerokie, drewniane, oparcie miało rzeźbione w lilie burbońskie, poręcze zaś w herby rodu de la Talle. Omalże widziałam człowieka siedzącego na nim — i był to oczywiście obecny hrabia — jak przemawia do swej ofiary, a potem naciśnięcie dźwigni uwalnia nagle sprężynę w zapadniowych drzwiach. Rozdzierający krzyk albo niema chwila przerażenia w momencie otwierania się podłogi, kiedy ofiara uzmysławia sobie, co się dzieje, a wtedy leci już w dół, dołączając do innych, wcześniejszych. Do tych zapomnianych nieszczęśliwych, pozostawionych tam bez nadziei na ujrzenie jeszcze kiedyś światła dziennego.

— Proszę mi pomóc przesunąć to krzesło, mademoiselle — powiedziała Geneviève. — Sprężyna jest pod nim.

Wspólnie przesunęłyśmy na bok podobny do tronu mebel i dziewczynka zrolowała dywan.

— O, proszę — wskazała palcem — przyciskam tutaj... i niech pani popatrzy... widzi pani, co się dzieje?

Rozległ się skrzypiący, piskliwy odgłos i ukazała się kwadratowa duża dziura w podłodze.

— W dawnych czasach odbywało się to szybko i bezszelestnie. Proszę spojrzeć w dół, mademoiselle. Niewiele pani widzi? Ale tu jest sznurowa drabinka schowana w szafie. Dwa razy do roku schodzą tam służący, pewnie, żeby posprzątać. Teraz oczywiście jest tam pusto i nie ma żadnych kości, mademoiselle, ani rozsypujących się w proch ciał. Są tylko duchy... ale pani w nie nie wierzy. — Przyniosła sznurową drabinę, umocowała ją na dwóch hakach, które najwidoczniej w tym celu umieszczono pod podłogą, i rzuciła w dół. — Zrobione. Czy zejdzie pani, mademoiselle, ze mną? — Zaczęła schodzić z uniesioną ku mnie roześmianą twarzą. — Wiem, że się pani nie boi.

Dotarła na dół, a ja podążyłam za nią.

Znajdowałyśmy się w małym pomieszczeniu. Tylko trochę światła przedostawało się z otwartych drzwi zapadniowych, akurat tyle, żebym mogła dostrzec owe wzbudające współczucie napisy, wyryte na murach.

— Proszę spojrzeć na te otwory w ścianach. Zrobiono je celowo. Więźniowie sądzili, że to drogi do wyjścia. A to rodzaj labiryntu, gdzie można się całkiem pogubić. Otóż ci ludzie myśleli, że idąc tymi korytarzykami, znajdą drogę do wolności. A one jedynie prowadziły z powrotem do *oubliette*. To się nazywało wymyślną torturą.

— Ciekawe — zauważyłam — nigdy o czymś takim nie słyszałam. To chyba jakaś niepowtarzalna koncepcja.

— Chce pani to zbadać, mademoiselle? Wiem, że pani ma ochotę, ponieważ nie boi się pani, prawda? Jest pani przecież taka dzielna i nie wierzy w duchy.

Podeszłam do otworu w ścianie i postąpiłam kilka kroków w ciemność. Dotykałam zimnego muru i po paru chwilach zorientowałam się, że ta droga nigdzie nie prowadzi. To była tylko nisza wykuta w grubym murze.

Zawróciłam i usłyszałam chichot Geneviève, która wchodziła w górę po drabinie, podciągając ją za sobą.

— Pani tak się lubuje w zamierzchłych czasach, mademoiselle — powiedziała. — Tu właśnie

jest tak jak kiedyś. De la Talle'owie nadal zostawiają swe ofiary na zagładę w *oubliette*.

— Geneviève! — wrzasnęłam przeraźliwie.

Dziewczynka zaśmiała się tylko.

— Pani kłamała — odrzekła ostro. — Teraz już pani wie, jak to jest. I obecnie nadszedł czas, aby się przekonać, czy naprawdę nie boi się pani duchów.

Drzwi zapadniowe zamknęły się z trzaskiem. W pierwszej chwili ciemność wydawała się nieprzenikniona, lecz wkrótce moje oczy przyzwyczyły się do mroku. Jednak dopiero po kilku dobrych chwilach uprzytomniłam sobie, w jakiej potwornej sytuacji się znalazłam.

Dziewczynka zaplanowała to wszystko poprzedniego wieczoru, kiedy ojciec zaproponował jej, żeby oprowadziła mnie po zamku. Zaraz mnie stąd uwolni. A jedyne, co mogę zrobić, to zachować się godnie, nie dopuszczać do siebie nawet myśli o panice i czekać na uwolnienie.

— Geneviève! — zawołałam — natychmiast otwórz tę zapadnię!

Wiedziałam, że mój głos mógł być ledwie słyszalny na górze. Mury wyglądały na grube, podobnie jak płyta nad głową. Jaki sens miałyby budowanie *oubliette*, gdyby słychać było dochodzące stamtąd krzyki ofiar? Sama nazwa już wskazywała, co się dzieje z więźniami, którzy tu zostali wtrąceni. Zapomniani!

Byłam głupia, że jej zaufałam. Już w czasie naszego pierwszego spotkania Geneviève ujawniła nieco swój charakter, a jednak zwiodło mnie okazywane przez nią ojcu posłuszeństwo. A może dziewczynka nie tylko była psotna? Może to z gruntu złe dziecko?

Nagle ogarnęło mnie przerażenie i zadałam sobie pytanie, co się stanie, gdy zauważą moją nieobecność. Ale kiedy to nastąpi? Nie wcześniej niż w porze kolacji, gdy przyniosą mi tacę do pokoju albo zaproszą do wspólnego stołu z rodziną. I wówczas... Więc mam czekać w tym makabrycznym miejscu tyle godzin?

Wtedy jednak przyszło mi na myśl coś innego. A jeśli Geneviève poszła do mojego pokoju i schowała należące do mnie rzeczy, stwarzając pozory, że opuściłam zamek? Mogła nawet sfałszować liścik z wyjaśnieniem, że wyjechałam, gdyż nie zostałam tu miło przyjęta... gdyż już mi nie zależy na tej pracy?

Czy byłaby do tego zdolna?

Owszem — przecież to córka mordercy!

Czy takie podejrzania były jednak czymkolwiek usprawiedliwione? Właściwie prawie nic nie wiedziałam o tajemnicy otaczającej śmierć żony hrabiego poza tym, że istniała jakaś tajemnica. Ale ta dziewczynka wydawała się dziwna — nieobliczalne stworzenie, które wedle mego zdania jest zdolne do wszystkiego.

W pierwszych chwilach ogarniającej mnie niemal paniki zrozumiałam w pewnej mierze, co czuły ofiary, kiedy znalazły się w tym okropnym miejscu. Jednak nie mogłam się z nimi nawet porównywać. Więźniowie, spadając tutaj, łamali sobie kończyny — ja przynajmniej zesłam po drabinie. Padłam ofiarą żartu, oni zaś — zemsty. To jednak coś zupełnie innego. Wkrótce zapadniowe drzwi się otworzą i ukaże się w nich głowa dziewczynki. Muszę potraktować ją surowo, nie okazując przy tym cienia strachu, nade wszystko trzeba zachować godność.

Usiadłam na podłodze i oparłam się o zimną, kamienną ścianę, patrząc w górę na owe drzwi. Usiłowałam sprawdzić na zegarku przypiętym do bluzki, która godzina. Nic nie widziałam, ale słyszałam tykanie mijających sekund. Nie miało sensu udawać, że się nie boję. W tym pomieszczeniu panowała koszmarna atmosfera zatracenia; czułam, że się duszę w stojącym, ciężkim powietrzu i zdałam sobie sprawę, że ja, która zawsze szczyciłam się własnym opanowaniem, jestem niemal na granicy hysterii.

Po co przyjechałam do tego zamku? O wiele lepiej byłoby spróbować znaleźć odpowiednią posadę guwernantki, do czego tak dobrze się nadawałam! Zdecydowanie lepiej byłoby pojechać do

kuzynki Jane, opiekować się nią, usługiwać jej, czytać i po raz setny wysłuchiwać, że jestem tylko ubogą krewną!

Zapragnęłam nagle spokojnego życia wolnego od burzliwych wydarzeń. Przyjęłabym je bez zastrzeżeń, byle tylko dane mi było żyć. Jak często powtarzałam sobie, że wołałabym umrzeć niż znaleźć się w sytuacji osoby zdanej na czyjąś łaskę — i takie rzeczywiście miałam przekonanie. Teraz jednak zamieniłabym bez wahania niezależność i ciekawszą egzystencję — wszystko — na szansę pozostania przy życiu. Nigdy nie myślałam, że na coś takiego bym się zgodziła, aż do tej chwili. Czy istotnie dużo o sobie wiedziałam? Czy przypadkiem nie jest tak, że maska, którą zakładałam na twarz przed światem, zwiodła nie tylko innych ludzi, ale i mnie samą?

Usiłowałam myśleć o czymś, co odwróciłoby moją uwagę od tego straszliwego miejsca, w którym torturowane dusze i ciała jak gdyby pozostawiły część swego cierpienia.

„Czy pani wierzy w duchy, mademoiselle?”

W biały dzień, mając wokół siebie inne żyjące istoty — na pewno nie. Ale teraz, w tym ciemnym lochu, do którego zostałam podstępnie zwabiona i byłam w nim zamknięta... sama już nie wiedziałam.

— Geneviève! — zawołałam; mnie samą przestraszyła nuta paniki we własnym głosie.

Wstałam i zaczęłam przemierzać pomieszczenie tam i z powrotem. Nie przestawałam wykrzykiwać imienia dziewczynki, aż ochryłam. Usiadłam i starałam się uspokoić. Potem znowu wstałam i chodziłam w kółko. Przyłapałam się na tym, że ukradkiem spoglądałam za siebie, gdyż zaczęłam mieć wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Nie spuszczałam z oczu dającego się zauważyć otworu w ścianie, o którym Geneviève powiedziała, że stanowi wejście do labiryntu, i choć wiedziałam, że to tylko czarna nisza... czekałam, że... ktoś się z niej wynurzy.

Bałam się, że zacznę szlochać albo krzyczeć. Starałam się wziąć w garść, powtarzając głośno, że znajdę drogę wyjścia, choć wiedziałam, że nie ma takiej szansy. Znowu usiadłam i próbowałam odgrodzić się od ciemności, kryjąc twarz w dłoniach.

Nagle zerwałam się przerażona, gdyż doszedł mnie jakiś dźwięk. Machinalnie przykryłam usta ręką, żeby powstrzymać okrzyk. Utkwiłam oczy w czarnym otworze. Usłyszałam głos wołający: „mademoiselle!”, i pomieszczenie się rozjaśniło.

Z piersi wyrwał mi się spazmatyczny, krótki szloch ogromnej ulgi. Drzwi zapadniowe były otwarte, a z góry spoglądała na mnie poszarzała, przestraszona twarz Nounou.

— Mademoiselle, nic złego się pani nie stało?

— Nie... nie. — Podbiegłam i uniosłam ku niej wzrok.

— Przyniosę drabinę — powiedziała.

Zdawało mi się, że strasznie długo nie wraca, ale zjawiała się z drabiną. Chwyciłam ją i zaczęłam się gorączkowo wspinać, by czym prędzej się wydostać z mego więzienia, tak że o mało nie spadłam.

Nounou wpatrywała się w moją twarz przerażonym wzrokiem.

— Ta nieznośna dziewczynka! Och, mój Boże, co to będzie. Jest pani taka blada... taka wystraszona.

— A kto by nie był, zamknięty w takim miejscu? Zapomniałam podziękować za to, że pani przysła. Nie potrafię nawet wyrazić, jak...

— Mademoiselle, może pójdzie pani do mego pokoju? Zrobię dobrą, mocną kawę. Chciałabym też z panią porozmawiać, jeśli można.

— To miło z pani strony. A gdzie jest Geneviève?

— Pani jest rozgniewana, to oczywiste. Ale coś pani wyjaśnię.

— Wyjaśnić? Co tu jest do wyjaśnienia? Czy ona pani powiedziała, co zrobiła?

Stara niania z ubolewaniem pokręciła głową przecząco.

— Chodźmy do mojego pokoju. Tam będzie nam łatwiej rozmawiać. Proszę, ja muszę pani coś powiedzieć. Chcę, żeby pani zrozumiała. Poza tym to było okropne doświadczenie, przeżyła pani wstrząs. Któż by się nie przestraszył! — Objęła mnie ramieniem. — Chodźmy do mnie, mademoiselle, tak będzie najlepiej.

Ciągle jeszcze oszołomiona, pozwoliłam się wyprowadzić z upiornego pomieszczenia, do którego — byłam tego pewna — nigdy nie wejść z własnej woli. Nounou, całe życie opiekująca się bezradnymi istotami, potrafiła wywierać kojący wpływ, a w moim obecnym stanie ducha jej łagodna stanowczość była tym, czego najbardziej potrzebowałam.

Nie zwróciłam uwagi, którądy mnie prowadzi, ale gdy otworzyła drzwi i zobaczyłam mały, przytulny pokój, zorientowałam się, że byliśmy w nowszej części zamku.

— A teraz musi się pani położyć. Tu jest sofa. Tak lepiej pani odpocznie niż na siedząco.

— To nie jest konieczne.

— Pani mi wybaczy, mademoiselle, ale to wręcz niezbędne. Zaraz zaparzę kawę.

Ogień palił się w kominku, a we wnęce syczała już woda w czajniku.

— Dobra, gorąca, mocna kawa. Po niej poczuje się pani lepiej. Moja biedna mademoiselle, to było okropne przeżycie dla pani.

— Skąd pani wiedziała, co się stało?

Odwróciła się do kominka i zajęła parzeniem kawy.

— Geneviève wróciła sama. Poznałam po jej minie...

— Odgadła pani?

— Już kiedyś tak postąpiła — z jedną z guwernantek. Zupełnie do pani niepodobną... Była bardzo ładną, młodą damą, może trochę nietaktowną... Geneviève to samo jej zrobiła. Krótko po śmierci matki... w każdym razie niedługo potem.

— Więc zamknęła guwernantkę w *oubliette*, tak jak mnie? Jak długo ta kobieta tam przebywała?

— Dłużej niż pani. To się stało po raz pierwszy, więc dopiero po jakimś czasie ją znalazłam. Biedna młoda dama zemdląca ze strachu. Zdecydowała się natychmiast opuścić zamek... tak się to skończyło.

— Więc takie zachowanie dziewczynce weszło już w zwyczaj.

— Tylko dwa razy tak postąpiła. Proszę się nie denerwować, mademoiselle. Po tym, co pani przesła, jeszcze jej się pogorszy.

— Chcę się z nią zobaczyć. Będzie musiała zrozumieć...

Uświadomiłam sobie przyczynę własnej złości — prawie wpadłam w panikę, wstydziłam się tego teraz, byłam sobą rozczarowana i zdumiona. Zawsze uważałam, że mogę mieć zaufanie do swego rozsądku, a tymczasem stało się tak, jakbym usunęła cienką warstewkę mgiełnego nalotu z obrazu i zobaczyła pod spodem coś nieoczekiwanego. Jednocześnie dokonałam następnego odkrycia — zachowałam się w sposób, który tak często krytykowałam u innych — skierowałam własny gniew na kogoś, gdyż byłam zła na siebie. Oczywiście, że Geneviève zachowała się obrzydliwie, ale to moja własna postawa była przyczyną obecnego zdenerwowania.

Nounou podeszła do mnie, stanęła przy sofie i splótłszy dłonie, patrzyła na mnie zmartwiona.

— Jej nie jest łatwo, mademoiselle. Straciła matkę, a to straszne dla takiej dziewczynki jak ona. Staralam się, jak mogłam najlepiej.

— Była przywiązana do matki? i

— Ogromnie. Biedne dziecko, przeżyła straszny wstrząs i do tej pory z niego nie wyszła. Ufam, że pani będzie miała to na uwadze.

— Jest krnąbrna — odrzekłam. — Już przy pierwszym spotkaniu jej zachowanie było nie do przyjęcia, a teraz to... Pewnie zostałabym tam na zawsze, gdyby pani nie odgadła, co zrobiła

Geneviève.

— Nie. Chciała tylko panią przestraszyć, może dlatego, że uważa panią za osobę, która świetnie sobie radzi, w odróżnieniu od niej.

— Proszę mi powiedzieć, dlaczego jest taka dziwna? — spytałam. Uśmiechnęła się z wyraźną ulgą.

— Właśnie to chciałam wytłumaczyć.

— Pragnęłabym zrozumieć, co spowodowało, że stała się właśnie taka.

— A wtedy, mademoiselle, wybaczy jej pani? Nie powie pani jej ojcu, co się dzisiaj wydarzyło?

Nie wspomni pani o tym nikomu?

Nie byłam tego taka pewna, więc powiedziałam spieszenie:

— W każdym razie zamierzam porozmawiać na ten temat z Geneviève.

— Ale z nikim więcej, błagam panią. Ojciec bardzo by się na nią złościł, a dziewczynka ogromnie lęka się jego gniewu.

— A czy nie byłoby dla niej wskazane, żeby uświadomiła sobie, jaką popełniła niegodziwość? Nie powinniśmy głaskać jej po głowie i uznać, że nic się nie stało, tylko dlatego, że pani mnie uwolniła.

— Cóż, proszę z nią porozmawiać, jeśli sobie pani tego życzy, ale najpierw muszę pani coś wyjaśnić. Są sprawy, o których powinna pani wiedzieć. — Nounou wróciła do kominka i znowu zajęła się kawą. — Chodzi mi — zaczęła z wolna — o śmierć jej matki.

Czekałam, co powie dalej staruszka. Moja ciekawość pewnie nawet przewyższała jej chęć przekazania mi nieznanymi faktów.

— To było straszne... a doświadczyła tego jedenastoletnia dziewczynka. Właśnie ona znalazła matkę nieżywą.

— Tak — przyznałam — to musiało być straszne.

— Zwykle zaraz po przebudzeniu szła do matki. Niech sobie pani wyobrazi, jak to dziecko do niej wchodzi i co widzi?!

Skinęłam głową.

— Ale minęły już trzy lata i niezależnie od tego, że śmierć matki była dla niej okropnym przeżyciem, nic nie usprawiedliwia zamknięcia mnie w owym miejscu.

— Później już nigdy nie była taka jak przedtem. Bardzo się zmieniła. Od tego czasu jakby nabrała upodobania do różnych wybryków. A to dlatego, że brakuje jej matczynej miłości. I boi się...

— Ojca?

— Więc pani zauważyła. Wtedy zaczęły się przesłuchania, przeprowadzono śledztwo. Dziewczynka bardzo źle znosiła taką sytuację. Wszyscy tu w zamku uważali, że on to zrobił. Miał kochankę...

— Rozumiem. Nie byli szczęśliwym małżeństwem. Ale czy hrabia kochał żonę na początku, kiedy się pobrali?

— Mademoiselle, on potrafi kochać tylko siebie.

— A ona go kochała?

— Zauważyła pani, jak zastraszył Geneviève. Françoise też się go bała.

— Ale czy była w nim zakochana, kiedy wychodziła za mąż?

— Wie pani, jak między takimi rodzinami są kojarzone małżeństwa. Może w Anglii tak się nie dzieje. We Francji w szlacheckich rodach małżeństwa zawsze uzgadniają rodzice. W Anglii tak nie jest?

— Nie do tego stopnia. Rodziny mają skłonność do wyrażania swej dezaprobaty o wybranej osobie, ale nie sądzę, żeby zasady były aż tak sztywne.

Staruszka bezradnie wzruszyła ramionami.

— Ale tutaj tak jest, mademoiselle. A Françoise została przyrzeczona Lothairowi de la Talle, gdy miała kilkanaście lat.

— Lothairowi... — powtórzyłam.

— Takie imię nosi Monsieur le Comte. Często je nadawano w tej rodzinie. Zawsze byli Lothairowie w rodzinie de la Talle.

— Królewskie imię — zauważyłam. — To dlatego. — Spojrzała na mnie zaintrygowana, więc szybko dodałam: — Przepraszam. Niech pani mówi dalej.

— Hrabia miał kochankę, jak to Francuz. Bez wątpienia bardziej ją lubił niż narzeczoną, ale tamta nie nadawała się na żonę, więc moja Françoise go poślubiła.

— Pani była także jej piastunką?

— Przyszłam do niej, gdy miała trzy lata i byłam przy niej aż do końca.

— A teraz Geneviève zajęła jej miejsce w pani sercu?

— Ufam, że zawsze z nią będę, tak jak z jej matką. Nie mogłam uwierzyć w to, co się stało. Dlaczego to się przytrafiło mojej Françoise? Dlaczego miałyby odebrać sobie życie? To było do niej niepodobne.

— Może czuła się nieszczęśliwa.

— Nie oczekiwała rzeczy niemożliwych.

— Wiedziała o jego kochance?

— Mademoiselle, we Francji takie rzeczy się akceptuje. Pogodziła się z losem. Ale bała się męża i chyba była zadowolona z jego wyjazdów do Paryża, z jego nieobecności w zamku.

— Z tego, co pani mówi, wynika, że to nie było szczęśliwe małżeństwo.

— Przyjmowała je takim, jakie było.

— A jednak... odeszła z tego świata.

— Nie zabiła się. — Stara kobieta zakryła oczy dłońmi i wyszeptwała jakby do siebie: — Nie, ona się nie zabiła.

— Lecz czyż nie taki był oficjalny werdykt? Nounou niemal na mnie napadła:

— A jakież inny mógłby być... poza stwierdzeniem morderstwa?

— Słyszałam, że hrabina przedawkowała opium. W jaki sposób je zdobyła?

— Często bolały ją zęby. Trzymałam opium u siebie, w małej szafce i zwykle jej dawałam. Uśmierzało ból i pozwalało Françoise zasnąć.

— Może przez pomyłkę wzięła za dużo.

— Nie miała zamiaru się zabić. Wiem na pewno. Ale oni tak właśnie orzekli. Musieli... czyż nie?... Przez wzgląd na pana hrabiego.

— Nounou, czy pani usiłuje mi powiedzieć, że to hrabia zamordował własną żonę?

Spojrzała na mnie, jakby nagle się przestraszyła.

— Nie może pani twierdzić, że to powiedziałam, mademoiselle. Niczego takiego nie mówiłam. Pani wkłada te słowa w moje usta.

— Ale jeżeli sama się nie zabiła... to ktoś musiał to zrobić. Moja rozmówczyni wróciła do stołu i nałała dwie filiżanki kawy.

— Proszę to wypić, mademoiselle, zaraz lepiej się pani poczuje. Jest pani bardzo zdenerwowana.

Mogłam odpowiedzieć, że mimo niedawnego przykrego doświadczenia byłam mniej zdenerwowana od niej, lecz pragnęłam wyciągnąć od staruszki tyle wiadomości, ile się da, gdyż uświadomiłam sobie, że to przede wszystkim ona może być najlepszym źródłem tych informacji.

Podawała mi filiżankę, przysunęła krzesło do sofy i usiadła koło mnie.

— Mademoiselle, chciałabym, żeby pani zrozumiała, że to, co się przydarzyło mojej

Geneviève, było straszną tragedią. Chciałabym, żeby pani jej przebaczyła... i pomogła.

— Miałabym jej pomóc? Ja?

— Tak, właśnie pani. Gdyby pani jej przebaczyła. Gdyby była taka dobra i nie wspominała o tym panu hrabiemu.

— Ona się go boi, wyczuwam to. Nounou skinęła głową.

— W czasie kolacji okazywał pani zainteresowanie, Geneviève mi to powiedziała. I zwracał się do pani w inny sposób niż do ładnych, młodych guwernantek. Proszę zrozumieć, to wszystko jakoś się wiąże ze śmiercią jej matki. Dziewczynka znowu przeżywa tamtą tragedię. Bo krążyły pogłoski, i ona je słyszała, że w życiu ojca była inna kobieta.

— Czy Geneviève znienawidziła ojca?

— Ich wzajemne stosunki są dziwne. Hrabia odnosi się do córki z wielką rezerwą, a czasem zachowuje się tak, jakby jej nie zauważał. Niekiedy znowu robi wrażenie, jakby sprawiało mu przyjemność wyszydzenie dziewczynki, jak gdyby jej nie znosił, był nią rozczarowany. Gdyby okazał jej choć trochę uczucia... — Uniosła bezradnie ramiona. — Ale on jest dziwnym, twardym człowiekiem, mademoiselle, a od czasu tego skandalu stał się jeszcze trudniejszy w kontaktach.

— Może nie wie, co się o nim mówiło. Kto by się ośmielił powiedzieć mu o tych pogłoskach!

— Nikt. Ale on jest tego świadomy. Zmienił się po śmierci żony. Nie jest mnichem, mademoiselle, lecz teraz zachowuje się tak, jakby nabrał pogardy do kobiet. Czasem nawet mi się wydaje, że to bardzo nieszczęśliwy człowiek.

Może nie jest w dobrym tonie, myślałam, dyskutować o panu domu z kimś pozostającym u niego na służbie. Ale nie potrafiłam powstrzymać swej niepohamowanej ciekawości. Jeszcze czegoś dowiedziałam się o sobie. Nie chciałam słuchać własnego sumienia.

— Ciekawe, że się nie ożenił ponownie — zauważyłam. — Mężczyzna z jego pozycją z pewnością chciałby mieć syna.

— Nie sądzę, żeby się ponownie ożenił, mademoiselle. To dlatego sprowadził tu monsieur Philippe'a.

— Hrabia go sprowadził?

— Nie tak dawno. Przypuszczam, że monsieur Philippe ma się ożenić i wtedy jego syn wszystko odziedziczy.

— Raczej trudno to zrozumieć.

— Takiego człowieka jak Monsieur le Comte trudno zrozumieć, mademoiselle. Słyszałam, że żyje sobie wesoło w Paryżu. Tutaj czuje się osamotniony, co wprawia go w przygnębienie, i chyba jedyną przyjemność znajduje w sprawianiu przykrości innym.

— Co za uroczy człowiek! — odrzekłam z ironią.

— Tak, życie w zamku nie jest łatwe. Ale najtrudniejsze jest dla Geneviève. — Położyła na mojej dłoni swoją. Była zimna. W tym momencie zrozumiałam, że ta kobieta z całego serca kocha swą wychowanicę i bardzo się o nią martwi. — To nie jest zła dziewczynka — przekonywała mnie Nounou. — A te jej napady złego humoru... wyrosnie z tego. Jej matce też nic nie można było zarzucić. Ze świecą trzeba by szukać drugiego takiego słodkiego dziewczęcia.

— Proszę się nie martwić — uspokoiłam starszą. — Nie powiem o tym, co się stało, ani jej ojcu, ani nikomu innemu. Ale sądzę, że powinnam z nią porozmawiać.

Twarz Nounou się rozjaśniła.

— Tak, niech pani z nią porozmawia... a jeżeli nadarzy się okazja do rozmowy z panem hrabią, proszę mu powiedzieć, jak ona dobrze mówi po angielsku... jaka jest grzeczna... jaka opanowana...

— W angielskim z pewnością będzie robiła postępy, ale trudno by uznać ją za opanowaną.

— W związku z samobójstwem matki ludzie skłonni są uważać, że Geneviève żyje w stałym

nerwowym napięciu.

Pomyślałam, że to przede wszystkim ona tak uważa, ale nie powiedziałam tego głośno. Było dziwne, że Nounou przyprowadziła mnie tutaj, aby mnie uspokoić, a skończyło się na tym, że to ja ją uspokajałam.

— Françoise była najbardziej naturalną, normalną dziewczynką, jaką można spotkać. — Odstawiła filiżankę i poszła w drugi kąt pokoju, skąd wróciła z drewnianym pudełkiem, inkrustowanym masą perłową. — Trzymam tutaj parę jej rzeczy. Czasami je oglądam, bo mi ją przypominają. Była takim dobrym dzieckiem. Guwernantki się nią zachwyciły. Często opowiadałam Geneviève, jak dobrze się zachowywała jej matka. — Otworzyła pudełko i wyjęła książkę oprawną w czerwoną skórę.

— Suszyła w niej kwiaty. Uwielbiała je. Wędrowała po polach i zbierała całe bukiety. Niektóre zrywała w ogrodach. O, proszę, niech pani spojrzy na te niezapominajki. Widzi pani tę chusteczkę? Zrobiła ją dla mnie. Jaki śliczny haft! Wyszywała dla mnie na Boże Narodzenie i na imieniny różne rzeczy i zawsze je chowała, gdy byłam w pobliżu, żeby mi sprawić niespodziankę. Taka dobra, spokojna dziewczynka. Nie tylko dobra, ale i religijna. Tak się modliła, że aż chwyciło za serce. Sama dekorowała kaplicę. Dla niej odebranie sobie życia byłoby grzechem.

— Miała jakieś rodzeństwo?

— Nie, pozostała jedynaczką. Jej matka nie była... zbyt silna. Nią też się opiekowałam. Zmarła, gdy córka miała dziewięć lat, a za kolejne dziewięć Françoise wyszła za mąż.

— Czy cieszyła się, że wychodzi za mąż?

— Nie sądzę, by wiedziała, czym naprawdę jest małżeństwo. Pamiętam wieczór zwany tu *diner contrat*. Pani rozumie, mademoiselle? Może i u was w Anglii jest taki zwyczaj? We Francji, jeśli dwoje ludzi ma się pobrać, zawierane są umowy, które ustala się wcześniej i uzgadnia. Kiedy są już gotowe, urządza się *diner contrat*, obiad w domu przyszłej panny młodej. W przyjęciu uczestniczą ona i jej rodzina, narzeczony i jego krewni, a potem podpisuje się intercyzę. Chyba wówczas Françoise była bardzo szczęśliwa. Miała zostać hrabiną de la Talle, a ród de la Talle jest najznamienitszy w tych stronach i najbogatszy. To była dobra partia, wręcz wspaniała. Później odbył się ślub cywilny, a następnie drugi, w kościele.

— I później już nie była szczęśliwa?

— Och, życie nie jest całkiem takie jak w marzeniach młodych dziewcząt, mademoiselle.

— Zwłaszcza gdy się poślubi hrabiego de la Talle.

— To pani powiedziała, mademoiselle. — Podsunęła mi otwarte pudełko. — Przecież widzi pani, jaka to była urocza dziewczynka, zadowalała się takimi niewyszukanymi przyjemnościami. Małżeństwo z mężczyzną takim jak pan hrabia musiało być dla niej wstrząsem.

— To rodzaj wstrząsu, któremu większość młodych dziewcząt z powodzeniem stawia czoło.

— To prawda, mademoiselle. Françoise miała zwyczaj notowania wszystkiego w takich „małych książeczkach”, jak je nazywała. Opisywała to, co się działo. Trzymam u siebie te dzienniczki. — Podeszła do szafki, otworzyła zamek jednym z kluczy wiszących w pęku na łańcuszku u jej paska i wyjęła mały zeszyt. — To jest pierwszy. Proszę zobaczyć, jaki ładny miała charakter pisma.

Otworzyłam zeszyt i zaczęłam czytać:

„1 maja. Modlitwy z Papą i służbą. Wyrecytowałam przed nim kolektę i powiedział, że robię postępy. Poszłam do kuchni i przyglądałam się, jak Marie piecze chleb. Dała mi kawałek polukrowanego placka i powiedziała, żebym o tym nie mówiła, bo jej takiego ciasta nie wolno piec”.

— Rodzaj pamiętnika — skomentowałam.

— Była wtedy taka mała. Nie miała więcej niż siedem lat. Jaka siedmiolatka potrafiłaby tak

pisać? Proszę przejrzeć tę książeczkę. Często ją czytam, bo odświeża mi wspomnienia o Françoise. Przerzucałam stroniczki wypełnione dużym, dziecięcym pismem.

„Chyba wyszyję serwetkę dla Nounou. To mi zajmie dużo czasu, ale jeżeli nie zdążę na imieniny, to dostanie ją na Boże Narodzenie”.

„Papa rozmawiał dzisiaj ze mną o odmawianiu modlitw. Powiedział, że muszę być zawsze cnotliwa i starać się panować nad sobą”.

„Dzisiaj widziałam Mamę. Nie wiedziała, kim jestem. Papa potem ze mną rozmawiał i powiedział, że ona być może już długo z nami nie zostanie”.

„Mam niebieskie jedwabne nici do haftowania serwetki. Jeszcze poszukam różowych. Niewiele brakowało, a Nounou by te niebieskie zauważyła. Och,omalże się nie wydało, ale by było...”.

„Słyszałam, jak Papa modlił się wczoraj w swoim pokoju. Zawołał mnie i kazał się modlić razem z nim. Od klęczenia ścierpły mi kolana, ale Papa był taki przejęty modlitwą, że nie zwracał na mnie uwagi”.

„Papa powiedział, że w dniu moich urodzin pokaże mi swój największy skarb. Skończę wtedy osiem lat. Ciekawa jestem, co to takiego”.

„Szkoda, że nie ma tu dzieci, z którymi mogłabym się bawić. Marie opowiadała, że w domu, w którym kiedyś służyła, było ich dziewięcioro. Tyle braci i siostr to bardzo miło. A jedno z rodzeństwa byłoby tylko dla mnie”.

„Marie szykuje tort na moje urodziny. Poszłam do kuchni popatrzeć, jak ona to robi”.

„Myślałam, że skarb Papy to perły i rubiny, a to tylko stary habit z kapturem, czarny i cuchnący stęchlizną, bo był schowany. Papa powiedział, że nie wolno mylić pozoru z istotą rzeczy”.

Nounou stała przy mnie.

— To dość smutne — zauważyłam. — Była samotnym dzieckiem.

— Ale dobrym. Miała taką łagodną naturę. To także widać tutaj, prawda? Przyjmowała rzeczy takimi, jakie są — wie pani, o czym myślę?

— Tak, chyba tak.

— Nie była typem kobiety, która odebrałaby sobie życie. Nie okazywała nawet cienia hysterii. I Geneviève jest w istocie taka sama... w głębi duszy.

W milczeniu popijałam kawę, którą Nounou mi przyniosła. Czułam do niej sympatię z powodu ogromu uczuć, jakie okazywała zarówno matce, jak i córce. Wyraźnie usiłowała przekonać mnie do swego zdania na temat dziewczynki.

Taka postawa wymagała szczerości z mojej strony.

— Chyba powinnam pani powiedzieć — odezwałam się — że pierwszego dnia mego pobytu tutaj Geneviève zabrała mnie na grób hrabiny.

— Często tam chodzi — odrzekła szybko staruszka z oczami błyszczącymi od łez.

— Zrobiła to w szczególny sposób. zaproponowała, że zaprowadzi mnie do swej matki, żebym mogła ją poznać... Sądziłam, że chodzi o żyjącą osobę.

Nounou skinęła głową, ale odwróciła ode mnie wzrok.

— A potem dodała, że to ojciec zamordował matkę.

Na pomarszczonej twarzy piastunki pojawił się wyraz strachu. Położyła dłoń na mym ramieniu.

— Ale pani ją rozumie, prawda? Wstrząs, jaki przeżyła, kiedy ją znalazła... własną matkę. A potem te pogłoski, więc to chyba naturalne, nie sądzi pani?

— Nie wydaje mi się naturalne, żeby dziecko oskarżało ojca o zamordowanie matki.

— Ten wstrząs... — powtórzyła. — Ona potrzebuje pomocy, mademoiselle. Proszę pomyśleć, w jakim otoczeniu żyje. Śmierć, szept w zamku... plotki w okolicy. Wiem, że pani jest mądrą kobietą.

I zrobi pani wszystko, co tylko będzie mogła.

Teraz obie dłonie staruszki zacisnęły się kurczowo na moim ramieniu; jej usta poruszały się tak, jakby wymawiała bezgłośnie jakieś słowa, których nie odważyła się głośno wypowiedzieć.

Była przestraszona i w związku z moim niedawnym doświadczeniem z dziewczynką szukała pomocy właśnie u mnie.

Odezwałam się, dobierając ostrożnie słowa:

— To z pewnością był ogromny wstrząs. Trzeba jej okazywać wiele troski. Chyba jej ojciec sobie tego nie uświadamia.

Grymas goryczy pogłębił jeszcze zmarszczki Nounou. Ona go nienawidzi, pomyślałam. Nienawidzi za to, jaki jest dla swej córki... i za to, co zrobił jej matce.

— Ale my zdajemy sobie z tego sprawę — stwierdziła. Wzruszyła mnie. Wyciągnęłam rękę i uściskałam jej dłoń. Było tak, jakbyśmy zawarły pewien pakt. Twarz staruszki rozjaśniła się i Nounou powiedziała:

— Kawa nam wystygła. Zrobię świeżą.

To wtedy, w tym małym pokoju zrozumiałam, że życie w zamku wciągnęło mnie na dobre.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Powiedziałam sobie, że nie jest moją sprawą ocena, czy pan tego domu zamordował żonę, do mnie natomiast należy ustalenie, w jakim zakresie obrazy hrabiego wymagają renowacji i jakie metody należy zastosować, aby uzyskać najlepsze rezultaty. Tak więc w ciągu następnych tygodni byłam całkowicie zaabsorbowana pracą.

Do zamku przyjechali goście, co spowodowało, że przestałam być zapraszana na kolacje. W istocie nie sprawiało mi to szczególnej przykrości, byłam raczej zaniepokojona nastawieniem hrabiego do mnie. Czułam, iż pan domu wręcz ma nadzieję, że mi się nie uda. Obawiałam się, że to mogłoby podkopać moją pewność siebie, a przecież podczas wykonywania tak precyzyjnej pracy musiałam wierzyć, że odniosę niekwestionowany sukces.

Przez parę dni go nie widywałam, ale któregoś rana, kiedy pracowałam, przyszedł do galerii.

— Och, mademoiselle Lawson! — wykrzyknął, patrząc na ustawiony przede mną obraz. — Co za metodę pani stosuje?

Przeraziłam się, gdyż moje zabiegi przy portrecie przynosiły doskonały efekt; poczułam, jak rumieńce występują mi na policzki. Miałam już zamiar gniewnie zaprotestować, gdy hrabia dokończył swą myśl:

— Pod pani ręką ten portret odzyskuje takie barwy, że teraz wszyscy przypomną sobie o naszych nieszczęsnych szmaragdach!

Widocznie rozbawiła go moja mina, odzwierciedlająca wyraźną ulgę, gdy okazało się, że nie zamierzał krytykować wykonywanej przeze mnie pracy.

Żeby ukryć zakłopotanie, odezwałam się dość ostrym tonem:

— A zatem powoli nabiera pan przekonania, że i kobieta może posiadać jakieś zdolności?

— Zawsze o nie panią podejrzewałem. Tylko bowiem kobieta z dobrą opinią zawodową i zdecydowanym charakterem mogła przyjechać tu do nas, pełna zapału do obrony tak zwanej — według mnie całkiem błędnie — słabszej płci.

— Moim jedynym zadaniem jest właściwie wykonywać powierzoną mi pracę.

— Gdyby wszystkie wojujące kobiety wykazały w przeszłości pani zdrowy rozsądek, oszczędziłoby to wielu kłopotów.

— Mam nadzieję oszczędzić panu kłopotu, gdyż zapewniam, że gdyby te obrazy pozostawały w takim stanie dłużej...

— Jestem tego świadomy. Dlatego zdecydowałem się zaprosić tu pani ojca. Niestety, nie mógł przybyć. Lecz zamiast niego mamy jego córkę. Naprawdę się nam poszczęściło!

Obróciłam się do obrazu, ale obawiałam się go dotknąć. Bałam się jakiegoś fałszywego ruchu. Tego rodzaju praca wymaga całkowitego skupienia.

Hrabia podszedł bliżej i stanął koło mnie, a choć udawał, że studiuje portret, miałam wrażenie, że to mnie obserwuje.

— Wygląda niezmiernie ciekawie — rzekł. — Musi mnie pani w tej sprawie oświecić.

— Przeprowadziłam kilka prób i oczywiście przed rozpoczęciem renowacji musiałam upewnić się, że użyję takiego środka, który najlepiej zadziała.

— I co najlepiej podziałało? — Miał oczy utkwione w mej twarzy i ponownie z zakłopotaniem poczułam, że się rumienię.

— Zastosowałam łagodny alkoholowy rozpuszczalnik. Nie podziałałby na stwardniałą warstwę starej farby olejnej, ale ta była zmieszana ze zmiękczoną żywicą.

— Nadzwyczajne, że pani na to wpadła!

— Na tym między innymi polega moja praca.

— W której to dziedzinie jest pani prawdziwym ekspertem.

— Jest pan już o tym przekonany? — Zdałam sobie sprawę, że w moim głosie zabrzmiała zbyt wyraźnie radosna nadzieja, więc zacisnęłam usta, by złagodzić efekt, jaki mogło wywołać moje pytanie.

— Jest pani na najlepszej drodze do przekonania mnie. Czy podoba się pani, mademoiselle Lawson, ten obraz?

— Wydaje się interesujący, ale są tu znacznie lepsze. Nie dorównuje oczywiście dziełom Fragonarda czy Bouchera. Według mnie autor był mistrzowskim kolorystą. Ta alizaryna jest piękna. Odważył się ją zastosować, by uzyskać barwę, o którą mu chodziło. Pociągnięcia pędzlem są nieco chropowate, ale... — urwałam, gdyż wyczułam, że moje uwagi go śmieszają. — Niestety, kiedy mówię o malarstwie, staję się nudna.

— Wydaje się pani nadmiernie krytyczna wobec własnej osoby, mademoiselle Lawson.

Ja? Nadmiernie krytyczna? Pierwszy raz ktoś powiedział mi coś podobnego. A jednak to była prawda. Jak jeż wystawiałam swe kolce w odruchu samoobrony. Niepotrzebnie się zdradziłam.

— Wkrótce ukończy pani odnawianie portretu — zauważył hrabia.

— I wtedy dowiem się, co pan zdecydował, czy jestem godna powierzenia mi renowacji wszystkich obrazów.

— Jestem przekonany, że nie ma pani najmniejszych wątpliwości, jaki będzie werdykt — odparł i z uśmiechem opuścił galerię.

W kilka dni później zakończyłam pracę nad obrazem i hrabia przyszedł wyrazić swą opinię. Stał przez jakiś czas, przyglądając się portretowi ze zmarszczonymi brwiami, a ja czułam, jak mój optymizm słabnie, choć przedtem byłam zadowolona, gdyż wiedziałam, że dobrze wykonałam swe zadanie. Kolory okazały się zaskakujące, natomiast łatwość malarza w posługiwaniu się pędzlem przypominały mi Gainsborougha. Kiedy zaczynałam renowację, wszystko to było ukryte. Teraz zaś wyszło na jaw.

Mój zleceniodawca wyglądał na niezadowolonego.

— A zatem — spytałam — nie jest pan usatysfakcjonowany?

Potrząsnął głową.

— Monsieur le Comte, nie wiem, czego pan oczekuje, ale zapewniam pana, że każdy, kto zna się na malarstwie...

Przeniósł wzrok z obrazu na mnie; lekko uniósł nadające mu taki arogancki wygląd brwi, a kryjący się w kącikach ust uśmieszek zadawał kłam zdumieniu, które jego oczy starały się wyrażać.

— ...tak jak pani — dokończył za mnie. — O tak, jeżeli posiadałbym tę umiejętność, powinienem wykrzyknąć: „Ależ to cud! Wszystko, co do tej pory było ukryte, teraz ukazało się w całej swej świetności!”. To prawda. To wspaniałe. Ale ja mam na myśli te szmaragdy. Nie ma pani pojęcia, jakie kłopoty na nas sprowadziły. I teraz, dzięki pani, mademoiselle Lawson, wyniknie na nowo afera z poszukiwaniem tych klejnotów. Znowu się pojawią najróżniejsze domysły.

Niewątpliwie starał się mi dokuczyć i utwierdzałam się w przekonaniu, że oczekiwał mej klęski. Teraz, nieskory do przyznania, że odniosłam sukces, i nie mogąc temu zaprzeczyć, zajął się szmaragdami.

To dla niego typowe, pomyślałam, lecz zaraz upomniałam się w duchu, że nic mnie nie obchodzi, jakim jest człowiekiem. Jego osoba nie miała dla mnie żadnego znaczenia, interesowałam się wyłącznie jego obrazami.

— A jeśli chodzi o portret, to nie ma pan żadnych zastrzeżeń? — spytałam chłodno.

— Potwierdziła pani opinię z okazanych referencji.

— Czy wobec tego życzy pan sobie, abym odnawiała także pozostałe obrazy?

Przez jego twarz przemknął wyraz, którego nie potrafiłam odczytać.

— Byłbym bardzo rozczarowany, gdyby tak się nie stało. Ogarnęła mnie radość. Wygrałam!

Jednak mój triumf nie był całkowity, wiedziałam bowiem, że gdy hrabia stał tak koło mnie uśmiechnięty, dawał mi jednocześnie do zrozumienia, że jest świadomy moich wątpliwości i obaw oraz wszystkiego, co usiłowałam ukryć.

Żadne z nas nie zwróciło uwagi, że do galerii weszła Geneviève, a skoro zjawiła się po cichu, to być może już przez jakiś czas nas obserwowała.

Pierwszy zauważył ją hrabia.

— Czego sobie życzysz, Geneviève? — zapytał.

— Ja... przyszłam zobaczyć, jak mademoiselle Lawson idzie praca nad portretem.

— To chodź i zobacz.

Podeszła z naburmuszoną miną, którą tak często przybierała w obecności innych osób.

— Proszę — powiedział — to objawienie, prawda? Dziewczynka milczała.

— Mademoiselle Lawson ma prawo oczekiwać od ciebie pochwały za to, co zrobiła. Pamiętajsz, jaki ten obraz był przedtem.

— Nie, nie pamiętam.

— Co za brak uznania dla sztuki! Musisz spróbować namówić mademoiselle Lawson, żeby nauczyła cię rozumieć malarstwo, dopóki jest z nami.

— Więc... więc ona zostaje?

Jego głos nagle się zmienił i był teraz niemal czuły.

— Mam nadzieję — powiedział Monsieur le Comte — że na długo. Ponieważ, jak sama wiesz, w zamku jest jeszcze sporo dzieł, którym powinna poświęcić uwagę.

Geneviève rzuciła na mnie przelotne spojrzenie; jej wzrok był hardy — oczy wyglądały jak dwa czarne kamienie. Zwróciła je na obraz i powiedziała:

— Skoro jest taka zdolna, to może odnajdzie nasze szmaragdy.

— No widzi pani, mademoiselle Lawson, jest tak, jak mówiłem.

— Istotnie wyglądają wspaniale — rzekłam.

— Bez wątpienia dzięki malarzowi i ...mm... jego łatwości posługiwania się pędzlem.

Nic mnie nie obchodziły tego rodzaju kpiny hrabiego ani nieustannie okazywana mi przez jego córkę niechęć. Obchodziły mnie piękne obrazy, fakt zaś, że nie były konserwowane i pozostawały jakby przesłonięte zasłoną, jeszcze wzmagał mój zapał.

Nawet w tym momencie Monsieur le Comte wiedział, o czym myślę, gdyż uklonił się i rzekł:

— Opuszczam panią, mademoiselle Lawson. Widzę, że nie może się pani już doczekać, kiedy zostanie tu sama... z obrazami. — Skinął na córkę, żeby z nim wyszła. Kiedy się oddalili, zostałam w galerii i pozwoliłam mym oczom do woli rozkoszować się to jednym, to drugim obrazem.

Rzadko w życiu byłam czymś tak uradowana i przejęta.

* * *

Teraz, kiedy zapadła decyzja, że zostaję na zamku, by odrestaurować całą kolekcję, postanowiłam przyjąć propozycję hrabiego i skorzystać z tutejszych koni, gdyż jeżdżąc konno mogłabym lepiej poznać okolicę. Już zwiedziłam miasteczko. Wypiłam kawę w *pâtisserie**, gdzie ucięłam sobie pogawędkę z dobroduszną, choć wścibską właścicielką, która każdego z mieszkańców zamku witała z radością. O hrabim wyrażała się z rewerencją, ale i z chytrą miną

* fr. ciastkarnia

osoby dobrze poinformowanej, o „monsieur Phillippe” mówiła niby z szacunkiem, lecz podszytym lekceważeniem, a o Geneviève ze współczuciem. A mademoiselle przyjechała tu, żeby wyczyścić obrazy. No, no, to bardzo ciekawe i ona ma nadzieję, że mademoiselle jeszcze się u niej zjawi i może następnym razem skosztuje *gâteau de la maison*^{*}, gdyż są one bardzo wychwalane w Gaillard.

Przeszłam się po rynku odprowadzana ciekawymi spojrzeniami, wstąpiłam do zabytkowego *hôtel de ville* i obejrzałam kościół.

Teraz perspektywa wybrania się w dalsze rejony bardzo mi się uśmiechała. Szczególnie zaś ujęło mnie to, że — jak się okazało — już mnie w stajniach oczekiwano.

Wybrano mi odpowiedniego wierzchowca o imieniu Bonhomme^{*} i od samego początku ja i koń zaakceptowaliśmy się nawzajem.

Byłam mile zdziwiona, kiedy pewnego ranka Geneviève spytała, czy mogłaby mi towarzyszyć. Tego dnia robiła wrażenie grzecznej i spokojnej, więc w czasie jazdy zapytałam ją, dlaczego tak głupio się zachowała i zamknęła mnie w *oubliette*.

— Cóż, mówiła pani, że się nie boi, a uważałam, że nic się pani złego nie stanie.

— To naprawdę było ogromnie niemądre. Przypuśćmy, że Nounou by się nie domyśliła.

— I tak by panią znalazła po jakimś czasie.

— Po jakimś czasie! Czy zdajesz sobie sprawę, że ludzie mogą umrzeć ze strachu!

— Umrzeć! — odrzekła z niepokojem. — Nikt nie umiera tylko dlatego, że jest gdzieś zamknięty.

— Ludziom nerwowym mogłoby się to przydarzyć.

— Ale pani nigdy. — Spojrzała na mnie z uwagą. — Nie poskarży pani ojcu. Myślałam, że może pani mu powiedzieć... bo jesteście ze sobą tacy zaprzyjaźnieni. — Jechała parę kroków przede mną i kiedy wróciłyśmy do stajni, dodała niby mimochodem: — Mnie nie wolno jeździć konno samej. Zawsze muszę zabierać ze sobą któregoś ze stajennych. Nie było dzisiaj rano żadnego, który mógłby ze mną pojechać, więc nie wybrałabym się na przejażdżkę, gdyby nie pani.

— Miło mi, że mogłam ci się przysłużyć — odparłam chłodno.

Podczas przechadzki po ogrodzie spotkałam Philippe’a. Miałam wrażenie, iż widział, że tam jestem i celowo się zjawił, aby ze mną porozmawiać.

— Gratuluję — powiedział. — Obejrzałam obraz. Różnica jest nadzwyczajna. Wprost trudno poznać, że to ten sam.

Rozpromieniłam się z radości. Zareagował zupełnie inaczej niż hrabia. Był szczerze zadowolony.

— Cieszę się, że pan tak uważa.

— Kto by pomyślał? To niemal cud. Jestem zachwycony, nie tylko wyglądem obrazu, ale także faktem, iż zademonstrowała pani swe umiejętności.

— Miło mi, że pan to mówi.

— Obawiam się, że zachowałem się raczej nieuprzejmie, gdy pani do nas przybyła. Byłem tak zaskoczony i nie bardzo wiedziałem, czego się ode mnie w tej sytuacji spodziewano.

— Nie był pan nieuprzejmy i doskonale rozumiem pana zaskoczenie.

— Bo widzi pani, to obrazy mego kuzyna i oczywiście chciałem postąpić tak, jak on by sobie życzył.

— Oczywiście. I uprzejmie z pana strony, że wykazał pan takie zainteresowanie moją sprawą. Zmarszczył brwi.

* fr. ciastko własnego wypieku

* fr. poczciwina

— Czuję się w pewnym sensie odpowiedzialny... — nie dokończył myśli. — Mam nadzieję, iż nie żałuje pani swego przyjazdu do Gaillard.

— Bynajmniej. Praca okazała się w najwyższym stopniu interesująca.

— O tak... tak... praca.

Dość pośpiesznie zmienił temat, zaczął mówić o ogrodach i uparł się, że pokaże mi dekoracyjne rzeźby wykonane według projektów Le Bruna, wkrótce potem, gdy zakończył on pracę nad freskami w Galerii Zwierciadlanej w Wersalu.

— Szczęśliwie w czasach rewolucji ocalały — wyjaśnił.

Dawało się wyczuć u niego estymę dla wszystkiego, co dotyczyło zamku. Polubiłam za to monsieur Philippe'a, a także za jego uprzejme przeprosiny. Tak miło się usprawiedliwiał ze swego zachowania, które mogło mnie urazić w czasie naszej pierwszej rozmowy i tak autentycznie ucieszył się z mego sukcesu.

* * *

Dni upływały mi według ustalonego schematu. Wczesnie rano szłam do galerii i pracowałam przez całe przedpołudnie. Po lunchu zwykle wychodziłam z zamku i wracałam przed zmrokiem, który o tej porze roku zapadał przed czwartą. Potem zajmowałam się przygotowywaniem potrzebnych mi roztworów albo czytałam zapiski z poprzednich doświadczeń, co zajmowało mi czas do kolacji. Czasami jadłam ją sama w swoim pokoju, niekiedy zaś mademoiselle Dubois zapraszała mnie do siebie. Nie mogłam odmówić, choć często miałam na to ochotę. Wysłuchiwałam historii jej życia: jak to ją, córkę adwokata, wychowywano w przeświadczeniu, że nie będzie musiała pracować. A potem jej ojciec został oszukany przez współnika i zmarł przygnieciony tym nieszczęściem, ona zaś, pozostawszy bez grosza przy duszy, była zmuszona przyjąć posadę guwernantki. Ta pełna żalu nad sobą opowieść była po prostu niesłychanie nudna, więc zdecydowałam, że nie będę zanudzała mej towarzyszkę swoim życiorysem.

Po kolacji czytałam którąś z książek wybranych w bibliotece, gdyż Philippe zapewnił mnie, że hrabia będzie zadowolony, jeżeli skorzystam ze wszystkiego, na co tylko przyjdzie mi ochota.

Tak mijał listopad, a ja pozostawałam na uboczu toczącego się i w zasadzie już znanego mi życia w zamku. Kiedy jednak do mego pokoju docierała muzyka, tylko z rzadka wiedziałam, co się naprawdę dzieje.

Pewnego dnia, gdy wybrałam się na przejażdżkę na Bonhomme, spotkałam jadącego również konno Jean Pierre'a. Powitał mnie jak zwykle wesoło i spytał, czy wybieram się odwiedzić jego rodzinę. Potwierdziłam.

— Niech pani najpierw pojedzie ze mną do winnic w St. Vallient, to potem razem wrócimy.

Nigdy jeszcze nie przejeżdżałam przez St. Vallient, więc się zgodziłam. Towarzystwo Jean Pierre'a sprawiało mi przyjemność i bez niego nawet w domu Bastide'ów nastrój nie był taki miły. Ten młody mężczyzna miał w sobie witalność i radość życia, które do mnie przemawiały.

Rozmawialiśmy o Bożym Narodzeniu, zbliżającym się szybkimi krokami.

— Spędzi pani z nami pierwszy dzień świąt, mademoiselle? — zapytał.

— Czy to oficjalne zaproszenie?

— Zna mnie pani, nigdy nie zachowuję oficjalnych form. To po prostu płynące z głębi serca życzenie wyrażone w imieniu rodziny, która poczytywałaby sobie za zaszczyt gościć panią u nas.

Odrzekłam, że z największą przyjemnością przyjmę zaproszenie i ogromnie mi miło, że taki dzień chcieliby spędzić ze mną.

— Powody są całkowicie egoistyczne, mademoiselle.

Uczył jeden ze swych szybkich, charakterystycznych gestów: pochylił się i dotknął mego

ramienia. Moje oczy ze spokojem spotkały jego gorące spojrzenie, gdyż uznałam, że ten sposób zachowania, wskazujący, iż jestem dla niego kimś ważnym, to jedynie naturalna kurtuazja, właściwa Francuzom i okazywana niejako automatycznie wszystkim kobietom.

— Nie powiem pani teraz, jak obchodzimy Boże Narodzenie — dodał. — To będzie niespodzianka.

Po dotarciu do winnic w St. Vallient Jean Pierre przedstawił mnie monsieur Durandowi, który nimi zarządzał. Jego żona przyniosła wino oraz przepyszne ciasteczka i panowie dyskutowali o jakości trunku. Potem monsieur Durand zabrał Jean Pierre'a na rozmowę o interesach, a zabawianie mnie pozostawił żonie.

Dużo o mnie wiedziała, gdyż było jasne, że sprawy zamku stanowiły główny temat krążących po okolicy plotek. Co sędzę o zamku i jego właścicielu? Udzielałam wymijających odpowiedzi, więc gospodyni, niewątpliwie sądząc, że jeszcze coś ze mnie wyciągnie, zaczęła opowiadać o własnych problemach. Obawiała się o monsieur Duranda, gdyż był już zbyt posunięty w latach jak na wymagającą tak dużego wysiłku pracę.

— Wieczny niepokój! — mówiła. — Każdego roku tak samo, choć od czasu tych wielkich kłopotów sprzed dziesięciu lat tu, w St. Vallient, nie jest jeszcze dobrze. Monsieur Jean Pierre to czarodziej. Zamkowe wina są tak samo dobre jak były. Ufam, że Monsieur le Comte niedługo już zezwoli memu mężowi odejść z pracy.

— Musi czekać na pozwolenie pana hrabiego?

— A jakże, mademoiselle. Monsieur le Comte ma mu dać któryś ze swych domków. Już nie mogę się doczekać tego dnia! Będę trzymała kilka kur i krowę... a może dwie. To będzie dla mego męża najlepsze. Obecna praca jest za ciężka dla starego człowieka. Jak on może, skoro już nie jest młodzieńcem, brać na siebie całe to ryzyko? Bo nikt inny, tylko Bóg potrafi powiedzieć, kiedy nadejdzie mróz niszczący winnice. A latem, gdy jest za mokro, zawsze pojawiają się szkodniki. Ale najgorsze są wiosenne przymrozki. Dzień bywa piękny, a tu nagle nocą, jak złodziej, przychodzi przymrozek i ograbia nas z winogron. A znowu kiedy jest za mało słońca, to winogrona są kwaśne. To zajęcie dla młodego człowieka... takiego jak monsieur Jean Pierre.

— Wobec tego mam nadzieję, że wkrótce państwo uzyskają pozwolenie na odejście na zasłużony odpoczynek.

— Wszystko w ręku Boga, mademoiselle.

— A może — zauważyłam — pana hrabiego.

Rozłożyła dłonie, jakby chciała powiedzieć, że to jedno i to samo.

Po jakimś czasie wrócił Jean Pierre i opuściliśmy St. Vallient. Rozmawialiśmy o Durandach i on potwierdził, że starszy pan ma już za sobą swe najlepsze dni i powinien odpocząć.

— Słyszałam, że musi czekać na decyzję hrabiego.

— O, tak — odrzekł mój towarzysz. — Wszystko od niego zależy.

— Pana to oburza?

— Podobno czasy despotyzmu minęły.

— Pan zawsze mógłby się stąd wyrwać. Hrabia nie byłby w stanie panu w tym przeszkodzić.

— Miałbym opuścić nasz dom?

— Jeżeli aż tak pan nie cierpi hrabiego.

— Takie odniosła pani wrażenie?

— Gdy pan o nim mówi, ton pana głosu staje się ostry, a oczy...

— To nic nie znaczy. Jestem dumnym człowiekiem, być może zbyt dumnym. To miejsce jest moim domem w tym samym stopniu co jego. Moja rodzina była tu od wieków, tak jak i jego. Różnica jedynie polega na tym, że on mieszka w zamku. Ale my wszyscy wzrastaliśmy w cieniu zamku i tu jest nasz dom... tak samo jak jego.

— Rozumiem pana.

— Jeśli nie lubię hrabiego, to po prostu dzielam ogólną opinię. Czy on się przejmuję tymi dobrami? Woli rezydencję w Paryżu i nie raczy nas zauważać. Nie jesteśmy godni jego uwagi. Ale nigdy bym nie pozwolił, żeby wypędził mnie z domu. Pracuję dla niego, bo muszę, staram się go nie widywać ani o nim nie myśleć. Pani będzie miała podobne odczucia. A może już je pani ma.

Nagle zaczął śpiewać; miał miły, tenorowy głos, który w tej pieśni wibrował pasją:

*Qui sont-ils, les gens qui sont riches?
Sont-ils plus que moi qui n'ai rien?
Je cours, je vas, je vir, je viens;
Je n'ai pas peur de perd' ma fortune.
Je cours, je vas, je vir, je viens,
Pas peur de perdre mon bien.*

No tak — w czym wielcy bogacze są lepsi ode mnie biednego; nie boję się stracić fortuny, bo nie mam niczego...

Skończył i z uśmiechem czekał na moją reakcję. ;

— Podoba mi się — powiedziałam.

— Cieszy mnie, bo i ja lubię tę piosenkę.

Jego pełne emocji spojrzenie skierowane w moją stronę skłoniło mnie do lekkiego dotknięcia boku konia. Bonhomme puścił się galopem. Jean Pierre jechał tuż za mną i tak wróciliśmy do Gaillard.

Gdy mijaliśmy winnice, spostrzegłam hrabiego. Prawdopodobnie dopiero co wyjechał z zabudowań gospodarczych. Na nasz widok skłonił głowę w powitalnym ukłonie.

— Życzył pan sobie mnie widzieć, Monsieur le Comte? — spytał Jean Pierre.

— To może poczekać — odrzekł hrabia i odjechał.

— Czy nie powinien być pan tutaj w związku z jego wizytą? — zapytałam zaniepokojona.

— Nie. Wiedział, że wybieram się do St. Vallient. Pojechałem tam na jego polecenie.

Wyglądał jednak na zaintrygowanego. Kiedy przejeżdżaliśmy koło zabudowań gospodarczych w stronę domu Bastide'ów, na drodze ukazała się Gabrielle. Policzki jej płonęły i ślicznie wyglądała.

— Gabrielle! — zawołał Jean Pierre. — Jestem z mademoiselle Lawson.

Uśmiechnęła się do mnie, ale robiła wrażenie, jakby była myślami gdzie indziej.

— Widziałem tu hrabiego — powiedział jej brat. Ton jego głosu uległ wyraźnej zmianie. — Czego chciał?

— Rzucić okiem na jakieś rachunki... to wszystko. Przyjedzie innym razem zobaczyć się z tobą.

Jean Pierre zmarszczył brwi i nie spuszczał wzroku z siostry.

Madame Bastide powitała mnie ciepło jak zawsze, ale przez cały czas mej wizyty u nich Gabrielle robiła wrażenie całkiem nieobecnej myślami, a Jean Pierre był wyraźnie przygaszony.

Hrabia odwiedził mnie następnego rana w galerii.

— Jak postępuje praca? — zapytał.

— Chyba zadowolająco — odparłam.

Rzucił okiem na obraz, nad którym pracowałam. Wskazałam na powierzchniową warstwę farby — popękaną i wypłowiałą — i wyjaśniłam, iż doszłam do wniosku, że stało się tak za przyczyną werniksu.

— Z pewnością ma pani rację — rzucił lekko. — Cieszę się też, że nie poświęca pani całego

swego czasu galerii.

Domyśliłam się, że ta uwaga odnosiła się do faktu, iż widział mnie poprzedniego dnia na przejażdżce, choć w tym czasie mogłabym odnawiać obrazy, więc pośpieszyłam z ostrą ripostą:

— Ojciec zawsze mawiał, że nie ma sensu pracować po obiedzie. To zadanie wymaga ogromnego skupienia, a po porannych zajęciach nie ma już możliwości wykrzesania z siebie takiej koncentracji, jaka jest potrzebna.

— Wyglądała pani na zadziwiająco skoncentrowaną, kiedy spotkaliśmy się wczoraj.

— Skoncentrowaną? — powtórzyłam idiotycznie.

— Przynajmniej — ciągnął dalej — odniosłem wrażenie, że przyjemności, jakie możemy pani zaoferować, są równie interesujące poza zamkiem jak i w nim.

— Ma pan na myśli konia? Przecież sam pan powiedział, że mogę jeździć, jeżeli nadarzy się sposobność.

— Cieszę się, że znajduje pani takie okazje... a także przyjaciół, z którymi może je pani wykorzystać.

Byłam zaskoczona. Z pewnością nie mógł mieć nic przeciwko moim przyjacielskim stosunkom z Jean Pierre'em.

— Miło z pańskiej strony, że interesuje się pan, jak spędzam wolny czas.

— Cóż, wie pani, tak się składa, że przywiązuję wielką wagę do... moich obrazów.

Szliśmy wokół galerii, przyglądając się poszczególnym dziełom, ale wyczuwałam, że hrabia nie poświęca im specjalnej uwagi. Uznałam, że odnosił się krytycznie do mej konnej przejażdżki nie z powodu Jean Pierre'a, lecz spędzonego z nim czasu, który mogłam poświęcić obrazom. To mnie oburzyło. Określiłam czas potrzebny na wykonanie pracy, ale oczywiście, gdybym zakończyła renowację szybciej, mój pobyt na zamku dobiegłby końca i przestałabym być ciężarem dla domowników.

Nie wytrzymałam i zdradziłam swe myśli:

— Jeżeli nie jest pan zadowolony z tempa moich zabiegów... Odwrócił się ku mnie szybko i z uśmiechem zapytał:

— Skąd taki pomysł przyszedł pani do głowy, mademoiselle Lawson?

— Pomyślałam... odniosłam wrażenie...

Przekrzywił z lekka na bok głowę. Odkrywał kolejne cechy mego charakteru, których sama nie byłam świadoma.

— Ależ szybko się pani obraża. Dlaczego? Czy dlatego, że jest pani nieodporna... bardzo nieodporna na krytykę?

— Wobec tego — spytałam speszona — czy jest pan zadowolony z tego, co robię?

— Nadzwyczaj, mademoiselle Lawson.

Wróciłam do swoich zajęć, a hrabia dalej oglądał obrazy. Nie widziałam, jak wychodził, usłyszałam tylko ciche zamykanie drzwi.

Już do końca tego przedpołudnia nie udało mi się odzyskać tak potrzebnego w pracy spokoju ducha.

* * *

W drodze do stajni usłyszałam biegnącą za mną Geneviève.

— Mademoiselle, czy wybrałaby się pani ze mną konno do Carrefour?

— Carrefour?

— Do domu mego dziadka. Jeśli pani nie pojedzie, będę musiała wziąć ze sobą kogoś ze stajennych. Wybieram się do dziadka z wizytą. Na pewno bardzo chciałby panią poznać.

Jeżeli nawet skłaniałabym się do odrzucenia tak nieuprzejmie złożonego zaproszenia, to o wyrażeniu zgody zdecydowało przywołanie osoby dziadka.

Na podstawie rozmowy z Nounou i zapisanych przez Françoise zeszytików rysował mi się już jasny obraz sympatycznej, małej, pełnej wdzięku dziewczynki, która powierzała pamiętnikowi swe niewinne tajemnice. Nieodparta była pokusa skorzystania ze sposobności i poznania ojca owej panienki, a także obejrzenia domu, czyli tego, co stanowiło tło kształtujące życie opisywane w zeszytikach.

Geneviève dosiadła wierzchowca z łatwością właściwą osobie jeżdżącej konno od wczesnego dzieciństwa. Od czasu do czasu zwracała mi uwagę na ciekawsze miejsca po drodze, a w pewnej chwili się zatrzymała. Stąd można było ze sporej odległości spojrzeć na zamek.

Z takiej perspektywy widok budowli wzniesionej pośród winnic był imponujący; z tego miejsca dało się lepiej ocenić założenia koncepcyjne i symetrię średniowiecznych, zwieńczonych blankami murów, masywnych przypór, cylindrycznych baszt oraz ostrych, stożkowych szpiców wznoszących się z dachu. A dalej, ponad domami miasteczka mogłam dojrzeć strzelistą wieżę kościoła oraz *hôtel de ville*, stojących na jego straży.

— Podoba się pani? — spytała Geneviève.

— Uroczy widok.

— To wszystko należy do papy, ale nigdy nie będzie moje. Szkoda, że nie jestem chłopcem. Wtedy papa byłby ze mnie zadowolony.

— Gdybyś była grzeczna i odpowiednio się zachowywała, też byłby z ciebie zadowolony — odparłam moralizatorskim tonem.

Spojrzała na mnie z drwiną, na którą raczej zasłużyłam.

— No, nie, mademoiselle, mówi pani zupełnie jak guwernantka. One zawsze wygłaszają takie oklepane zdania. Mówią, co należy robić... a same często postępują inaczej. — Spojrzała na mnie z ukosa i wybuchnęła śmiechem. — Och, nie mam na myśli Starej Gruchotki. Ona by nigdy tak się nie zachowała. Ale inne...

Przypomniałam sobie nagle guwernantkę, którą Geneviève zamknęła w *oubliette* i zrezygnowałam z kontynuowania tego wątku.

Dotknęła boków swego wierzchowca i pogalopowała przodem — śliczny widok pędzącej na koniu dziewczynki z rozwiewającymi się spod kapelusza włosami. Przyśpieszyłam również i zrównałam się z nią.

— Gdyby papa miał syna, nie potrzebowalibyśmy tutaj kuzyna Philippe'a. Byłaby przyjemna atmosfera.

— Według tego, co zdążyłam zauważyć, on jest zawsze dla ciebie miły.

Obróciła na mnie spojrzenie.

— Swego czasu przeznaczono mu mnie na żonę.

— Och... rozumiem. Ale teraz już nie? Potrząsnęła przecząco głową.

— Mnie na tym nie zależy. Chyba pani nie myśli, że chciałabym wyjść za Philippe'a?

— Jest znacznie starszy od ciebie.

— Czternaście lat... akurat dwukrotnie.

— Jednak w miarę gdy stawałabyś się dojrzalsza, ta różnica nie wydawałaby się taka wielka.

— Cóż, papa zdecydował, że do tego małżeństwa nie dojdzie. Proszę mi powiedzieć, mademoiselle, jak pani sądzi, dlaczego tak postanowił? Jest pani taka mądra.

— Zapewniam cię, że nic nie mogę wiedzieć o intencjach twego ojca. W ogóle nic nie wiem o twoim ojcu... — Samą mnie zdumiało, że powiedziałam to z takim żarem, gdyż nic tego nie usprawiedliwiało.

— Więc nie jest pani wszechwiedząca! Coś pani powiem, Philippe był bardzo zły, kiedy się

dowiedział, że papa zabrania mu mnie poślubić.

Geneviève uniosła dumnie głowę i uśmiechnęła się z zadowoleniem, więc odparłam uszczypliwie:

— Może jeszcze za dobrze cię nie zna. Moja odpowiedź ją rozśmieszyła.

— To nie ma nic wspólnego ze mną — stwierdziła. — Chodzi o to, że jestem córką papy. Kiedy mama została... nie, kiedy mama zmarła, papa zmienił zamiar. W ogóle zmienił się wtedy. Sądzę, że chciał obrazić Philippe'a.

— Dlaczego miałby chcieć go obrazić?

— Och... tak sobie, dla zabawy. On nienawidzi innych ludzi.

— Na pewno tak nie jest. W nikim nie rodzi się tego rodzaju uczucie bez przyczyny.

— Mój ojciec nie jest taki jak inni zwykli ludzie. — Dziewczynka powiedziała to niemal z dumą, a w jej głosie nieświadomie zabrzmiała nuta nienawiści; dziwnej, nietypowej, gdyż pomieszanej z szacunkiem.

— Każdy z nas jest indywidualnością — zauważyłam pośpiesznie. Tym razem śmiech Geneviève zabrzmiał gorzko. Zauważałam ten ton za każdym razem, kiedy mówiła o ojcu.

— On mnie nienawidzi — ciągnęła dalej. — Bo widzi pani, ja jestem podobna do mamy. Nounou twierdzi, że z wiekiem coraz bardziej. Ja mu ją przypominam.

— Nasłuchałaś się za wiele plotek.

— A pani może za mało.

— Słuchanie plotek to niezbyt chwalebny sposób spędzania czasu.

Te słowa znowu ją rozbawiły.

— Jedno mogę powiedzieć, miss, że pani nie zawsze spędza czas w chwalebny sposób.

Zaczerwieniłam się z irytacji, którą zawsze wywołuje gorzka prawda.

Geneviève zwróciła ku mnie twarz. „„

— Pani uwielbia plotki, miss. Nie szkodzi, to tylko wzbudza moją sympatię. Nie mogłabym znieść, gdyby była pani taką świetlaną i nadzwyczajną osobą, za jaką się pani uważa.

— Dlaczego nie rozmawiasz z ojcem swobodnie, tylko robisz wrażenie, jakbyś się go bała? — spytałam.

— Wszyscy się go boją.

— Ja nie.

— Naprawdę, miss?

— Czemu miałabym się go bać? Jeżeli nie jest zadowolony z mojej pracy, może mi to powiedzieć, a wyjadę i nigdy już go nie zobaczę na oczy.

— Tak, dla pani może nie stanowi to problemu. Moja mama go się bała... straszliwie bała.

— Powiedziała ci?

— Nie wyraziła tego słowami, ale ja wiedziałam. A pani wie, co się z nią stało.

— Czy nie powinniśmy ruszyć dalej? — zauważyłam. — Jeżeli będziemy tak marudzić, nie wrócimy do domu przed zmrokiem.

Rzuciła mi błagalne spojrzenie i spytała:

— Tak, ale czy nie sądzi pani, że kiedy ludzie umierają... nie w ten sposób, jak się zwykle umiera, tylko gdy są... Czy nie myśli pani, że niektórzy ludzie nie mogą w grobie zaznać spokoju? Że nie wracają, nie szukają...

Odezwałam się ostro:

— Geneviève, o czym ty mówisz?

— Miss — powiedziała i w jej głosie zabrzmiała jakby prośba o pomoc — czasami w nocy budzę się przerażona, gdyż wydaje mi się, że słyszę w zamku jakieś hałasy.

— Moja droga Geneviève, każdemu zdarza się budzić z lękiem od czasu do czasu. Zwykle

przyczyną tego jest zły sen.

— Odgłosy kroków... pukanie... ja to słyszę. Słyszę naprawdę. Leżę i się trzęsę... bo spodziewam się zobaczyć...

— Swoją matkę?

Dziewczynka była przestraszona i oczekiwała ode mnie pomocy. Nie było sensu tłumaczyć, że mówi bzdury, bo nie ma żadnych duchów. Wcale bym jej nie pomogła, gdyż uznałaby, że to tylko takie gadanie dorosłego, aby uspokoić dziecko.

— Posłuchaj, Geneviève — powiedziałam. — Załóżmy, że istnieją duchy, załóżmy, że twoja mama wraca.

Dziewczynka skinęła głową i wpatrywała się we mnie rozszerzonymi z ciekawości oczami.

— Kochała ciebie, prawda?

Zauważyłam, że jej dłonie zaciskają się na wodzach.

— O tak, kochała mnie... nikt mnie tak nie kochał jak ona.

— I nigdy nie zrobiłaby ci krzywdy, prawda? A czy sądzisz, że teraz, kiedy nie żyje, zmieniła swój stosunek do ciebie?

Dojrzałam na twarzy Geneviève wyraz ulgi. Byłam z siebie zadowolona. Znalazłam słowa pocieszenia, którego tak rozpaczliwie potrzebowała. Mówiłam dalej:

— Kiedy byłeś dzieckiem, opiekowała się tobą; gdyby zobaczyła, że upadłaś, czyż nie podbiegłaby do ciebie, żeby cię podnieść, czyż nie? — Skinęła głową. — Dlaczego miałoby się to zmienić teraz, kiedy nie żyje? Według mnie hałasy, które słyszysz, to skrzypienie podłogi, jak w każdym starym domu, trzaskanie drzwi, okien... takie różne odgłosy. A czasami może chrobot myszy... Ale załóżmy, że są duchy. Czy nie sądzisz, że twoja mama, gdyby się zjawiała, to właśnie po to, żeby cię uchronić przed złem?

— Tak — odrzekła, patrząc na mnie rozjaśnionym już wzrokiem. — Tak by było. Kochała mnie.

— Pamiętaj o tym, jeśli zbudzisz się przestraszona w nocy.

— O tak — odpowiedziała uradowana. — Nie zapomnę.

Udało mi się ją pocieszyć, czując zaś, że dalsza rozmowa mogłaby zniweczyć osiągnięty efekt, ruszyłam dalej i po krótkiej chwili cwałowałyśmy już koło siebie. Dalszą drogę odbyłyśmy w milczeniu, aż naszym oczom ukazał się Maison Carrefour.

To był stary dom, wzniesiony w pewnej odległości od skrzyżowania dróg. Otaczał go gruby, kamienny mur, ale ozdobna brama z kutego żelaza była otwarta. Wjechałyśmy przez nią pod szerokim sklepieniem i znalazłyśmy się na wewnętrznym dziedzińcu. Okna były zasłonięte zielonymi żaluzjami. Uderzyła mnie panująca wokół cisza. Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie dom owej wesołej dziewczuszki, zapisującej codziennie swe przeżycia w małych zeszytach.

Geneviève rzuciła mi krótkie spojrzenie, jakby chciała odgadnąć, jakie zrobił na mnie wrażenie dom jej dziadka, lecz miałam nadzieję, że niczego po sobie nie pokazałam.

Zostawiłyśmy konie w stajni i dziewczynka zaprowadziła mnie do drzwi. Uderzyła w nie ciężką kołatką i na parterze rozległo się echo stukania. Po chwili ciszy usłyszałam szuranie nogami i ukazał się służący.

— Dzień dobry, Maurice — przywitała go Geneviève. — Dzisiaj jest ze mną mademoiselle Lawson.

Po wymianie powitań znalazłyśmy się w holu, którego posadzka wyłożona była ozdobionymi mozaiką płytami.

— Jak się dziś czuje dziadek? — spytała dziewczynka.

— Bez zmian, mademoiselle. Sprawdzę, czy jest gotowy na przyjęcie gości.

Zostawił nas same, a po jakimś czasie wrócił i oznajmił, że pan może nas przyjąć.

Gdy wprowadził nas do pokoju, od razu przejął mnie ziąb — w kominku nie rozpalono ognia. To pomieszczenie swego czasu musiało być piękne, gdyż cechowały je idealnie wyważone proporcje. Sufit był pokryty płaskorzeźbami, a między nimi widniały inskrypcje trudne do odczytania, w każdym razie pisane w średniowiecznej francuszczyźnie. Opuszczone żaluzje dawały tylko minimalną ilość światła. Meble odznaczały się spartańską prostotą. W fotelu na kółkach siedział dziadek Geneviève. Jego widok mnie przeraził, gdyż starzec wyglądał bardziej jak kościotrup niż żywa ludzka istota. Oczy, głęboko zapadnięte w tej trupiej twarzy, nienaturalnie błyszcząły. W rękę trzymał książkę, którą zamknął na nasz widok. Miał na sobie brązowy szlafrok przewiązany sznurem.

— Dziadku — odezwała się dziewczynka — przyszedłam cię odwiedzić.

— Moje dziecko — odpowiedział zadziwiająco mocnym głosem i wyciągnął chudą, bladą, nabrzmiałą żyłami dłoń.

— Przeprowadziłam ze sobą — mówiła dalej Geneviève — mademoiselle Lawson. Przyjechała z Anglii i odnawia obrazy ojca.

Oczy starca, wyglądające na jedyne żywe organy jego ciała, robiły wrażenie, jakby starały się przeniknąć mnie na wskroś.

— Mademoiselle Lawson, proszę wybaczyć, że nie wstaję. Udaje mi się to z wielką trudnością i tylko przy pomocy służących. Miło mi, że przyjechała pani z moją wnuczką. Geneviève, przynieś krzesło dla mademoiselle Lawson... i dla siebie.

— Tak, dziadku.

Usiadłyśmy naprzeciwko niego. Zachowywał się z wyszukaną uprzejmością; zapytał o moją pracę, wyraził nią wielkie zainteresowanie i powiedział, że Geneviève musi mi pokazać jego kolekcję. Niektóre obrazy wymagałyby może odnowienia. Sama myśl o zamieszkaniu, choćby chwilowo, w takim miejscu, przejęła mnie dreszczem. Zamek, przy wszystkich swych tajemnicach, żył. Żył! To było właściwe słowo. Ten dom zaś robił wrażenie wymarłego.

Od czasu do czasu starzec zwracał się do Geneviève i uderzające było, jak jej się bacznie przyglądał. Do mnie odnosił się uprzejmie z uwagą, natomiast byłam zdziwiona, z jakim napięciem kierował swe badawcze spojrzenie na wnuczkę. Jest do niej bardzo przywiązany, pomyślałam. Dlaczego Geneviève sądzi, że nie jest kochana — gdyż według mnie właśnie to stanowiło główną przyczynę jej niewłaściwego zachowania — skoro ma tak oddanego sobie dziadka.

Chciał wiedzieć, co dziewczynka porabia, pytał o postępy w nauce. Zdziwiło mnie, że mówił o mademoiselle Dubois, jakby była jego bliską znajomą, gdy tymczasem — jak zdołałam się zorientować z tego, co mówiła Geneviève — nawet nie widział jej na oczy. Znał oczywiście dobrze Nounou, gdyż swego czasu tutaj mieszkała, i wyrażał się o niej jak o starej przyjaciółce.

— Geneviève, a jak się miewa Nounou? Mniemam, że jesteś dla niej grzeczna. Pamiętaj, to taka poczciwa dusza. Może prosta, ale stara się najlepiej, jak może. Zawsze taka była. I jest dla ciebie taka dobra. Nigdy o tym nie zapominaj, masz ją traktować życzliwie.

— Tak, dziadku.

— Mam nadzieję, że nie okazujesz jej zniecierpliwienia?

— Niezbyt często.

— Czasami? — Wyraźnie się zaniepokoił.

— No, nie tak bardzo. Po prostu mówię: „Ty stara, głupia babo”.

— To niegrzeczne. Czy potem modlisz się o wybaczenie?

— Tak, dziadku.

— Nie ma sensu prosić o wybaczenie, jeżeli się popełnia natychmiast taki sam grzech. Panuj nad sobą, Geneviève. A jeżeli cię kusi, żeby źle postępować, pamiętaj o cierpieniu, jakie zadajesz.

Zastanawiałam się, na ile on się orientuje, co jego wnuczka wyprawia, czy Nounou go odwiedza i opowiada o postępach dziewczynki. Czy wiedział, że jego wnuczka zamknęła mnie w *oubliette*?

Posłał po wino i biskwity, które zwykle podawano. Poczęstunek przyniosła stara kobieta w białym czepku na siwych włosach. Domyśliłam się, że to jedna ze służących. Postawiła wino z dość posępną miną, bez słowa. Geneviève mruknęła coś na powitanie, a tamta dygnęła i wyszła.

Potem starzec zwrócił się do mnie:

— Słyszałem, że obrazy mają być odnawiane, lecz nie oczekiwałem, że będzie to robić dama.

Opowiedziałam mu o śmierci ojca i wyjaśniłam, że przejęłam zlecenia, które miał wykonać.

— Wywołało to początkowo pewne zaskoczenie — dodałam — lecz obecnie hrabia jest zadowolony z mej pracy.

Zauważyłam, że przygryzł wargi i zacisnął rękę na okrywającym go pledzie.

— Tak więc... — odezwał się po chwili — on jest z pani zadowolony. — Miał teraz inny głos i wyraz twarzy. Spostrzegłam, że siedząca na brzegu krzesła Geneviève wpatruje się w niego nerwowo.

— W każdym razie tak należy wnosić, skoro pozwolił mi dalej odnawiać swe obrazy — odpowiedziałam.

— Ufam... — zaczął, lecz jego głos tak przycichł, że nie usłyszałam końca zdania.

— Słucham?

Potrząsną głową. Wzmianka o zięciu wyraźnie go zdenerwowała. Poznałam zatem jeszcze jedną osobę, która nie cierpiała hrabiego. Co takiego było w tym człowieku, że wzbudzał strach i nienawiść? Po ostatniej wymianie zdań rozmowa jakoś się nie kleiła, więc Geneviève, szukając wyjścia z sytuacji, spytała, czy może pokazać mi otoczenie domu.

Przemierzyliśmy szereg korytarzy, aż znalazłyśmy się w kuchni i dopiero stamtąd wyszłyśmy do ogrodu.

— Dziadek ucieszył się z twojej wizyty — zauważyłam. — Pewnie chciałby, żebyś go częściej odwiedzała.

— Jemu to nie robi różnicy. Po prostu nie pamięta. Jest bardzo stary i już nie taki jak przed... wylewem. Ma zmałowany umysł.

— Czy ojciec wie, że tu przyjeżdżasz?

— Nie pyta o to.

— Czy to znaczy, że on sam nigdy tu nie bywa?

— Nie zdarzyło mu się od śmierci mamy. Dziadek raczej nie chciałby go widzieć. Może pani sobie wyobrazić mego ojca tutaj?

— Nie — odrzekłam z pełnym przekonaniem.

Odwrociłam się, żeby rzucić okiem na dom i zauważyłam, że w jednym z okien na piętrze poruszyła się firanka. Ktoś nas obserwował. Spojrzenie Geneviève powędrowało za moim wzrokiem.

— To madame Labisse, ta, co przyniosła wino. Ciekawi ją, kim pani jest. Jej się teraz tu nie podoba, wolałaby, żeby było jak przedtem, za dawnych czasów. Pracowała jako pokojówka, a Labisse był lokajem. Nie wiem, czym się teraz zajmują. Nie zostaliby tu, gdyby nie to, że dziadek zrobił im zapis w testamencie pod warunkiem, że zostaną ria służbie do jego śmierci.

— Dziwny dom — stwierdziłam.

— To dlatego, że dziadek jest jakby na wpół żywy. Pozostaje w takim stanie już od trzech lat. Lekarze nie rokują, że może dłużej żyć, więc pewnie Labisse'owie uznali, że im się to opłaci.

Od trzech lat, powtórzyłam w myślach. To znaczy od śmierci Françoise. Czy tak się wtedy przejął, że dostał wylewu? Jeżeli kochał ją tak, jak najwyraźniej jej córkę, byłoby to zrozumiałe.

— Wiem, o czym pani myśli — odezwała się Geneviève podniesionym głosem. — Pani uważa,

że to się stało w związku ze śmiercią mamy. Dziadek miał wylew tydzień wcześniej. Czy to nie dziwne — dodała — wszyscy spodziewali się jego zgonu... a to ona zmarła.

Istotnie dziwne. Zmarła po przedawkowaniu opium w tydzień po tym, gdy ojciec dostał wylewu. Czy tak bardzo ją to przygnębiło, że odebrała sobie życie?

Dziewczynka zawróciła w stronę domu, a ja w milczeniu podążyłam za nią. Doszłyśmy do jakichś drzwi, które Geneviève popchnęła, przytrzymując je dla mnie. Panowała tu kompletna cisza. Moja przewodniczka szła przodem, ja za nią — czułam się tak, jakbym uczestniczyła w jakimś spisku.

Znalazłyśmy się w mrocznej sieni.

— Gdzie jesteśmy? — spytałam, ale dziewczynka położyła palec na ustach.

— Chcę pani coś pokazać.

Minęłyśmy sieni i doszłyśmy do kolejnych drzwi, które Geneviève otworzyła. Moim oczom ukazał się pokój prawie zupełnie pusty, nie było tam żadnych sprzętów poza wąskim, twardym łóżkiem, klęcznikiem i drewnianą skrzynią. Podłogi z kamiennych płyt nie okrywał nawet skrawek chodnika czy dywanu.

— Ulubiony pokój mego dziadka — oznajmiła.

— Wygląda jak klasztorna cela — zauważyłam.

Pokiwała głową wyraźnie zadowolona z mojego spostrzeżenia. Obrzuciła pokój wokół ukradkowym spojrzeniem i otworzyła kufer.

— Geneviève — ostrzegłam ją — nie masz prawa...

Nie mogłam jednak powstrzymać ciekawości i spojrzałam do jego wnętrza.

Ależ to włosienica, pomyślałam ze zdumieniem. I było tam jeszcze coś, co wzbudziło we mnie dreszcz przerażenia. Bicz!

Geneviève opuściła wieko skrzyni.

— No i co pani myśli o tym domu, mademoiselle? — zapytała. — Jest równie interesujący jak zamek, nie sądzi pani?

— Na nas już czas — odpowiedziałam. — Musimy się jeszcze pożegnać z twoim dziadkiem.

W drodze powrotnej milczała. Co do mnie, to nie mogłam uwolnić się od myśli o tym dziwnym domostwie. Czułam się jak po obudzeniu z koszmarne snu, po którym jakieś jego niejasne wrażenie tkwi nadal w pamięci.

Goście bawiący z wizytą wyjechali i moja sytuacja niezwłocznie się zmieniła. Zaczęłam na nowo w większym stopniu uczestniczyć w życiu toczącym się na zamku. I tak pewnego przedpołudnia, tuż po opuszczeniu galerii, natknęłam się na hrabiego.

Powitał mnie i powiedział:

— Teraz, gdy już wszyscy nasi znajomi wyjechali, powinna pani, mademoiselle Lawson, jadać z nami od czasu do czasu kolację. *En famille*^{*}, rozumie pani. Będzie pani mogła oświecać nas w kwestiach związanych ze swą ulubioną dziedziną. Miałaby pani ochotę?

Odrzekłam, że sprawi mi to przyjemność.

— Wobec tego proszę się do nas przyłączyć dziś wieczorem — oświadczył.

Już w swym pokoju uświadomiłam sobie, że spotkanie z nim dodało mi nowego ducha. Każda z prowadzonych z hrabią rozmów bardzo mnie ożywiła, choć później często byłam zła na niego. Wyjęłam z szafy czarną aksamitną suknię i rozłożyłam ją na łóżku. Właśnie wtedy rozległo się pukanie i do pokoju weszła Geneviève.

— Wychodzi pani dzisiaj gdzieś na kolację? — spytała.

— Nie, jem ją z wami.

* ft. w rodzinie

— Wygląda pani na zadowoloną. Papa panią zaprosił?
— Miło jest otrzymać zaproszenie, zwłaszcza że to się nieczęsto zdarza.

Pogłaskała w zamyśleniu materiał sukni.

— Lubię aksamit — stwierdziła.

— Właśnie wracam do galerii — powiedziałam — czy chciałaś się ze mną widzieć w jakiejś konkretnej sprawie?

— Nie, po prostu pragnęłam się z panią zobaczyć.

— Możesz iść ze mną do galerii.

— Nie, nie chce mi się.

Poszłam więc sama i pozostawałam tam aż do czasu, kiedy trzeba było się przebrać do kolacji. Posłałam po ciepłą wodę i umyłam się w *ruelle*. Popadłam w jakiś absurdalny, bo prawie upojny stan oczekiwania. Już miałam włożyć suknię, gdy spojrzałam na nią i zamarłam z przerażenia. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom! Kiedy rozkładałam ją na łóżku, była gotowa do ubrania — teraz zaś spódnica zwisała w formie postrzępionych i nierównych pasków. Ktoś pociął ją od talii do dołu, góra też była podziurawiona.

Wzięłam ją do rąk i wpatrywałam się w nią w zdumieniu i rozpacz.

— Nie do wiary — powiedziałam na głos. Podeszłam do dzwonka i pociągnęłam za taśmę.

Do pokoju wpadła Josette.

— Słucham, mademoiselle...

Wyciągnęłam ku niej suknię, a dziewczyna przycisnęła dłonie do ust, aby powstrzymać okrzyk.

— Co to ma znaczyć? — zażądałam wyjaśnień.

— Och... ależ to niegodziwe. Och, dlaczego...?

— Nie rozumiem, jak... — zaczęłam.

— Mademoiselle, ja tego nie zrobiłam. Przysięgam, to nie ja. Tylko przyniosłam ciepłą wodę. To się musiało stać przedtem.

— Nawet przez moment nie przyszło mi do głowy, że to ty zrobiłaś, Josette. Niemniej zamierzam ustalić, kto się tego dopuścił.

Wybiegła prawie z histerycznym płaczem.

— To nie ja! To nie ja! Nie można mnie obwiniać!

Stałam, spoglądając na zniszczoną suknię. Podeszłam do szafy i wyjęłam drugą, szarą z fiołkowym paskiem. Właśnie zdążyłam zdjąć ją z wieszaka, gdy zjawiła się Josette z nożyczkami w ręku.

— Wiem, kto to zrobił — oznajmiła. — Poszłam do szkolnego pokoju i znalazłam je... tam, gdzie je położyła. Proszę zobaczyć, mademoiselle, jeszcze są na nich odrobinki aksamitu. O, niech pani spojrzy na te małe kawałeczki. To aksamit.

Nie miałam wątpliwości zarówno teraz, jak i od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłam zniszczony strój. Geneviève. Ale dlaczego to zrobiła? Czemu mnie tak nienawidzi?

Poszłam do jej pokoju. Siedziała na łóżku, patrząc przed siebie pustym wzrokiem, podczas gdy Nounou krążyła z płaczem po pokoju.

— Dlaczego to zrobiłaś? — zapytałam.

— Bo tak mi się chciało.

Staruszka zatrzymała się i patrzyła na nas przerażona.

— Zachowujesz się jak dziecko. Czy w ogóle nie przychodzi ci do głowy, że najpierw powinnaś pomyśleć, zanim coś zrobisz?

— Przychodzi. Pomyślałam, że z wielką chęcią to zrobię, więc kiedy pani wróciła do galerii, poszłam po nożyczki.

— A teraz nie jest ci przykro?

— Nie.

— A mnie tak. Nie mam wielu sukni.

— Mogłaby pani włożyć taką pociętą. Może byłoby pani w niej do twarzy. Na pewno niektórzy tak by pomyśleli. — Zaczęła się śmiać bez opamiętania, lecz widziałam, że była bliska łez.

— Przestań — powiedziałam stanowczym głosem. — Głupio się zachowujesz.

— Ciach, ciach, w ten sposób tnie się suknię. Ale heca! Trzeba było usłyszeć te nożyczki. Sama przyjemność! — Dalej się śmiała, gdy Nounou położyła jej dłoń na ramieniu, którą dziewczynka zaraz strąciła.

Zostawiłam je same. Nie było sensu przemawiać Geneviève do rozumu, gdy miała taki nastrój.

Kolacja, na którą tak się szykowałam, odbyła się w niezbyt miłej dla mnie atmosferze. Miałam przez cały czas świadomość, że Geneviève, która zjawiała się nadąsana i milcząca, spogląda na mnie ukradkiem w oczekiwaniu — byłam tego pewna — że wydam ją przed ojcem.

Trochę rozmawiałam, głównie o obrazach i zamku, ale czułam, że raczej zanudzam hrabiego i rozczarowałam go, gdyż pewnie spodziewał się z mojej strony bardziej błyskotliwych wypowiedzi w związku z jego złośliwościami.

Czekałam tylko, kiedy będę mogła się wymknąć do swego pokoju, co uczyniłam zaraz po zakończeniu posiłku. Bez przerwy roztrząsałam w myślach, co zrobić. Powinnam porozmawiać z Geneviève i wytłumaczyć jej, że niegrzeczne zachowanie to doprawdy wątpliwa przyjemność.

W czasie gdy to rozważałam, przysłała do mnie mademoiselle Dubois.

— Muszę z panią porozmawiać — oświadczyła. — Co za zamieszanie!

— Słyszała pani o mej sukni?

— Cały dom o tym słyszał. Josette powiadomiła *sommelier*^{*}, a ten hrabiego. Mademoiselle Geneviève zbyt często robi takie wstrętne kawały.

— A zatem... on wie.

— Tak... wie — potwierdziła guwernantka, patrząc na mnie spłoszonym wzrokiem.

— Co na to Geneviève?

— Chowa się w swoim pokoju za spódnicą Nounou. Będzie ukarana, bo na to zasłużyła.

— Tak się zastanawiam, jak ona może znajdować upodobanie w tego typu postępkach.

— Psoty! Złośliwości! Jest zazdrosna, że panią zaproszono na kolację w gronie rodziny i że hrabia okazuje pani takie zainteresowanie.

— To oczywiście, że się interesuje swoimi obrazami. Mademoiselle Dubois zachichotała.

— Zawsze byłam ostrożna. Naturalnie, kiedy tu przyjechałam, nie miałam pojęcia, w jakiego rodzaju domu się znajdę. Hrabia... zamek... to brzmiało wspaniale. Jednak gdy usłyszałam te straszne historie, wprost się przeraziłam. Prawie już byłam gotowa spakować się i wyjechać. Lecz zdecydowałam, że spróbuję, choć wiedziałam, jak bardzo to jest niebezpieczne. Na przykład taki mężczyzna jak hrabia...

— Nie sądzę, by z jego strony mogło grozić pani niebezpieczeństwo.

— Mężczyzna, którego żona zmarła w taki sposób! Jest pani dość naiwna, mademoiselle Lawson. A jeśli chodzi o ścisłość, to ostatnią posadę musiałam porzucić właśnie z powodu niemile przeze mnie widzianych zalotów pana domu.

Zaczerwieniła się mocno, niewątpliwie — pomyślałam cynicznie — w związku z jej własnymi wyimaginowanymi pragnieniami.

Nie miałam wątpliwości, że owe sytuacje, o których mówiła mademoiselle Dubois, istniały wyłącznie w jej wyobraźni.

— Jakie to musiało być dla pani żenujące — zauważyłam.

* ft. piwniczny

— Kiedy tu przyjechałam, zdałam sobie sprawę, że muszę szczególnie uważać ze względu na reputację hrabiego. Jego osoba zawsze łączyła się ze skandalami.

— Skandale zdarzają się zawsze wtedy, gdy w pobliżu znajdują się tacy, którzy chcą się ich doszukiwać — wtrącałam.

Nie znosiłam tej kobiety i to z wielu powodów; cudze przykrości sprawiały jej przyjemność; w idiotyczny sposób dawała do zrozumienia, że jest *femme fatale* — kobietą łamiącą męskie serca; a także, co było raczej niezrozumiałe, za jej długi nos, powodujący, że wyglądała jak ryjówka. Biedna, jakby mogła coś poradzić na to, że tak wygląda! Lecz owego wieczoru na jej twarzy malowało się ubóstwo ducha i z tej przyczyny wzbudzała we mnie taką niechęć. Pomyślałam, że nie znoszę ludzi, którzy łatwo osądzają innych.

Byłam zadowolona, kiedy mademoiselle Dubois wyszła. Moje myśli zaprzętała wyłącznie Geneviève. Nastąpiło pogorszenie naszych stosunków i to mnie rozczarowało. Mniej martwiła mnie strata sukni niż fakt, że utraciłam zaufanie dziewczynki, które już zaczynałam zdobywać. I co dziwne, na przekór temu, jak się zachowała, poczułam do niej coś w rodzaju czułości. Biedne dziecko! Potrzebowała troski; działała po omacku, by zwrócić na siebie uwagę, byłam tego pewna. Według mnie zbyt mało okazywano jej w tym domu pomocy i zrozumienia — ojciec ją lekceważył, a niania rozpieszczała. Coś trzeba z tym zrobić, nie miałam wątpliwości. I choć rzadko działałam pod wpływem impulsu, tym razem tak zrobiłam.

Udałam się do biblioteki i zapukałam do drzwi. Nie było odpowiedzi, więc weszłam do środka i pociągnęłam za taśmę dzwonka. Kiedy zjawił się jeden z lokajów, poprosiłam, żeby przekazał ode mnie wiadomość panu hrabiemu: jestem tutaj i chciałabym z nim porozmawiać.

Dopiero gdy zobaczyłam zdumienie na twarzy służącego, uświadomiłam sobie rozmiar własnej zuchwałości. Mimo to nadal uważałam, że sprawa jest na tyle pilna, że wszystko inne nie ma znaczenia.

Zastanowiwszy się, oczekiwałam, że służący wróci i oznajmi, iż pan jest zbyt zajęty i dobrze by było odłożyć nasze spotkanie na następny dzień, lecz ku memu zaskoczeniu, gdy otworzyły się drzwi, stanął w nich hrabia.

— Pani posłała po mnie, mademoiselle Lawson?

Ironia była wyraźna, więc się zaczerwieniłam.

— Chciałam porozmawiać z panem, Monsieur le Comte.

Na jego twarzy pojawił się posępny wyraz.

— Ach tak, o tym zniszczeniu pani sukni. Muszę panią przeprosić za postępek mojej córki.

— Nie przyszłam tu po przeprosiny.

— Jest pani bardzo wyrozumiała.

— Cóż, byłam zła, gdy zobaczyłam suknię.

— To oczywiste. Otrzyma pani odszkodowanie i Geneviève poprosi panią o wybaczenie.

— Nie o to chodzi.

Zdziwiony wyraz jego twarzy mógł być udawany. Ten człowiek robił wrażenie, jak często się zdarzało, że wie dokładnie, o czym myślę.

— Wobec tego może powie mi pani, po co mnie... wezwała tutaj?

— Nie wzywałam pana. Prosiłam, aby pan zechciał się ze mną zobaczyć.

— Więc jestem. Nie była pani zbyt rozmowna w czasie kolacji. Niewątpliwie z powodu tej niedorzecznej afery. Zachowała pani dyskrecję, wykazując typową dla swych rodaków zimną krew, ukryła pani oburzenie z powodu zachowania mojej córki. Ale teraz sprawa wyszła na jaw i już nie musi się pani obawiać, że na nią skarży. Tak więc... ma mi pani coś do powiedzenia.

— Chciałam porozmawiać o Geneviève. Może to z mojej strony zbyt śmiałość... — Przerwałam, spodziewając się, że hrabia zaprzeczy, lecz powiedział tylko:

— Proszę mówić dalej.

— Niepokoję się o nią.

Wskazał mi dłonią krzesło, a sam usiadł naprzeciwko mnie. Kiedy patrzyłam na niego, jak siedział wyprostowany ze splecionymi dłońmi, tak że widać było na małym palcu sygnet z rzeźbionym, zielonym jadem, i wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczami — opowieści, które o nim słyszałam, wydały mi się całkowicie wiarygodne. Rzymski nos, wyniosłe uniesiona głowa, zagadkowy grymas ust i niezgłębione spojrzenie — to wszystko cechowało mężczyznę urodzonego do rządzenia. Człowieka, który wierzy w swe boskie prawo do postawienia zawsze na swoim i uznaje za całkiem naturalne usunięcie każdej przeszkody bez względu na to co — czy kto — stanie mu na drodze.

— Tak, Monsieur le Comte — mówiłam dalej — niepokoję się o pana córkę. Dlaczego tak się zachowała?

— Bez wątpienia Geneviève to wyjaśni.

— Czy potrafi? Ona nawet samej siebie nie rozumie. Została tak ciężko doświadczona.

Czy to tylko moja wyobraźnia, ale robił wrażenie, jakby zaczął się mieć na baczności.

— O jakim doświadczeniu mowa? — spytał.

— Mam na myśli... śmierć jej matki.

Spojrzenie jego oczu, spoglądających w moje, było nieruchome, twarde i wyzywające.

— To się stało przed kilku laty.

— Ale to ona znalazła matkę nieżywą.

— Jest pani dobrze poinformowana o losach naszej rodziny. Podniosłam się gwałtownie i zbliżyłam do niego o krok. Hrabia natychmiast wstał i choć byłam wysoka, to on — znacznie wyższy ode mnie — spoglądał na mnie z góry.

— Ona jest samotna — tłumaczyłam. — Czy pan tego nie widzi? Proszę nie traktować jej tak szorstko. Gdyby tylko był pan dla niej dobry... gdyby...

Już na mnie nie patrzył. Przybrał z lekka znudzony wyraz twarzy.

— Jakże to, mademoiselle Lawson — powiedział — sądziłem, że przyjechała tu pani odnawiać obrazy, a nie nas.

Poczułam się pokonana, więc tylko odrzekłam:

— Przepraszam. Nie powinnam była poruszać tej sprawy. Powinnam wiedzieć, że to bezcelowe.

Odprowadził mnie do drzwi; otworzył je i lekko skłonił głowę, gdy wychodziłam.

Wróciłam do mego pokoju i rozmyślałam nad tym, co zrobiłam.

* * *

Następnego dnia rano udałam się jak zwykle do galerii, oczekując wezwania od hrabiego, gdyż byłam przekonana, że nie pozwoli, aby moje wtrącanie się w jego sprawy przeszło bez echa. W nocy często się budziłam i przypominałam sobie tę scenę. Moja wyobraźnia wyolbrzymiała ją do przesady, jakbym wczoraj miała do czynienia z siedzącym przede mną na krześle i patrzącym na mnie spod ciężkich powiek diabłem we własnej osobie.

Jak zawsze przyniesiono mi do pokoju lunch. Jeszcze nie skończyłam jeść, gdy przyszła do mnie Nounou. Wyglądała na bardzo zmęczoną, co ją jeszcze postarzało i podejrzewałam, że mało spała tej nocy.

— Monsieur le Comte był przez całe przedpołudnie w pokoju szkolnym — oznajmiła od progu bardzo poruszona. — Nie wiem, co o tym myśleć. Przeglądał wszystkie zeszyty z ćwiczeniami i zadawał pytania. Biedna Geneviève wpadła niemal w histerię ze strachu. — Popatrzyła na mnie z

przerażeniem i dodała: — Pytał o to, owo i dziesiąte i oznajmił, że dziewczynka zupełnie nic nie umie. Nieszczęsna mademoiselle Dubois jest w stanie załamania nerwowego.

— Bez wątpienia doszedł do wniosku, że powinien poświęcić swej córce nieco więcej uwagi.

— Nie wiem, co to ma znaczyć, miss. A bardzo bym chciała.

Wyszłam na spacer, lecz nie wybrałam ani drogi wiodącej do domu Bastide'ów, ani tej do miasteczka. Nie miałam ochoty z nikim się spotykać. Pragnęłam po prostu być sama i zastanowić się nad stosunkami pomiędzy Geneviève i jej ojcem.

Gdy wróciłam do domu, w pokoju już czekała na mnie Nounou.

— Mademoiselle Dubois odeszła — oznajmiła.

— Co takiego? — wykrzyknęłam.

— Monsieur le Comte zamiast okresu wypowiedzenia dał jej dodatkowe wynagrodzenie.

Byłam wstrząśnięta.

— Och, biedna kobieta! Dokąd ona pójdzie? Cóż za... bezwzględne postępowanie.

— Pan hrabia szybko podejmuje decyzje — wyjaśniła — i niezwłocznie przystępuje do działania.

— Prawdopodobnie zatrudni teraz nową guwernantkę.

— Nie wiem, co będzie dalej, miss.

— A co na to Geneviève?

— Nigdy nie miała dla mademoiselle Dubois nawet krztyny respektu. Szczerze mówiąc, ja również nie. Ale jest w strachu.

Po wyjściu staruszki rozmyślałam o tym, jak teraz potoczą się sprawy. A co ze mną? Nie mógł zarzucić mi nieudolności. Praca nad obrazami posuwała się co najmniej zadowolająco. Ale ludzie bywają wyrzucani za inne wady. Na przykład za zuchwalstwo. Ośmieliłam się wezwać pana hrabiego do jego własnej biblioteki i krytykować jego postępowanie wobec córki. Teraz, kiedy to na zimno rozważałam, doszłam do przekonania, iż byłoby całkiem zrozumiałe, gdyby mnie zwolnił. Co do obrazów, to znajdzie kogoś innego, kto kontynuowałby pracę. Z pewnością nie byłam niezastąpiona.

No i jeszcze ta afera z suknią. Ja zostałam poszkodowana, ale to on za każdym razem na mój widok przypominałby sobie, co zrobiła jego córka, a co więcej, w konsekwencji nie opuszczałyby go świadomość, że miałam zbyt bliski wgląd w rodzinne tajemnice.

Przyszła też Geneviève i z nadąsaną miną wybąkała przeprosiny, ale widziałam, że wcale nie ma wyrzutów sumienia. Byłam zbyt przygnębiona, żeby dłużej z nią rozmawiać.

Kiedy powiesiłam wieczorem ubranie do szafy, spojrzałam w dół, gdzie wcisnęłam zniszczoną suknię, ale jej tam nie było. Zaskoczyło mnie to i ciekawa byłam, czy może Geneviève ją zabrała, zdecydowałam jednak nikomu o tym nie wspominać.

Wezwanie przyszło, gdy pracowałam w galerii.

— Mademoiselle Lawson, Monsieur le Comte chciałby zobaczyć się z panią w bibliotece.

— Proszę bardzo — odpowiedziałam. — Będę tam za chwilę.

Wzięłam do ręki pędzel z sobolego futra — jedno z narzędzi mej pracy — i przyglądałam mu się w zamyśleniu. Teraz moja kolej, zauważyłam w duchu.

Za pokojówką zamknęły się drzwi, a ja dałam sobie jeszcze kilka sekund, żeby odzyskać spokój. Cokolwiek teraz nastąpi, będę udawała obojętność. W każdym razie hrabia nie mógł mi zarzucić złego wykonywania mej pracy.

Opanowałam się i podążyłam do biblioteki. Wsunęłam dłonie do kieszeni brązowego kitla, który miałam na sobie, w obawie że drzenie rąk mogłoby zdradzić mój niepokój. Pomyślałam, że serce mi bije za szybko i za głośno — też mogło mnie wydać. Na szczęście dzięki matowej cerze nie rumieniłam się łatwo, lecz oczy pewnie będą mi błyszcząły bardziej niż zwykle.

Szłam do biblioteki bez pośpiechu. Kiedy zbliżałam się do drzwi, dotknęłam jeszcze włosów. I zdałam sobie sprawę, że są trochę w nieładzie, jak zwykle w czasie pracy. Tym lepiej. Nie chciałam, aby hrabia pomyślał, że specjalnie przygotowywałam się do tego spotkania.

Zapukałam.

— Proszę wejść. — Jego głos był cichy i przyjazny, ale nie wierzyłam w łagodność tego mężczyzny.

— A, mademoiselle Lawson.

Uśmiechał się do mnie zachęcająco, prawie figlarnie. Cóż to za nowy nastrój?

— Proszę usiąść.

Zaprowadził mnie do krzesła ustawionego naprzeciw okna, z którego światło padało wprost na moją twarz, a sam usiadł w cieniu. niesprawiedliwa przewaga.

— Podczas naszego ostatniego spotkania była pani uprzejma wyrazić zainteresowanie mą córką — rzekł.

— Bardzo się nią interesuję.

— To ładnie z pani strony, szczególnie że przybyła tu pani, aby odnawiać obrazy. Wydawałoby się, że nie zostaje pani wiele wolnego czasu poza pracą.

Zaczęło się. Nie robię wystarczająco szybko postępów. Moja praca nie jest zadowalająca. Dziś po południu opuścę zamek, tak jak wczoraj mademoiselle Dubois.

Ogarnęło mnie ogromne przygnębienie. Myśl o wyjeździe była nie do zniesienia. To by mnie uczyniło nieszczęśliwą jak jeszcze nigdy w życiu. Nigdy nie zapomnę zamku. Wspomnienia z tego miejsca będą mnie zadręczały przez całe życie. Tak bardzo chciałam odkryć prawdę o tym, co tu się stało... i o samym hrabim — czy rzeczywiście jest takim potworem, jak sądziła większość ludzi. Czy zawsze był taki jak teraz? A jeśli nie, to co spowodowało, że stał się takim człowiekiem?

Czy wiedział, o czym myślę? Milczał i bacznie mi się przyglądał.

— Nie wiem, co pani pomyśli o mojej propozycji, mademoiselle Lawson, ale wiem na pewno, że będzie pani absolutnie szczerą.

— Postaram się.

— Moja droga mademoiselle Lawson, proszę się nie starać. Jest pani taka naturalna, a to wspaniała cecha charakteru, i niech mi będzie wolno to wyrazić, ogromnie ją podziwiam.

— Jest pan bardzo uprzejmy. Proszę mi powiedzieć o tej... propozycji.

— Obawiam się, że edukacja mej córki pozostawia wiele do życzenia. Guwernantki to istotny problem. Jak wiele z tych kobiet podejmuje pracę z powołania? Bardzo mało. Większość obiera taki zawód dlatego, że otrzymały stosowne wykształcenie i w pewnym momencie znalazły się w sytuacji, gdy muszą zacząć zarabiać na życie. To nie jest dobra motywacja do tego rodzaju ważnego zajęcia. W pani zawodzie niezbędny jest dar. Pani jest malarką...

— O nie... Nie rościłabym sobie...

— Malarką *manquée** — zakończył. Wyczułam w tym słowie nutę kpiny.

— Być może — odparłam chłodno.

— Widzi więc pani zasadniczą różnicę w stosunku do owych nieszczęsnych, zdeprimowanych pań, przychodzących uczyć nasze dzieci! Postanowiłem wysłać córkę do szkoły. Pani wcześniej powiedziała, że ma na względzie dobro Geneviève. Proszę zatem o szczerą opinię w tej sprawie.

— Uważam, że to mógłby być wspaniały pomysł, lecz wszystko zależałoby od szkoły.

Machnął ręką.

— Ten zamek nie jest odpowiednim miejscem dla przewrażliwionego dziecka. Zgodzi się pani? To doskonale miejsce dla ludzi sztuki, pasjonujących się architekturą, malarstwem... i dla tych,

* fr. niedoszła

którzy kultywują tradycję — ludzi starej daty, można rzec.

Czytał w moich myślach. Wiedział, że uważam go za autokratę podtrzymującego idee o nadprzyrodzonych prawach arystokracji. I to właśnie potwierdził.

— Chyba ma pan rację.

— No właśnie. Dla Geneviève wybrałem szkołę w Anglii.

— Oo!

— Robi pani wrażenie zdziwionej. Ale czyż nie uważa pani, że najlepsze szkoły są w Anglii?

Znowu pojawił się ten kpiący ton, więc odrzekłam zapewne zbyt zapalczywie:

— Tak jest, to możliwe.

— No właśnie. Tam nauczyłyby się nie tylko języka, ale też zyskałyby umiejętność panowania nad sobą, którą pani, mademoiselle Lawson, została tak szczerze obdarowana.

— Dziękuję. Ale znalazłaby się daleko od domu.

— Domu, w którym — na co mi pani zwróciła uwagę — nie czuje się zbyt szczęśliwa.

— Mogłaby być. Jest zdolna do wielkiego uczucia. Zmienił temat.

— Do południa pracuje pani w galerii, lecz po południu już nie. Cieszę się, że korzysta pani z koni.

Pomyślałam: on mnie szpieguje. Zna mój rozkład dnia. Chyba wiedziałam, do czego to zmierza. Miał zamiar odesłać mnie tak samo jak mademoiselle Dubois. Mierzyła go w równej mierze moja impertynencja, jak jej nieudolność.

Ciekawa byłam, czy guwernantkę także poprosił na taką rozmowę. Był typem człowieka, który lubi ścigać swą zwierzynę, zanim ją zabije. Pamiętałam, że ta myśl już przedtem przyszła mi do głowy kiedyś tu, w bibliotece.

— Monsieur le Comte — odezwałam się — jeżeli pan nie jest zadowolony z mej pracy, to proszę mi powiedzieć. Zaraz przygotuję się do wyjazdu.

— Mademoiselle Lawson, ależ jest pani w gorącej wodzie kąpana. Cieszy mnie to odkrycie, gdyż przynajmniej owa skaza sprawia, że nie wydaje się pani doskonała. Doskonałość bywa taka nudna. Nie powiedziałem, że nie jestem zadowolony z pani pracy. W istocie uważam, że nadzwyczajnie się pani z niej wywiązuje. Kiedyś przyjdę do galerii i poproszę o pokazanie, jakimi sposobami osiąga pani tak niezwykle wyniki. Proszę pozwolić mi wyjaśnić, jakie są moje zamierzenia. Jeśli Geneviève ma pojechać do Anglii, musi dobrze poznać język. Nie zamierzam wysyłać jej natychmiast. Pewnie dopiero w przyszłym roku. Do tego czasu będzie pobierała lekcje u proboszcza. Z pewnością nie okaże się gorszy od guwernantki, która zresztą właśnie nas opuściła. Musi być lepszy, bo już gorszym być nie można. Ale mnie chodzi przede wszystkim o język angielski. Do wiosny będzie pani pracowała w galerii jedynie w godzinach przedpołudniowych, zostanie więc pani trochę wolnego czasu. Tak się zastanawiałem, czy nie zechciałaby pani uczyć Geneviève angielskiego wtedy, gdy nie pracuje pani nad obrazami. Jestem przekonany, że moja córka odniosłaby wielką korzyść z takiego stanu rzeczy.

Byłam tak przejęta, że nie mogłam wykrztusić słowa, hrabia zaś szybko kontynuował swą myśl.

— Nie znaczy to, że zajęcia miałyby się ograniczyć do szkolnego pokoju. Mogłaby pani jeździć z nią konno... chodzić na spacer... Geneviève zna podstawy gramatyki. Przynajmniej mam taką nadzieję. Jej potrzebna jest konwersacja, no i oczywiście uzyskanie dobrego akcentu. Czy rozumie pani, o co mi chodzi?

— Owszem, rozumiem.

— Oczywiście otrzymałaby pani za to odpowiednie wynagrodzenie. W tej sprawie proszę porozmawiać z moim zarządcą. No i co pani na to?

— Ja... przyjmuję tę propozycję z przyjemnością.

— To wspaniale. — Wstał i wyciągnął do mnie rękę. Podałam mu swoją. Uścisnął mi mocno

dłoń i nią potrząsnął.

Czułam się taka szczęśliwa. I nawet przemknęło mi przez myśl, że chyba jeszcze nigdy nie byłam taka szczęśliwa w całym swym życiu.

* * *

Tydzień później, kiedy weszłam do pokoju, ujrzałam na łóżku duże kartonowe pudło. Pomyślałam, że to jakaś pomyłka, ale na pudle wypisano me nazwisko, na nalepce zaś widniał paryski adres.

Otworzyłam pudło.

Zielony aksamit w kolorze drogocennych klejnotów de la Talle'ów — szmaragdów. Wyjęłam go z pudła. Oczom moim ukazała się wieczorowa suknia o prostym kroju, lecz wykwinтна.

Z pewnością zaszła jakaś pomyłka. Mimo to przyłożyłam ją do siebie i podeszłam do lustra. Moje błyszczące oczy odbijały kolor tkaniny i harmonizowały z nim. Suknia była piękna. Skąd się u mnie wzięła?

Odłożyłam ją ostrożnie na łóżko i jeszcze zajrzałam do pudła. Znalazłam tam jakąś paczkę owiniętą w bibułkę i kiedy ją rozwinęłam, okazało się że to resztki mojej czarnej, aksamitnej sukni. Wtedy zrozumiałam, zanim zobaczyłam wizytówkę, która wypadła ze środka, ozdobioną herbem już dobrze mi znanym. Skreślono na niej następujące słowa: „Ufam, że zastąpi tę zniszczoną. Jeżeli Pani nie odpowiada, spróbujemy poszukać czegoś innego. Lothair de la Talle”.

Ujęłam suknię, przyłożyłam do siebie, a potem mocno przycisnęłam. Doprawdy zachowywałam się jak niemądra dziewczynka. I przez cały czas jedno moje ja, które rzekomo miało być mną, podszeptowało mi: „To śmieszne! Nie możesz tego przyjąć”. Jednak to drugie, rzeczywiste, ujawniające się jedynie od czasu do czasu, i czekające tylko, żeby mnie zdradzić, mówiło: „To przepiękna suknia. Ile razy ją włożysz, będziesz wyglądała wspaniale. W tak ślicznej sukni możesz stać się atrakcyjną kobietą”.

Odłożyłam suknię na łóżko i powiedziałam sobie: zaraz do niego pójde i oświadczę, że w żadnym wypadku nie mogę przyjąć takiego prezentu. Usiłowałam przybrać surową minę, lecz nieustannie wracałam do myśli, że ten mężczyzna wszedł do mego pokoju — albo kogoś wysłał — żeby odnaleźć zniszczoną czarną, aksamitną suknię, i wysłał ją do Paryża z poleceniem: „Proszę uszyć suknię według tej miary. Ma być najwspanialsza ze wszystkich waszych modeli”.

Jaka byłam głupia. Co się ze mną dzieje?

Powinna natychmiast się z nim zobaczyć, żeby suknia mogła zostać bez zwłoki odesłana do Paryża.

Weszłam do biblioteki. Być może hrabia mnie oczekiwał, gdyż mógł wiedzieć, że suknia nadeszła. Jak gdyby miał się przejmować tym, kiedy nadejdzie! Po prostu uznał, że powinien mi ją ofiarować jako rekompensatę i całkiem o wszystkim zapomniał.

W każdym razie tam był.

— Muszę z panem porozmawiać — oznajmiłam i jak zwykle gdy byłam speszona, mój głos zabrzmiał impertynencko.

Zauważył to, gdyż nikły uśmiezek pojawił się na jego wargach i na moment ujrzałam rozbawienie w jego oczach.

— Proszę usiąść, mademoiselle Lawson. Jest pani poruszona.

Poczułam się jeszcze gorzej, gdyż ostatnią rzeczą, której pragnęłam, było ujawnienie mych emocji, zwłaszcza że sama ich dokładnie nie rozumiałam. Zachwycanie się strojami nie leżało w mojej naturze.

— Nic podobnego — rzekłam. — Przyszłam tylko po to, by podziękować za suknię przyslaną w

zamian za moją i powiedzieć, że nie mogę jej przyjąć.

— Aa, więc nadeszła. Czyżby nie pasowała?

— Ja... nie wiem. Nie przymierzałam. Nie było potrzeby kupowania jej.

— Proszę wybaczyć, że się nie zgodzę, ale według mnie zaistniała taka potrzeba.

— Nie. Moja suknia była bardzo stara. Miałam ją od lat, a ta jest...

— Widzę, że się pani nie podoba.

— To nie ma nic do rzeczy. — Mój poważny ton znowu wywołał jego uśmiech.

— Naprawdę? A co ma?

— To, że w żadnym wypadku nie mogę jej przyjąć.

— Dlaczego?

— Ponieważ to nie było konieczne.

— Zaraz, zaraz, mademoiselle Lawson, niech pani będzie szczerą i przyzna, że przyjęcie ode mnie tego stroju uznała pani za rzecz niestosowną, jeżeli to właśnie chciała pani wyrazić.

— W ogóle o tym nie pomyślałam. Dlaczego miałabym tak sądzić?

Wykonał dłonią typowy dla Francuzów gest, który mógł oznaczać, cokolwiek się chciało.

— Nie mam pojęcia. Przez myśl mi nie przeszło nawet przez chwilę, że mógłbym dowieść, co pani chodzi po głowie. Jedynie usiłuję poznać przyczynę, dla której odmawia pani przyjęcia nowego przedmiotu w zamian za zniszczony w tym domu.

— To jest suknia.

— Dlaczego suknia miałaby różnić się od innych rzeczy?

— Bo to jest rzecz osobista.

— A! Czysto osobista! Gdybym zniszczył jeden z pani cennych roztworów, pozwoliłaby mi pani zastąpić go innym? Czy tak naprawdę chodzi o to, że suknia to coś, co pani nosi, coś intymnego, tak to nazwijmy?

Nie byłam w stanie patrzeć na niego, z jego twarzy biło jakieś ciepło, które nie dawało mi spokoju.

Odwrociłam się nieco i powiedziałam:

— Nie było potrzeby zastępowania starej sukni nową. Poza tym ta z zielonego aksamitu jest o wiele za droga, aby mogła stanowić rekompensatę.

— Trudno jest oceniać wartość rzeczy. Najwidoczniej stara czarna suknia była dla pani bardziej wartościowa, skoro tak się pani zmartwiła jej stratą i tak niechętnie podchodzi do zamiany na inną.

— Chyba rozmyślnie udaje pan, że nie rozumie, o co mi chodzi. Podszedł szybko i ujął mnie za ramię.

— Mademoiselle Lawson — powiedział łagodnie — odmawiając przyjęcia tej sukni, sprawiłaby mi pani przykrość. Jej własna została zniszczona przez członka mojej rodziny i moim pragnieniem jest zastąpić ją inną. Zgodzi się pani ją przyjąć?

— Skoro tak pan to ujmuje...

Puścił moje ramię, ale nadal stał blisko mnie. Byłam zakłopotana, a jednocześnie nieopisanie szczęśliwa.

— Więc pani się zgadza. To bardzo wspaniałomyślny gest z pani strony, mademoiselle Lawson.

— To pan zachował się wspaniałomyślnie. Nie było potrzeby...

— Powtarzam, że zaistniała nie tylko potrzeba, ale i konieczność.

— ...zamieniać jej na tak wytworną i drogą — dokończyłam.

Hrabia roześmiał się i nagle uświadomiłam sobie, że jeszcze nigdy nie słyszałam u niego takiego śmiechu. Nie było w nim ani goryczy, ani kpiny.

— Mam nadzieję — powiedział — iż dane mi będzie zobaczyć w niej panią pewnego dnia.

— Nie mam wielu okazji do noszenia tego rodzaju sukien.

— Ale skoro już ją pani ma, to może należałoby stworzyć odpowiednie okazje.

— Nie widzę takiej możliwości — odparłam. Mój głos brzmiał chłodniej, w miarę jak narastały we mnie ukryte emocje. — Mogę tylko powiedzieć, że było to niepotrzebne, choć miłe z pana strony. Przyjmuję suknię i dziękuję za pańską szczodrość.

Skierowałam się w stronę drzwi, ale hrabia znalazł się tam przede mną i otworzył je, schylając głowę, żebym nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy.

Kiedy wróciłam do pokoju, ciągle pozostawałam pod wpływem silnego wzruszenia. Gdybym była mądra, przeanalizowałabym to uczucie. Ale oczywiście nie byłam.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Zainteresowanie, jakie wzbudzał we mnie hrabia i jego sprawy, nadawało memu życiu na zamku tak szczególne zabarwienie, że każdego ranka budziłam się z uczuciem oczekiwania. Mówiłam sobie, że może to właśnie dziś dowiem się o nim czegoś nowego i zacznę go lepiej rozumieć, a to doprowadzi mnie do odpowiedzi na pytanie, czy istotnie jest mordercą, czy też niesłusznie go oczerniano.

Tymczasem hrabia bez żadnej wcześniejszej zapowiedzi wyjechał do Paryża. Słyszałam, że ma wrócić przed świętami Bożego Narodzenia, aby przyjąć zaproszonych z tej okazji gości. Wtedy znajdę się na uboczu wydarzeń i będę patrzyła na wszystko z oddali.

Podjęłam się nowych obowiązków z entuzjazmem i dość miło mi było stwierdzić, że Geneviève nie tylko nie miała nic przeciwko temu, lecz wręcz zapaliła się do nauki angielskiego. Perspektywa wyjazdu do szkoły wydawała się jej okropna, ale ze względu na odległość w czasie nie stanowiła jeszcze realnego zagrożenia. Podczas naszych konnych przejażdżek dziewczynka pytała mnie o Anglię i obie znajdowałyśmy przyjemność w prowadzeniu tej konwersacji. Inne lekcje pobierała u proboszcza i choć odbywała je sama, to po drodze na probostwo często widywała się z dziećmi Bastide'ów, a ja uważałam, że obcowanie z rówieśnikami wychodzi jej na dobre.

Pewnego dnia odwiedził mnie w galerii Philippe. W czasie nieobecności hrabiego przybierał całkiem inną postawę, teraz jednak wydawał mi się zaledwie bladym cieniem swego kuzyna. W miarę bowiem jak odkrywałam niezaprzeczalną męską stanowczość hrabiego, na nowo uderzał mnie brak silnej woli i niemal zniewieściałość jego kuzyna.

Niezależnie od tego, pytaniu o postęp prac towarzyszył bardzo przyjacielski uśmiech.

— Ma pani w tym wprawę — zauważył, gdy pokazałam mu, nad czym pracuję.

— To wymaga staranności w równym stopniu jak wprawy.

— I znajomości rzeczy. — Stał przed obrazem już przeze mnie odnowionym. — Odnosi się wrażenie, że wystarczy wysunąć dłoń i można dotknąć tych szmaragdów — zauważył.

— To już zasługa malarza, a nie osoby odnawiającej obraz.

Nadal w zadumie przyglądał się portretowi i kolejny raz uświadomiłam sobie, jak bardzo kochał ten zamek i wszystko, co z nim było związane. Miałabym identyczne odczucia, gdybym należała do tej rodziny.

Obrócił się nagle ku mnie i widząc moje utkwione w nim oczy, na moment przybrał wyraz lekkiego zakłopotania, jakby się zastanawiał, czy powinien powiedzieć otwarcie, co myśli. I zaraz zapytał:

— Mademoiselle Lawson, czy pani jest tu szczęśliwa?

— Szczęśliwa? Praca daje mi wiele satysfakcji.

— Tak, praca. Wiem, co pani w związku z nią odczuwa. Myślałem o... — Wykonał gest dłonią.

— ...o panującej tu atmosferze... o rodzinie. — Widząc moje zdziwione spojrzenie, dodał: — Ta nieszczęsna afera z suknią.

— Całkiem o niej zapomniałam. — Nie wiedziałam tylko, czy wyraz mojej twarzy nie zdradził radości związanej z posiadaniem nowej zielonej sukni.

— W otoczeniu takich ludzi... — Przerwał, jakby nie wiedział, jak sformułować swą myśl. — Gdyby to było dla pani nie do zniesienia... — I pośpiesznie dodał: — Gdyby chciała pani wyjechać...

— Wyjechać?!

— To znaczy, gdyby powstały jakieś trudności. Mój kuzyn mógłby...

Nie dokończył zdania, ale wiedziałam, o czym myśli. O tym samym co ja: o zielonej, aksamitnej sukni i o tym, że to hrabia mi ją podarował. Uznał ów fakt za znaczący. Ale oczywiście materia była zbyt trudna do dyskusji. Jak dalece Philippe bał się swego kuzyna? Uśmiechnął się promiennie i powiedział:

— Jeden z mych przyjaciół ma wspaniałą kolekcję obrazów, a niektóre z nich wymagają odnowienia. Bez wątpienia miałyby pani zajęcie na dłuższy czas.

— Minie dłuższy czas, zanim skończę pracę tutaj.

— Mój przyjaciel, monsieur de la Monelle, uważa, że jego obrazy powinny być odrestaurowane niezwłocznie. Pomyślałem, że gdyby pani nie czuła się tu szczęśliwa... albo wolała wyjechać...

— Nie mam zamiaru pozostawić nieukończonych prac. Był wyraźnie spłoszony; zląkł się, że powiedział za dużo.

— To jedynie sugestia.

— Bardzo miło z pana strony, że się tak interesuje moją sytuacją, monsieur.

Obdarzył mnie uroczym uśmiechem.

— Czuję się odpowiedzialny za wszystko. Przy pierwszym naszym spotkaniu mogłem panią odprawić.

— Ale pan tego nie zrobił. Doceniam to.

— Kto wie, czy nie byłoby lepiej.

— O nie! Zadanie okazało się pasjonujące.

— Zamek jest cudowny — powiedział niemal z żarem. — Ale nasza rodzina nie wydaje się najszczęśliwsza, zważywszy na to, co się wydarzyło w przeszłości... Żona mego kuzyna zmarła, jak pani wiadomo, w dość tajemniczych okolicznościach.

— Słyszałem o tym.

— Mój kuzyn natomiast potrafi być wręcz bezwzględny w sięganiu po to, czego pragnie. Nie powinienem tak mówić. Był dla mnie dobry. Mieszkam tutaj... teraz to mój dom... dzięki niemu. Chodzi mi tylko o to, że czuję się za panią odpowiedzialny i chciałbym, aby pani wiedziała, że gdyby potrzebowała mojej pomocy... Mademoiselle Lawson, mam nadzieję, że nie powtórzy pani tej rozmowy memu kuzynowi.

— Rozumiem pana. Zatrzymam ją dla siebie.

— Ale proszę pamiętać, jeżeli mój kuzyn... jeżeli pani uzna, że powinna wyjechać, niech się pani zwróci do mnie.

Przeszedł do innego obrazu i zadał w związku z nim kilka pytań, ale wydawało mi się, że nie słuchał odpowiedzi.

Gdy nasze oczy się spotkały, w jego wzroku dostrzegłam jakby nieśmiałość czy zakłopotanie, lecz spojrzenie było bardzo ciepłe. Philippe zdecydowanie niepokoił się o mnie i rozumiałam, że ostrzegł mnie przed hrabią.

Czułam, że mam tu, w zamku, dobrego przyjaciela.

Szybko zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Razem z Genevieve wyjeżdżałyśmy codziennie na konne przejażdżki i jej angielski znacznie się poprawił. Opowiedziałam dziewczynce, jak obchodzimy Boże Narodzenie w Anglii. Że przynosimy do domu ostrokrzew oraz jemiolę, pod którą się całujemy. Że wszyscy muszą mieszać świąteczny pudding, po czym nadchodzi wielki dzień, kiedy się go gotuje, a następnie odkłada do małej miseczki jego „próbkę”. To ważny moment, gdy każdy dostaje łyżeczkę, żeby dokonać degustacji i ocenić, czy się udał.

— Mówię o czasach, gdy jeszcze żyła moja babka — powiedziałam. — Matka mojej mamy. Była Francuzką i musiała poznać wszystkie nasze zwyczaje. Bardzo szybko się do nich dostosowała i z żadnego z nich nie zamierzała zrezygnować.

— Niech mi pani jeszcze coś opowie, miss — poprosiła Geneviève.

Więc jej opowiadałam, jak zwykle byłam sadzana na wysokim stołku koło mamy i pomagałam kroić suszone śliwki i obierać ze skórki migdały.

— Oczywiście przy okazji zjadałam, ile się dało.

Ta uwaga rozbawiła moją podopieczną.

— Och, miss, jakie to zabawne, że pani kiedyś była małą dziewczynką.

Opowiedziałam jej, że pierwszego dnia świąt rano znajdowało się półczoche wypełnioną prezentami.

— U nas stawiamy buty przed kominkiem... przynajmniej niektórzy tak robią. Ja nie.

— Dlaczego?

— Tylko Nounou by o tym pamiętała. I stałaby tylko jedna para, a powinno być dużo butów, inaczej nie ma zabawy.

— Opowiedz, jak to się odbywa?

— No więc stawia się buty wokół kominka w Wigilię, po powrocie z pasterki. Rano znajduje się w nich drobne prezenty, a te duże są obok. Robiliśmy to, kiedy mama żyła.

— A potem przestaliście?

Skinęła głową.

— To miły zwyczaj.

— Pani mama zmarła. Jak to się stało?

— Długo chorowała, a ja ją pielęgnowałam.

— Była już pani wtedy dorosła?

— Tak, chyba tak można powiedzieć.

— Och, miss! Pani chyba zawsze była dorosła.

W powrotnej drodze do zamku wstąpiłyśmy do Bastide'ów z mojej inicjatywy, gdyż uważałam, że Geneviève powinna spotykać się z ludźmi spoza zamku, zwłaszcza z dziećmi. I chociaż zarówno Yves jak i Margot byli od niej młodsi, to przynajmniej najbliżsi jej wiekiem spośród wszystkich osób, które знаła.

W domu Bastide'ów panowało ożywienie związane ze zbliżającą się Gwiazdką — szeptano po kątach i czyniono aluzje do tajnych przygotowań.

Yves i Margot zajęci byli szykowaniem szopki. Geneviève przyglądała się temu z ciekawością i gdy zaczęłam rozmawiać z madame Bastide, podeszła do nich.

— Dzieci są bardzo podniecone — zauważyła madame Bastide. — Zawsze tak się dzieje. Margot każdego rana ogłasza, ile jeszcze godzin dzieli nas od świąt.

Obserwowałyśmy, jak dzieci układają brązowy papier, mający imitować skały. Yves wziął wodne farby i malował na nich zielony mech, Margot zaczęła malować na brązowo stajenkę. Na podłodze leżała mała, zrobiona przez oboje owieczka, którą mieli ustawić na skale. Obserwowałam Geneviève — była wprost tym zafascynowana.

W pewnym momencie zwróciła uwagę na żłóbek.

— Jest pusty — stwierdziła z lekceważeniem.

— Oczywiście, że pusty! Przecież Jezus jeszcze się nie narodził! — odparował Yves.

— To cud — wyjaśniła jej Margot. — idziemy spać w Wigilię...

— Po tym, jak ustawimy buty wokół kominka — dodał Yves.

— Właśnie, tak robimy... i żłóbek jest pusty, a potem... rano w pierwszy dzień świąt wstajemy, żeby zobaczyć, i mały Jezusek tam leży.

Zamyślona Geneviève odezwała się dopiero po pewnej chwili:

— Czy mogłabym wam w czymś pomóc?

— Tak — odrzekł Yves. — Musimy mieć więcej kijków dla pastuszków. Wiesz, jak je zrobić?

— Nie — przyznała się Geneviève pokornie.

— Margot ci pokaże.

Patrzyłam na obie dziewczynki z blisko siebie pochylonymi głowami i pomyślałam: ona właśnie tego potrzebuje.

Madame Bastide podążyła oczami za moim wzrokiem i zapytała:

— A pani myśli, że Monsieur le Comte na to pozwoli? Sądzi pani, że on się zgodzi na przyjaźń między naszymi dziećmi i swoją córką?

— Nigdy jeszcze nie widziałam jej tak... wyciszonej, tak pochłoniętej czymś innym niż sobą.

— Owszem. Ale Monsieur le Comte nie życzy sobie, żeby jego córka była zwykłą, beztroską dziewczynką. On chce z niej zrobić wielką panią na zamku.

— Jej jest potrzebne młode towarzystwo. Zaprosili mnie państwo na pierwszy dzień świąt. Czy mogę ją przyprowadzić ze sobą? Z taką tęsknotą mówi o świątach.

— Myśli pani, że pozwolą jej przyjść?

— Możemy spróbować.

— Ale Monsieur le Comte...?

— Ja mu to wytłumaczę — odrzekłam odważnie.

Kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia hrabia wrócił do zamku. Oczekiwałam, że zechce się ze mną widzieć, aby spytać o córkę albo o postępy prac renowacyjnych, ale nic w tym kierunku nie zrobił. Pewnie dlatego, że zajęty był przygotowaniem na przyjazd gości, którzy mieli wkrótce zawitać.

Oczekiвано piętnastu osób, tak słyszałam od Nounou. O wiele mniej niż zwykle bawiło w zamku, lecz obecnie urządzenie przyjęć stanowiło sprawę delikatnej natury ze względu na brak pani domu.

W dniu poprzedzającym Wigilię odbywałam przejażdżkę konną z Geneviève i po drodze spotkałyśmy grupę jeźdźców, składającą się z nowo przybyłych gości. Na ich czele jechał hrabia, a tuż za nim jakaś piękna, młoda kobieta. Miała na głowie wysoki kapelusz do konnej jazdy, ozdobiony popielatą szarfą, a na szyi również szary krawat. Te męskie akcenty w stroju do konnej jazdy służyły podkreśleniu jej kobiecości. Od razu zwróciłam uwagę na jasne włosy owej damy i delikatne rysy jej twarzy. Wyglądała jak figurynka z porcelany ze zbiorów znajdujących się w Błękitnym Salonie, które nieraz miałam okazję oglądać. Na widok tej pięknej kobiety poczułam się wyższa niż w rzeczywistości i w większym stopniu pozbawiona urody.

— A oto i moja córka — powiedział hrabia, witając nas nieomal ciepło.

Cała nasza czwórka zatrzymała konie, reszta jeźdźców pozostała sporo w tyle.

— Ze swą guwernantką? — spytało śliczne stworzenie.

— Ależ skąd. To miss Lawson z Anglii. Odnawia nasze obrazy. Zauważyłam, że niebieskie oczy obrzuciły mnie chłodnym, taksującym spojrzeniem.

— Geneviève, chyba poznałaś mademoiselle de la Monelle. Mademoiselle de la Monelle! Już przedtem słyszałam to nazwisko.

— Tak, papo — odrzekła dziewczynka. — Dzień dobry, mademoiselle.

— Mademoiselle Lawson, mademoiselle de la Monelle. Przywitałyśmy się uprzejmie.

— Praca nad obrazami musi być fascynującym zajęciem — powiedziała dama.

Przypomniałam sobie. To nazwisko wymienił Philippe, kiedy mówił o ludziach posiadających obrazy do restaurowania.

— Miss Lawson jest tego zdania — stwierdził hrabia, a zwracając się do nas, zapytał, jakby chciał szybko zakończyć to spotkanie: — Panie już wracają?

Potwierdziłyśmy i ruszyłyśmy w drogę.

— Uznałaby ją pani za piękność? — spytała Geneviève.

— O co pytałaś?

— Pani mnie nie słucha — obruszyła się na mnie i powtórzyła pytanie.

— Pewnie większość ludzi tak by ją oceniła.

— Ja pytam panią. Co pani myśli?

— To typ urody, którą na ogół świat podziwia.

— Mnie się ona nie podoba.

— Mam nadzieję, że nie pójdziesz z nożyczkami do jej pokoju, bo gdybyś zrobiła coś takiego, powstałyby kłopoty. Naraziłabyś nie tylko siebie, ale i innych. Czy pomyślałaś, jak to się skończyło dla biednej mademoiselle Dubois?

— To była stara, głupia baba.

— To jeszcze nie powód, żeby ją narażać na przykrości.

Dziewczynka zaśmiała się złośliwie.

— Pani na tym raczej dobrze wyszła, czyż nie? Ojciec dał pani piękną suknię. Wątpię, czy miała pani równie śliczną kiedykolwiek w życiu. Jak więc pani widzi, w istocie wyświadczyłam jej przysługę.

— Nie zgadzam się z tobą. Ta sytuacja wprawiała nas wszystkich w zakłopotanie.

— Biedna Stara Gruchotka! Rzeczywiście, to nie było w porządku. Ona nie chciała stąd wyjeżdżać. Pani też by nie chciała.

— Nie chciałabym. Interesuje mnie moja praca.

— A my?

— Jestem także, oczywiście, zainteresowana tym, żebyś mówiła po angielsku jeszcze płynniej niż teraz. — To zabrzmiało zbyt chłodno, więc dodałam: — Nie chciałabym też rozstawać się z tobą, Geneviève.

Uśmiechnęła się, ale zaraz na jej twarzy ukazał się złośliwy wyraz.

— Ani z moim ojcem — powiedziała. — Ale proszę sobie nie wyobrażać, że będzie zwracał na panią szczególną uwagę. Widziała pani, jak patrzył na tamtą?

— Na tamtą?

— Wie pani, o kim mówię. O mademoiselle de la Monelle. A ona jest piękna.

Ruszyła przodem i ze śmiechem spojrzała na mnie przez ramię. Spięłam konia i pogałam galopem. Dziewczynka została za mną.

Nie potrafiłam uwolnić się od obrazu ślicznej mademoiselle de la Monelle i obie z Geneviève przebyłyśmy resztę drogi w milczeniu.

Następnego dnia, gdy szłam do galerii, spotkałam hrabiego. Sądziłam, że jest tak zajęty gośćmi, iż tylko mnie pozdrowi i minie, a tymczasem on się zatrzymał.

— Jak tam postępy mej córki w angielskim?

— Bardzo dobre. Myślę, że będzie pan zadowolony.

— Wiedziałem, że okaże się pani doskonałą nauczycielką. Zaciekawilo mnie, czy rzeczywiście tak bardzo wyglądam na guwernantkę.

— Lubi nasze rozmowy, a to bardzo pomaga. I jest obecnie szczęśliwsza.

— Szczęśliwsza?

— Tak, nie zauważył pan tego? Potrząsnął przecząco głową.

— Ale wierzę pani na słowo.

— Zawsze jest jakaś przyczyna, jeżeli młodzi ludzie zabierają się do niszczenia rzeczy... bez przyczyny. Zgadza się pan ze mną?

— Z pewnością ma pani rację.

— Uważam, że Geneviève bardzo głęboko odczuła śmierć matki i brakuje jej radości, której inne dzieci zazwyczaj nie są pozbawione.

Na wzmiankę o zmarłej żonie hrabia nawet nie mrugnął okiem.

— Radości, mademoiselle Lawson? — powtórzył.

— Opowiadała mi, że kiedyś ustawiano tutaj w Wigilię buty przed kominkiem... wspominała to z nostalgią.

— Czy Geneviève nie jest za duża na tego rodzaju zabawy?

— Nie sądzę, aby ktokolwiek był na to zbyt dorosły.

— Pani mnie zdumiewa.

— To bardzo miły zwyczaj — upierałam się. — Zdecydowałyśmy, że w tym roku znowu go wprowadzimy i... może pan będzie zdziwiony moją pewnością siebie, ale...

— Pani nie przestaje mnie zadziwiać.

— Pomyślałam, że mógłby pan dołączyć swój prezent do innych. To by ją uradowało.

— Pani uważa, że jeżeli moja córka znajdzie prezent w bucie, a nie — powiedzmy — na stole w jadalni, to mniej będzie skłonna do swych dziecięcych wybryków?

Westchnęłam.

— Monsieur le Comte, widzę, że za bardzo poniosła mnie wyobraźnia. Przepraszam.

Odeszłam szybko, a hrabia nie usiłował mnie zatrzymać.

Weszłam do galerii, ale nie mogłam pracować. Byłam zbyt zdenerwowana. W mym umyśle wytworzyły się dwa wizerunki tego człowieka: jeden dumnego, niesłusznie oskarżanego mężczyzny, ukazującego światu arogancką twarz, i drugi... bezlitosnego, mordercy.

Który z nich był prawdziwy? Chciałabym to wiedzieć. Ale co to miało ze mną wspólnego? Mnie obchodziły obrazy, a nie ich właściciel.

W Wigilię Bożego Narodzenia poszliśmy wszyscy na pasterkę do starego kościoła w Gaillard. Hrabia z Geneviève u boku zasiadł w pierwszej z ławek przeznaczonych dla mieszkańców zamku. Goście usiedli w drugiej, ja z Nounou za nimi, dalej zaś służący, tak że wszystkie pozostawione dla nas miejsca były zajęte.

Zjawiała się też cała rodzina Bastide'ów — wszyscy w odświętnych strojach: madame Bastide ubrana na czarno, a Gabrielle w szarościach — w tym kolorze bardzo było jej do twarzy. Stał z nimi młody człowiek imieniem Jacques, którego widywałam czasami w winnicy. To on był z Armandem Bastide'em w czasie owego wypadku. Poznałam go po szramie na lewym policzku.

Yves i Margot ledwie mogli spokojnie usiedzieć; Margot liczyła zapewne nie godziny, ale minuty.

Zauważyłam, że Geneviève im się przyglądała i domyśliłam się, że zamiast wracać do zamku wolałaby iść do domu Bastide'ów, by móc tam z nimi dzielić radość, jaką podczas świąt tylko dzieci potrafią przeżywać.

Byłam zadowolona z pomysłu, że ustawię buty przed kominkiem w szkolnym pokoju i propozycji, aby Geneviève zrobiła to samo. W porównaniu z zabawą, jaką będą mieli pierwszego dnia świąt przed kominkiem Bastide'owie, u nas wypadnie ona nader skromnie, ale lepsze to niż nic. W każdym razie dziewczynka odniosła się do mojego pomysłu entuzjastycznie. I tak przecież nigdy nie miała licznej rodziny. Kiedy jeszcze żyła hrabina, było ich trzy: Geneviève, Françoise, Nounou i może jeszcze jakaś guwernantka. A hrabia pewnie nie odmawiał udziału w bożonarodzeniowych uciesach, gdy jeszcze żona żyła, a córka była mała.

Pokoje przeznaczone dla dzieci mieściły się na zamku nieopodal mojej sypialni — cztery pomieszczenia w amfiladzie. Pierwsza była salka szkolna — z wysokim sufitem w formie łukowego sklepienia i kamiennymi framugami okiennymi, tworzącymi też ławy w wykuszowych oknach, które stanowiły charakterystyczną cechę zamku. Znajdował się tu ogromny kominek i jak mówiła Nounou, można by w nim upiec wołu. Z boku stał wielki, cynowy kocioł, wypełniony kłodami — drewna. Troje drzwi prowadziło do innych pokoi — jedno do sypialni Geneviève, drugie do izdebki staruszki, a trzecie do pokoju przeznaczonego dla guwernantki.

Po powrocie z kościoła weszliśmy uroczyście do szkolnego pokoju i ustawiliśmy buty przed dogasającym kominkiem.

Kiedy dziewczynka poszła do łóżka i upewniłyśmy się, że zasnęła, razem z Nounou włożyliśmy nasze prezenty do butów. Ode mnie Geneviève dostała jedwabną, purpurową apaszkę, kolorem pasującą do jej ciemnej karnacji. Dla Nounou miałam słodycze, według zapewnień madame Latiere z *pâtisserie* jej ulubione — rodzaj pomadek nadziewanych maślano–rumowym kremem, ułożonych w ślicznej bombonierce. Zarówno niania, jak i ja udawałyśmy, że nie widzimy przeznaczonych dla nas podarków, powiedziałyśmy sobie dobranoc i rozeszłyśmy się do swoich pokojów.

Następnego dnia Geneviève obudziła mnie bardzo wcześnie.

— Proszę spojrzeć, miss! — zawołała.

Usiadłam na łóżku przestraszona, zanim uświadomiłam sobie, że to pierwszy dzień świąt.

— Apaszka jest śliczna, dziękuję, miss. — Miała ją zawiązaną na szyi. — A od Nounou dostałam chusteczki do nosa... wszystkie pięknie wyhaftowane. A jest jeszcze... Och, miss, tego nie otworzyłam. To od papy. Tak jest napisane. Proszę przeczytać.

Siedziałam na łóżku równie podniecona jak Geneviève.

— Leżało koło moich butów razem z innymi podarunkami.

— Och — zawołałam — to wspaniale!

— On tego nie robił od lat. Ciekawe, dlaczego w tym roku...

— Wszystko jedno. Obejrzyjmy, co to jest.

Był to wisiołek z perełką na cienkim złotym łańcuszku.

— Och, jaki piękny! — powiedziałam z zachwytem.

— Coś podobnego! — wykrzyknęła dziewczynka. — Położył go tutaj.

— Jesteś zadowolona?

Z wrażenia nie mogła mówić, skinęła tylko głową.

— Włóż go — zaproponowałam i pomogłam jej zapiąć zameczek.

Podeszła do lustra i przyjrzała się swemu odbiciu. Potem wróciła do łóżka i podniosłszy pozostawioną tam apaszkę, którą zdjęła przy wkładaniu naszyjnika, zarzuciła ją na ramiona.

— Wesołych świąt, miss. — Geneviève złożyła mi te życzenia z radosnym uśmiechem.

Pomyślałam, że naprawdę będą takie.

Dziewczynka uparła się, żebym z nią poszła do szkolnego pokoju.

— Nounou jeszcze nie wstała. Swoje prezenty zabierze później. A teraz, miss, proszę obejrzeć podarunki dla pani.

Podniosłam paczkę od Geneviève. Była to książka o zamku i okolicy. Ofiarodawczyni patrzyła na mnie bardzo zadowolona, kiedy przerzucałam kartki.

— Ale będę miała przyjemność! — ucieszyłam się. — Więc zauważyłaś, jak bardzo jestem pod urokiem tego miejsca.

— Tak, widać to po pani. I lubi pani bardzo stare domy, prawda? Tylko niech pani nie zacznie zaraz tego czytać.

— Och, Geneviève, bardzo ci dziękuję. To ładnie, że o mnie pomyślałaś.

— Proszę popatrzeć — wskazała mi kolejny prezent — dostała pani serwetkę od Nounou. Wiem, kto ją wyhaftował. Moja mama. Pozostało ich pełne pudełko.

Chusteczki do nosa, serwetka... wszystko to wykonała Françoise! Ciekawe, czy Nounou miała w tym jakiś swój udział.

— I jeszcze coś dla pani, miss.

Już zauważyłam tę paczkę, ale myśl, która przysłała mi do głowy, była tak szalona i na tyle niedorzeczna, że aż nie miałam odwagi podnieść prezentu ze strachu przed prawie pewnym

rozczarowaniem.

— Niech pani otworzy! Niech pani otworzy! — domagała się Geneviève.

Zrobiłam to i oczom moim ukazała się przepiękna miniatura, oprawiona w ramkę z masy perłowej. Przedstawiała kobietę trzymającą w ramionach spaniela. Widoczny był tylko łeb psa, a uczesanie damy wskazywało, że portrecik został namalowany jakieś sto pięćdziesiąt lat temu.

— Podoba się pani? — spytała podekscytowana dziewczynka. — Kto pani to dał?

— Jest wspaniała, ale zbyt kosztowna. Ja...

Geneviève podniosła bilecik, który wypadł z papierów. Było tam napisane: „Z pewnością rozpozna Pani damę, której portret tak mistrzowsko Pani oczyściła. Byłaby za to prawdopodobnie równie wdzięczna jak ja, więc wydaje się stosowne, aby ta rzecz do Pani należała. Zamierzałem wręczyć ją Pani, kiedy się wczoraj spotkaliśmy, lecz skoro lubi Pani stare obyczaje, znalazła się w Pani buciku. Lothair de la Talle”.

— To papa! — zawołała podniecona dziewczynka.

— Jest zadowolony z mej pracy nad obrazami i dał wyraz swemu uznaniu.

— Och, ale w pani buciku! Kto by pomyślał... — Zaczęła się śmiać.

— To dama z portretu, nosząca szmaragdy — wyjaśniłam. — Dlatego dał mi tę miniaturę.

— Czy się pani podoba, miss? Naprawdę podoba?

— Och, miniatura jest przepiękna.

Przesuwałam po niej palcami prawie z czułością, podziwiając wyborną kolorystykę i uroczą oprawę z masy perłowej. Nigdy nie miałam czegoś równie pięknego.

Zjawiała się Nounou.

— Ale hałasy! — powiedziała. — Obudziłyście mnie. Wesółych świąt!

— Wesółych świąt, Nounou.

— Tylko popatrz, Nounou, co dostałam od papy. I to było w moim buciku.

— W twoim buciku?

— Och, Nounou, obudź się. Chyba jeszcze śpisz! To pierwszy dzień świąt. Popatrz na swoje prezenty. Jeśli ich nie otworzysz, ja to zrobię. Zobacz najpierw ten ode mnie.

Geneviève kupiła jej bladożółty fartuch, a staruszka powiedziała, że jest właśnie taki, jaki pragnęła mieć. Wyraziła też zadowolenie z cukierków ode mnie. Także hrabia o niej nie zapomniał — podarował jej duży, wełniany szal w granatowym kolorze.

Nounou była zdumiona.

— Od pana hrabiego... ale jakim cudem?

— Czy on nie ma zwyczaju pamiętać o świątach? — spytałam.

— O tak, pamięta o nich. Wszyscy pracownicy winnic dostają indyka, a służba domowa otrzymuje w prezencie pieniądze. Zarządca tym się zajmuje. Taki zawsze był zwyczaj.

— Miss, proszę pokazać niani, co pani dostała. Wyciągnęłam dłoń z miniaturą.

— Ooo! — Nounou popatrzyła na mnie przez moment wzrokiem bez wyrazu, ale zaraz zauważyłam w jej oczach cień zrozumienia.

Niewątpliwie pomyślała, że to za moją przyczyną prezenty znalazły się w butach. To była prawda i cieszyłam się, że tak się stało. Jednak staruszka robiła wrażenie zaniepokojonej.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przed południem przespacerowałyśmy się z Geneviève do Bastide'ów. Madame Bastide, rozgrzana od pracy w kuchni, wyszła stamtąd tylko na nasze powitanie, wymachując warzachwią; Gabrielle jedynie do nas wyjrzała, gdyż także zajęta była w kuchni, skąd dochodziły smakowite zapachy. Natomiast Yves i Margot rzucili się do Geneviève, żeby pochwalić się jej, co znaleźli w butach. Ucieszyłam się, że i ona mogła opowiedzieć, co znalazła w swoich. Zauważyłam z przyjemnością, że nawet pokazała im prezenty. Potem podeszła do szopki i zaglądając do żłóbka, zawołała uszczęśliwiona:

— On jest tutaj!

— Oczywiście — odparł Yves. — A czego się spodziewałaś? Przecież to Boże Narodzenie.

Zjawił się też Jean Pierre. Niósł drwa na opał, a na nasz widok twarz mu się rozjaśniła uśmiechem.

— To wielki dzień, skoro mieszkańcy zamku mają zasiąść przy naszym stole.

— Geneviève już się nie mogła doczekać — odpowiedziałam.

— A pani?

— Też się cieszyłam na tę wizytę.

— Wobec tego musimy zadbać, żeby nie były panie rozczarowane.

Nie byłyśmy. Świąteczny czas sprzyjał ogólnej wesołości. Przy stole, który Gabrielle uroczo ozdobiła gałązkami jedliny, zrobiło się tego dnia tłoczno, na tę uroczystość bowiem przybyli także Jacques i jego kaleka matka. Wzruszające było obserwować, z jaką czułością się do niej odnosił. Tak więc tamci dwoje, ja, Geneviève, madame Bastide, jej syn i czworo wnuków, razem stanowiliśmy sporą gromadkę, której nie opuszczał beztroski nastrój, gdyż dorosłym udzielało się radosne podniecenie dzieci.

Madame Bastide królowała u szczytu stołu, a jej syn zasiadł naprzeciwko. Mnie umieszczono po prawej stronie pani domu, Geneviève zaś po prawej ręce jej syna. Byłyśmy honorowymi gośćmi, a tutaj, tak samo jak w zamku, przestrzegano etykiety.

Dzieci nieustannie paplały, a ja się cieszyłam, gdyż Geneviève nie tylko ich słuchała, lecz sama też odzywała się od czasu do czasu. Yves nie dopuszczał, żeby poczuła się nieswojo. Według mnie dziewczynka potrzebowała właśnie takiego towarzystwa, nigdy przedtem nie widziałam jej w lepszym nastroju. Na szyi miała nowy wisiorek. Pomyślałam, że pewnie nigdy go nie zdejmie, nawet do snu.

Madame Bastide pokroiła indyka, nadziewanego kasztanami i obłożonego puree z grzybów. Było to pyszne danie, ale najważniejszy moment nadszedł, gdy wśród okrzyków zachwyconych dzieci wniesiono wielki tort.

— Kto to znajdzie? Kto to zdobędzie? — wyśpiewywał Yves. — Kto zostanie Królem Dnia?

— Ja mogłabym zostać Królową — przypomniała mu siostra.

— Ja będę Królem. Co za pożytek jest z Królowej?

— Jeżeli ma koronę, może rządzić.

— Cicho, dzieci — skarciła je madame Bastide. — Czy mademoiselle zna ten stary obyczaj?

Jean Pierre przesłał mi uśmiech z drugiego krańca stołu i zapytał:

— Widzi pani ten tort?

— No pewnie, że widzi! — wykrzyknął Yves.

— Jest dostatecznie duży — dodała Gabrielle.

— A więc — ciągnął jej brat — tam, w środku jest korona, maleńka korona. Teraz tort zostanie

pokrojony na dziesięć kawałków, po jednym dla każdego, i wszyscy muszą zjeść swoje porcje... bardzo ostrożnie.

— Bo mogłaby pani natrafić na koronę! — zapiszczał Yves.

— Ostrożnie — mówił dalej Jean Pierre — bo ktoś z nas przy tym stole znajdzie w swoim kawałku koronę.

— I co wtedy, kiedy ją znajdzie?

— Zostanie Królem Dnia! — wykrzyknął Yves.

— Albo Królową — upomniała się o panie Margot.

— Czy ów ktoś będzie nosił tę koronę? — spytałam.

— Jest za mała — wtrąciła Gabrielle. — Ale...

— Zyska coś więcej. Ten, komu przypadnie w udziale korona, zostanie Królem Dnia, albo — jak chce Margot — Królową Dnia — wyjaśnił Jean Pierre — a to oznacza, że on... lub ona... będzie rządzić domownikami. To, co rozkaże on... — uśmiechnął się do Margot — lub ona, stanie się prawem.

— Na cały dzień! — wykrzyknęła Margot.

— Nie macie pojęcia, co zrobię, jeżeli ją dostanę — odezwał się Yves.

— A co? — chciała wiedzieć jego siostrzyczka.

Ale był zbyt rozbawiony własnym pomysłem, żeby odpowiedzieć, i wszyscy z niecierpliwością oczekiwali dzielenia tortu.

W ciszy i napięciu patrzyliśmy, jak madame Bastide zagłębia nóż w torcie. Został pokrojony i Gabrielle wstała, żeby podstawić talerzyki i podawać je w koło. Obserwowałam Geneviève z radością, widząc ją tak przejętą tą niewyszukaną zabawą.

Zaczęliśmy jeść w całkowitym milczeniu — słychać było tylko tykanie zegara i trzask ognia na kominku.

Nagle rozległ się okrzyk i Jean Pierre uniósł do góry małą, pozłacaną koronę.

— Jean Pierre ją ma! Jean Pierre ją ma! — wrzeszczały dzieci.

— Macie do mnie mówić: „wasza królewska mość” — zwrócił im uwagę z żartobliwą dumą. — Niniejszym zarządzam, aby koronacja odbyła się bezzwłocznie.

Gabrielle wyszła z pokoju i po chwili wróciła, niosąc na poduszce metalową koronę, ozdobioną kolorowymi szkiełkami imitującymi drogie kamienie. Dzieci z wrażenia nie mogły spokojnie usiedzieć na krzesłach, a Geneviève obserwowała to wszystko szeroko otwartymi oczami.

— Kto według rozkazu waszej królewskiej mości powinien go koronować? — spytała Gabrielle.

Jean Pierre udawał, że dokonuje po królewsku przeglądu swych poddanych i w pewnej chwili jego oczy spoczęły na mnie. Wskazałam spojrzeniem Geneviève, a on w lot zrozumiał, o co mi chodzi.

— Mademoiselle Geneviève de la Talle — oznajmił. Dziewczynka zerwała się na nogi, zaróżowiona, z błyszczącymi oczami.

— Musisz włożyć mu koronę na głowę — pouczył ją Yves. Geneviève z powagą podeszła do Gabrielle, trzymającej poduszkę, wzięła koronę i włożyła ją „królowi” na głowę.

— Teraz musisz uklęknąć, ucałować go w rękę — dalej instruował ją Yves — i przysiąc, że będziesz mu służyć.

Patrzyłam na siedzącego na krześle Jean Pierre’a, w koronie na głowie, i na klęczącą przed nim na poduszce, na której przyniesiono królewskie insygnium, Geneviève. Na twarzy młodzieńca malował się wyraz całkowitego triumfu. Bez wątplenia dobrze odgrywał swą rolę.

Yves przerwał ten uroczysty obrzęd pytaniem, jaki będzie pierwszy rozkaz jego królewskiej mości. Jean Pierre pomyślał przez chwilę, po czym spojrzawszy na mnie i na Geneviève, oznajmił:

— Uznać formalności za zbędne. Rozkazuje się wszystkim, by od tej pory mówili sobie po imieniu.

Zobaczyłam, że Geneviève spogląda na mnie niepewnie, więc uśmiechnęłam się i powiedziałam:

— Na imię mi Dallas. Mam nadzieję, że nie będzie kłopotu z wymową.

Wszyscy powtórzyli je z akcentem na ostatniej sylabie, a dzieci się zaśmiewały, kiedy kolejno je poprawiałam.

— Czy to powszechnie używane imię w Anglii? — spytał Jacques.

— Jak Jean Pierre i Yves we Francji? — chciał wiedzieć Yves.

— Bynajmniej. Jest tylko moje własne i nadano mi je z określonych powodów. Ojciec nazywał się Daniel, a mama Alice. Przed moim narodzeniem on chciał mieć dziewczynkę, a ona chłopca. On chciał dać swej córce imię matki, ona synkowi — ojca. No i ja przyszedłam na świat... wtedy połączyli fragmenty obu imion i wyszło im Dallas.

Dzieci były zachwycone tą opowieścią i zaczęły zabawę polegającą na zestawianiu imion, tak żeby ułożyć najśmieszniejsze.

Byliśmy już wszyscy na ty, co w zadziwiający sposób zniosło wszelkie bariery między nami.

Jean Pierre siedział odchylony do tyłu na krześle, w koronie na głowie, jak łaskawy monarcha, ale pomyślałam, że od czasu do czasu dawało się uchwycić w jego zachowaniu przejawy dumy, czym przypominał mi hrabiego.

Zauważył, że go obserwuję, i zaśmiał się, a potem powiedział:

— To miło z twojej strony, Dallas, że wzięłaś udział w naszych zabawach.

Z jakiegoś niedorzecznego powodu doznałam ulgi, że wszystko to traktował jak rozrywkę.

* * *

Kiedy przyszła służąca Bastide'ów, żeby opuścić żaluzje, uświadomiłam sobie, jak szybko upłynął czas. To było bardzo miłe popołudnie; bawiliśmy się w różne gry, na polecenie Jean Pierre'a przedstawialiśmy żywe obrazy i odgadywaliśmy ich treść; tańczyliśmy, gdy Armand Bastide zaczął wygrywać na skrzypcach różne melodie.

Nie ma w roku przyjemniejszego czasu niż Boże Narodzenie, powiedziała Margot, ucząc mnie tańczyć *sautiere charentaise*. Jest jeszcze Święto Winobrania... ale uważała, że wtedy nie jest tak wspaniale, bo nie ma prezentów i nie wybiera się Króla Dnia.

— Święto Winobrania tak naprawdę jest dla dorosłych — dodał Yves z powagą. — A Boże Narodzenie jest nasze.

Byłam zachwycona, obserwując, jak Geneviève całym sercem włącza się we wszystkie gry i zabawy. Na pewno chciałyby, żeby to popołudnie trwało bez końca, ale przecież musiałyśmy wrócić do zamku. Nawet już teraz nasza nieobecność zostanie zauważona i nie wiadomo, jaką wywoła reakcję.

Powiedziałam madame Bastide, że z najwyższym żalem musimy ich opuścić, a ona skinęła na Jean Pierre'a.

— Moje poddane chcą ze mną mówić? — spytał, rzucając roziskrzone spojrzenie najpierw na mnie, a potem na Geneviève.

— Musimy już iść — wyjaśniłam. — Wymkniemy się... cichaczem. Nikt nie zauważy, że wyszliśmy.

— To niemożliwe! Wszyscy będą zawiedzeni. Nie wiem, czy nie powinienem skorzystać z moich królewskich uprawnień... *

— Wychodzimy. Szkoda, że Geneviève nie może jeszcze zostać. Tak świetnie się bawiła.

— Odprowadzę was do zamku.

— Och, nie ma potrzeby...

— Nie ma potrzeby...

— Nie ma potrzeby... kiedy robi się ciemno? Nalegam. Wiesz, że mam prawo. — W jego oczach pojawiła się jakaś smętna zaduma. — Wprawdzie tylko na jeden dzień, ale muszę wykorzystać moją władzę.

W czasie powrotnej drogi do zamku niewiele rozmawialiśmy. Kiedy doszliśmy do zwodzonego mostu, Jean Pierre zatrzymał się i powiedział:

— No i tak oto znalazłyście się już bezpieczne w domu.

Ujął jedną ręką moją dłoń, a drugą dłoń Geneviève, obie je ucałował i przez pewien czas nie wypuszczał. Po czym, ku memu zdumieniu, przyciągnął mnie do siebie i pocałował w policzek, po czym zaraz postąpił tak samo z dziewczynką.

Obie byłyśmy nieco zażenowane, ale tylko się zaśmiały.

— Król nie może zachować się niestosownie — przypomniał nam. — Jutro będę zwyczajnym Jean Pierre'em Bastide'em, ale dzisiaj jestem królem na tym małym zamku.

Roześmiałam się także i wzięwszy Geneviève pod rękę, powiedziałam:

— A więc dziękujemy i do zobaczenia.

Skłonił się, a my ruszyłyśmy zwodzonym mostem do domu.

Nounou czekała na nas, trochę zaniepokojona.

— Monsieur le Comte przyszedł do szkolnego pokoju. Spytał, gdzie jesteście, więc musiałam mu powiedzieć.

— To oczywiste — odrzekłam, a serce zaczęło mi szybciej bić.

— No bo nie zjawiłyście się na *déjeuner*.

— Nie było potrzeby utrzymywać czegokolwiek w tajemnicy — zapewniłam staruszkę.

— Prosił o spotkanie po waszym powrocie.

— Kogo, nas obie? — spytała Geneviève, a ja zauważyłam, jaka już zaszła w niej zmiana w stosunku do tej dziewczynki, która bawiła się razem z dziećmi Bastide'ów.

— Nie, tylko mademoiselle Lawson. Będzie w bibliotece do szóstej. Tam go pani znajdzie, miss.

— Pójdę do niego od razu — zdecydowałam i opuściłam pokój, zostawiając Nounou z Geneviève.

Gdy weszłam do biblioteki, hrabia czytał. Na mój widok powoli, niemal niechętnie odłożył książkę na bok.

— Życzył pan sobie mnie widzieć? — spytałam.

— Proszę usiąść, mademoiselle Lawson.

— Powinnam podziękować panu za miniaturę. Jest prześliczna.

Skinął głową.

— Pomyślałem, że się pani spodoba. Rozpoznała ją pani, oczywiście.

— Tak. Podobieństwo jest uderzające. Ale to nadmierna hojność.

— Czy można być zbyt hojnym?

— To miło z pana strony, że włożył pan prezenty do butów.

— Pani jasno dała mi do zrozumienia, jaki na mnie ciąży obowiązek. — Uśmiechnął się, po czym opuścił wzrok na swe dłonie.

— Czy wizyta była udana?

— Odwiedziłyśmy rodzinę Bastide'ów. Wydaje mi się, że Geneviève bardzo dobrze się czuje wśród młodzieży. — Moje słowa zabrzmiały dość wyzywająco.

— Niewątpliwie ma pani rację.

— Bawiły ją dziecięce zabawy, bożonarodzeniowe zwyczaje... prostota tego wszystkiego. Mam nadzieję, że nie uważa pan tego za naganne.

Wzruszył ramionami i wykonał dłońmi niezbyt jasny w swej wymowie gest.

— Geneviève powinna zjeść dzisiaj wieczorem z nami kolację — oznajmił.

— Na pewno sprawi jej to przyjemność.

— Obawiam się, że nie uda się nam rywalizować z tymi, u których pani poprzednio gościła, i zaćmić wrażenie życzliwości i przyjacielskiej atmosfery, jakiej pani doznała w pierwszej połowie dnia, ale pani także, mademoiselle Lawson, powinna zasiąść z nami do stołu... o ile sobie tego życzy.

— Dziękuję za zaproszenie.

Pochylił głowę jakby na znak, że rozmowa skończona. Wstałam, a hrabia odprowadził mnie do drzwi i otworzył je przede mną.

— Geneviève była zachwycona prezentem od pana — powiedziałam. — Szkoda, że nie mógł pan widzieć jej twarzy, gdy zdjęła opakowanie.

Uśmiechnął się i widać było, że jest bardzo zadowolony. Oczekiwałam reprimendy, a otrzymałam zaproszenie na kolację. Święta Bożego Narodzenia okazały się wspaniałe.

* * *

Wtedy właśnie nadarzyła mi się pierwsza sposobność zaprezentowania nowej sukni. Kiedy ją włożyłam, poczułam się wręcz podekscytowana, ogarnął mnie niezwykły nastrój pewnego oczekiwania, tak jakby fakt, że tę suknię dostałam od hrabiego, czynił ze mnie inną kobietę.

Ale przecież on sam jej nie wybierał. Zamówił po prostu w domu mody w Paryżu wieczorową suknię w tym samym rozmiarze, co owa czarna aksamitna. A jednak nigdy jeszcze nie miałam stroju w tak odpowiadającym mej urodzie kolorze. Czy to był przypadek? Czy hrabia to zasugerował? Na tle tej barwy moje oczy wydawały się iskrzyć zielenią, a włosy nabrały barwy lśniących kasztanów. Ten efekt okazał się chyba największą zaletą sukni.

Schodziłam po schodach w radosnym nastroju, gdy nagle natknęłam się twarzą w twarz na mademoiselle de la Monelle. Wyglądała uroczo w sukni z szyfonu w kolorze lawendowym, ozdobionej kokardkami z zielonego atłasu. Jej kręcone włosy były wysoko spięte klamrą z masy perłowej, lecz kilka lśniących loków opadało na długą, szczupłą szyję. Patrzyła na mnie zdumiona, jakby usiłowała sobie przypomnieć, gdzie mnie przedtem spotkała. Nic dziwnego, musiałam zupełnie inaczej wyglądać w tej sukni niż w moim znoszonym stroju do konnej jazdy.

— Jestem Dallas Lawson — przypomniałam jej. — Odnawiam tu obrazy.

— Schodzi pani do nas? — W jej chłodnym tonie wyraźnie zabrzmiało zdziwienie, które uznałam za obraźliwe.

— Na zaproszenie hrabiego — odparłam równie zimnym głosem.

— Ach tak?

— Właśnie tak.

Nie umknął jej żaden szczegół mojej sukni, a zapewne także domyślała się jej ceny. Ta ją zapewne zaskoczyła nie mniej niż zaproszenie hrabiego.

Odwróciła się i poszła przodem. Miało to niewątpliwie wskazywać, że nawet jeśli pan domu okazał się dziwakiem, zapraszając osobę przez siebie zatrudnioną na świąteczną kolację i tym samym przyzwalał, by ta przebywała w towarzystwie jego przyjaciół, to mademoiselle de la Monelle nie miała ochoty zawierać z ową płatną pracownicą bliższej znajomości.

Goście zebrali się w jednym z mniejszych salonów w pobliżu sali bankietowej. Hrabia już zdążył pogрузić się w rozmowie z mademoiselle de la Monelle i nie zauważył, że się pojawiłam, za

to Philippe podążył mi na spotkanie. Pewnie zrozumiał, że mogłam się czuć nieco nieswojo, i czekał na mnie. Kolejny przykład jego życzliwości.

— Ośmielę się zauważyć, że wygląda pani bardzo elegancko.

— Dzięki. Chciałam zapytać, czy obecna tu mademoiselle de la Monelle jest członkiem rodziny, posiadającej kolekcję obrazów, o której pan wspominał?

— No... ee... tak. Jej ojciec także jest tutaj. Mam nadzieję, że nie mówiła pani o tym memu kuzynowi.

— Oczywiście, że nie. W każdym razie sędzę, iż jest mało prawdopodobne, abym opuściła zamek, by udać się do tamtego domu.

— Może teraz pani tak uważa, ale... gdyby kiedyś...

— Tak, będę pamiętała o pana propozycji.

Podeszła do nas Geneviève. Była ubrana w sukienkę z różowego jedwabiu i wyglądała raczej na nadąsaną — z trudem można by w niej rozpoznać dziewczynkę, która dopiero co koronowała Króla Dnia.

Kiedy oznajmiono, że kolacja została podana, przeszliśmy do sali bankietowej, gdzie zastawa stołowa połyskiwała w świetle ustawionych w kandelabrach świec.

Zostałam posadzona koło starszego dżentelmena interesującego się malarstwem, więc mieliśmy o czym rozmawiać. Przypuszczam, że zrobiono tak celowo, żebym go zabawiała. Podano indyka z nadzieniem z kasztanów obłożonego truflami, ale jedzenie nie sprawiało mi takiej przyjemności, jak u Bastide'ów — może dlatego, że cały czas nie opuszczała mnie myśl o mademoiselle de la Monelle siedzącej koło hrabiego, który sprawiał wrażenie bardzo zaabsorbowanego prowadzoną z nią rozmową.

Jakże byłam naiwna sądząc, że stanę się atrakcyjna w nowej, pięknej sukni! A jeszcze głupsze było przekonanie, że on, znając tyle uroczych kobiet i siedząc w towarzystwie jednej z nich, będzie świadomy mej obecności. Nagle usłyszałam, jak wypowiedział głośno moje nazwisko.

— Za to odpowiada mademoiselle Lawson.

Podniosłam wzrok i nasze oczy się spotkały. Nie potrafiłam wywnioskować, czy mu się naraziłam, czy po prostu sobie żartował.

Podejrzewam, że nie był zadowolony z tego, iż zabrałam jego córkę na świąteczny obiad do ludzi pracujących w hrabiowskich winnicach. Widział, że jestem tego świadoma, i chciał mnie potrzymać w niepewności co do skutków, jakie wywoła jego dezaprobata.

Mademoiselle de la Monelle także patrzyła na mnie. Pomyślałam, że jej lodowato niebieskie oczy są zimne i podejrzliwe. Była zirytowana, gdyż już po raz drugi tego wieczoru musiała zwrócić uwagę na moją osobę.

— Tak, mademoiselle Lawson — powtórzył hrabia. — Wczoraj wieczorem oglądaliśmy portret mej antenatki i wynik pani pracy został ogromnie wysoko oceniony. Przez tyle lat owa dama pozostawała za mgłą. Teraz ukazała się w całej swej świetności, a wraz z nią szmaragdy. Właśnie te szmaragdy...

— Co jakiś czas odżywa zainteresowanie tymi klejnotami — wtrącił Philippe. — I to pani, mademoiselle Lawson, przyczyniła się do tego, że sprawa wróciła. — Patrzył na mnie z udawanym rozdrażnieniem.

— A pan sobie tego nie życzy? — spytałam.

— Trudno powiedzieć. Któryś z kolejnych porywów owego zainteresowania może sprawić, że wreszcie ktoś je odnajdzie. Wczoraj wieczorem gdy oglądaliśmy portret, goście zaproponowali, żeby urządzić poszukiwanie skarbów, więc nie pozostało nam nic innego, tylko wszystko zorganizować. Pani, oczywiście, musi wziąć udział w tej zabawie.

Mademoiselle de la Monelle położyła dłoń na jego ręce.

— Byłabym przerażona, gdybym miała błąkać się po tym zamku... sama.

Ktoś zauważył, iż jest bardzo wątpliwe, aby do tego dopuszczono, i zebrani wybuchnęli śmiechem, hrabia także. Znowu na mnie spojrział, nadal z rozbawieniem w oczach.

— To taka nasza zabawa w poszukiwanie skarbów. Dowie się pani szczegółów później. Musimy szybko zaczynać, gdyż nie wiadomo, jak długo potrwa. Gautier przez całe rano przygotowywał drogowskazy.

W godzinę później rozpoczęły się poszukiwania skarbów.

Tropy były zapisane na kartkach, a te ukryto w różnych miejscach w zamku. Każdy został zaznajomiony z pierwszą wskazówką, zawierającą ukryte dane, na podstawie których musiał się zorientować, gdzie szukać następnej. Po znalezieniu właściwego miejsca odkrywało się mały zwitek kartek, z nich należało wybrać jedną, na której znajdował się kolejny trop. I oczywiście ten, komu pierwszemu uda się odnaleźć ostatni, zostanie zwycięzcą.

Czytaniu pierwszych wskazówek towarzyszyły ożywione rozmowy, a nawet okrzyki przerażenia. Kilkoro z gości wyruszyło na poszukiwania parami. Nigdzie jednak nie widziałam ani hrabiego, ani Geneviève, ani Philippe'a i wydawało mi się, że dom jest pełen obcych ludzi. Nikt do mnie nie podszedł. Pewnie zastanawiano się, po co osoba pracująca przy renowacji obrazów hrabiego została zaproszona do udziału w tej grze. Gdybym mieszkała we Francji, pojechałabym na święta do domu. Czy fakt, że byłam tutaj, napiętnował mnie jako kogoś, kto nie ma gdzie się podziać?

Zobaczyłam parę młodych ludzi, którzy wymykali się razem, i przyszło mi na myśl, że celem zabawy nie było rozszyfrowywanie tropów, lecz przede wszystkim stworzenie gościom sposobności do flirtowania.

Wróciłam do swej karteczki ze wskazówką i przeczytałam: „Złóż hołd na królewskim dworze i napij się, jeśli masz pragnienie”.

Po zastanowieniu okazało się to proste.

„Być na dworze” oznaczało też przebywanie na zewnątrz budynku, więc i na dziedzińcu, a tu przecież stała studnia. Wysłałam zatem przez portyk na ów podwórzec i oczywiście na murku okalającym ją zobaczyłam duży kamień. Pod nim ukryte były karteczki z dalszymi tropami. Wzięłam jedną i pośpiesznie wróciłam do zamku. Szukałam następnego śladu, a ten zaprowadził mnie na szczyt wieży. W związku z naszą grą zamek był specjalnie oświetlony licznymi świecami, które jarzyły się na murach pomiędzy gałęziami drzew.

Rozszyfrowałam już trzy tropy i gra bardzo mnie wciągnęła. Oddawałam się jej z uporem godnym lepszej sprawy, bo chociaż chodziło tylko o zabawę, i tak było coś fascynującego w poszukiwaniach skarbów, zwłaszcza w murach starego zamczyska. A poza tym odbywały się też tutaj inne, na serio prowadzone poszukiwania. Jakże ich uczestnicy musieli wypatrywać owych prawdziwych szmaragdów!

Szósta wskazówka zaprowadziła mnie do lochów, gdzie byłam tylko raz, z Geneviève. Schody zostały oświetlone, więc pomyślałam, że nie ponosi mnie wyobraźnia, podszeptująca, iż kolejną wskazówkę ukryto gdzieś na dole.

Zeszłam w dół, trzymając się kurczowo sznurowej poręczy i znalazłam się w lochach. Nie, tu na pewno nie ma skarbu — to miejsce nie zostało oświetlone. Gautier nie umieściłby tropu w tak makabrycznym pomieszczeniu.

Miałam już ruszyć schodami na górę, gdy usłyszałam nad sobą jakieś głosy.

— Ależ Lothair... mój drogi.

Cofnęłam się w głąb ciemności, choć właściwie nie było ku temu powodu, gdyż tamci nie zamierzali udać się na dół. I wtedy doszedł do mnie głos hrabiego, tak żarliwy, jakiego dotąd nie słyszałam.

— Byłbym bardzo zadowolony, gdybym miał ciebie tutaj... zawsze.

— A pomyślałaś, co to by znaczyło dla mnie... mieszkać pod tym samym dachem?

Nie powinnam tak stać w ukryciu, lecz nie mogłam się zdecydować, co dalej robić. Gdybym weszła na górę i stanęła z nimi twarzą w twarz, wprowadziłabym nas wszystkich w zakłopotanie. Może odejdą i nigdy się nie dowiedzą, że podsłuchiwałam. Kobieta była mademoiselle de la Monelle i mówiła do hrabiego tak, jak się mówi do kochanka.

— Moja droga Claude, tu byłabyś szczęśliwsza.

— Gdyby chodziło o ciebie... a nie o Philippe'a.

— To właśnie wtedy nie byłabyś szczęśliwa. Nie czułabyś się bezpieczna.

— Chyba nie sądzisz, iż mogłabym pomyśleć, że mnie zamordujesz!

— Nie rozumiesz. Ten skandal odżyłby na nowo. Nie zdajesz sobie sprawy, jakie to byłoby przykre. Zniszczyłoby wszystko. Przysięgłem sobie, że więcej się nie ożenię.

— Więc chcesz, żeby przeszła przez tę farsę z Philippe'em?

— Tak będzie lepiej dla ciebie. Teraz już musimy wracać. Ale osobno.

— Lothair, jeszcze tylko chwilkę.

Zapadła na krótko cisza, w czasie której wyobrażałam sobie, jak tamci się obejmują. Potem odgłosy ich kroków stawały się coraz cichsze, a ja poczułam się ogromnie samotna w tej ciemności.

Weszłam schodami na górę, ale już wcale nie myślałam o tropach. Wiedziałam teraz, że hrabia i mademoiselle de la Monelle są kochankami — albo byli w sobie zakochani — oraz że on nie zamierzał jej poślubić. Mężczyzna posądzany o zamordowanie swej pierwszej żony byłby bardzo podejrzliwie obserwowany, gdyby wziął sobie drugą. Powstałaby delikatna sytuacja, z którą mogłaby sobie poradzić jedynie zdecydowana, kochająca go z całym oddaniem kobieta. Nie wydawało mi się, aby mademoiselle de la Monelle należała do tej kategorii. Może i hrabia zdawał sobie z tego sprawę, gdyż był człowiekiem bystrym i według mnie umysł jego zawsze panował nad sercem. Jeżeli zatem moje wnioski były prawidłowe, ten mężczyzna wpadł na pomysł, że wyda kochankę za męża za Philippe'a, i w ten sposób zatrzyma ją w swoim domu. Koncept zaiste cyniczny, ale pasował do hrabiego. Jakie to typowe dla mężczyzn, pomyślałam z goryczą. Przez wieki królowie wynajdywali usłużnych dworzan na mężów dla swych kochanek, gdy nie mogli albo nie chcieli sami się z nimi związać na stałe.

To było odrażające. Żałowałam, że w ogóle pojawiłam się tu, na zamku. Gdyby stąd wyjechać... przyjąć propozycję Philippe'a i przenieść się do domu rodziny mademoiselle de la Monelle. Jakby to było wyjście z sytuacji! Dziwne, że kuzyn hrabiego sugerował, abym się przeprowadziła właśnie do jej domu! Była tylko jedna droga ucieczki — powrót do Anglii.

Zastanawiałam się nad owym pomysłem, wiedząc dobrze, że nie opuszczę zamku, dopóki nie zostanę do tego zmuszona.

A właściwie, co cię obchodzi pożałowania godne romanse rozwiązłego francuskiego arystokraty? — zapytywałam samą siebie. Nic a nic.

By to udowodnić, że świeżą energią zabrałam się do analizowania karteczki z tropem. Tym razem zawiódł mnie zamiast do lochów, do zbrojowni, w której znajdowała się *oubliette*. Miałam nadzieję, że nie będę musiała schodzić po sznurowej drabinie. Gautier na pewno nie zostawiłby tam kolejnej wskazówki. Miałam rację. To, czego szukałam, znalazłam na podokiennej ławie. Kiedy odczytałam karteczkę, okazało się, że mam się udać ze wszystkimi poprzednimi tropami do sali bankietowej, gdyż w ten sposób zakończę poszukiwanie skarbów.

Gdy się tam zjawiłam, zastałam Gautiera siedzącego przy stole i popijającego wino. Na mój widok wstał i wykrzyknął:

— Chce mi pani powiedzieć, że znalazła pani wszystkie ślady, mademoiselle Lawson?!

Potwierdziłam i wręczyłam mu karteczki.

— No, no — powiedział — wobec tego jest pani pierwsza.

— Być może nie wszyscy tak się starali — odrzekłam. Miałam na myśli hrabiego i mademoiselle de la Monelle.

— A zatem pozostaje pani tylko podejść do tamtej komody po skarb.

Zrobiłam, o co prosił, otworzyłam szufladę, którą mi wskazał, i znalazłam tekturowe kwadratowe pudełeczko mniej więcej pięć na pięć centymetrów.

— Oto on — oznajmił. — Zaraz odbędzie się uroczysta prezentacja.

Chwycił taśmę dzwonka i nią potrząsnął. Był to sygnał obwieszczający zakończenie poszukiwań i wezwanie reszty towarzystwa do powrotu.

Trochę czasu minęło, zanim wszyscy się zebrali. Zwróciłam uwagę, że niektórzy z gości mieli zaróżowione policzki, a włosy nieco w nieładzie. Jednak wygląd pana domu nie odbiegał od normy — hrabia był chłodny i opanowany jak zwykle. Zjawił się sam, zauważyłam, że mademoiselle de la Monelle przyszła z Philippe'em.

Kiedy Monsieur le Comte dowiedział się, że zostałam zwyciężczynią, uśmiechnął się i odniosłam wrażenie, iż to go ubawiło.

— Oczywiście — skomentował Philippe z przyjacielskim uśmiechem — nie mieliśmy równych szans z mademoiselle Lawson, gdyż jej przewagę stanowi to, że jest znawczynią starych budowli.

— A oto i skarb — oznajmił hrabia. Otworzył pudełeczko, pokazał wszystkim broszkę — zielony kamień na cienkiej złotej płytce.

Jedna z pań zawołała:

— Ależ to wygląda jak szmaragd!

— Każde poszukiwanie skarbów w tym zamku ma na celu odnalezienie szmaragdów. Czyż tego nie mówiłem? — odparł, wyjmując broszkę z pudełeczka. — Pozwoli pani, mademoiselle Lawson — rzekł i przypiął mi ją do sukni.

— Dziękuję — wymamrotałam.

— Zawdzięcza to pani wyłącznie swej bystrości. Nie sądzę, aby ktoś odnalazł więcej niż trzy tropy Gautiera.

Odezwał się na to jakiś głos:

— Gdybyśmy wiedzieli, że nagrodą jest szmaragd, może byśmy się bardziej starali. Dlaczego nas nie uprzedziłeś, Lothair?

Kilka osób podeszło, żeby podziwiać broszkę, wśród nich Claude de la Monelle. Czułam, że jest zła. Dotknęła lekko kamienia białymi jak alabaster palcami.

— To naprawdę szmaragd! — syknęła. Oddalając się zaś, dodała: — Mademoiselle Lawson jest bardzo sprytna, bez dwóch zdań!

— O nie — odparłam szybko. — Stało się tak dlatego, że ja istotnie bawiłam się w tę grę.

Odwróciła się ku mnie i na moment nasze oczy się spotkały. Potem odeszła z uśmiechem, by stanąć tuż koło hrabiego.

Zjawili się muzycanci i zajęli swe miejsca na podium dla orkiestry. Obserwowałam Philippe'a i mademoiselle de la Monelle, którzy rozpoczęli tańce. Za nimi w szeregu ustawili się inni. Do mnie nikt nie podszedł i poczułam się nagle tak osamotniona, że o niczym innym nie marzyłam tylko o tym, aby się stąd wymknąć. Zrobiłam to najszybciej, jak było możliwe, i poszłam do swego pokoju.

Odpięłam broszkę i przyjrzałam się jej, a następnie wyjęłam miniaturę i przypomniałam sobie moment, kiedy po zdjęciu opakowania zobaczyłam, od kogo ją dostałam. O ileż bardziej byłam wtedy uradowana niż w chwili, gdy hrabia przypinał mi broszkę do sukni! Kiedy mój wzrok spoczął na jego dłoniach i sygnecie z jadeitu, wyobraziłam je sobie, jak pieszczą mademoiselle de

la Monelle podczas omawiania zręcznego planu: ona powinna poślubić Philippe'a, gdyż on, Lothair, hrabia de la Talle, nie zamierza ponownie się ożenić.

Nie miałam wątpliwości, że uważał siebie za króla w tym świecie. On rozkazywał, a inni byli mu posłuszni. I bez względu na to, jak bardzo cyniczna wydawała się propozycja składana przezeń ludziom, których uważał za swych poddanych, oczekiwał od nich posłuszeństwa.

Czy w ogóle było do pomyślenia usprawiedliwienie podobnego postępowania?

A przecież, zanim usłyszałam tę rozmowę, jakże szczęśliwe wydawało mi się to Boże Narodzenie.

Rozebrałam się w zamyśleniu i leżąc w łóżku, słuchałam dobiegającej z dala muzyki. Będą tańczyć tam, na dole, i nikt nawet nie zauważy mojej nieobecności. Jaka byłam głupia — oddawałam się snom na jawie, oszukując samą siebie i wierząc, że coś znaczę dla hrabiego. Ten wieczór wykazał całą niedorzeczność moich fantazji. Nie należałam do tego miejsca; nie zdawałam sobie sprawy, że na świecie istnieją tacy mężczyźni jak hrabia de la Talle. Ale zrobiłam już pierwszy krok we właściwym kierunku. Ten wieczór wiele mnie nauczył.

Teraz muszę kierować się wyłącznie zdrowym rozsądkiem i zachować trzeźwy osąd sytuacji. Usiłowałam przestać myśleć o hrabim i jego kochance. I nagle wyłonił mi się z pamięci inny obraz. Jean Pierre w koronie na głowie. Król Dnia. Przypomniałam sobie, w jakim był błogim nastroju i jaką przyjemność sprawiało mu posiadanie władzy, choćby tymczasowej.

Wszyscy mężczyźni, pomyślałam, chcą być królami w swych zamkach.

Z tą myślą zapadłam w sen, lecz nie spałam spokojnie. Miałam wrażenie, że unosi się nade mną jakaś ciemna chmura, będąca — jak czułam — zwiastunem beznadziejnej przyszłości.

Zasłoniłam oczy i postanowiłam nie przyjmować tego do wiadomości.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W Nowy Rok Geneviève oznajmiła mi, że wybiera się konno do Maison Carrefour, do dziadka. Prosiła mnie, abym z nią pojechała. Pomyślałam, że z chęcią ponownie zobaczę ów stary dom, więc się zgodziłam.

— Kiedy żyła mama — powiedziała Geneviève — zawsze odwiedzałyśmy dziadka w Nowy Rok. Robią tak wszystkie dzieci we Francji.

— Miły zwyczaj.

— Dzieciom podaje się ciastka i czekoladę, a dorośli piją wino i jedzą ptifurki. Potem dzieci grają na pianinie albo na skrzypcach, żeby pokazać, jakie zrobiły postępy. Czasami muszą recytować wiersze.

— I ty masz zamiar to dzisiaj robić?

— Nie, ale będę musiała wygłaszać urywki z książeczki do nabożeństwa. Dziadek woli modlitwy od utworów na pianinie czy skrzypcach.

Zastanawiałam się, z jakimi uczuciami dziewczynka składa wizyty w tym dziwnym domu, i nie mogłam się powstrzymać od pytania:

— Lubisz tam chodzić?

Zamyśliła się i wyglądała na zakłopotaną tym pytaniem.

— Sama nie wiem. Mam ochotę tam pojechać... ale gdy już tam jestem, wydaje mi się, że dłużej nie zniosę tych wizyt. Wtedy chciałabym się stamtąd jak najprędzej wyrwać... i nigdy tam nie wracać. Mama wiele mi o swoim domu opowiadała i czasami wydaje mi się, że sama w nim mieszkałam. Więc w końcu nie wiem, czy chcę tam bywać czy nie.

Gdy dotarliśmy do domu, drzwi otworzył nam Maurice. Zaprowadził nas do starszego pana, który wyglądał na jeszcze bardziej osłabionego niż wtedy, gdy go ostatnio widziałam.

— Dziadku, czy wiesz, jaki dzisiaj dzień? — spytała Geneviève. Ponieważ nie odpowiadał, zbliżyła wargi do jego ucha i powiedziała:

— Nowy Rok! Więc przyszedłam do ciebie z wizytą. Mademoiselle Lawson też tutaj jest.

Usłyszał moje nazwisko i skinął głową.

— Ładnie, że przyszłyście. Wybaczcie, że nie wstanę.

Usiadłyśmy koło niego. Tak, niewątpliwie starszy pan się zmienił. Miał takie niespokojne oczy; sprawiał wrażenie kogoś, kto się zgubił i usiłuje odnaleźć drogę w dżungli. Domyślałam się, że próbuje coś wygrzebać z pamięci.

— Czy mogę zadzwonić na służbę? — spytała Geneviève. — Jesteśmy głodne. Mam wielką ochotę na ciasteczka i czekoladę, a mademoiselle Lawson na pewno chce się pić.

Nie czekając na odpowiedź, pociągnęła za dzwonek. Gdy zjawił się Maurice, wydała polecenie, aby przyniósł słodczyce i wino.

— Dziadek nie czuje się dzisiaj dobrze — zauważyła.

— Tak, mademoiselle Geneviève, ma teraz właśnie gorsze dni.

— Chyba nawet się nie orientuje, jakie dzisiaj święto. — Dziewczynka z westchnieniem usiadła na krześle. — Dziadku — zwróciła się do starca — w pierwszy dzień świąt wieczorem urządziliśmy poszukiwanie skarbów i zwyciężczynią została mademoiselle Lawson.

— Jedyne skarby znajduje się w niebiesiech — odrzekł.

— Och tak, dziadku, ale podczas oczekiwania na niego miło jest też znaleźć coś na ziemi.

Spojrzał na nią niepewnie.

— Odmawiasz modlitwy?

— Rano i wieczorem — zapewniła go.

— To nie wystarczy. Ty, moje dziecko, musisz modlić się gorliwiej niż inni. Potrzebujesz pomocy. Zostałaś zrodzona w grzechu.

— Tak, dziadku, wiem, to dotyczy wszystkich, ale odmawiam własne modlitwy. Nounou je dla mnie ułożyła.

— A, pocziwa Nounou. Bądź dla niej grzeczna. To dobra dusza.

— Nie pozwoliłaby mi zapomnieć o modlitwie, dziadku. Wrócił służący z ciasteczkami, czekoladą i winem.

— Dziękuję, Maurice — powiedziała Geneviève — sama to podam. A wiesz, dziadku, że pierwszego dnia świąt razem z mademoiselle Lawson poszliśmy na proszony obiad i w tamtym domu mieli żłódek i tort, a w torcie znajdowała się korona. Szkoda, że ty nie miałeś dużo synów i córek, bo wtedy ich dzieci byłyby moimi kuzynami. Spotkałabym się z nimi tutaj w taki dzień jak ten i jedlibyśmy tort z koroną.

Wyraźnie nie rozumiał, o czym dziewczynka mówi, i zwrócił wzrok na mnie. Usiłowałam znaleźć jakiś temat do pogawędki, lecz nie potrafiłam uwolnić się od myśli o tym jego pokoju, wyglądającym jak cela, i o włosiennicy w skrzyni.

Był fanatykiem religijnym — to wydawało się oczywiste. Ale dlaczego nim się stał? I jakie życie wiodła tutaj jego córka? Dlaczego zmarła, kiedy dostał wylewu? Czy uważała, że nie zniosłaby życia bez ojca? Bez tego nieustępliwego człowieka o trupim wyglądzie, z pałającymi oczami, mieszkającego w ponurym domu, w owej celi ze skrzynią... Przecież w tym czasie Françoise była już żoną hrabiego i jej domem stał się zamek!

A może los tej kobiety nie był tak wspaniały, jak się wydawało...

Zaczęłam się nad tym zastanawiać. Czemu taka myśl przyszła mi do głowy? Wspaniały los... kiedy ktoś cierpi — tak, cierpi, gdyż to było właściwe słowo — że aż popełnia samobójstwo.

Ale dlaczego, dlaczego? To pytanie wzięło się początkowo z pustej ciekawości, a potem stało się nurtującym problemem. Cóż, usprawiedliwiłam się szybko, nie ma w tym nic niezwykłego, owo namiętne zainteresowanie sprawami obcych ludzi było u mnie wrodzone. Zawsze pasjonowałam się motywacją działania innych, tak jak niezmiennie interesowało mnie, dlaczego malarz wybrał taki, a nie inny obiekt swego dzieła, czemu ujmował temat w określony sposób, skąd właśnie taka interpretacja, koloryt, nastrój.

Starzec nie odrywał ode mnie spojrzenia.

— Nie za dobrze cię widzę — powiedział. — Czy możesz się przybliżyć? Przsunęłam do niego krzesło.

— To było grzeszne — wyszeptał — godne potępienia.

Mówił do siebie. Spojrzałam na Geneviève, która zajęta była wybieraniem kawałków czekolady z półmiska słodczy przyniesionych przez Maurice'a.

— Françoise musiała nie zdawać sobie z tego sprawy — ciągnął dalej. Ten człowiek wyraźnie majaczył, co potwierdzało moją opinię, że jego stan się pogorszył od czasu naszej ostatniej wizyty. Baczenie mi się przyglądał.

— Tak dobrze dzisiaj wyglądasz. Spokojnie.

— Dziękuję. Dobrze się czuję.

— To był błąd... mój krzyż, a nie miałem dość siły, by go unieść. Milczałam, zastanawiając się, czy nie należałoby wezwać Maurice'a.

Nie spuszczał wzroku z mej twarzy, ale przesunął się do tyłu na fotelu, jakby się mnie bał. Kiedy zmieniał pozycję, okrywający go koc się zsunął. Podniosłam go i chciałam okryć starca.

Wzdrygnął się i zawołał:

— Odejdź! Zostaw mnie! Ty, Honorine, znasz moje brzemię.

— Zawołaj Maurice’a — zwróciłam się do Geneviève i dziewczynka wybiegła z pokoju. Starzec zacisnął dłoń na mojej ręce; czułam, jak jego paznokcie wbijają mi się w skórę.

— To nie twoja wina — szeptał. — Ten grzech mnie obciąża. To moje brzemie. Zaniosę je do grobu... Dlaczego nie ty...? Dlaczego ja...? Och, taka tragedia... Françoise... Mała Françoise... Odejdź. Trzymaj się ode mnie z daleka, Honorine, dlaczego mnie kuszysz?

Służący wpadł w pośpiechu do pokoju. Wziął koc i otulił nim swego pana, rzucając przez ramię:

— Niech panie po cichu stąd wyjdą. Tak będzie lepiej.

Opuszczając pokój, zauważyłam tylko jeszcze, jak Maurice zdejmuje krzyżyk z szyi starca i wkłada mu w dłoń.

— To było przerażające — odezwałam się do Geneviève.

— Pani się przestraszyła, miss? — spytała niemal z zadowoleniem.

— On majaczył.

— Często mu się to zdarza. Jest przecież bardzo stary.

— Nie powinnyśmy były przychodzić.

— Tak twierdzi papa.

— Czy to znaczy, że zabrania ci tych wizyt?

— Niezupełnie, ponieważ nie mówię mu, kiedy tu idę. Ale gdyby wiedział, toby mi nie pozwolił.

— W takim razie...

— Dziadek był ojcem mojej mamy i z tego powodu papa go nie lubi. Bo on przecież nie lubił też mojej mamy, prawda?

Kiedy wracałyśmy na koniach do zamku, podzieliłam się z dziewczynką pewną myślą:

— On wziął mnie za kogoś innego. Kilka razy nazwał mnie „Honorine”...

— To była matka mojej mamy.

— Sprawiał wrażenie... jakby się jej bał.

— Byłoby dziwne, gdyby dziadek kogoś się bał — odrzekła Geneviève po chwili namysłu.

Nie mogłam się powstrzymać i opowiedziałam Nounou o naszej wizycie w Carrefour.

Staruszka potrząsnęła głową zatroskana.

— Geneviève nie powinna tam chodzić. Lepiej nie.

— Chciała tam iść, gdyż zgodnie z tradycją w Nowy Rok dzieci odwiedzają dziadków.

— W jednych rodzinach taki zwyczaj jest dobry, w innych nie.

— W tej rodzinie raczej się nie przestrzega starych obyczajów — zauważyłam.

— Dawne obyczaje są dobre dla biedaków, bo trochę ubarwiają im życie.

— Według mnie sprawiają przyjemność i biednym, i bogatym. Ale żałuję, że tam poszłyśmy.

Dziadek Geneviève majaczył i słuchanie tego nie było przyjemne.

— Mademoiselle Geneviève powinna poczekać, aż starszy pan po nią pośle. Nie należy składać takich niezapowiedzianych wizyt.

— Musiał być zupełnie innym człowiekiem, kiedy jeszcze pani tam mieszkała... to znaczy, gdy Françoise była dzieckiem.

— Zawsze był surowy. Dla siebie i innych. Powinien był zostać mnichem.

— Może on też tak uważał. Widziałam tę izdebkę podobną do klasztornej celi, chyba sypiał tam swego czasu.

Nounou pokiwała głową.

— Taki mężczyzna nie powinien był się żenić — powiedziała. — Ale Françoise nie zdawała sobie sprawy z tego, co tam się dzieje. Staralam się, żeby uważała wszystko za normalne.

— A co się tam działo?

Rzuciła ku mnie baczne spojrzenie.

— On nie był stworzony na ojca. Chciał, żeby w domu panowały takie porządki jak... w klasztorze.

— A jej matka... Honorine?

Nounou odwróciła ode mnie wzrok.

— Była słabego zdrowia.

— W takim razie — zauważyłam — biedna Françoise nie miała szczęśliwego dzieciństwa... ojciec fanatyk, niedomagająca matka.

— Ja widziałam, ją szczęśliwą.

— Tak, kiedy miała lekcję gry na fortepianie albo wyszywała. Píše o tym w swoim dzienniczku — to ją z pewnością cieszyło. A kiedy jej matka zmarła...

— Słucham? — spytała Nounou ostrym tonem.

— Czy wtedy bardzo rozpacziała?

Nounou wstała i wyjęła z szafki kolejny z małych zeszyków.

— Proszę to przeczytać — powiedziała.

Otworzyłam dzienniczek. Poszła na spacer. Miała lekcję muzyki. Dokończyła haftowanie obrusa na ołtarz. Odbyła zajęcia z guwernantką. Uporządkowane życie zwyczajnej małej dziewczynki. Potem nastąpił fragment: „Papa wszedł do szkolnego pokoju w czasie lekcji historii. Wyglądał na bardzo zasmuconego i powiedział do mnie: «Przyszedłem, by ci coś oznajmić, Françoise. Nie masz już matki». Czułam, że powinnam się rozpłakać, ale nie mogłam. A Papa patrzył na mnie tak poważnie i surowo. «Twoja matka była chora już od dłuższego czasu i nigdy by nie wyzdrowiała. To, co się stało, jest odpowiedzią Boga na nasze modlitwy». «Nie modliłam się, żeby umarła» — odpowiedziałam. A on stwierdził, że Bóg działa w niepojęty dla nas sposób. «Modliliśmy się za twoją matkę i nastąpiło szczęśliwe wyzwolenie. Skończyły się już jej kłopoty» — stwierdził i wyszedł”.

„Papa siedział w pokoju żałobnym przez dwa dni i dwie noce. Nie opuszczał go. Ja też tam byłam, żeby okazać szacunek zmarłej. Klęczałam długo przy łóżku i gorzko płakałam. Sądono, że dlatego, że Mama zmarła, ale tak naprawdę to bardzo bolały mnie kolana i w ogóle niedobrze mi tam było. Papa modlił się przez cały czas i w każdej modlitwie prosił o wybaczenie mu grzechów. Przestraszyłam się, gdyż jeżeli on jest taki grzeszny, to co z nami, pozostałymi, którzy nawet w połowie nie modlą się tak dużo jak on”.

„Mama ubrana była w trumnice w nocną koszulę. Papa powiedział, że teraz spoczywa w spokoju. Zjawili się wszyscy służący, żeby złożyć jej ostatni raz swe uszanowanie. Papa został i cały czas modlił się o wybaczenie”.

„Dzisiaj odbył się pogrzeb. Wszystko wyglądało wspaniale. Konie ozdobione pióropuszcami i czarnymi rzędami. Szłam z Papą na czele konduktu. Twarz miałam osłoniętą żałobnym welonem i ubrana byłam w nową, czarną sukienkę, którą Nounou wykańczała przez całą noc. Kiedy wyszliśmy z kościoła, rozpłakałam się. Stałam koło karawanu podczas przemowy mistrza ceremonii, który wobec wszystkich oznajmił, że Mama była świętą kobietą. Wydawało mi się straszne, że ktoś tak cnotliwy musiał umrzeć”.

„W domu panuje cisza. Papa jest w swej celi. Wiem, że się modli, bo gdy stałam przy drzwiach, usłyszałam jego słowa. Prosił w modlitwie o wybaczenie, mówił, że może jego ciężki grzech zostanie mu odpuszczony wraz z jego śmiercią i że tylko on powinien cierpieć za winy. Sądzę, że prosił Boga, aby nie był zbyt surowy dla Maman, kiedy znajdzie się w niebie, i bez względu na to, czym był ten ciężki grzech, aby jemu został przypisany, nie jej”.

Skończyłam czytać i podniosłam wzrok na Nounou.

— Co to był za ciężki grzech? Odkryła pani z czasem?

— On upatrywał nieprawości w śmiechu.

— Po co się żenił? Powinien wstąpić do zakonu i tam wieść życie, jakie mu odpowiadało. Odpowiedzią staruszki było tylko bezradne wzruszenie ramion.

W Nowy Rok hrabia wyjechał do Paryża w towarzystwie Philippe'a. Moja praca posuwała się naprzód i teraz mogłam już pochwalić się wieloma odnowionymi obrazami. Ukazanie ich pierwotnego piękna napawało mnie prawdziwą radością. Odczuwałam wielką przyjemność, po prostu przyglądając się kolejnym płótnom i wspominając, jak stopniowo wyłaniały się te żywe kolory, gdy je uwalniałam od osiadłego przez lata brudu. Ale chodziło nie tylko o przywrócenie piękna, lecz także pokazanie moich umiejętności. Jeszcze nigdy nie cieszyłam się tak żadną pracą jak tą. I nigdy nie znajdowałam się w domu, który tak by mnie zaintrygował jak Château Gaillard.

Styczeń był wyjątkowo zimny, co spowodowało, że ludzie dokonywali w winnicach różnego rodzaju zabiegów w obawie, że mróz zwarzy winorośle. W trakcie konnych przejażdżek czy spacerów razem z Geneviève zatrzymywałyśmy się często, żeby poobserwować robotników. Czasami wstępowałyśmy do Bastide'ów, a któregoś dnia Jean Pierre zaprowadził nas do podziemi, pokazał nam beczki z dojrzewającym winem i przy okazji wyjaśnił, jaki musi ono przejść proces.

Dziewczynka oświadczyła, że te głęboko położone piwnice przypominają jej *oubliette*, na co Jean Pierre zauważył, że tutaj niczego nie zostawia się w zapomnieniu. Pokazał nam, jak dopuszcza się światło przez małe szczeliny, by regulować temperaturę w środku. Ostrzegł nas, że do takich piwnic nie wolno wnosić żadnych roślin ani kwiatów, gdyż coś z nich mogłoby przejść na wino i popsuć jego smak.

— Jak stare są te piwnice? — zainteresowała się Geneviève.

— Istnieją, odkąd zaczęto tu wyrabiać wino... od setek lat.

— A kiedy już było wiadomo, że o wino odpowiednio zadbano i że temperatura jest właściwa — skomentowała dziewczynka — to ludzi pakowano do lochu, żeby tam zmarli z głodu i zimna.

— Wino było ważniejsze dla waszych znakomitych przodków niż 'ich wrogowie, to oczywiste.

— A przez owe wszystkie lata to właśnie Bastide'owie zajmowali się winem.

— I był taki jeden Bastide, który miał zaszczyt stać się wrogiem waszych znakomitych przodków. Jego kości leżą do dziś w zamku.

— Och, Jean Pierre! Gdzie?

— W *oubliette*. Okazał zuchwałość wobec hrabiego de la Talle, został wezwany przed oblicze pana i nikt nieszczęśnika nigdy więcej nie ujrzał na oczy. Wszedł do zamku, ale już z niego nie wyszedł. Można sobie wyobrazić, jak się to odbyło. „Wejdz, Bastide. No, co my tu mamy z tobą za kłopoty?”. Zuchwały Bastide usiłuje wyjaśniać, błędnie zakładając, że nie jest kimś gorszym od swego pana... a wtedy Monsieur le Comte porusza stopą i rozstępuje się podłoga. Zuchwalec spada tam, gdzie już inni znaleźli się przed nim, by zamarznąć na śmierć albo umrzeć z głodu lub ran odniesionych przy upadku. Jakie to ma znaczenie? Już dłużej nie będzie przeszkadzać panu hrabiemu.

— Mówisz tak, jakbyś nadal myślał o zemście — zauważyłam ze zdziwieniem.

— O nie. Potem nastąpiła rewolucja, wtedy przyszedł czas Bastide'ów. Jean Pierre nie mówił jednak tego poważnie, gdyż zaraz się roześmiał.

* * *

Pogoda zmieniła się nagle i winorośli przestało zagrażać już owo zabójcze niebezpieczeństwo, choć — jak tłumaczył mi Jean Pierre — wiosenne przymrozki mogły być równie groźne, gdyż przychodziły znienacka.

Panowała wtedy wyjątkowo spokojna atmosfera. Zapamiętałam z tego czasu tylko jedno, bardzo miłe wydarzenie. Geneviève i ja często przebywałyśmy ze sobą. Nasza przyjaźń umacniała

się, choć powoli. Nie czyniłam żadnych wysiłków, żeby cokolwiek przyspieszyć, gdyż chociaż dziewczynka stawiała mi się coraz bliższa, to jednak zdarzały się chwile, że robiła wrażenie całkiem obcej istoty. Miała rację, kiedy mówiła, że w jej psychice mieszają się dwie osobowości. Czasami zauważałam, że patrzy na mnie, jak gdyby szykowała jakiś podstęp. Kiedy indziej zaś okazywała mi z naiwnym wdziękiem przywiązanie.

Moje myśli nieustannie krążyły wokół hrabiego i podczas jego nieobecności na nowo zaczynałam mieć o nim dobrą opinię, przed którą, jako nieprawdziwą, ostrzegał mnie zdrowy rozsądek. Ale nie mogłam zapomnieć o zrozumieniu, z jakim dał mi szansę zademonstrowania, co potrafię. Ani o jego hojności, gdy się okazało, iż wąpiąc we mnie, popełnił błąd — do którego się przyznał, ofiarowując mi kosztowną miniaturę. Nagiął się też do starego zwyczaju dotyczącego prezentów świątecznych, żeby sprawić przyjemność córce.

Był zadowolony, że to ja wygrałam broszkę ze szmaragdem, nie miałam co do tego wątpliwości. Dlaczego? Z tego prostego powodu, iż chciał, abym miała coś wartościowego jako początek zabezpieczenia na przyszłość.

Z drzeniem myślałam o owej przyszłości. Nie mogłam przecież w nieskończoność pozostawać w zamku. Odnowiłam już kilka obrazów w galerii i dalsza praca nie mogła trwać wiecznie. A jednak w świecie marzeń, którymi żyłam w ciągu tamtych tygodni, miałam niezłomne przekonanie, że mój pobyt w zamku zapowiada się na długo.

Niektórzy ludzie łatwo ulegają złudzeniom, że stanie się to, czego pragną. Ja do nich nie należałam... przynajmniej dotąd. Zawsze wolałam spojrzeć prawdzie w oczy i nawet byłam dumna ze swego zdrowego rozsądku. Zmieniłam się, odkąd tu przybyłam i, co raczej dziwne, nie zamierzałam analizować tego głębiej i starać się odkryć, jakie były przyczyny mojej zmiany.

Nadszedł mardi gras — ostatki — wesoło obchodzony ostatni dzień karnawału. Geneviève była równie podniecona świętowaniem go jak Yves i Margot, którzy pokazali jej, jak się robi kwiaty i maski z papieru. Uznałam, że dobrze jej zrobi udział w zabawie, więc pojechałyśmy jednym z wozów Bastide'ów do miasteczka, by tam, ukrywając twarze pod groteskowymi maskami, obrzucać się wzajemnie papierowymi kwiatami.

Byłyśmy akurat na rynku, gdy wieszano Człowieka Karnawału na imitacji szubienicy, a potem przyłączyłyśmy się do tańczącego tłumu.

Po powrocie do domu Geneviève nie posiadała się z radości, że mogła uczestniczyć w zabawie.

— Często słyszałam o mardi gras — oznajmiła — ale nie miałam pojęcia, że tak wesoło obchodzi się ostatki.

— Sądzę — powiedziałam — że twój ojciec nie miałby nic przeciwko temu, że tam byłaś.

— Nigdy się o tym nie dowie — odrzekła dziewczynka z figlarnym uśmiechem — bo nie zamierzamy mu o tym mówić, prawda, miss?

— Z pewnością musiałybyśmy mu powiedzieć, gdyby się zapytał — zaznaczyłam stanowczo.

— Nie zapyta. On się nami nie interesuje, miss.

Czy w tym stwierdzeniu nie kryło się trochę urazy? Być może, ale teraz już mniej się przejmowałam lekceważącym stosunkiem hrabiego do córki niż kiedyś. W każdym razie Nounou nie sprzeciwiała się wypadom swej wychowanki, jeżeli dziewczynka była pod moją opieką. Miałam wrażenie, że staruszka darzy mnie zaufaniem, co mi pochlebiało.

Kiedy zabierałam Geneviève do miasta, towarzyszył nam Jear Pierre. To on proponował różne wycieczki. Uwielbiał je, a dziewczynkę cieszyło jego towarzystwo. Z Bastide'ami hrabiance nie groziło żadne niebezpieczeństwo, byłam tego pewna.

W pierwszym tygodniu wielkiego postu do zamku powrócił hrabia ze swym kuzynem.

W domu i okolicy rozniosła się lotem błyskawicy nowina.

Philippe się zaręczył. Z mademoiselle Claude de la Monelle.

Któregoś dnia, kiedy pracowałam w galerii, Monsieur le Comte przyszedł zobaczyć się ze mną. Było urocze, słoneczne przedpołudnie, a ponieważ dni stawały się dłuższe, więcej czasu spędzałam nad obrazami. Jasne światło uwypuklało oczywiste efekty mych starań i hrabia przyglądał się odnowionym dziełom z wyraźnym zadowoleniem.

— Znakomicie, mademoiselle Lawson — pochwalił ściszym głosem, nie odrywając ode mnie wzroku. Zawsze w takich wypadkach intrygował mnie wyraz jego ciemnych oczu. — Na czym polegają stosowane przez panią zabiegi? — zapytał.

Wyjaśniłam mu, że płótno, nad którym pracuję, zostało bardzo uszkodzone, tak że nawet kawałkami brakuje warstwy farby. Te miejsca wypełniam specjalnym kitem malarskim, a potem retuszuję farbą.

— Jest pani malarką, mademoiselle Lawson.

— Jak już raz pan zauważył... niedoszłą malarką.

— Pani nie zapomniała tej niemilej uwagi, ale chyba mi ją wybaczyła, prawda?

— Nie ma potrzeby wybaczać innym tego, że mówią prawdę.

— Ależ pryncypialna postawa. Jest pani potrzebna zarówno nam, jak i naszym obrazom.

Zbliżył się o krok, nadal z utkwionym we mnie wzrokiem. Chyba nie było to spojrzenie pełne podziwu. Dobrze wiedziałam, jak wyglądam. Brązowy kitel nigdy nie wydawał się nadmierne twarzowy. Włosy zwykle przy pracy wysuwały się spod szpilek, którymi je upinałam i z reguły tego nie zauważałam, chyba że mi zaczęły przeszkadzać. Dłonie miałam umazane kitem i farbami. Zatem nie mój wygląd był przyczyną jego zainteresowania.

Ale tak właśnie zachowują się flirciarze wobec wszystkich kobiet. Myśl owa popsowała mi nastrój chwili, więc usiłowałam ją odsunąć.

— Nie musi się pan jednak obawiać, używam farb, które są łatwo rozpuszczalne, na wypadek gdyby miały być usunięte. Jak pan wie, farby są zaprawiane syntetyczną żywicą.

— Nie wiedziałem tego — odrzekł.

— Tak właśnie się robi. Gdy obraz powstaje, malarze mieszają farby w sobie tylko znany sposób. Oni i tylko oni sami znają owe tajemnicze metody łączenia kolorów... każdy z twórców ma swoją recepturę. To sprawia, że wielcy starzy mistrzowie są tak nieźrównani w swej sztuce i trudno ich podrobić.

Hrabia skinął głową.

— Retuszowanie farbą jest delikatnym zabiegiem — ciągnęłam dalej. — Oczywiście ten, kto odnawia obraz, powinien opanować pokusę dodawania własnych pomysłów do oryginału.

Wyglądał na rozbawionego, pewnie zdawał sobie sprawę, że tak dużo mu opowiadam, żeby ukryć zakłopotanie. Nagle mi przerwał:

— To by mogło się skończyć klęską. Byłoby tak, jakbyśmy usiłowali uczynić kogoś takim, jakim by się chciało go widzieć. A przecież zamiast tego należałoby pomóc mu wydobyć z siebie dobro... przytłumić zaś zło.

— Miałam na myśli wyłącznie malarstwo. To jedyny temat, na który mogę się kompetentnie wypowiadać.

— A żarliwość, jaką pani przy tej okazji objawia, świadczy, że jest pani prawdziwym znawcą przedmiotu. Proszę powiedzieć, czy moja córka robi jakieś postępy w angielskim?

— Znakomite.

— I nie uważa pani uczenia jej i jednoczesnej pracy nad obrazami za nadmierne obciążenie?

— Oba te zajęcia sprawiają mi wielką przyjemność — zapewniłam go z uśmiechem.

— Cieszę się, że choć tyle przyjemności jesteście w stanie pani ofiarować. Obawiałem się, iż uzna pani za nudne życie na wsi.

— W żadnym razie. Powinnam podziękować panu za możliwość korzystania z koni.

— To kolejna rzecz, która pani sprawia przyjemność?

— Dużą.

— Życie na zamku stało się o wiele spokojniejsze, niż było dawniej. — Spojrzenie hrabiego powędrowało teraz gdzieś ponad moją głowę. Dodał chłodnym tonem: — Po śmierci matki Geneviève nie udzielamy się towarzysko tak jak kiedyś i nigdy nie wróciliśmy do rozrywek z tamtych dawnych dni. Zapewne teraz będzie inaczej, gdyż mój kuzyn zamierza się ożenić i jego żona stanie się panią tego zamku.

— Chyba że — odrzekłam bez zastanowienia — pan sam się ożeni. Byłam pewna, iż słyszę gorycz w jego głosie, gdy zapytał:

— Skąd owo przypuszczenie, że miałbym się ożenić? Poczulałam się fatalnie z powodu popełnionego nietaktu i usiłowałam wyjaśniać:

— To chyba całkiem naturalne, że tak się stanie... w swoim czasie.

— Myślałam, że są pani znane okoliczności śmierci mojej małżonki, mademoiselle Lawson?

— Słyszałam... jakąś gadaninę — rzekłam. Czułam się jak ktoś, kto jedną stopą wszedł już w błoto i musi ją teraz szybko wyciągnąć, żeby się dalej w nim nie pogрузić.

— Aha, „gadaninę” — powiedział. — Są tacy, którzy sądzą, że zamordowałam żonę.

— Z pewnością nie przejmuję się pan takimi bzdurami.

— Jest pani zakłopotana? — Teraz wyraźnie ze mnie szydził. — To dowodzi, że nie traktuje pani owej gadaniny jako całkowitą bzdurę. Uważa mnie pani za człowieka zdolnego do najbardziej nikczemnych czynów, proszę się przyznać.

Serce zaczęło mi bić niepokojąco szybko.

— Pan oczywiście żartuje — stwierdziłam.

— Tego właśnie oczekujemy od Anglików, mademoiselle Lawson. O tym, co nieprzyjemne, po prostu się nie dyskutuje. — Nagle w jego oczach zapłonął gniewny błysk. — Nie, o tym się nie dyskutuje. Lepiej nadal wierzyć w winę ofiary.

Byłam wstrząśnięta.

— Jest pan całkowicie w błędzie — oświadczyłam spokojnie. Hrabia odzyskał panowanie nad sobą tak szybko, jak je utracił.

— A pani, mademoiselle Lawson, jest godna podziwu. Ale chyba rozumie pani, że w tych okolicznościach nigdy już nie powinienem się ożenić. Dziwi się pani, że jej przedstawiam swój punkt widzenia na małżeństwo, czy nie tak?

— Rzeczywiście.

— To dlatego, że jest pani taką współczującą słuchaczką. Nie mam na myśli tego określenia w sensie sentymentalnym. Chodzi mi tylko o okazywanie chłodnego, zdrowego rozsądku i szczerłość. Właśnie te pani cechy skusiły mnie do rozmowy o mych prywatnych sprawach.

— Sama nie wiem, czy mam dziękować panu za komplementy, czy przepraszać, że sprowokowałam tak osobiste wynurzenia.

— Pani odpowiedź potwierdza moje spostrzeżenie, że we wszystkim, co pani czyni — albo niemal we wszystkim — wyraża pani jasno swoje myśli. Dlatego chciałbym zadać jedno pytanie. Da mi pani szczerą odpowiedź?

— Spróbuję.

— Dobrze, oto ono: czy sądzi pani, że zamordowałam żonę?

Byłam zaszokowana. Ciężkie powieki przykryły mu oczy niemal do połowy, ale wiedziałam, że bacznie mi się przygląda, a ja przez te kilka znaczących sekund nic nie mówiłam.

— Dziękuję pani — rzekł.

— Przecież jeszcze nie odpowiedziałam.

— Ależ owszem, odpowiedziała pani. Potrzebny był pani czas na znalezienie taktownych słów.

Nie prosiłem wszakże o subtelność. Pragnąłem prawdy.

— Skoro spytał mnie pan o zdanie, to proszę pozwolić mi je wypowiedzieć.

— A więc?

— Nawet przez chwilę nie wierzę, że podał pan swej żonie śmiertelną dawkę trucizny, ale...

— Ale...

— Być może... zawiódł jej oczekiwania... może jej pan nie uszczęśliwił. To znaczy, być może w małżeństwie z panem nie była szczęśliwa i wolała odebrać sobie życie niż dalej trwać w tym związku.

Patrzył na mnie z krzywym uśmiechem na wargach. Wyczuwałam, że jest głęboko udręczony i nagle ogarnęło mnie nieprzeparte pragnienie, by uczynić go szczęśliwym. To było absurdałne, lecz tak właśnie się poczułam, nie mogłam temu zaprzeczyć. Chyba mało wiedziałam o tym, co się ukrywa pod ową powłoką pychy i obojętności wobec innych.

Stało się tak, jakby hrabia czytał w mych myślach, gdyż rysy jego twarzy stężały, gdy oświadczył:

— Więc widzi pani teraz, mademoiselle Lawson, dlaczego nie chcę się powtórnie ożenić. Pani sądzi, że pośrednio ponoszę odpowiedzialność za jej śmierć, a skoro jest pani taką mądrą młodą kobietą, to ma pani niewątpliwie rację.

— Pan uważa mnie za głupią, nietaktowną, bez oglądy... a tego najbardziej pan nie znosi.

— Pani wpływa... ożywczo, mademoiselle Lawson. I sama to wie. Jest takie powiedzenie w waszym kraju, które pani na pewno zna. „Kto chce psa uderzyć, ten zawsze kij znajdzie”. Tak to brzmi? — skinęłam głową, on zaś wyjaśnił: — Ma pani przed sobą przysłowiowego psa. A o kije jest zawsze najłatwiej. No i proszę! W zamian za udzieloną lekcję na temat odnawiania obrazów ja uraczyłem panią jedną z rodzinnych historii. A właściwie to chciałem zawiadomić panią, że wkrótce po Wielkanocy razem z kuzynem wyjeżdżamy do Paryża. Nie ma powodu, by zwlekać ze ślubem Philippe’a. Obaj będziemy uczestniczyli w *diner contrat* w domu narzeczonej, a zaraz potem odbędzie się ceremonia zaślubin. Później nowożeńcy pojedą w podróż poślubną, a kiedy wrócą do zamku, będzie tu trochę weselej.

Jak mógł tak spokojnie mówić o tej sprawie? Kiedy rozważałam udział hrabiego w owym przedsięwzięciu, ogarniała mnie złość na niego, ale i na siebie, gdyż tak szybko zapomniałam mu wszystkie winy. Mało tego, można powiedzieć, że gotowa byłam zaakceptować go na jego własnych warunkach za każdym razem, gdy mi się ukazywał w nowym świetle.

A on ciągnął dalej:

— Wkrótce po powrocie państwa młodych wydamy bal. Nowa madame de la Talle będzie tego oczekiwała. Natomiast w dwa dni później urządzimy zabawę dla wszystkich, którzy są związani z zamkiem... dla robotników pracujących w winnicach, służących, jednym słowem dla wszystkich. To taki stary obyczaj, gdy żeni się prawowity spadkobierca pana zamku. Mam nadzieję, że zaszczytowi pani swą obecnością obie te uroczystości.

— Z radością będę uczestniczyć w przyjęciu dla pracowników, natomiast nie jestem pewna, czy madame de la Talle życzyłaby sobie widzieć mnie jako gościa na balu wydawanym dla niej.

— Ja sobie tego życzę i skoro ja panią zapraszam, ona z zadowoleniem będzie panią gościć. Pani wydaje się w to wątpić? Moja droga mademoiselle Lawson, jestem panem tego domu. Tylko moja śmierć może ten stan rzeczy zmienić.

— Co do tego nie mam wątpliwości — odparłam — ale ja tu przyjechałam do pracy i nie jestem przygotowana do uczestniczenia w oficjalnych uroczystościach.

— Mam absolutną pewność, że potrafi się pani dostosować nawet do tego, czego pani nie oczekiwała. Nie będę już dłużej przeszkadzać. Czuję, że pani tylko czeka, aby móc wrócić do swoich zajęć.

Opuścił mnie po tych słowach i zostawił oszołomioną i pełną radości. Jednocześnie wszakże kołatała mi się po głowie pewna ostrzegawcza myśl: im głębiej zanurzam się w te lotne piaski, tym trudniejsze z każdym dniem będzie potem wydostanie się z nich i ucieczka. Czy on zdawał sobie z tego sprawę? Czy właśnie naszą rozmową dawał mi to wyraźnie do zrozumienia?

* * *

Hrabia i Philippe wyjechali do Paryża w Wielką Sobotę. Zaraz po świętach poszłam odwiedzić Bastide'ów. Yves i Margot bawili się w ogrodzie; zawołali mnie, żebym obejrzała pisanki, które znaleźli w Wielką Sobotę — niektóre w domu, inne w ogrodzie — tak samo dużo jak w zeszłym roku.

— Może pani tego nie wie, miss — wyjaśniła Margot — że wszystkie dzwony udają się do Rzymu po błogosławieństwo i po drodze upuszczają pisanki, żeby dzieci mogły je znaleźć.

Przyznałam, że pierwszy raz o tym słyszę.

— To znaczy, że nie macie pisanek w Anglii? — spytał Yves.

— Mamy... dostaje się je w prezencie.

— Nasze też są prezentami — odrzekł Yves. — Tak naprawdę to nie dzwony je upuszczają. Ale my ich szukamy, o, widzi pani? Chce pani jedną?

Odrzekłam, że chętnie wzięłabym którąś dla Geneviève, aby mogła się cieszyć, że to jedna z tych upuszczonych.

Pisanka została starannie zapakowana i uroczyście mi ją wręczono. Wtedy wreszcie im powiedziałam, że przyszłam odwiedzić ich babcie.

Dzieci wymieniły między sobą spojrzenia i Yves odrzekł:

— Babcia pojechała...

— Z Gabrielle — dodała Margot.

— Wobec tego wpadnę innego dnia. Czy coś się stało?

Wzruszenie ramion wyraźnie oznaczało, że nic nie wiedzą, więc pożegnałam się i poszłam na spacer. Jedna ze ścieżek zawiodła mnie nad rzekę. Zobaczyłam tam służącą Bastide'ów, Jeanne, przy której stały taczki, zwane tu *brouette*, wypełnione bielizną. Kobieta prała ją w rzece, bijąc rzeczy drewnianą kijanką.

— Dzień dobry, Jeanne — przywitałam ją.

— Dzień dobry, miss.

— Byłam u was w domu, ale nie zastałam madame Bastide.

— Pojechała do miasta.

— Rzadko jej się zdarza przebywać poza domem o tej porze.

— Mam nadzieję, że wszystko w porządku, miss.

— A czy jest jakiś powód, żeby się czegoś obawiać?

— Sama mam córkę.

Byłam zaintrygowana i zastanawiałam się, czy dobrze ją rozumiem, gdyż mówiła gwarą.

— Masz na myśli mademoiselle Gabrielle...

— Madame jest bardzo zmartwiona i wiem, że zabrała mademoiselle do lekarza. — Rozłożyła bezradnie ręce. — Błagam wszystkich świętych, żeby to nie było nic złego, ale kiedy krew gorąca, mademoiselle, takie rzeczy się zdarzają.

Wprost nie mogłam uwierzyć w to, co dawała do zrozumienia, więc zapytałam:

— Czyba mademoiselle Gabrielle nie zaraziła się jakąś chorobą?

Jeanne nie odpowiedziała, tylko jej uśmiech wskazywał, że uważa mnie za niezmiernie naiwną. W istocie jednak byłam bardzo niespokojna i w powrotnej drodze wstąpiłam do Bastide'ów.

Zastałam już w domu madame Bastide. Przyjęła mnie wyraźnie zakłopotana i zmartwiona.

— Może przyszedłam nie w porę — powiedziałam. — Pójdę już, chyba że mogłabym w czymś pomóc.

— Nie — odrzekła. — Nie odchodź. Ta sprawa i tak długo nie utrzyma się w tajemnicy... a wiem, że jesteś dyskretna. Usiądź, Dallas.

Sama osunęła się ciężko na krzesło i oparłszy łokieć na stole, zakryła twarz dłonią.

Czekałam zakłopotana sytuacją i po kilku minutach, w ciągu których starsza pani zapewne zastanawiała się, jak ma mi to powiedzieć, madame Bastide opuściła dłoń i rzekła:

— To się nie powinno było zdarzyć w naszej rodzinie!

— Chodzi o Gabrielle? — spytałam.

Skinęła głową.

— Gdzie ona jest?

Wskazała głową sufit.

— W swoim pokoju. Jest uparta. Nie chce nic powiedzieć.

— Zachorowała?

— Choroba! Wołałabym, żeby tak było. Wołałabym wszystko... tylko nie to.

— Czy nic się nie da zrobić?

— Nie chce nam powiedzieć. Nie chce wyjawić, kto to jest. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że coś takiego mogłoby się stać. Nie należała do tych, które się gdzieś szwendają. Zawsze była taka spokojna.

— Może to wszystko jeszcze dobrze się skończy...

— Mam nadzieję. Boję się, jak zareaguje Jean Pierre, kiedy się dowie. Jest taki dumny. Będzie na nią wściekły!

— Biedna Gabrielle — powiedziałam cicho.

— Biedna Gabrielle! Nigdy bym w to nie uwierzyła. I ani słowa, dopóki się nie domyśliłam, a wtedy... Widziałam, jaka jest przestraszona i prawie byłam pewna, że się nie mylę. Zauważyłam, że ostatnio wyglądała mizernie i wydawała się zmartwiona... unikała nawet spotkań z rodziną. A dzisiejszego ranka, kiedy przygotowywałyśmy bieliznę do prania, zemdląła. To mnie do końca upewniło, więc pojechaliśmy do lekarza, który potwierdził moje obawy.

— I odmówiła podania nazwiska kochanka?

Madame Bastide potwierdziła skinieniem głowy.

— Tym właśnie się martwię. Gdyby to był jeden z tutejszych młodych ludzi... no cóż, mógłby nam się nie podobać, ale dałoby się sprawę doprowadzić do porządku. Skoro jednak ona nie chce nic mówić... to się obawiam... Dlaczego boi się nam powiedzieć, jeżeli wszystko można by dobrze rozwiązać. To właśnie chciałabym zrozumieć. Wygląda tak, jakby chodziło o kogoś, z kim nie da się tego załatwić we właściwy sposób.

Spytałam, czy mogłabym zrobić kawę i ku memu zdziwieniu, staruszka poprosiła mnie o to. Siedziała przy stole, wpatrując się przed siebie pustym wzrokiem. Kiedy kawa była gotowa, zaproponowałam, że zaniosę filiżankę Gabrielle.

Madame Bastide wyraziła zgodę. Poszłam na górę i gdy zapukałam do drzwi, usłyszałam głos dziewczyny:

— To bezcelowe, *granmère* *.

Otworzyłam więc drzwi i weszłam do środka z filiżanką parującej kawy.

— Och, to ty, Dallas....

— Przyniosłam kawę. Pomyślałam, że dobrze ci zrobi.

* ft. babcia

Leżała na łóżku i patrzyła na mnie ołowianym wzrokiem. Ucisnęłam jej dłoń. Biedna Gabrielle, znalazła się w sytuacji takiej samej jak tysiące innych dziewcząt, ale dla każdej z nich była to nowa i osobista tragedia.

— Czy mogłabym coś dla ciebie zrobić? — spytałam.

Potrząsnęła przecząco głową.

— Mogłabyś wyjść za mąż i...

Jeszcze gwałtowniej zaprzeczyła ruchem głowy i odwróciła ode mnie twarz.

— Czy on... jest żonaty?

Zacisnęła wargi i nie odpowiedziała.

— Cóż, w takiej sytuacji nie może cię poślubić, a ty po prostu musisz postarać się znieść to najodważniej, jak potrafisz.

— Oni mnie nienawidzą! — zawołała. — Wszyscy... Już nigdy nie będzie jak przedtem.

— Nieprawda — zaprzeczyłam. — Są w tej chwili zgorszeni... pełni urazy i żalu... ale się z tego otrząsną, a kiedy dziecko przyjdzie na świat, pokochają je.

Uśmiechnęła się do mnie blado.

— Ty zawsze, Dallas, chcesz wszystko doprowadzać do porządku, tak samo ludzi jak obrazy. Ale w tym wypadku, niestety, nic nie możesz zrobić. Ja sama posłałam sobie to łóżko i jak to mówią, sama się w nim wyśpię.

— Ale w tym kłopotcie powinien ci towarzyszyć jeszcze ktoś.

Gabrielle jednak trwała w uporze i nic mi nie wyjawiała.

Do zamku wracałam zasmucona. Pamiętałam ich wszystkich radosnych, gdy siedzieli wokół świątecznego stołu w Boże Narodzenie. Pomyślałam, jak szybko, w jak przerażający sposób może zmienić się życie. Nie istnieje gwarancja trwałego szczęścia.

* * *

Hrabia nie wrócił do zamku zaraz po ślubie kuzyna. Philippe z młodą żoną wyjechali do Włoch na miodowy miesiąc, a ja zastanawiałam się, czy Monsieur le Comte znalazł sobie kogoś innego, z kim by mógł się zabawić, skoro już w tak cyniczny sposób przekazał Claude w ręce Philippe'a.

To właśnie, mówiłam sobie z gniewem, jest najbardziej prawdopodobną przyczyną jego nieobecności.

Wrócił do domu prawie w tym samym czasie co młoda para i nawet wtedy nie czynił żadnych prób, aby spotkać się ze mną sam na sam. Zadawałam sobie pytanie, czy odgadł, iż nie pochwalam jego postępowania. Tak, jakby go to w ogóle obchodziło! Może jednak uznał, że zachowuję się jeszcze bardziej powściągliwie niż zwykle.

Byłam rozczarowana, gdyż spodziewałam się, że z nim porozmawiam, a w ogóle czułam się nieswojo po powrocie Philippe'a i jego żony. Nie miałam wątpliwości, że Claude powzięła do mnie antypatię od pierwszego wejrzenia i że nie będzie ukrywała swych uczuć. Być może należało zgodzić się na propozycję Philippe'a, który ofiarował się, że wyszuka mi pracę gdzie indziej. Jednak mimo narastającego poczucia niepewności myśl o opuszczeniu zamku bardzo mnie przygnębiała.

Nowożeńcy wrócili po trzech tygodniach podróży poślubnej i już na drugi dzień po ich przyjeździe doszło do mego spotkania z Claude, po którym upewniłam się, jak bardzo ta kobieta mnie nie cierpi.

Natknęłam się na nią, gdy wychodziłam z galerii.

— Zdawałoby się, że do tego czasu powinna pani ukończyć swe prace — powiedziała. — Pamiętam, jak dalece były zaawansowane już przed Bożym Narodzeniem.

- Odnawianie obrazów to bardzo żmudne zajęcie. A tutejsze płótna są w bardzo złym stanie.
- Myślałam jednak, że dla tak wybitnej specjalistki nie będzie to przedstawiało trudności.
- Zawsze występują jakieś trudności i trzeba się uzbroić w wielką cierpliwość.
- I to ze względu na potrzebne skupienie nie może pani pracować przez cały dzień?

A więc zauważyła, jak układam sobie pracę! Czy jej słowa miały być aluzją do tego, że marnuję czas, żeby przedłużyć pobyt na zamku?

Odparłam żywo:

— Zapewniam, madame de la Talle, że zakończę odnawianie obrazów w możliwie najkrótszym terminie.

Skinęła głową.

— Szkoda, że nie wszystkie będą mogły być odrestaurowane przed balem, jaki wydajemy dla przyjaciół. Spodziewam się, że pani tak jak reszta służby, cieszy się z zaproszenia na zabawę dla pracowników.

Odeszła majestatycznie, zanim zdołałam jej odpowiedzieć. Wyraźnie dała do zrozumienia, że nie spodziewa się zobaczyć mnie na pierwszym balu. Miałam ochotę zawołać za nią: „Ale hrabia już mnie zaprosił, a on jeszcze ciągle jest panem tego domu!”

Poszłam do swego pokoju i przyjrzałam się aksamitnej, zielonej sukni. Dlaczego miałabym nie iść? Zaprosił mnie i będzie oczekiwał, że przyjdę. Cóż to byłoby za triumf, gdybym została przez niego mile powitana! Nowa madame de la Talle dostałaby prztyczka w nos.

Jednak gdy nadszedł wieczór balu, zmieniłam zdanie. Hrabia nie szukał sposobności, żeby się ze mną zobaczyć. Czy naprawdę mogłam zakładać, że weźmie moją stronę przeciwko Claude?

W tym dniu poszłam wcześniej do łóżka. Od czasu do czasu dochodziły mnie dźwięki muzyki z sali balowej. Usiłowałam coś poczytać przed snem, ale moje myśli były całkowicie pochłonięte tym, co tam się działo. Muzycy zasiedli na podium za dekoracją z goździków, którą w ciągu dnia przygotowywali ogrodnicy. Wyobraziłam sobie, jak hrabia otwiera bal z żoną swego kuzyna. Widziałam też siebie, w zielonej sukni, ozdobionej broszką ze szmaragdem, którą wygrałam podczas zabawy w poszukiwanie skarbów. Potem zaczęłam rozmyślać o szmaragdach z portretu i wyobraziłam sobie, że mam je na szyi. Wyglądałabym w tych klejnotach jak hrabina.

Parsknęłam śmiechem i ponownie zabrałam się do czytania, trudno było mi jednak się skupić. Słyszałam głosy dochodzące ze szczytu schodów wiodących do wieży i zastanawiałam się, czy oni są tam teraz razem tylko we dwoje. Czy gratulowali sobie, że tak sprytnie ukartowali to małżeństwo, dzięki czemu mogli mieszkać pod jednym dachem?

Cóż za sytuacja! Co z tego wyniknie? Nic dziwnego, że hrabiego otaczała atmosfera skandalu. Ciekawe, czy równie nierozważnie zachowywał się w czasie trwania swego małżeństwa?

W korytarzu zastukały kroki zbliżające się do mego pokoju i zamieniłam się w słuch. Kroki ucichły przed moimi drzwiami. Ktoś tam stał. Wyraźnie słyszałam czyjś oddech.

Usiadłam na łóżku ze wzrokiem utkwionym w drzwiach. Nagle gałka się przekręciła.

— Geneviève! — zawołałam. — Przestraszyłaś mnie.

— Przepraszam. Stałam i zastanawiałam się, czy pani już śpi.

Podeszła i przysiadła na łóżku. W błękitnej jedwabnej sukience balowej wyglądała uroczo, ale była wyraźnie przygnębiona.

— Okropny jest ten bal — powiedziała.

— Dlaczego?

— Ciocia Claude! — prychnęła. — Ona nie jest moją ciotką, tylko żoną kuzyna Philippe’a.

— Mów po angielsku — poleciłam.

— Nie potrafię, gdy jestem zła. Wtedy muszę się bardziej zastanawiać, a nie mogę być zła i zastanawiać się jednocześnie.

— W takim razie propozycja, żebyś mówiła po angielsku, wydaje się może jeszcze bardziej uzasadniona.

— Och, miss, pani mówi jak Stara Gruchotka. Myśl, że ta kobieta będzie tu mieszkała...

— Dlaczego tak jej nie lubisz?

— To nie jest właściwe słowo. Ja jej nienawidzę!

— Co ona ci zrobiła?

— Przyjechała, żeby tu zamieszkać. Nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby stała nieruchomo przez cały czas w jednym miejscu, bo wtedy nigdy bym się do niej nie zbliżyła.

— Tylko proszę cię, Geneviève, nie wpadnij na pomysł, żeby ją zamknąć w *oubliette*.

— Nounou by ją wypuściła, więc na nic by się to zdało.

— Dlaczego zwracasz się przeciwko niej? Jest bardzo ładna.

— Nie lubię ładnych ludzi. Wolę takich sobie, jak pani, miss.

— Cóż za uroczy komplement.

— Ci piękni wszystko psują.

— Ona przebywa tu zbyt krótko, żeby coś zepsuć.

— Ale tak będzie, zobaczy pani. Moja mama także nie lubiła ładnych kobiet. Jej też zaszkodziły.

— Nic o tym nie możesz wiedzieć.

— A właśnie że wiem. Często płakała. A potem się kłócili. Po cichu oczywiście. Zawsze uważałam, że takie kłótnie szeptem są gorsze od głośnych. Papa mówi cicho słowa, które ranią, i tak wypowiedane są jeszcze bardziej bolesne. A on tak je mówi, jakby go bawiły... jakby bawiło go, że inni ludzie są tacy głupi. Uważał, że mama też była głupia, i tym ją unieszczęśliwiał.

— Geneviève, sądzę, że nie powinnaś rozmyślać o sprawach, które miały miejsce tak dawno, zwłaszcza że niewiele o nich wiesz.

— Ale wiem, że to on ją zabił.

— Niczego takiego nie wiesz.

— Mówią, że mama odebrała sobie życie, ale ona tego nie zrobiła. Nie zostawiłaby mnie samej. Położyłam dłoń na jej ręce.

— Nie myśl o tym — powiedziałam.

— Ale trzeba myśleć o tym, co się dzieje we własnym domu. Z powodu tego, co się u nas stało, papa nie ma żony. Dlatego Philippe musiał się ożenić. Gdyby papa miał syna, byłoby inaczej. Papa mnie nie lubi, bo nie jestem chłopcem.

— Niewątpliwie ponosi cię wyobraźnia, skoro twierdzisz, że ojciec cię nie lubi.

— Nie bardzo mi się podoba, kiedy pani udaje. Jest pani taka sama jak wszyscy dorośli. Kiedy nie chcą odpowiedzieć, udają, że nie wiedzą, o czym mowa. Uważam, że ojciec zabił mamę, a ona powinna powrócić z grobu, żeby się na nim zemścić.

— Co za bzdury!

— Ona chodzi wokół zamku w nocy razem z innymi duchami z *oubliette*. Ja to słyszę, więc niech mi pani nie mówi, że ich nie ma.

— Kiedy je usłyszysz następnym razem, zawołaj mnie.

— Będę mogła, miss? Już ich nie słyszałam od dłuższego czasu. Nie boję się, bo mama nie pozwoliłaby im mnie skrzywdzić. To pani mi kiedyś powiedziała, pamięta pani?

— Daj mi znać, jeśli znowu je usłyszysz.

— A nie sądzi pani, że mogłybyśmy iść i ich poszukać?

— Nie wiem. Najpierw posłuchamy. Dziewczynka pochyliła się ku mnie i zawołała:

— Trzymam panią za słowo.

* * *

W zamku nie mówiło się prawie o niczym innym, tylko o balu dla służby i ludzi pracujących w winnicach, a przygotowaniom do tej zabawy towarzyszyło jeszcze większe podniecenie niż przed przyjęciem urządzonym przez hrabiego dla swoich przyjaciół. Rozprawiano o tym w okolicy i w zamkowych korytarzach, a w dniu balu całą służbę ogarnął radosny nastrój.

Z tej okazji ubrałam się w zieloną suknię, gdyż czułam potrzebę dodania sobie pewności. Upięłam wysoko włosy i efekt był zadowalający.

Dużo myślałam o Gabrielle Bastide i ciekawa byłam, czy podjęła jakąś decyzję.

Boulangier, *sommelier*, był mistrzem ceremonii i witał wszystkich w sali bankietowej zamku. Przygotowano tu bufet z różnymi daniami na kolację, na balu zaś mieli się pokazać zarówno nowo poślubiona para, jak i hrabia z Geneviève. Mówiono mi, że zamierzali się tam zjawić niepostrzeżenie, zatańczyć z kilkoma osobami, potem zaś Boulangier — po odkryciu niby to przypadkiem — ich obecności, wzniesie toast za zdrowie młodej pary, spełniony przez wszystkich gości najlepszym winem z zamkowych piwnic.

Rodzina Bastide'ów była już na balu, zanim ja się tam zjawiłam. Przyszła z nimi także Gabrielle, wyglądająca bardzo ładnie — choć z miną nieco przygaszoną — w bładoniebieskiej sukni, którą jak się domyślałam, sama uszyła. Słyszałam, że bardzo zręcznie posługiwała się igłą.

Madame Bastide, wsparta na ramieniu swego syna, Armanda, skorzystała z pierwszej nadarzającej się okazji, żeby szepnąć mi na ucho, iż Jean Pierre jeszcze nic nie wie o całej sprawie. Mieli nadzieję, że poznają nazwisko mężczyzny i zdołają doprowadzić do małżeństwa, zanim on się zorientuje.

Jean Pierre odszukał mnie i zatańczyliśmy, gdy zabrzmiała melodia *sautiere chartenaise*, którą już przedtem słyszałam w domu Bastide'ów i której słowa on sam mi kiedyś śpiewał.

Teraz, w czasie tańca też cicho nucił: — *Qui sont-ils les gens qui sont riches...*

— Jak widzisz — zwrócił się do mnie — nawet tutaj, w tym przepychu, nadal śpiewam tę piosenkę. To niezwykle wydarzenie dla nas, skromnych poddanych pana hrabiego. Nieczęsto mamy sposobność tańczyć w salach balowych zamku.

— A czyż tu tańczy się lepiej niż u was w domu? Świetnie się bawiłam wtedy, na Boże Narodzenie, podobnie jak Geneviève. A nawet jestem przekonana, że wolę wasze rozrywki od tych w zamku.

— To dziwna dziewczynka.

— Zawsze ogarnia mnie radość, gdy widzę ją szczęśliwą. Uśmiechnął się ciepło, a ja miałam przed oczami Geneviève, jak szła z koroną na poduszce i później, gdy Jean Pierre pocałował nas na pożegnanie, korzystając z przywileju przysługującego Królowi Dnia.

— Być może jest teraz szczęśliwsza, odkąd zamieszkałaś tutaj — dodał. — Czuje się mniej samotna.

— Pochlebiasz mi.

— O, nie, Dallas, prawda nie jest pochlebstwem.

— W takim razie miło mi, że macie o mnie taką dobrą opinię. Lekko uścisnęłam ją dłoń.

— Niepodważalną — zapewnił. — A, właśnie... wielcy tego świata pojawili się między nami. I powiem ci, że Monsieur le Comte nie spuszcza z nas oczu. Być może chodzi mu o ciebie, gdyż jako osoba nie tak niskiego stanu jak służba czy robotnicy z winnic, stanowisz dla niego najodpowiedniejszą partnerkę.

— Jestem przekonana, że wcale tak nie myśli.

— Bardzo żarliwie go bronisz.

— Jestem tylko obiektywna, a hrabia nie potrzebuje mnie w charakterze adwokata.

— To się okaże. A może się założymy, co? Stawiam na to, że do pierwszego tańca poprosi ciebie.

— Nie uznaję hazardu. Muzyka ucichła.

— Niby czysty przypadek — szepnął mi Jean Pierre — ale to pan Boulanger dał im dyskretnie znak. Wstrzymać tańce! Wielcy tego świata pojawili się między nami! — Poprowadził mnie do krzesła, na którym usiadłam.

Hrabia zostawił Claude i Philippe'a i ruszył w moim kierunku. Muzycy ponownie zaczęli grać. Zwróciłam na nich wzrok, oczekując, że pan zamku lada moment stanie przede mną, gdyż podobnie jak Jean Pierre sądziłam, że ze mną zatańczy.

Ku memu zdziwieniu właśnie przesunął się koło nas z Gabrielle. Zwróciłam się do mego towarzysza ze śmiechem:

— Teraz żałuję, że się nie założyłam.

Jean Pierre obrzucił hrabiego i siostrę czujnym wzrokiem.

— A ja żałuję — odrzekł, przenosząc na mnie spojrzenie — że będziesz musiała zadowolić się panem na winnicy zamiast panem na zamku.

— Z największą chęcią — odparłam lekko.

W trakcie tańca dostrzegłam Claude z panem Boulangerem i Philippe'a z madame Duval, zarządzającą żeńskim personelem na zamku. Doszłam do wniosku, że hrabia wybrał Gabrielle, gdyż należała do rodziny Bastide'ów, najbardziej liczącej się wśród rodów uprawiających winnice.

Po skończonym tańcu pan Boulanger wygłosił swą mowę i wszyscy wypili zdrowie młodej pary. Muzycy zaczęli grać melodię, zwaną — jak się dowiedziałam — *marche pour noce*^{*}, i ten taniec poprowadzili Philippe z Claude.

Wtedy właśnie hrabia podszedł do mnie.

Na przekór memu zdecydowanemu postanowieniu, że pozostanę całkiem niewzruszona, czułam, że lekkie rumieńce występują mi na policzki, kiedy ujął delikatnie moją dłoń i spytał, czy może mieć zaszczyt poproszenia mnie do tańca.

— Nie jestem pewna, czy wiem, jak to się tańczy. To chyba coś typowo francuskiego.

— Nie bardziej niż *noce*, a chyba nie chce mi pani powiedzieć, że małżeństwa zawierane są jedynie w naszym kraju.

— Nie miałam takiej intencji. Ale ten taniec nie jest mi znany.

— Dużo pani tańczyła w Anglii?

— Nie. Rzadko miałam po temu okazję.

— Szkoda. Sam nigdy nie byłem nadzwyczajnym tancerzem, lecz podejrzewałem, że pani robi to tak samo dobrze jak wszystko, czego się pani z chęcią podejmuje. Powinna pani korzystać z każdej sposobności... nawet jeżeli nie ma pani ochoty zadawać się z pewnymi ludźmi. Nie przyjęła pani mego zaproszenia na bal. Zastanawiałem się, dlaczego.

— Chyba już wyjaśniłam, że nie jestem przygotowana do brania udziału w tak wystawnych uroczystościach.

— A jednak miałem nadzieję, że skoro nie ukrywałem, iż zależy mi na pani obecności, to pani przyjdzie.

— Nie sądzę, aby moja nieobecność została zauważona.

— Ależ tak, została... i to z żalem.

— Wobec tego przykro mi.

— Raczej nic na to nie wskazuje.

— Miałam na myśli rozczarowanie, jakie sprawiłam, a nie zmarnowaną okazję uczestniczenia

* fr. marsz na zaślubiny

w balu.

— To się pani chwali, mademoiselle Lawson. Wykazała pani godną pochwałą troskę o uczucia innych, co zawsze jest pocieszające.

Niedaleko nas przesunęła się roześmiana Geneviève tańcząca z Jean Pierre'em. Hrabia ich zauważył.

— Moja córka jest podobna do pani, mademoiselle Lawson — woli pewien szczególny rodzaj zabawy od innych.

— Tu zapewne jest nieco weselej niż na bardziej uroczystych balach.

— Skąd pani może wiedzieć, skoro nie była na naszym?

— Wyrziliłam tylko przypuszczenie, nie stwierdzałam faktu.

— Tak, rzeczywiście. Jest pani również bardzo skrupulatna. Musi mi pani udzielić kolejnej lekcji z zakresu konserwowania obrazów. Ostatnia była fascynująca. Może pani liczyć na moją wizytę w galerii któregoś dnia rano.

— Cieszy mnie ta zapowiedź.

— Naprawdę?

Popatrzyłam w te dziwne, obserwujące mnie spod ciężkich powiek oczy i odrzekłam:

— Tak, naprawdę.

Taniec się skończył i hrabia nie mógł poprosić mnie do następnego, gdyż wywołałoby to komentarze. Nie więcej niż jeden z tą samą partnerką, a po sześciu będzie mógł nas opuścić, jak mi powiedział Jean Pierre. Hrabia, Philippe, Claude i Geneviève po wypełnieniu swych obowiązków zamierzali wyjść z sali dyskretnie i pojedynczo. Wspólne opuszczenie zabawy byłoby zbyt oficjalne, a porządek dnia zakładał całkowitą swobodę. Hrabia miał wyjść pierwszy, pozostali sami wybierali właściwy moment.

Tak się też stało. Widziałam, jak hrabia wymyka się po cichu. Po jego wyjściu nie miałam już wielkiej ochoty dalej tam pozostawać.

Tańczyłam z monsieur Boulangerem, kiedy spostrzegłam, że Gabrielle ukradkiem wychodzi z sali. Najpierw rozejrzała się wokół, udając, że ogląda gobelin na ścianie, potem rzuciła szybkie spojrzenie za siebie i zaraz znalazła się za drzwiami.

Przez chwilę widziałam jej twarz, wręcz pełną rozpacz. Ogarnął mnie lęk na myśl, co ta biedaczka zamierza zrobić.

Musiałam się upewnić, więc gdy tylko muzyka przestała grać i mogłam uwolnić się od partnera, skorzystałam z okazji i też się wymknęłam.

Nie miałam pojęcia, gdzie poszła Gabrielle. Zastanawiałam się, co ta zdesperowana dziewczyna może zrobić. Rzuci się ze szczytu zamku? Utopi w studni na dziedzińcu?

Kiedy tak stałam za drzwiami sali balowej, uznałam, że żadna z owych możliwości nie wchodzi w grę. Gdyby Gabrielle chciała popełnić samobójstwo, to po co miałaby wybierać w tym celu zamek, chyba że istniałby jakiś oczywisty powód...

Znałam taki jeden, ale nie przyjmowałam go do wiadomości.

Mimo że go odrzucałam, nogi same, jakby instynktownie powiodły mnie w kierunku biblioteki, gdzie zwykle prowadziłam rozmowy z hrabią.

Bardzo pragnęłam móc śmiać się z tego, co sobie ubzdurałam. Doszłam do biblioteki. Usłyszałam głosy i już wiedziałam, do kogo należą. Głos Gabrielle był podniecony... wznosił się do granicy hysterii, a hrabiego — cichszy, lecz dobrze słyszalny.

Zawróciłam i poszłam do swego pokoju. Nie miałam ochoty wracać do sali balowej. Nie pragnęłam niczego poza samotnością.

Kilka dni później odwiedziłam Bastide'ów. Starsza pani przyjęła mnie z zadowoleniem i widać było, że czuje się o wiele lepiej niż podczas mojej ostatniej wizyty w ich domu.

— Mamy dobre nowiny. Gabrielle wychodzi za mąż!

— Och, jak się cieszę.

Madame Bastide uśmiechnęła się do mnie.

— Spodziewałam się takiej odpowiedzi. Dzieliłaś z nami te niedawne kłopoty.

Odczułam dziwną ulgę. Śmiać mi się chciało z siebie. (Ty idiotko, podejrzliwa idiotko, dlaczego zawsze posądzasz go o najgorsze?).

— Proszę powiedzieć coś więcej — poprosiłam. — Jestem wprost uszczęśliwiona tą nowiną i widzę, jaka pani jest uradowana.

— No cóż — odrzekła staruszka — za jakiś czas ludzie się zorientują, że małżeństwo zostało zawarte w pośpiechu... ale takie rzeczy się zdarzają. Po prostu wyprzedzili małżeńską przysięgę, jak się to przytrafia wielu młodym ludziom, ale wypowiadają się i otrzymują rozgrzeszenie. I nie będzie niesłubnego dziecka, a zwykle właśnie ono na tym cierpi.

— Tak, oczywiście. A kiedy odbędzie się ślub Gabrielle?

— Za trzy tygodnie. Wspaniale się ułożyło, bo Jacques teraz już może sprostać obowiązkowi męża. Na tym polegał kłopot. Nie mógł utrzymać jednocześnie i żony, i matki, a Gabrielle, zdając sobie z tego sprawę, nie mówiła mu o swym stanie. Ale Monsieur le Comte wszystko dobrze urządził.

— Monsieur le Comte?

— Tak. Powierzył Jacques'owi stanowisko zarządcy winnic w St. Vallient. Monsieur Durand od dłuższego czasu nie dawał sobie rady, jest już za stary. Teraz ma dostać własny domek na terenie posiadłości hrabiego, a Jacques obejmie St. Vallient. Gdyby nie Monsieur le Comte, trudno byłoby im się pobrać.

— Rozumiem — odrzekłam w zamyśleniu.

* * *

Gabrielle wyszła za mąż i chociaż w czasie mych wypraw do miasteczka słyszałam wiele plotek na jej temat, które także nie ominęły zamku i najbliższej okolicy, komentarzom owym zawsze towarzyszyło wzruszenie ramionami. Tego rodzaju sprawy ekscytują sąsiadów tydzień lub dwa, a nikt nie mógł być pewny, czy podobna sytuacja nie stanie się udziałem jego własnej rodziny. Gabrielle będzie mężatką i jeżeli dziecko urodzi się nieco wcześniej, to cóż, dzieci mają taki zwyczaj jak świat długi i szeroki.

Uroczystość weselną urządzono w domu narzeczonej i nie brakło niczego, co madame Bastide uważała za niezbędne, choć nie miała zbyt wiele czasu na przygotowania. Hrabia, jak słyszałam, był dobry dla swych pracowników i ofiarował młodej parze szczodry prezent ślubny, dzięki któremu mogli kupić potrzebne umeblowanie. Przejęli też trochę sprzętów po Durandach, skoro oczywiste było, że wszystkie nie zmieszczą się w małym domku. Tak więc Gabrielle z mężem mogli przenieść się od razu do nowej siedziby.

Dziewczyna zdumiewająco się zmieniła. Strach ustąpił pogodzie ducha i wyglądała ładniej niż kiedykolwiek przedtem. Kiedy pojechałam do St. Vallient, żeby zobaczyć się z nią i starą matką Jacques'a, bardzo miło mnie przyjął. Było wiele pytań, które pragnęłam zadać, ale oczywiście nie mogłam. Nawet gdybym jej powiedziała, że nie kieruje mną pusta ciekawość.

Kiedy wychodziłam, poprosiła mnie, żebym znowu do nich wpadła, jeżeli będę na konnej przejażdżce w pobliżu. Obiecałam, że ją odwiedzę.

Minęło cztery czy pięć tygodni od ślubu. Do Gaillard na dobre zawitała już wiosna i nowe pędy winorośli zaczęły szybko rosnać. Nadal dużo było przy nich pracy, która miała się skończyć dopiero po zbiorach.

Tego dnia byliśmy na przejażdżce z Geneviève, ale nasze stosunki nie układały się tak harmonijnie jak poprzednio. Obecność Claude w zamku nastrajała dziewczynkę przekornie, w związku z czym stale czułam się jak na rozżarzonych węglach, nigdy nie mając pewności, jaki obrót przyjmą sprawy między nami. Wyglądało to tak, jakbym uzyskała fałszywą żywość barw na obrazie przez użycie roztworu dającego jedynie efekt chwilowy, który mógł nawet zaszkodzić warstwie farby.

— Może odwiedzimy Gabrielle? — zaproponowałam.

— Wszystko mi jedno.

— Widzę, że nie masz ochoty. Pojadę sama.

Dziewczynka wzruszyła ramionami, ale nadal jechała koło mnie.

— Spodziewa się dziecka — oznajmiła.

— Tak — odrzekłam — będą z mężem bardzo szczęśliwi.

— Tylko że urodzi się trochę za wcześnie, wszyscy o tym mówią.

— Wszyscy! Znam takich, którzy nie plotkują. Doprawdy, nie powinnaś przesadzać. I dlaczego nie mówisz po angielsku?

— Już mnie to nuży. To taki nieznośny język. — Roześmiała się. — A więc to było małżeństwo z rozsądku. Tak słyszałam.

— Zawarciu każdego małżeństwa powinien towarzyszyć rozsądek.

Geneviève znowu parsknęła śmiechem, po czym rzekła:

— Do widzenia, miss. Nie jadę z panią. Mogłabym wprawić panią w zakłopotanie, gdybym wyraziła się niestosownie... albo nawet zrobiła taką minę. Ze mną nigdy nic nie wiadomo.

Spięła konia i odjechała w drugą stronę. Miałam zamiar podążyć za nią, gdyż w zasadzie nie było jej wolno jeździć samej po okolicy, ale szybko mnie wyprzedziła i zniknęła w małym zagajniku.

Nie minęła minuta, gdy usłyszałam strzał.

— Geneviève! — krzyknęłam. Popędziłam konia galopem w stronę miejsca, skąd dobiegł mnie jej krzyk. Gałęzie drzew wczepiały się w moje ubranie, jakby chciały mnie powstrzymywać, a ja wołałam dalej: — Geneviève, gdzie jesteś? Co się stało?

Usłyszałam jej głośny szloch:

— Och... miss... miss...

Podjechałam w tym kierunku i znalazłam ją. Zsiadła już z konia, a on posłusznie stał obok.

— Co się wyda... — zaczęłam i wtedy zobaczyłam hrabiego. Leżał na trawie obok swego wyciągniętego na ziemi wierzchowca. Całą kurtkę miał przesiąkniętą krwią.

— On... on... nie żyje — z trudem wykrztusiła z siebie Geneviève.

Zeskoczyłam na ziemię i uklękłam koło leżącego. Ogarnął mnie potworny strach.

— Geneviève — powiedziałam — jedź szybko sprowadzić pomoc. Najbliżej jest St. Vallient. Wyślij kogoś po lekarza.

Następne minuty pamiętałam jak przez mgłę. Usłyszałam tętent końskich kopyt, gdy dziewczynka dotarła do ubitej drogi, oddalając się galopem.

— Lothair... — wyszeptałam. Po raz pierwszy wypowiedziałam owo niezwykle imię i wypróbowałam je na głos. — To niemożliwe, nie zniósłabym tego. Mogłabym znieść wszystko, tylko nie twoją śmierć.

Wpatrywałam się w jego niezbyt długie, lecz bardzo gęste rzęsy, w ciężkie powieki, opuszczone jak żaluzje zamykające światło życia przed nim... i na zawsze przede mną.

Takie myśli kłębiły mi się w głowie, podczas gdy ręce okazały się bardziej praktyczne. Uniosłam jego dłonie i uczułam bijący, choć słaby puls. Ogarnęła mnie niewypowiedziana radość.

— Żyje... — wyszeptałam. — Och, dzięki Ci, Boże... dzięki Ci, Boże. — Uświadomiłam

sobie, że mym słowom towarzyszą łzy, lecz teraz płakałam z szalonego wprost szczęścia.

Rozpięłam mu kurtkę. Jeżeli hrabia został trafiony tym strzałem, musiałby gdzieś być ślad po kuli. Żadnego nie znalazłam. To nie on krwawił.

I nagle dotarło do mnie, co się stało. On nie był ranny, a krew na ubraniu pochodziła od leżącego obok konia.

Zdjęłam własny żakiet, złożyłam go i podsunęłam hrabiemu pod głowę. Odniosłam wrażenie, że jego twarz nabiera kolorów. Zamrugał powiekami.

Usłyszałam własny głos:

— Ty żyjesz... żyjesz... Bogu dzięki.

Modliłam się w duchu, żeby jak najszybciej nadeszła pomoc. Klęczałam, wpatrzona w jego twarz, a moje wargi wypowiadały bezgłośnie słowa modlitwy.

Czułam, że trzęsą mi się usta. Emocje, które przeżyłam w ciągu tych kilku minut, przekraczały granice ludzkiej wytrzymałości — najpierw przerażenie, a potem nadzieja, siłą rzeczy pomieszana z obawą.

— Wyjdiesz z tego — powiedziałam.

Zamknęłam oczy i nadal tkwiłam przy nim na klęczkach w oczekiwaniu pomocy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Hrabią nie odniósł poważniejszych obrażeń poza potłuczeniami i zadrapaniami. To jego koń został zastrzelony. Całymi dniami omawiano ów wypadek w zamku, na terenach winnic i w miasteczku. Przeprowadzone zostało dochodzenie, lecz nie wykryto osoby, która oddała strzał, gdyż znaleziony nabój mógł pochodzić z setek strzelb używanych w okolicy. Hrabia niewiele pamiętał z tego wydarzenia. Zeznał jedynie, że jechał konno przez zagajnik i w pewnym momencie schylił głowę przed jakąś gałęzią, a następnie odzyskał świadomość, kiedy układano go na noszach. Powszechnie uważano, iż to opuszczenie głowy prawdopodobnie uratowało mu życie, gdyż nabój odbił się od gałęzi i rykoszetem ugodził wierzchowca w głowę. Wszystko to stało się w mgnieniu oka. Koń upadł, a jeździec stracił przytomność.

W ciągu kilku następnych dni nie opuszczało mnie uczucie radości. Byłam świadoma, że w tej sprawie jest jeszcze wiele do wyjaśnienia, ale tylko jedno się liczyło — on żył.

Ponieważ zawsze byłam rozsądna, nawet w ciągu owych dni nie — wysłowionej ulgi stawiałam sobie pytanie: co przyniesie przyszłość. Jak to się stało, że pozwoliłam, aby ten mężczyzna był dla mnie kimś tak ważnym? To raczej mało prawdopodobne, żeby on wykazywał podobne zainteresowanie moją osobą. Ponadto, ze względu na jego reputację, każda rozsądna kobieta powinna go unikać. A czy ja nie szczyciłam się, że należę do tego typu kobiet?

Lecz w tamtych dniach tak naprawdę liczyło się tylko owo cudowne uczucie błogiej ulgi.

Któregoś dnia wybrałam się do miasteczka, żeby wstąpić do *pâtisserie* na rynku. Często tam zachodziłam na kawę przy okazji popołudniowych spacerów.

Madame Latiere, właścicielka, powitała mnie serdecznie i natychmiast podjęła temat dnia.

— Łaska boska, mademoiselle. Słyszałam, że Monsieur le Comte wyszedł z tego bez szwanku. Jego święty patron musiał nad nim czuwać tego dnia.

— Tak, miał szczęście.

— To okropne, mademoiselle. Okazuje się więc, że nasze lasy nie są bezpieczne. I nie złapano sprawcy.

Pokiwałam głową.

— Powiedziałam Latiere'owi, żeby nie jeździł konno po tamtych okolicach. Nie chciałabym go zobaczyć na noszach. Inna sprawa, że Latiere to dobry człowiek. Nie ma tu żadnych wrogów.

Mieszałam łyżeczką cukier w filiżance, z pewnym niepokojem czekając na dalsze wywody mojej rozmówczyni. Strzepnęła nad stołem serwetkę, jakby bezwiednie.

— Oo, nasz pan hrabia. *Galant — fort galant**. Moja babka często opowiadała o tamtym, który żył za jej czasów. Żadna dziewczyna w okolicy nie była bezpieczna... ale jak się przydarzył kłopot, to hrabia znajdował męża i niech mi pani wierzy, zawsze im to wychodziło na dobre. W Gaillard często spotyka się ludzi o rysach twarzy podobnych do tamtych, z zamku. I tak to przechodzi z pokolenia na pokolenie. No cóż, taka już ludzka natura.

— Jak zmienił się wygląd winnic w ostatnich miesiącach — zauważyłam. — Mówiono mi, że jeżeli utrzyma się ciepła i słoneczna pogoda, to będzie dobry rok.

— I dobre zbiory — zaśmiała się właścicielka cukierni. — Wynagrodzą panu hrabiemu ten wypadek w zagajniku, nieprawdaż?

— Pewnie tak.

— Cóż, było to jednak ostrzeżenie, czyż nie, mademoiselle? Mogę przysiąc, że przez jakiś czas

* fr. zalotnik, niezły zalotnik

nie pojawi się w tych lasach.

— Być może — odrzekłam niepewnie i dopiwszy resztkę kawy, wstałam od stołu.

— *Au revoir**, mademoiselle — powiedziała madame Latiere z rozczarowaniem. Pewnie się spodziewała, że jeszcze trochę poplotkujemy.

Podczas spaceru następnego dnia nie mogłam oprzeć się pokusie i postanowiłam odwiedzić Gabrielle. Zmieniła się od czasu, kiedy ostatni raz ją widziałam — dostrzegłam pewną nerwowość w zachowaniu młodej mężatki. Lecz gdy pogratulowałam Gabrielle nowego domu, który robił bardzo miłe wrażenie, była wyraźnie rada.

— To więcej, niż mogłam się spodziewać — powiedziała.

— A ty dobrze się czujesz?

— Tak. Widziałam się z mademoiselle Carre. To akuszerka, no, wiesz. Uważa, że wszystko idzie dobrze i teraz to tylko kwestia czasu. *Maman*, matka Jacques'a, bywa zawsze pod ręką i jest dla mnie bardzo dobra.

— Chcesz mieć dziewczynkę czy chłopca?

— Chyba chłopca. Wszyscy wolą, żeby pierwszy był chłopiec. Wyobraziłam go sobie, jak bawi się w ogrodzie — mały silny chłopaczek. Czy też będzie podobny do tych z zamku?

— A Jacques?

Gabrielle się zaczerwieniła.

— Och, on jest szczęśliwy, bardzo szczęśliwy.

— Jak to się świetnie złożyło... że skończyło się tak dobrze.

— Monsieur le Comte jest bardzo dobrym człowiekiem.

— Nie wszyscy tak uważają. W każdym razie nie ten, kto do niego strzelał.

Splotła nerwowo dłonie.

— Myślisz, że to było umyślnie? Nie sądzisz chyba...

— Miał szczęście, że uszedł cało. Na pewno byliście w szoku, kiedy to się stało... tak niedaleko stąd.

Niemal natychmiast zawstydziałam się własnych słów, gdyż przecież jeżeli moje podejrzenia dotyczące hrabiego i Gabrielle miały jakieś podstawy, to musiałam ją głęboko zranić. A jednak tak bardzo chciałam wiedzieć, czy hrabia jest ojcem dziecka.

Ona wszakże nie sprawiała wrażenia urażonej i ucieszyłam się, gdyż najwyraźniej nie wzięła do siebie moich słów, co niewątpliwie by się stało, gdyby poczuwała się do winy.

— Tak, to był wstrząs — odrzekła. — Na szczęście Jacques znajdował się w pobliżu i to on sprowadził ludzi z noszami.

Mimo to nadal prowadziłam moje prywatne śledztwo.

— Jak myślisz, czy hrabia ma tu w okolicy jakichś wrogów?

— Och, to był czysty przypadek — powiedziała szybko Gabrielle.

— No tak — dodałam — nie został ciężko ranny.

— Na całe szczęście. — Przy tych słowach łzy nabiegły jej do oczu. A ja zastanawiałam się, czy to były łzy wdzięczności, czy wywołało je jakieś głębsze uczucie.

Kilka dni później spacerowałam w ogrodzie i nagle znalazłam się niemal twarzą w twarz z hrabią. Przechadzałam się po środkowym tarasie, otoczonym klombami, rozdzielonymi żywopłotem z krzewów rosnących w drewnianych donicach. Wchodząc w kolejną alejkę pomiędzy szpalerami roślin, zobaczyłam go siedzącego na jednej z kamiennych ławek, ustawionych przed małym basenem z fontanną, na którego powierzchni znajdowały się lilie wodne, a w głębinie pływały złote rybki.

* fr. do widzenia

W tym zamkniętym żywopłocie, nasłonecznionym kawałku ogrodu było bardzo gorąco i w pierwszej chwili pomyślałam, że hrabia śpi. Patrzyłam na niego przez kilka sekund i miałam już zamiar wycofać się stamtąd, gdy usłyszałam, że mnie woła:

— Mademoiselle Lawson!

— Mam nadzieję, że nie zakłócam panu spokoju.

— To najmiły sposób zakłócania mojego spokoju. Proszę przy — sięść się do mnie na chwilę. Podeszłam i usiadłam koło niego na ławce.

— Właściwie nie podziękowałam pani jeszcze za natychmiastową akcję, tam, w lesie.

— Chyba nie zrobiłam nic godnego pochwały.

— Podjęła pani działanie z godną pochwały szybkością.

— Zrobiłam tylko to, co zrobiłby każdy w tych okolicznościach. Czy już wrócił pan do zdrowia?

— Całkowicie. Mam tylko nadwerżone niektóre mięśnie. Ale powiedziano mi, że mniej więcej za tydzień i ta dolegliwość minie. Tymczasem kuśtykam z laską.

Oparł na hebanowej rączce dłoń ozdobioną sygnetem z jadeitu na małym palcu. Nie nosił obrączki, jak to było w zwyczaju u mężczyzn we Francji. Zaciekawilo mnie, czy lekceważy ów obyczaj, czy kryje się pod tym coś bardziej znaczącego.

Rzucił na mnie baczne spojrzenie i — zauważył:

— Wygląda pani, mademoiselle Lawson, na... bardzo zadowoloną...

Przestraszyłam się jego przenikliwości. Nie wiedziałam, jak bardzo odkryłam przed nim własne uczucia.

— To otoczenie — odrzekłam szybko. — Słońce... kwiaty... fontanna... to wszystko jest takie piękne. Kto, przebywając tu, mógłby być niezadowolony? Co to za posąg pośrodku basenu?

— Przedstawia Perseusza ratującego Andromedę. Dość ładna robota, musi się pani bliżej przyjrzeć tej rzeźbie. Powstała około dwustu lat temu, wykonana przez rzeźbiarza, którego jeden z moich przodków sprowadził do zamku. Przemówi szczególnie do pani.

— Dlaczego szczególnie?

— Uważam panią za kogoś w rodzaju żeńskiej odmiany Perseusza, gdyż ratuje pani arcydzieła malarstwa przed smokiem, którym jest zniszczenie spowodowane wpływem czasu, wandalizmem i tak dalej.

— To bardzo poetyckie porównanie. Zdziwiał mnie pan.

— Nie jestem takim nieukiem, za jakiego pani mnie ma. Kiedy udzieli mi pani dalszych kilku lekcji w galerii, stanę się całkiem mądry. Zobaczysz pani.

— Jestem przekonana, że nie będzie pan miał ochoty na przyswajanie sobie do niczego niepotrzebnych wiadomości.

— Zawsze wychodziłem z założenia, że każda wiedza jest użyteczna.

— W niektórych dziedzinach bardziej, w innych mniej, a skoro nikt nie może znać się na wszystkim, stratą czasu wydaje się zaprzękanie sobie głowy tym, co w praktyce byłoby bezużyteczne... kosztem jednak pewnego wysiłku... to miałam na myśli.

Wzruszył ramionami, jakby wskazując, że przyjmuje taką argumentację, a ja dodałam:

— Byłoby natomiast pożyteczne wiedzieć, kto spowodował ów wypadek w lesie.

— Tak pani sądzi?

— Oczywiście. A co, jeśli to się powtórzy?

— No cóż, rezultat mógłby być mniej pomyślny... albo bardziej. Zależy od punktu widzenia.

— Cóż za niezwykła postawa. Czyżby zupełnie pana nie obchodziło, że nie schwytano człowieka, który zamierzał pana zabić?

— A jak to zrobić? Moja droga mademoiselle Lawson, dochodzenie prowadzono w wielu

kierunkach. Nie tak łatwo zidentyfikować kulę, jak sobie pani wyobraża. Niemal w każdym domu tutaj znajduje się strzelba. Okolice obfituje w zające. Nadają się do garnka i czynią szkody w uprawach. Nigdy nie odwodzono ludzi od strzelania do tych zwierząt.

— Ale jeżeli ktoś strzelał do zająca, to dlaczego nie przyszedł i się nie przyznał?

— Co? Miał powiedzieć, że zamiast zająca zabił mi wierzchowca?

— W każdym razie ktoś strzelał w lesie, nabój odbił się od drzewa i zabił konia. Czy owa osoba nie wiedziała, że pan się tam znajduje?

— Powiedzmy, że on... czy ona... nie była tego świadoma.

— A więc przyjmuje pan wersję, że to czysty przypadek?

— Czemu nie, to rozsądna teoria.

— To wygodna teoria, ale nie przyszedłoby mi na myśl, że należy pan do mężczyzn, którzy przyjmują jakąś teorię tylko dlatego, że jest wygodna.

— Być może, gdy pozna mnie pani lepiej, to zmieni zdanie. — Uśmiechnął się lekko. — Tak tu miło. Chyba nie miała pani innych planów? Jeżeli nie, to może pani jeszcze trochę zostanie i porozmawia ze mną? Zabiorę panią nad wodę i tam przyjrzy się pani lepiej Perseuszowi. To naprawdę małe arcydzieło. Malujący się na jego twarzy wyraz determinacji jest wprost niezwykły. Oczywiście jego zdecydowanie odnosi się do uśmiercenia potwora. A teraz proszę mi opowiedzieć o obrazach. Jak postępuje renowacja? Pani umiejętności są godne najwyższego podziwu. Niedługo ukończy pani pracę w galerii i nasze płótna będą takie, jakie były, gdy je malowano. To fascynujące, mademoiselle Lawson.

Rozmawialiśmy o obrazach, a potem przyglądaliśmy się posągom. W końcu wróciliśmy razem do zamku. Z konieczności posuwaliśmy się tarasami powoli. A kiedy doszliśmy do zamku, wydawało mi się, że widzę jakiś ruch w oknie szkolnego pokoju. Ciekawe, kto nas obserwował — Nounou czy Geneviève?

* * *

Zainteresowanie wypadkiem hrabiego osłabło nagle, gdyż okazało się, że winnice są w niebezpieczeństwie. Winorośle pięły się obecnie bardzo szybko w górę, szczyt miały osiągnąć wczesnym latem, jednak właśnie wybuchła panika związana z zagrożeniem czarną zgnilizną.

Wiadomość o tym lotem błyskawicy obiegła okolicę i dotarła do zamku.

Wybrałam się do madame Bastide, aby dowiedzieć się, co się dzieje. Poczęstowała mnie kawą i opowiedziała, jakie szkody może ta choroba wyrządzić. Jeżeli się jej nie opanuje, mogą” zostać całe zbiory skażone i to nie tylko w danym roku, — ale i w latach następnych.

Jean Pierre z ojcem pracowali do późnej nocy. Winorośl trzeba było opryskać arseninem sodowym, którego użycie w nadmiarze mogłoby także poczynić szkody, a zbyt mała dawka nie doprowadziłaby do zniszczenia choroby.

— Takie jest życie — zauważyła filozoficznie madame Bastide, wruszając ramionami, i dalej tłumaczyła mi, jaką klęską dla całego kraju było rozprzestrzenienie się zarazy winorośli. — Przywrócenie winnic do stanu zapewniającego pomyślne zbiory trwało całe lata — mówiła. — A i tak coraz to pojawiają się nowe kłopoty — jak nie czarna zgnilizna, to filoksera albo mączniak. Och, Dallas, kto jeszcze będzie chciał uprawiać winogrona?

— Ale gdy wreszcie zbiory są bezpieczne, z pewnością czujecie ogromną radość.

— Masz rację. — Na samą myśl o tym oczy jej zabłyśły. — Powinnaś nas wtedy zobaczyć. To czas, kiedy szalejemy z radości.

— Gdyby nie istniało nieustanne zagrożenie, nie odczuwalibyście jej tak żywo.

— To prawda. W życiu mieszkańców Gaillard nie ma szczęśliwszego okresu niż czas

zbiorów... ale zanim to nastąpi, trzeba pocierpieć.

Spytałam, jak się powodzi Gabrielle.

— Jest bardzo szczęśliwa. I pomyśleć, że przez cały czas chodziło o Jacques'a!

— Panią to zaskoczyło?

— Czy ja wiem? Znali się od dziecka... i już wtedy przyjaźnili ze sobą. Może nie zawsze dostrzega się, gdy nadchodzą zmiany. Dziewczyna nagle staje się kobietą, chłopak — mężczyzną i już czyha na nich natura. Owszem, byłam zdziwiona, że to Jacques, chociaż powinnam zauważyć wcześniej, że ona jest zakochana. Wydawała się ostatnio taka roztargniona. No i okazało się, dlaczego. Wszystko się ułożyło szczęśliwie. Jacques'owi będzie dobrze w St. Vallient. Teraz zwali się na niego dużo pracy, podobnie jak i u nas, bo ta choroba szybko się roznosi. Byłoby prawdziwe nieszczęście, gdyby zaatakowała St. Vallient właśnie w chwili, gdy Jacques zaczął zarządzać winnicą.

— Hrabia zachował się wspaniałomyślnie, proponując mu St. Vallient właśnie teraz — zauważyłam. — W najważniejszym momencie.

— Czasami Bóg daje nam dowody swego miłosierdzia.

Do zamku wracałam zamyślona. Oczywiście, przekonywałam samą siebie, Gabrielle rozmawiała z hrabią o swym kłopotliwym położeniu, a skoro była w ciąży z Jakiem, który nie mógł utrzymać obu kobiet — żony i matki — hrabia dał mu zarząd St. Vallient. W każdym razie Durandowie byli za starzy, żeby dalej tam pracować. Z całą ; pewnością tak się to stało.

Zmieniłam się: zaczęłam coraz chętniej przyjmować bezkrytycznie to, w co chciałam wierzyć.

* * *

Nounou witała mnie z zadowoleniem, gdy odwiedzałam ją w jej własnych progach, co mi się zresztą dość często zdarzało. Zawsze czekała tam na mnie kawa; pijąc ją, rozmawiałyśmy — prawie niezmiennie o Geneviève i Françoise.

Chociaż w całej okolicy zamartwiano się czarną zgnilizną, wyłączną troską Nounou była Geneviève. Ten pokój pozostawał chyba jedynym miejscem, gdzie nie dyskutowano o winorośli.

— Obawiam się, że ona nie lubi żony monsieur Philippe'a — wyznała staruszka, patrząc na mnie z niepokojem spod zmarszczonych brwi. — Nie darzyła sympatią kobiet w tym domu, odkąd...

Nie chciałam, żeby Nounou opowiadała mi o tym, co już mi było wiadomo o hrabim i Claude, więc szybko zauważyłam:

— Już tyle czasu minęło od śmierci jej matki. Musi przestać o tym wszystkim myśleć.

— Byłoby inaczej, gdyby miała brata. Ale teraz hrabia sprowadził tu monsieur Philippe'a i ożenił go z tą kobietą... — Już nie miałam wątpliwości, że Nounou widziała mnie rozmawiającą w ogrodzie z hrabią i to miało być ostrzeżenie.

— Chyba monsieur Philippe nie był niechętny temu małżeństwu — odrzekłam. — W przeciwnym razie po co miałby to robić? Mówi pani tak, jakby...

— Mówię o tym, co wiem. Hrabia nigdy się nie ożeni. Nie znosi kobiet.

— Słyszałam plotki, że raczej nazbyt je lubi.

— Lubi! Och, nie, miss. — W jej głosie brzmiała gorycz. — On nigdy nie miał do nikogo żywszych uczuć. Mężczyzna potrafi zabawiać się tym, czego nie znosi, a pewnego pokroju ludzie, im większą czują pogardę do kobiet, tym większą mają uciechę, jeżeli rozumie pani, o co mi chodzi. Och, cóż, to nie nasza sprawa, pani się tylko tak zastanawia i dobrze robi. Ale sądzę, że już niedługo pani nas opuści i zapomni o Gaillard.

— Nie wybiegałam tak daleko myślami w przyszłość.

— No właśnie. — Staruszka uśmiechnęła się rozmarzona. — Ten zamek jest sam w sobie małym królestwem. Nie wyobrażam sobie życia gdzie indziej... chociaż zamieszkałam tu tylko z powodu Françoise.

— Zupełnie tu inaczej niż w Carrefour.

— Pod każdym względem.

Mając w pamięci ponure domostwo, — z którego przybyła jej podopieczna, zauważyłam:

— Françoise musiała być bardzo szczęśliwa na samym początku, kiedy się tu przeprowadziła.

— Françoise nigdy nie czuła się tutaj szczęśliwa. Bo widzi pani, mąż o nią nie dbał. — Spojrzała na mnie poważnym wzrokiem. — On nie ma w zwyczaju troszczyć się o kogokolwiek... jedynie wykorzystuje ludzi. Wszystkich — robotników pracujących w jego winnicach... i nas, tu, w zamku.

— A czyż to nie jest powszechne zjawisko? Trudno oczekiwać, że człowiek sam jeden będzie uprawiał winnice. Każdy ma podwładnych — odparłam obruszona tym stwierdzeniem.

— Pani mnie nie rozumiała, miss. I nic dziwnego. Miałam na myśli to, że on nie kochał Françoise. To małżeństwo nastąpiło w wyniku zawartego układu. Wiele jest takich wśród ludzi z ich pozycją, co nie znaczy, że wszystkim wychodzi to na złe. Przeciwnie, czasem takie związki są lepsze niż inne. Françoise znalazła się tu, gdyż jego rodzina widziała w niej żonę odpowiednią dla niego. Była tu, żeby zadośćuczynić woli swojego ojca. Zrobiła, co do niej należało, ale męża nie obchodziła. A ona... była młoda, wrażliwa... i nie rozumiała. Więc... umarła. Hrabia to dziwny człowiek, miss. Niech panią nie zwiodą pozory.

— On jest... niezwykły.

Popatrzyła na mnie ze smutkiem i powiedziała:

— Szkoda, że nie potrafię pani przedstawić, jaka ona była przed... i potem. Żałuję, że nie mogła jej pani poznać.

— Ja także.

— Pozostały po niej tylko te małe, zapisane zeszyty.

— Tak, na ich podstawie można sobie wyobrazić, jaka była.

— Wszystko zapisywała, a gdy czuła się nieszczęśliwa, stanowiły dla niej wielką pociechę. Czasami czytywała mi je na głos. „Pamiętasz to, Nounou?” — pytała wtedy i razem się zaśmiewaliśmy. W Carrefour była młodą, niewinną panienką, lecz kiedy wyszła za hrabiego, musiała się wielu rzeczy nauczyć i to szybko. Jak być panią zamku... ale nie tylko.

— Co czuła na samym początku, gdy się tu pojawiła?

Mój wzrok powędrował do szafki, gdzie Nounou trzymała swe skarby. Znajdowało się tam pudełko z wyhaftowanymi drobiazgami, które podopieczna dawała staruszce w prezencie na urodziny. Tam też leżały owe odsłaniające prawdę zeszyciki, zawierając historię życia Françoise. Tak bardzo chciałam się dowiedzieć, czego hrabia szukał w małżeństwie. Pragnęłam poznać nie tę młodą dziewczynę pędzącą samotne życie w Carrefour ze srogim ojcem i oddaną jej Nounou, lecz żonę mężczyzny, który zaczął panować nad moim życiem.

— Kiedy była szczęśliwa, nie pisała w swych zeszycikach — rzekła Nounou. — Gdy się tu zjawiła, na początku wszystko było takie ekscytujące... i tyle miała do zrobienia. Nawet ja niewiele wiem o niej z tego okresu.

— To znaczy, że początkowo czuła się szczęśliwa.

— Była dzieckiem. Podchodziła ufnie do życia... do ludzi. Powiedziano jej, że miała szczęście, i uwierzyła. Powiedziano jej, że będzie szczęśliwa... i w to także uwierzyła.

— A kiedy zaczęło się jej nieszczęście?

Staruszka rozłożyła bezradnie ręce i spojrzała na dłonie, jakby od nich oczekiwała odpowiedzi.

— Szybko pojęła, że życie nie jest takie, jak sobie wyobrażała. A potem zaszła w ciążę i miała

coś, o czym mogła marzyć. No i nastąpiło rozczarowanie, bo urodziła Geneviève, a wszyscy mieli nadzieję na syna.

— Nounou, czy ona się pani zwierzała?

— Przed wyjściem za mąż mówiła mi wszystko.

— A potem?

Kobieta potrząsnęła przecząco głową.

— Dopiero gdy przeczytałam... — wskazała głową szafkę — wtedy pojęłam wszystko. Nie była takim dzieckiem. Dużo rozumiała i... cierpiała.

— Czy to znaczy, że hrabia był dla niej niedobry?

Zacisnęła na moment usta.

— Ona potrzebowała miłości.

— A ona go kochała?

— Panicznie się go bała.

Przeraziło mnie wzburzenie w jej głosie.

— Dlaczego? — spytałam.

Zanim Nounou odwróciła się ode mnie, zobaczyłam, że usta jej drżą. Z wyrazu twarzy starej kobiety wywnioskowałam, że cofnęła się w przeszłość. Lecz nagle jej nastrój się zmienił i odezwała się jakby z ociąganiem:

— Była nim zafascynowana... początkowo. On potrafi wywierać taki wpływ na niektóre kobiety.

Wyglądało na to, że podjęła decyzję, gdyż nagle wstała, podeszła do szafki i otworzyła ją kluczem, który wraz z innymi, nosiła zawieszony u paska. Zobaczyłam zeszyciki, wszystkie starannie poukładane. Wybrała stamtąd jeden.

— Proszę przeczytać ten — zwróciła się do mnie. — Niech go pani weźmie ze sobą i przeczyta. Tylko żeby nikt nie zobaczył. Potem mi pani go zwróci.

Zdawałam sobie sprawę, że powinnam odmówić. Czułam, że wścibiam nos nie tylko w prywatne życie Françoise, ale i jej męża. Jednak nie zdobyłam się na to — musiałam wiedzieć.

Nounou martwiła się z mego powodu. Sądziła, że hrabia jest w jakimś stopniu mną zainteresowany. Starła mi się wyjawić tą określną drogą, że człowiek, który sprowadził do swego domu kochankę i wydał ją za mąż za kuzyna, jest również mordercą. Usiłowała mi powiedzieć, że jeżeli pozwolę sobie na jakiś związek z takim mężczyzną, sama mogę się znaleźć w niebezpieczeństwie. Nie potrafiła przewidzieć, co się mogło stać, lecz mnie ostrzegła.

* * *

Zabrałam zeszyt do pokoju. Ledwie zdołałam doczekać się chwili, kiedy zacznę czytać pamiętnik Françoise. Treść zapisków jednak rozczarowała mnie — oczekiwałam jakichś dramatycznych rewelacji.

Wstęp był podobny w nastroju do tego z poprzedniego dzienniczka. Miała w ogrodzie kilka grządek, gdzie posadziła kwiaty. Uprawa kwiatów to taka przyjemność. „Pragnę, żeby Geneviève kochała je tak jak ja”. „Moje pierwsze róże. Ścięłam je i postawiłam w wazonie w sypialni. Nounou twierdzi, że nie powinno się zostawiać tam kwiatów na noc, gdyż zabierają całe potrzebne do oddychania powietrze. Odparłam, że to bzdura, ale żeby sprawić jej przyjemność, wyniosłam wazon na noc z pokoju”.

W trakcie czytania tych stron na próżno szukałam jego imienia. Wspomniała o nim dopiero prawie pod sam koniec.

„Lothair wrócił dzisiaj z Paryża. Czasami mi się wydaje, że mną pogardza. Wiem, że nie jestem

taka inteligentna jak ci, z którymi spotyka się w Paryżu. Muszę naprawdę bardziej się starać dowiedzieć czegoś o sprawach, które go interesują. O polityce i historii, literaturze i malarstwie. Oby się tylko nie okazało, że to strasznie nudne”.

„Dzisiaj wszyscy wybraliśmy się na konną przejażdżkę — Lothair, Geneviève i ja. Obserwował Geneviève. Strasznie się bałam, że koń wysadzi ją z siodła. Była taka stremowana”.

„Lothair wyjechał. Nie jestem pewna, ale chyba do Paryża. Nie mówił mi, dokąd się wybiera”.

„Miałyśmy dzisiaj z Geneviève spotkanie w zamku z małymi dziećmi. Uczymy je katechizmu. Geneviève powinna zrozumieć, że jest to jej obowiązek jako córki rodu wywodzącego się z tego zamku. Rozmawiałyśmy potem na ten temat i było tak spokojnie. Uwielbiam tę porę dnia, kiedy się ściemnia i Nounou przychodzi, żeby zasunąć zasłony i zapalić lampy. Przypomniałam jej, jak zawsze w Carrefour lubiłam te chwile, kiedy przychodziła i zamykała żaluzje... tuż przed zapadnięciem zmroku, tak że właściwie nigdy nie widziałyśmy ciemności. Gdy jej to powiedziałam, odrzekła: «Lubisz fantazjować, Różyczko». Odkąd wyszłam za mąż, już nie nazywa mnie Różyczką”.

„Dzisiaj pojechałam do Carrefour. Papa był zadowolony, że go odwiedziłam. Powiedział, że Lothair powinien wybudować kościół dla biedoty, a ja muszę go do tego nakłonić”.

„Rozmawiałam z Lothairem o kościele. Zapytał mnie, po co ludziom drugi kościół, skoro już mają jeden w miasteczku. Tłumaczyłam, że Papa uważa, iż gdyby mieli kościół blisko winnicy, to mogliby tam chodzić i modlić się o każdej porze dnia. To byłoby wskazane ze względu na dobro ich dusz. Lothair jednak powiedział, że w czasie pracy ludzie muszą się troszczyć o dobro winogron. Nie wiem, co powie Papa, jak mu powtórzę tę rozmowę podczas następnej wizyty. Będzie jeszcze bardziej nienawidził Lothaira niż dotąd”.

„Papa powiedział, że Lothair powinien odprawić Jeana Lapina, bo on jest ateistą. Twierdzi, że zatrudniając nadal tego człowieka, jak gdyby go rozgrzesza, tak więc powinien przepędzić Lapina z całą rodziną. Kiedy to powtórzyłam Lothairovi, roześmiał się i oświadczył, że zupełnie go nie obchodzi zapatrywania religijne Lapina i tym bardziej nie powinny interesować mego ojca. Czasami mi się wydaje, że z powodu antypatii do Papy Lothair żałuje, że się ze mną ożenił. A z kolei jestem pewna, że Papa nie może odżalować decyzji o wydaniu mnie za mąż za Lothaira”.

„Pojechałam dzisiaj do Carrefour. Papa zaprowadził mnie do swej sypialni, kazał mi uklęknąć i odmawiać razem z nim pacierz. Tak mi zimno, kiedy klęczę na kamiennych płytach, jeszcze długo potem byłam odrętwiała. Jak on może spać na tym twardym sienniku, wypchanym tylko słomą? Jedyna rzecz, która ożywia wnętrze, to krucyfiks. Nic tam nie ma więcej poza posłaniem i klęcznikiem. Po odmówieniu modlitwy Papa ze mną rozmawiał. Czuję się zła... grzeszna”.

„Dzisiaj wrócił Lothair i poczułam strach. Wydawało mi się, że zacznę krzyczeć, jeśli się do mnie zbliży. Zapytał, co się ze mną dzieje. Nie mogłam mu powiedzieć, jak bardzo się go boję. Wyszedł z pokoju. Chyba był bardzo zły. Myślę, że Lothair zaczyna mnie nienawidzić. Tak bardzo się różni od kobiet, które mu się podobają... tych, z którymi, jak sędzę, spędza czas w Paryżu. Wyobrażam je sobie w przezroczystych strojach... śmieją się i piją wino. Zdeprawowane kobiety... wesołe i skłonne do zmysłowych okropności”.

„Ubiegłej nocy bardzo się przelęknłam. Wydawało mi się, że on idzie do mego pokoju. Słyszałam kroki. Zatrzymał się przy drzwiach i czekał. Myślałam, że zacznę krzyczeć z przerażenia... ale odszedł”.

To były już ostatnie zapiski w tym zeszycie.

Co to miało znaczyć? Dlaczego ta młoda kobieta tak się bała męża? I czemu Nounou pokazała mi akurat ten zeszyt? Jeżeli chciała, żebym poznała historię życia Françoise, to dlaczego nie dała nu wszystkich? Widziałam, że miała inne. Czyżby niania dzięki zeszytom zawierającym sekrety z życia swej wychowanki, znała też tajemnicę jej śmierci? I z tego powodu próbowała mnie ostrzec i

skłonić do opuszczenia zamku?

* * *

Odniosłam staruszce zeszyt następnego dnia.

— Dlaczego dała mi pani właśnie ten do przeczytania? — spytałam.

— Powiedziała pani, że chciałaby ją poznać.

— Wydaje mi się, że teraz wiem o niej mniej niż przedtem. Ma pani inne zeszyty? Czy pisała ten pamiętnik aż do samej śmierci?

— Potem już niewiele pisała. Pytałam ją: „François, *chérie**, dlaczego już nie piszesz nic w swych zeszytach?”. A ona odrzekła: „Teraz już nie mam nic do opisywania, Nounou”. Kiedy zaś powiedziałam jej, że to nonsens, skrzyzczyła mnie i oświadczyła, że powinnam się modlić. Pierwszy raz tak się wobec mnie zachowała. Zrozumiałam, że obawia się zapisywać, co czuje.

— Ale dlaczego się bała?

— A czy każdy z nas nie ma myśli, których nie chce ujawniać innym?

— Czy to znaczy, że François nie chciała, aby jej mąż dowiedział się, że ona się go boi?

Nounou zacisnęła bardzo mocno wargi, jakby wskazując mi, że nic na świecie nie zmusi jej do mówienia.

Ale ja i tak wiedziałam, że za tym wszystkim kryje się jakaś mroczna tajemnica. I byłam przekonana, że gdyby ta stara kobieta nie uważała mojej obecności tutaj w jakimś stopniu za korzystną dla Geneviève, powiedziała mi wyraźnie, że powinnam opuścić zamek, gdyż lęka się o mnie. Nie miałam natomiast wątpliwości, że chętnie by mnie poświęciła dla dobra swej podopiecznej.

Wiedziała coś o swym panu, co usiłowała mi wyjawiać. Czyżby uważała, że to on zamordował żonę?

Pragnienie poznania prawdy stało się moją obsesją. Ale było też coś więcej: rozpaczliwie potrzebowałam dowodu jego niewinności.

W czasie konnej przejażdżki Geneviève poinformowała mnie swą nadal niezbyt płynną angielszczyzną, że nadeszły wieści od Gruchotki.

— Wygląda na to, że stała się bardzo ważną personą, miss. Pokażę pani jej list.

— Cieszę się, że tak szczęśliwie udało jej się urządzić.

— Tak, jest damą do towarzystwa madame de la Condere i madame de la Condere bardzo wysoko ją sobie ceni. Mieszkają we wspaniałym pałacu, nie tak starym jak nasz, ale o wiele bardziej *comme il faut**. Madame de la Condere często zaprasza gości na karty i Stara Gruchotka nierzadko uczestniczy w grze, jeżeli kogoś brakuje do partii. W ten sposób ma sposobność obcować z towarzystwem, do którego z racji swego pochodzenia należy.

— Cóż, wszystko dobre, co się dobrze kończy.

— I, miss, ucieszysz panią wiadomość, że madame de la Condere ma siostrzeńca, uroczego mężczyznę, który zawsze bardzo miło się odnosi do Gruchotki. Muszę pani pokazać ten list. Mademoiselle Dubois pisze, jakby udawała, że się tego wstydzi, ale sądzę, że ma nadzieję zostać niedługo jego żoną.

— To wspaniale. Czasami o niej myślę. Tak nagle została odprawiona i to dlatego, że się nieładnie zachowałaś.

— Jest też wzmianka o papie. Napisała, jak bardzo jest mu wdzięczna, że znalazł jej tak

* fr. kochanie

* fr. tu — wytworny

stosowną posadę.

— On... jej znalazł?

— Oczywiście. Zaprotegował ją madame de la Condere. Przecież nie mógł jej tak po prostu wyrzucić, prawda?

— Istotnie — odrzekłam zdecydowanie — nie mógł. To było niezwykle miłe przedpołudnie.

W ciągu następnych kilku tygodni atmosfera znacznie zelżała. Winorośli przestała zagrażać czarna zgnilizna i zarówno na terenie winnic, jak i w okolicznych miasteczkach dały się zauważyć oznaki powszechnej radości, gdyż przecież od pomyślnych zbiorów zależał dobrobyt tutejszych mieszkańców.

Do zamku nadeszło zaproszenie na ślub i wesele od kogoś z dalszej rodziny. Hrabia uznał, że nie pojedzie na tę uroczystość, gdyż ciągle jest zbyt obolały — przy chodzeniu wciąż używał laski — a wobec tego reprezentować ich tam musi Philippe z żoną.

Wyczuwałam, że Claude przyjęła z wielką niechęcią tę propozycję, gdyż bardzo się jej nie podobał pomysł zostawienia kochanka samego w zamku. Byłam w jednym z małych, ogrodzonych murkiem ogrodów, kiedy przechadzała się w pobliżu z hrabią. Nie mogliśmy widzieć siebie nawzajem, ale słyszałam ich głosy: jej całkiem wyraźnie, ponieważ stawał się ostry i donośny, gdy mówiła w gniewie.

— Oni oczekują właśnie ciebie!

— Zrozumiej ją. Ty i Philippe opowiecie im o wypadku.

— Wypadek! Kilka zadrapań!

Hrabia odrzekł coś, czego nie mogłam zrozumieć, po czym usłyszałam ją znowu:

— Lothair... proszę!

— Nie, moja droga, zostaję w domu.

— Już mnie nie słuchasz. Robisz wrażenie, jakbyś...

Teraz mówiła cicho, niemal pieszczotliwie, lecz zanim jej odpowiedział, znaleźli się już poza zasięgiem słuchu. Nie było wątpliwości co do rodzaju łączących ich stosunków, pomyślałam ze smutkiem.

W końcu do Paryża pojechali Claude z Philippe'em, ja zaś pozostawiłam na boku wszelkie zastrzeżenia i obawy, by cieszyć się chwilową nieobecnością tej kobiety.

Dni były długie, a niebo nieustannie bezchmurne. Winorośl kwitła. Każdego dnia rano wstawałam z uczuciem radosnego oczekiwania. Nigdy jeszcze w życiu nie czułam się tak szczęśliwa; jednak zdawałam sobie sprawę z tego, że na szczęście można tak samo liczyć jak na niezawodną dobrą pogodę w kwietniowy dzień. Na przykład dokonam nagle jakiegoś zatrwającego odkrycia albo zostanę stąd odprawiona. Za chwilę niebo może się pokryć ciemnymi chmurami, całkowicie zasłaniającymi słońce — tym bardziej więc należy się nim rozkoszować, dopóki jest.

Zaraz po wyjeździe Philippe'a i Claude wizyty mojego pracodawcy w galerii stały się częstsze. Czasami miałam wrażenie, jakby on przed czymś uciekał, czegoś innego szukał i za tym właśnie tęsknił. Zdarzyło się kilka razy, że spoza jego kpiącego uśmiechu na mgnienie oka wyłaniał się zupełnie inny mężczyzna. Przyszło mi nawet do głowy, że hrabiego cieszą te nasze spotkania i rozmowy w równym stopniu co mnie.

Po jego wyjściu powracał mi zdrowy rozsądek i śmiejąc się z własnych złudzeń, zadawałam sobie pytanie: jak dalece jestem gotowa żyć mrzonkami?

Przecież zachowanie pana zamku można by wytłumaczyć bardzo prosto: wokoło nie było nikogo innego, kto potrafiłby go czymś zająć, przeto uznał mnie i moją gorliwość w pracy za swego rodzaju rozrywkę. Nie powinnam o tym zapominać.

Jednak naprawdę był zainteresowany malarstwem i posiadał pewną wiedzę w tej dziedzinie.

Przypomniałam sobie ów wręcz wzruszający fragment z pamiętnika Françoise. Musi spróbować dowiedzieć się czegoś o sprawach, które interesują jej męża. Biedna, zalękniona, mała Françoise! Czego się tak bała?

Zdarzało się, że twarz hrabiego posepniała nagle, gdy wypowiadał cyniczne uwagi, i wtedy być może wzbudzał trwogę w potulnej i naiwnej kobiecie. Mógł nawet okazywać odrobinę sadyzmu, jakby go bawiło, że owe szyderstwa sprawiają innym przykrość. Lecz dla mnie ten rodzaj ekspresji był jakby nalotem mgielnym ukrywającym z jakiegoś powodu jego prawdziwą naturę. Podobnie przecież bywa z obrazem — brak należytej troski może doprowadzić do zniweczenia całego efektu.

Chyba byłam zbyt zadufana w sobie. Przybierałam pozę guwernantki, jakby to określiła Geneviève. Czy rzeczywiście miałam prawo sądzić, że skoro umiem przywrócić pierwotny blask obrazom, to potrafię także zmienić człowieka?

Pragnienie poznania go stało się jednak moją obsesją, chciałam zajrzeć pod ową maskę, mającą często sardoniczny wyraz, zmienić grymas ust, ukazujący jakieś gorzkie rozczarowanie. Lecz zanim podjęłabym się takiej próby... musiałabym poznać obiekt mych zabiegów.

Jakie uczucia żywił wobec kobiety, którą poślubił? Zmarnował jej życie. Czy i ona uczyniła mu to samo? Skąd to można wiedzieć, skoro cała przeszłość spowiła mgła tajemnicy?

Dni bez niego wydawały mi się puste; po spotkaniach z nim, w moim odczuciu tak krótkich, pozostawałam w nastroju pełnym uniesienia i radości, jakiego jeszcze nigdy nie zaznałam w swym życiu.

Rozmawialiśmy o malarstwie, o zamku, w szczególności jego historii, a zwłaszcza o dniach chwały za czasów panowania Ludwika XIV i XV.

— Potem wszystko się zmieniło. Już nic nie było takie jak przedtem, mademoiselle Lawson. Niektórzy dawno to już przewidywali. *Après moi le déluge** — powiedział Ludwik XV. I nadszedł potop, który doprowadził jego następcę na gilotynę, a wraz z nim tak wielu przedstawicieli naszych rodów. Jednym z nich był mój prapradziadek. Mieliśmy szczęście, że nie straciliśmy naszych dóbr. Tak by się stało, gdyby leżały bliżej Paryża. Ale czytała pani o cudzie świętej Genowefy, to ona obroniła nas przed klęską. — I dodał wtedy lżejszym tonem: — A może uważa pani, że nie zasługiwaliśmy na ocalenie?

— Wcale tak nie myślę. W istocie uważam, że to wielka szkoda, kiedy rodowe majątki ziemskie muszą przejść w obce ręce. Bardzo interesujące jest prześledzić, jak toczyły się losy rodziny przez setki lat.

— Być może rewolucja przyniosła także coś dobrego. Gdyby nie napadnięto na zamek i nie zniszczono obrazów, nie potrzebowalibyśmy pani pomocy w ich odnawianiu. Wzruszyłam ramionami.

— Gdyby nie zostały zniszczone, z pewnością nie wymagałyby odnawiania. Ale i tak należałoby je oczyścić.

— Lecz pani mogła się tu w ogóle nie zjawić, mademoiselle Lawson. Proszę o tym pomyśleć.

— Z pewnością rewolucja była większą katastrofą niż moja nieobecność na zamku.

Roześmiał się głośno. Jakże innym wydał mi się człowiekiem w takiej chwili. Pod maską ironii dostrzegłam beztróskiego mężczyznę. To był cudowny moment.

Podczas nieobecności w zamku Philippe'a i Claude co wieczór zasiadaliśmy we trójkę z Geneviève do kolacji. Prowadziłam z hrabią ożywione rozmowy i Geneviève przyjmowała to z niejakim zdziwieniem. Jednak próby wciągnięcia jej do naszych pogawędek się nie udawały. Dziewczynka, podobnie jak jej matka, w jego obecności robiła wrażenie zastraszonej.

* fr. po mnie choćby potop

Pewnego wieczoru, kiedy zeszliśmy, hrabia się nie pojawił. Nie zostawił wiadomości, że nie wróci na kolację, więc odczekano jeszcze dwadzieścia minut i podano posiłek. Jadliśmy go same.

Byłam zaniepokojona. Wyobrażałam sobie, że leży ranny i — co gorsza — gdzieś daleko, w jakichś lasach. Jeżeli ktoś wtedy usiłował go zabić i mu się to nie udało, czyż nie było możliwe, że podejmie kolejną próbę?

Usiłowałam jeść, kryjąc niepokój, którego Geneviève najwyraźniej nie odczuwała, przeto po skończonym posiłku z ulgą wstałam od stołu i poszłam do swego pokoju, gdzie mogłam być sama.

Przemierzałam sypialnię wzdłuż i wszerz, przysiadając przy oknie, ale nie mogłam się uspokoić. W którymś momencie przyszła mi do głowy szalona myśl, by udać się do stajni, wziąć konia i zacząć szukać hrabiego. Ale czyż mogłam zrobić coś podobnego późnym wieczorem i jakie właściwie miałam prawo do wtrącania się w jego sprawy?

Oczywiście że pan zamku zachowywał się wobec mnie miło w czasie swej rekonwalescencji. Ale tylko dlatego, że nie mógł się ruszyć z zamku i traktował mnie jako substytut swych przyjaciół.

Jak mogłam nie być tego świadoma?

Usnęłam dopiero nad ranem i gdy pokojówka przyniosła mi śniadanie, patrzyłam na nią ze skrywanym niepokojem, czy nie okaże się, że nadeszły jakieś straszne wieści. Ale była pogodna jak zwykle.

Zeszłam na dół zmęczona i podminowana — zupełnie nie byłam w nastroju do pracy. Tłumaczyłam sobie tylko, że jeśliby zdarzył się jakiś wypadek, już bym do tej pory wiedziała.

Nie minęło wiele czasu, gdy hrabia pojawił się w galerii. Kiedy go zobaczyłam, zerwałam się z miejsca, a on spojrzał na mnie dziwnie.

Spytałam bez zastanowienia:

— Och... więc nic się panu nie stało?

Wpatrywał się we mnie badawczo.

— Przykro mi, że nie spotkaliśmy się wczoraj przy kolacji — powiedział.

— Och... tak. Zastanawiałam się...

Co się ze mną dzieje? Jąkałam się niczym jakaś głupiutka dziewczyna, co było mi zupełnie obce.

Hrabia nadal mi się przyglądał i byłam przekonana, iż zauważył oznaki niewyspania na mojej twarzy. Jakże okazałam się głupia! Czyżbym przypuszczała, że zacznie się przede mną tłumaczyć z wizyty u jakichś przyjaciół? Z pewnością gdzieś wychodził. Po wypadku tak długo był uwięziony w zamku.

— Podejrzewam — rzekł — że niepokoiła się pani o mnie. Czyżby znał stan mych uczuć równie dobrze — a może i lepiej — niż ja sama?

— Proszę mi powiedzieć, czy wyobrażała sobie pani, jak leżę postrzelony w serce... nie, w głowę, bo prawdopodobnie w głębi duszy myśli pani, mademoiselle Lawson, że w miejscu, gdzie powinno być serce, ja mam kamień. Co byłoby w pewnym sensie korzystne. Kula nie zdołałaby przebić kamienia...

Byłoby bezcelowe wypierać się niepokojowi, więc pośrednio przyznałam się, odpowiadając:

— Skoro już raz strzelano do pana, wydawało mi się prawdopodobne, że może się to powtórzyć.

— To chyba byłby zbyt wielki zbieg okoliczności, nie sądzi pani? Człowiek, który mierzył do zająca, trafia przypadkiem w mego konia. Taka rzecz może się przydarzyć komuś raz w życiu. A pani oczekuje, że zdarzy się dwa razy w ciągu kilku tygodni.

— Teoria, że strzelano do zająca, nie musi być prawdziwa.

Usiadł na sofie stojącej pod obrazem antenatki przystrojonej szmaragdami i przyglądał mi się, gdy siedziałam na stołku.

— Wygodnie tam pani, mademoiselle Lawson?

— Tak, dziękuję. — Czułam, że znów we mnie wstąpiła dawna energia; wszystko na nowo nabrało barw. Teraz obawiałam się tylko jednego: czy nie zdradziłam swoich emocji?

— Rozmawialiśmy o malarstwie, starych zamkach, dawnych rodach i rewolucjach, natomiast nigdy o nas samych — zauważył niemal ciepłym tonem.

— Tamte sprawy są z pewnością bardziej interesujące niż osobiste.

— Naprawdę tak pani sądzi?

Wzruszyłam ramionami — nawyk, który przejęłam od innych, stanowiący dobry substytut odpowiedzi na trudne pytanie.

— Jedyne, co wiem, to że pani ojciec zmarł, a pani zajęła jego miejsce.

— Niewiele więcej mam do opowiadania. Moje życie nie różniło się od życia innych osób, wywodzących się z tej samej sfery i będących w podobnej sytuacji materialnej.

— Nie wyszła pani za męża. Ciekaw jestem, dlaczego?

— Mogłabym odpowiedzieć za pewną angielską dojką: „Nikt nie poprosił mnie o rękę, sir”.

— To mi się wydaje zadziwiające. Jestem przekonany, że byłaby pani doskonałą żoną dla jakiegoś szczęśliwca. I jaką miałby z pani korzyść: jego obrazy byłyby zawsze w idealnym stanie.

— A gdyby nie posiadał ani jednego?

— Z pewnością pani szybko by temu zaradziła.

Nie podobał mi się ów zbyt lekki ton naszej rozmowy. Podejrzewałam, że hrabia się ze mnie wyśmiewa. A w tej sytuacji, ze względu na emocje, którym ostatnio podlegałam, byłoby to dla mnie wyjątkowo niemiłe.

— Dziwi mnie, że występuje pan w roli rzecznika instytucji małżeństwa. — Gdy tylko wypowiedziałam te słowa, od razu ich pożałowałam. Zaczerwieniłam się i wyjąkałam: — Przepraszam...

Uśmiechnął się, ale w tym uśmiechu nie było już drwiny.

— A mnie dziwi, że panią to dziwi. Proszę powiedzieć, skąd to pani niezwykle imię?

Wyjaśniłam mu, że ojciec miał na imię Daniel, a matka Alice.

— Dallas — powtórzył. — Pani się uśmiecha?

— Chodzi o to, jak pan je wymawia... z akcentem na ostatniej sylabie. My akcentujemy pierwszą.

Spróbował ponownie:

— Dallas, Dallas... — Odniosłam wrażenie, że wymawia je z przyjemnością.

— Pan też ma niezwykle imię.

— Występuje w naszej rodzinie od wieków... od pierwszego króla Franków. Bo widzi pani, my musimy być wspaniali. Dorzucaliśmy sporadycznie Louisa, Charlesa czy Henriego, ale zawsze musieliśmy mieć swoich Lothairów. Proszę mi teraz zademonstrować, jak pani się myli przy wymawianiu mego imienia.

Wypowiedziałam je, a hrabia się zaśmiał i poprosił, żebym je powtórzyła.

— Bardzo dobrze, Dallas — pochwalił mnie. — Ale przecież pani wszystko robi dobrze.

Opowiedziałam mu o moich rodzicach i o tym, jak pomagałam ojcu w pracy. Jakoś wynikło z opowieści, że oboje zdominowali moje życie, co spowodowało, iż nie wyszłam za męża. To hrabia wyciągnął taki wniosek.

— Może i lepiej się stało — powiedział. — Ci, którzy nie wejdą w związek małżeński, często tego żałują, ale ci, którym był on dany, często żałują z jeszcze większą goryczą. Pragną cofnąć czas i odwrócić to, co zrobili. Cóż, takie jest życie, nieprawdaż?

— Być może.

— Weźmy na przykład mnie. Ożeniłem się, mając dwadzieścia lat, z młodą kobietą, którą dla mnie wybrano. Tak to się dzieje w naszych rodzinach, wie pani zapewne.

— Owszem, słyszałam.

— Takie małżeństwa często są udane.

— A pańskie? — spytałam niemal szeptem.

Milczał, a ja dodałam szybko:

— Przepraszam. Zachowałam się nietaktownie.

— Ależ skąd. Powinna pani to wiedzieć.

Nie rozumiałam, czemu tak uważał, i serce zaczęło mi bić niepokojąco szybko.

— Nie, to małżeństwo nie było udane. Sądzę, że nie mam kwalifikacji na dobrego męża.

— Z pewnością każdy mężczyzna może nim być... jeśli tylko chce.

— Mademoiselle Lawson, jak mężczyzna samolubny, nietolerancyjny i utrzymujący stosunki pozamałżeńskie może być dobrym mężem?

— Po prostu musi przestać być nietolerancyjnym egoistą i tak dalej?

— I pani uważa, że można się pozbyć owych niesympatycznych cech jak za przekręceniem kurka?

— Sądzę, że można starać się je eliminować.

Parsknąłem śmiechem, a ja poczułam się głupio.

— Rozbawiłam pana? — zauważyłam chłodno. — Spytał mnie pan o zdanie, więc wypowiedziałam swoją opinię.

— Z pewnością całkiem słuszną. Mógłbym sobie wyobrazić, że pani eliminuje jakieś własne nieprzyjemne cechy, gdybym miał wystarczająco bujną wyobraźnię, żeby w ogóle przyjąć założenie, iż pani posiada takie wady. Wie pani, jak fatalnie zakończyło się moje małżeństwo. Skinęłam głową.

— Doświadczenie męża przekonało mnie, że powinienem porzucić tę rolę na zawsze.

— Być może to rozsądna decyzja.

— Jestem przekonany, że zgodziłyby się pani ze mną.

Wiedziałam, o czym myśli. Jeśli jego podejrzenia były prawdziwe, a ja pozwoliłabym sobie, żeby moje uczucia wobec tego mężczyzny się pogłębiały, to należało mi się ostrzeżenie.

Poczułam się upokorzona i dotknięta, więc żeby to ukryć, zauważyłam z ożywieniem:

— Bardzo zainteresowała mnie powierzchnia niektórych ścian w zamku. Przyszło mi na myśl, że pod tynkiem mogą być ukryte malowidła ścienna.

— Tak? — rzucił, jakby w ogóle nie zwracał uwagi na to, co powiedziałam.

— Pamiętam, jak mój ojciec dokonał cudownego odkrycia w jednym z zabytkowych pałaców w hrabstwie Northumberland. Znalazł tam na ścianach wspaniałe malowidła, ukryte przez całe wieki. Jestem prawie pewna, że i tutaj można by dokonać podobnego odkrycia.

— Odkrycia? — powtórzył. — Tak?

O czym on myślał? O burzliwym życiu z Françoise? Lecz czy było burzliwe? Na pewno głęboko nieszczęśliwe i całkiem nieudane, skoro był zdecydowany nigdy nie podejmować ryzyka podobnego doświadczenia.

Byłam świadoma faktu, że ulegałam gwałtownemu uczuciu, i myślałam gorączkowo, co powinnam teraz uczynić? Jak mogłabym zostawić to wszystko i wrócić do Anglii... do innego życia, w którym nie byłoby miejsca na pełen tajemnic zamek ani hrabiego, któremu pragnęłam przywrócić szczęście?

— Chciałabym bliżej przyjrzeć się niektórym ścianom — oznajmiłam.

Zareagował niemal gwałtownie, jakby zadając kłam temu Wszystkiemu, co powiedział przedtem:

— Dallas, mój zamek i moja osoba są do pani dyspozycji.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kilka dni później wrócili z Paryża Philippe i Claude i zdawało mi się, że owej intymnej zażyłości, jaka połączyła mnie z panem zamku, nigdy w ogóle nie było.

On i Claude często wyjeżdżali razem konno. Philippe nie przepadał za takimi rozrywkami. Czasami obserwowałam oboje z okna, gdy śmiali się lub gawędzili z ożywieniem. I pamiętałam o ich wieczornej rozmowie przed balem.

No cóż, Claude teraz była żoną Philippe'a i zamek stał się jej domem. Była jego panią, choć nie jako żona hrabiego.

Bardzo szybko okazało się, jak będzie tu rządzić. Następnego dnia po powrocie, piętnaście minut przed kolacją, usłyszałam pukanie do drzwi. Zdziwiłam się, widząc pokojówkę z tacą, gdyż w czasie nieobecności Claude i Philippe'a schodziłam na kolację do jadalni. Przebrana w brązową, jedwabną suknię, byłam już gotowa do wyjścia.

Kiedy pokojówka postawiła tacę na stoliku, spytałam, kto jej polecił przynieść mi posiłek do pokoju.

— Madame. Boulanger posłał Jeanne, żeby zmieniła nakrycie stołu, bo było tam miejsce dla pani. Madame powiedziała, że będzie pani jadła posiłki u siebie. Boulanger zauważył potem w kuchni, że przecież nie mógł tego wiedzieć. Pani jadła z panem hrabią i Geneviève. Ale tak zarządziła madame.

Moje oczy musiały rozbłysnąć gniewem, więc odwróciłam wzrok, by ukryć uczucia przed pokojówką.

Wyobrażałam sobie, jak schodzą na kolację. On się rozgląda wokół i widząc, że mnie nie ma, jest niemile zaskoczony.

„A gdzie mademoiselle Lawson?”

„Powiedziałam, żeby zaniecono jej tacę do pokoju. Nie może przecież oczekiwać, że będzie jadła posiłki z nami. Ostatecznie nie jest tutaj gościem. Została zatrudniona do konkretnej pracy”.

Oczyma duszy widziałam jego mroczniejącą twarz, wyrażającą pogardę dla niej... a potem życzliwość dla mnie.

„Co za nonsens! Boulanger, proszę przynieść jeszcze jedno nakrycie, udać się niezwłocznie do mademoiselle Lawson i powiedzieć, że z niecierpliwością oczekuję jej na kolacji”.

Czekałam. Jedzenie na tacy ostygło.

Nie stało się tak, jak myślałam. Nikt się u mnie nie zjawił. Teraz wreszcie dostrzegłam, jaka byłam głupia. Ta kobieta to jego kochanka. Wydał Claude za mąż za Philippe'a, żeby jej obecność na zamku nie wywołała skandalu. Hrabia był na tyle mądry, by wiedzieć, że nawet królowie muszą zachować pewne pozory.

A co do mnie — jestem tylko dziwną Angielką, pełną entuzjazmu dla swojego zawodu, z którą rozmowy podczas rekonwalescencji powodującej uwięzienie w zamku wydawały mu się zabawne.

Ale moja obecność nie była już potrzebna, gdy Claude znajdowała się na miejscu. Co więcej, to żona Philippe'a była panią tego zamku.

* * *

Obudziłam się przestraszona, gdyż ktoś był w moim pokoju i stał w nogach łóżka.

— Miss. — Geneviève przybliżyła się do mnie z zapaloną świecą w ręku. — Słyszałam

pukanie, miss. Za ledwie parę minut temu. Pani mówiła, że mam wtedy przyjść i jej powiedzieć.

— Geneviève... — Usiadłam na łóżku, szcękając zębami ze strachu. Widocznie tuż przed przebudzeniem miałam jakiś koszmarny sen. — Która godzina?

— Pierwsza. To mnie obudziło. Puk, puk... Tak się przeraziłam, a pani mówiła, że pójdziemy razem zobaczyć...

Wsunęłam stopy w pantofle i w pośpiechu narzuciłam szlafrok.

— Chyba tylko ci się zdawało.

Pokręciła przecząco głową.

— Było tak samo jak poprzednio. Puk, puk... jakby ktoś próbował nas zawiadomić, gdzie jest.

— Skąd dochodziło pukanie?

— Chodźmy do mojego pokoju. Tam to słyszać.

Podążałam za nią do dziecinnego pokoju w najstarszej części zamku.

— Obudziłaś nianię?

Dziewczynka znowu potrząsnęła głową.

— Nounou nigdy się w nocy nie budzi. Twierdzi, że gdy zaśnie, to śpi jak zabita.

Weszliśmy do sypialni Geneviève i zaczęliśmy nasłuchiwać. Panowała zupełna cisza.

— Niech pani jeszcze chwilę poczeka, miss — poprosiła dziewczynka błagalnym głosem. — To przestaje, a potem znowu zaczyna.

— Skąd dobiega ten odgłos?

— Nie wiem... Chyba z dołu.

Lochy były dokładnie pod tym skrzydłem zamku. Geneviève wiedziała o tym i ów fakt mógł pobudzić fantazję dziewczynki z tak żywą wyobraźnią.

— To się znowu powtórzy, z całą pewnością — zapewniła mnie. — O! Chyba słyszę...

Siedziałyśmy w napięciu i słuchałyśmy. Z pobliskiej kępy lip odezwał się ptak.

— To sowa — powiedziałam.

— Oczywiście. Pani myśli, że nie wiem? O, teraz...

Wtedy to usłyszałam. Puk, puk. Najpierw cicho, a potem głośniej.

— To z dołu — stwierdziłam.

— Miss... mówiła pani, że nie będzie się bała.

— Pójdziemy i zobaczymy. Może uda nam się odkryć, co to takiego. Wzięłam od niej świecę i poszłam przodem schodami wiodącymi na niższe piętra.

Wiara Geneviève w moją odwagę zdecydowanie mi pomogła. Gdybym tak miała chodzić po zamku w nocy sama, czułabym się bardzo niepewnie.

Doszłyśmy do drzwi zbrojowni i zatrzymałyśmy przy nich, nasłuchując. Wyraźnie usłyszałam jakiś dźwięk. Nie wiedziałam, co to może być, ale już miałam gęsią skórkę. Geneviève zacisnęła mocno dłoń na moim ramieniu, w świetle świecy widziałam jej przerażone oczy. Chciała coś powiedzieć, ale powstrzymałam ją niemym ruchem głowy.

Znowu doszedł nas ten dźwięk.

Z lochów.

Najchętniej odwróciłabym się na pięcie i ruszyła do swego pokoju. Miałam wrażenie, że Geneviève tak samo. Jednak skoro nie spodziewała się po mnie takiego tchórzostwa, nie mogłam jej powiedzieć, że ja także się boję. Łatwo jest być odważną w biały dzień, zupełnie inaczej w lochach starego zamku w środku nocy.

Wskazała wiodące w dół kamienne, kręcone schody, ja zaś uniosłam szlafrok tą samą ręką, w której trzymałam świecę, gdyż z drugiej nie wypuszczałam sznurowej poręczy, i ruszyłam pierwsza w dół.

Postępująca z tyłu Geneviève nagle potknęła się i poleciała na mnie. Całe szczęście, że się w ten

sposób zatrzymała, gdyż w przeciwnym razie zleciałaby ze schodów. Krzyknęła cicho i zaraz zakryła usta dłonią.

— Nic się nie stało — wyszeptwała. — Zahaczyłam nogą o szlafrok.

— Na miłość boską, unieś go do góry.

Skinęła głową i przez parę chwil stałyśmy na kręconych schodach, usiłując się uspokoić. Serce mi ciągle waliło jak młotem i nie miałam wątpliwości, że to samo się dzieje z dziewczynką. Sądziłam, że za moment powie: „Wracajmy, nic tu nie ma” — a ja chętnie się zgodzę.

Jednak uparta wiara w moje męstwo powstrzymała Geneviève od propozycji odwrotu.

Teraz wszędzie panowała absolutna cisza. Oparłam się o kamienną ścianę. Nawet przez szlafrok wyczuwałam jej chłód. Za to ręka Geneviève, ściskająca mi ramię, była gorąca.

To jest absurdalne, pomyślałam. Co ja robię, wędrując po zamku w nocy? Przypuśćmy, że hrabia by mnie zobaczył. Na jakiego głuptasa bym wyszła! Powinnam wrócić prosto do pokoju, a rano zawiadomić, że w nocy słyszałam jakieś odgłosy. Gdybym tak jednak zrobiła, Geneviève pomyślałaby, że się boję. I wcale by się nie pomyliła. Gdybym teraz nie poszła dalej, utraciłabym szacunek dziewczynki, dzięki któremu miałam u niej pewien autorytet. A jeżeli pragnęłam jej pomóc w przezwyciężeniu demonów popychających ją do tak dziwnych postępów, musiałam swój autorytet utrzymać.

Uniosłam wyżej fałdy szlafroka i zaczęłam schodzić po stopniach. Kiedy znalazłam się na samym dole, popchnęłam drzwi nabijane żelaznymi ćwiekami, prowadzące do lochów. Przed nami ukazała się ciemna jama i na ten widok jeszcze mniej skora byłam do kontynuowania wędrowki.

— To stąd dochodzi ten dźwięk — szepnęłam.

— Och, miss... ja tam nie wejdem.

— To tylko stare więzienne pomieszczenia.

Geneviève szarpnęła mnie za ramię.

— Wracajmy, miss.

Wydawało mi się niemądre schodzić tam w dół, gdy jedynie światło świecy wskazywało nam drogę. Posadzka była nierówna, a Geneviève już niemal upadła na schodach, co stanowiło ostrzeżenie. O ile niebezpieczniej jest tam, w dole! — mówiłam sobie w duchu. Ale prawda była taka, że to pełne grozy i chłodu miejsce robiło tak przerażające wrażenie, iż instynkt pchał mnie do odwrotu.

Uniosłam wyżej świecę. Zobaczyłam wilgotne, zagrzybione ściany, a dalej jakby niekończącą się ciemność. Dostrzegłam zarysy kilku klatek z grubymi łańcuchami do przetrzymywania nieszczęsnych więźniów de la Talle'ów.

— Czy jest tam kto? — zapytałam.

Mój głos odbił się niesamowitym echem. Dziewczynka przywarła do mnie i czułam, że trzęsie się ze strachu.

— Nikogo tu nie ma, Geneviève — powiedziałam.

— Chodźmy stąd, miss. — Słysząc było, że z ulgą przyjęła moje słowa.

— Wrócimy tu i przyjrzymy się wszystkiemu za dnia — zaproponowałam.

— Och tak... tak...

Ściskała mnie za rękę i ciągnęła z powrotem. Chciałam się odwrócić i spieszenie oddalić z tego miejsca, ale w ciągu paru straszliwych sekund uległam przerażającemu wrażeniu. Prawie że wierzyłam, iż gdzieś w głębi owej ciemności ktoś mnie obserwuje... wabi mnie w głąb... dalej, na pewną zgubę.

— Miss, chodźmy już!

Moje odczucie minęło i zawróciłam. Geneviève szła przodem po schodach, a mnie wydawało się, że stopy mam z ołowiu i ledwie mogłam je podnosić. Ciągle mi się wydawało, jakbym słyszała

za sobą kroki, a czyjeś lodowate dłonie ciągnęły mnie z powrotem w ciemność. Wszystko to oczywiście było wytworem mojej wyobraźni, niemniej gardło miałam tak ściśnięte, że ledwie mogłam oddychać, a serce ciążyło mi w piersi niczym kamień. Płomień świecy zamigotał w pewnym momencie nierówno i przeleciała mi przez głowę koszmarna myśl, że zgaśnie. Wydawało mi się, że nigdy nie dobrniemy na szczyt schodów. Wchodzenie pod górę nie zabrało więcej niż minutę, a mnie się zdawało, że minęło co najmniej dziesięć.

Przystanąłam na chwilę przed *oubliette*.

— Chodźmy dalej, miss — wyszeptała Geneviève, szcękając zębami. — Zimno mi.

Wspinałyśmy się wyżej.

— Miss — spytała — czy pozwoliłaby mi pani zostać u siebie na noc?

— Oczywiście.

— Nounou mogłaby się zbudzić, gdyby usłyszała, że wracam.

Nie zamierzałam jej przypominać, że piastunka nigdy się w nocy nie budzi; wiedziałam, że dziewczynka była przestraszona tak samo jak ja i bała się spać sama.

Długo nie mogłam zasnąć i przeżywałam na nowo każdą chwilę naszej ponurej eskapady.

Strach przed nieznanym, tłumaczyłam sobie, był dziedzictwem po niecywilizowanych przodkach. Czego tak się bałam w lochach? Duchów z przeszłości? Czegoś, co istniało jedynie w dziecięcej wyobraźni?

A jednak kiedy usnęłam, we śnie usłyszałam pukanie. Śniła mi się młoda kobieta, która nie mogła zaznać spokoju, gdyż zginęła gwałtowną śmiercią. Chciała wrócić, żeby wyjawić mi, w jaki sposób zmarła.

Puk! Puk!

Poderwałam się na łóżku. To pokojówka przyniosła śniadanie. Geneviève musiała obudzić się wcześniej, gdyż nie było jej w pokoju.

* * *

Następnego dnia po południu wybrałam się do lochów sama. Zamierzałam poprosić dziewczynkę, żeby mi towarzyszyła, ale nie mogłam jej nigdzie znaleźć, a że byłam nieco zawstydzona przerażeniem, jakie mnie ogarnęło na dole poprzedniej nocy, pragnęłam udowodnić sobie, że nie miałam czego się bać.

Niezależnie od wszystkiego słyszałam przecież także owo pukanie, o którym mówiła Geneviève, i pragnęłam odkryć, co to za hałas.

Dzień był słoneczny — a jak inaczej wszystko wygląda w słońcu! Nawet na starych schodach, do których docierało światło przez wąskie szczeliny w murze, nie panowały teraz kompletne ciemności.

Było tam mroczno, ale nie tak ponuro jak w świetle jednej małej świecy.

Dotarłam do wejścia do lochów i stałam, wpatrując się w ciemność. Nawet w tym jednym z najjaśniejszych dni w roku nie było łatwo coś tutaj dostrzec, ale po pewnym czasie oczy przywykły do mroku. Mogłam już rozpoznać zarys owych straszliwych, małych cel, zwanych Watkami. Kiedy weszłam parę kroków dalej do lochu, ciężkie drzwi zamknęły się i nie mogłam powstrzymać przytłumionego okrzyku, gdyż za mną wynurzył się jakiś cień i czyjaś dłoń chwyciła mnie za ramię.

— Mademoiselle Lawson!

Zabrakło mi tchu w piersi. Za mną stał hrabia.

— Ja... — zaczęłam. — Przestraszył mnie pan.

— Głupio się zachowałam. Ciemno tu za zamkniętymi drzwiami. — Nadal ich nie otwierał. Stał

bardzo blisko mnie.

— Ciekaw byłem, kto tu idzie — powiedział. — Mogłem się domyślić, że to pani. Tak bardzo interesuje się pani zamkiem. To naturalne, że uwielbia pani oglądać tutejsze osobliwości... a tego rodzaju makabryczne miejsce jest szczególnie pociągające.

Położył mi dłoń na ramieniu. Gdybym chciała zaprotestować, nie byłabym w stanie — opanował mnie strach, tym bardziej obezwładniający, że nie wiedziałam, czego właściwie się boję.

Usłyszałam jego głos tuż przy swoim uchu:

— Jakiego odkrycia spodziewała się pani dokonać, mademoiselle Lawson?

— Właściwie sama nie wiem. Geneviève słyszała ubiegłej nocy jakieś hałasy i zeszłyśmy na dół, żeby sprawdzić, co to. Zaproponowałam jej, że wrócimy tu za dnia.

— A więc i ona też ma tu przyjść?

— Być może.

Hrabia się roześmiał.

— Hałasy? — zapytał. — Jakie hałasy?

— Jakies stukania. Geneviève już mi o nich kiedyś wspominała. Powiedziałam jej wtedy, żeby do mnie przyszła, gdy następnym razem usłyszysz owe hałasy, to razem je zbadamy. I tak zrobiła.

— Chyba się domyślam, co to — odrzekł. — Pewnie chrząszcze zwane kołatkami zagnieździły się w starej części zamku. Już tam kiedyś były.

— Och... rozumiem.

— To oczywiście musiało się pani także nasunąć. Z pewnością zetknęła się pani z owymi szkodnikami w którymś z waszych okazałych zamków w Anglii.

— Naturalnie. Ale te kamienne mury...

— Pełno tu drewna. — Odsunął się ode mnie i poszedł otworzyć drzwi. Teraz mogłam wyraźniej zobaczyć owe nieszczęsne klatki oraz przytwierdzone do muru przerażające pierścienie z przewleczonymi przez nie łańcuchami... Hrabia stał z twarzą pobladłą i jeszcze bardziej nieodgadnionym wyrazem oczu niż zwykle.

— Jeżeli istotnie te chrząszcze tu się ulokowały, to mogą być kłopoty — stwierdził z grymasem niezadowolenia.

— Polecą pan, żeby to sprawdzono?

— W swoim czasie. Po zbiorach winogron. Usunięcie tych owadów zajmie sporo czasu. Przed dziesięcioma laty zrobiono tutaj generalne porządki. Raczej nie powinno być zbyt dużo kołatków.

— Pan podejrzewał, że się tu zagnieździły? — spytałam. — I dlatego przyszedł pan do lochów.

— Nie — odrzekł. — Zobaczyłem panią schodzącą po schodach i pomyślałem, że może dokonała pani odkrycia.

— Odkrycia? Jakiego odkrycia?

— Ukrytego dzieła sztuki. Pamięta pani naszą rozmowę o freskach.

— Tu, na dole?

— Nigdy nie można być pewnym, gdzie znajdzie się skarb, czyż nie?

— No tak, to prawda.

— Teraz nie będziemy już mówić o tym pukaniu — oświadczył stanowczo. — Nie chciałbym, żeby Gautier się o tym dowiedział. Upierałby się, żeby zaraz sprowadzić ekspertów. Musimy poczekać, aż skończy się winobranie. Nie ma pani pojęcia, mademoiselle Lawson, chociaż sama się o tym przekona, jakie gorączkowe podniecenie ogarnia wszystkich, kiedy winogrona dojrzeją. W tym czasie nie możemy sprowadzać do zamku ludzi zajmujących się kołatkami.

— Czy mogę przekazać Geneviève, jaka jest pana opinia na temat tego pukania?

— Tak, proszę jej powtórzyć. I powiedzieć, żeby spała spokojnie.

— Dobrze.

Weszliśmy razem schodami na górę i jak zwykle w jego towarzystwie miałam mieszane wrażenia. Czułam się speszona, gdyż wyglądało na to, że schwycił mnie na myszkowaniu po zamku. Z drugiej strony przyjemnie mi było, że mogłam znowu z nim porozmawiać.

Wyjaśniłam Geneviève sprawę owych hałasów następnego dnia, kiedy wybrałyśmy się na przejażdżkę.

— Chrząszcze! — zawołała. — To prawie tak samo okropne jak duchy!

— Co ty pleciesz? — zaśmiałam się. — To są żywe stworzenia i można je wytępić.

— Bo w przeciwnym razie zniszczą dom. Och! Niedobrze mi się robi na myśl, że są u nas te szkodniki. A po co one pukają?

— Pukają w drewno główkami, żeby przywabić partnerkę.

To rozbawiło Geneviève i jechałyśmy dalej w wesołym nastroju. Niewątpliwie wyjaśnienie ojca ją uspokoiło.

Dzień był śliczny. Całe rano padały przelotne deszcze, więc teraz trawa i drzewa cudownie pachniały świeżością. Winorośl nieustannie przycinana — usuwano nawet do dziewięćdziesięciu procent wyrosłych gron — toteż wyglądały pięknie i zdrowo. Na krzewach pozostały tylko najdorodniejsze owoce, a te miały dużo miejsca, by docierały do nich promienie słoneczne, co zapewniało im słodycz i powodowało, że wino nabierało charakterystycznego smaku dla tego regionu.

— Bardzo bym chciała, miss — odezwała się nagle Geneviève — żeby pani jadła z nami kolację.

— Dziękuję ci — odrzekłam — ale nie mogę przychodzić bez zaproszenia. W każdym razie całkiem mi smakuje posiłek przyniesiony na tacy.

— Papa i pani często ze sobą rozmawiają.

— Oczywiście.

— Żałuję, że ona się tu zjawiła. Nie lubię jej. I ona chyba mnie także nie lubi. — Dziewczynka się zaśmiała.

— Masz na myśli swoją ciotkę Claude?

— Dobrze pani wie, kogo mam na myśli, a ona nie jest moją ciotką.

— Wygodniej tak ją nazywać.

— Z jakiego powodu? Nie jest wiele starsza ode mnie. Wszyscy chyba zapominają, że dorastam. Chodźmy odwiedzić madame Bastide, dowiemy się, co u nich słychać.

Na samą myśl o wizycie u Bastide'ów na twarzy Geneviève pojawił się uśmiech. Ja zaś, choć nie podobały mi się te jej nagłe zmiany nastroju, z wielką chęcią skierowałam Bonhomme'a w stronę domostwa naszych przyjaciół.

Yves i Margot byli w ogrodzie. Dzieci trzymały koszyki i nisko pochylone szukały czegoś na ścieżce. Śpiewały jakąś piosenkę, co chwila wykrzykując coś do siebie.

Przywiązałyśmy konie do słupa i Geneviève pobiegła do nich dowiedzieć się, co robią.

— Jak to, nie wiesz? — spytała z wyższością Margot. W jej wieku zazwyczaj uważa się osobę, która nie wie tego, co my, za wyjątkowego ignoranta.

— Ślimaki! — wykrzyknęła Geneviève.

Yves z szerokim uśmiechem podniósł wzrok i wyciągnął w jej stronę koszyk, żeby zobaczyła zawartość. Leżało tam kilka ślimaków.

— Będziemy mieli ucztę — wyjaśnił i zaczął tańczyć, śpiewając piosenkę o małym wesołym zuchu, który maszerował do Montbron.

C'était un petit bonhomme luron

C'était un petit bonhomme

Qui allait à Montbron...

— Spójrz na tego — powiedział z udanym żalem — on nigdy nie dojdzie do Montbron. No, chodź, *mon petit bonhomme*. — Znowu się uśmiechnął. — Urządzimy ucztę i będziemy się zajadać ślimakami. Wyszły po deszczu. Weź koszyk i pomóż nam!

— Skąd mam wziąć? — spytała Geneviève.

— Jeanne ci da.

Dziewczynka pobiegła do domu tylnym wejściem i wpadła do kuchni, gdzie Jeanne przygotowywała właśnie *pot-au-feu**. Pomyślałam o zmianie, jaka zaszła w Geneviève z chwilą przekroczenia progu domu Bastide'ów.

Yves kołysał się jak w tańcu.

— Musi pani przyjść do nas na ucztę, miss Dallas — powiedział.

— Ale nie wcześniej niż za dwa tygodnie — zapiszczała Margot.

— Trzymamy je przez dwa tygodnie, a potem podajemy z czosnkiem i natką pietruszki. — Poglaskał się po brzuszku na to wspomnienie. — Pycha!

Znowu zaczął nucić piosenkę o ślimaku, tymczasem Geneviève wróciła z koszykiem, a ja weszłam do domu porozmawiać z madame Bastide.

Dwa tygodnie później, gdy zebrane przez dzieci ślimaki były już gotowe do zjedzenia, Geneviève i ja zostałyśmy zaproszone na poczęstunek do domu Bastide'ów. Miły był ten ich zwyczaj urządzania przyjęć z byle jakiej okazji, zwłaszcza dla dzieci. Uznałam, że teraz to doskonały pomysł także ze względu na Geneviève, gdyż zawsze u nich stawała się weselsza i zachowywała się grzeczniej. Naprawdę robiła wrażenie, jakby starała się być miła.

Kiedy wyruszyliśmy konno do Bastide'ów, spotkaliśmy Claude, która wyjeżdżała właśnie z winnic. Zobaczyłam ją, zanim ona nas dostrzegła; miała pałającą twarz i była wyraźnie czymś bardzo poruszona. Na nowo uderzyła mnie uroda żony Philippe'a. Jednak gdy nas ujrzała, wyraz jej twarzy uległ niekorzystnej zmianie.

Zapytała, gdzie się wybieramy. Powiedziałam, że zostałyśmy zaproszone przez Bastide'ów. Kiedy odjechała, Geneviève rzekła:

— Sądzę, że najchętniej zabroniłaby nam tam jechać. Uważa się za panią zamku, a jest tylko żoną Philippe'a. Zachowuje się, jakby...

Patrzyła chmurnie spod zmrużonych powiek, a ja pomyślałam, że dziewczynka jest mniej naiwna, niż sądziłam. Ona wie, co łączy tę kobietę z jej ojcem.

Nie podjęłam Tozmony i tak dojechałyśmy do Bastide'ów. Yves i Margot czekali już na nas i zgotowali głośne powitanie.

Pierwszy raz skosztowałam wtedy ślimaków i wszyscy śmiali się z rezerwy, z jaką podchodziłam do tego dania. Pewnie istotnie były wyborne, lecz nie potrafiłam jeść ich z takim samym entuzjazmem jak reszta towarzystwa.

Dzieci opowiadały, że modlą się o deszcz, bo wtedy ślimaki wychodzą z ukrycia, a Geneviève z ciekawością przysłuchiwała się tym opowieściom. Wykrzykiwała też tak samo głośno jak Yves i Margot i razem z nimi śpiewała piosenkę o ślimaku.

W połowie posiłku zjawił się Jean Pierre. Mniej go ostatnio widywałam, gdyż bardzo był zajęty przy pracach w winnicach. Powitał mnie z typową dla siebie galanterią, ja zaś zauważyłam z niejakim przestrawieniem zmianę w zachowaniu Geneviève, kiedy go zobaczyła. Jakby w jednej chwili wyzbyła się wszystkiego, co dziecięce. Widać było, że wsłuchuje się z uwagą w każde wypowiedziane przez młodego mężczyznę słowo.

* fr. rosół ze sztuką mięsa

— Jean Pierre, chodź i usiądź koło mnie — poleciła, a ten bez chwili wahania wziął krzesło i wsunął je między nią a Margot.

Rozmawiali o ślimakach i Jean Pierre zaśpiewał swym dźwięcznym tenorem ową piosenkę. Geneviève wpatrywała się w niego marzącym wzrokiem.

Jean Pierre uchwycił moje spojrzenie i zwrócił się do mnie, jakby chciał coś powiedzieć, ale Geneviève natychmiast z wielkim ożywieniem oznajmiła:

— A w naszym zamku są chrząszcze. Nie miałabym nic przeciwko ślimakom. Czy one wchodzi do wnętrza domów? Czy stukają muszelkami?

Czyniła ogromne wysiłki, by zwrócić na siebie uwagę Jean Pierre'a i to jej się udało.

— Chrząszcze w zamku? — zapytał.

— Tak, one pukają. Miss i ja poszłyśmy w nocy sprawdzić, prawda, miss? Poszłyśmy do lochów. Umierałam ze strachu. Ale miss się nie lękała. Pani niczego się nie boi, mam rację?

— Chrząszczy na pewno nie — odparłam.

— Ale dowiedziała się pani dopiero później od mojego ojca, że to chrząszcze.

— Chrząszcze w zamku — powtórzył Jean Pierre. — Kołatki? To musiało wprawić Monsieur le Comte'a w panikę, daję głowę.

— Nigdy nie widziałam, żeby wpadał w panikę i tym razem również tak nie było.

— Och, miss — mówiła podniecona Geneviève — czy nie było strasznie... tam, w lochach, a miałyśmy tylko jedną świecę. Byłam pewna, że tam ktoś jest... i nas obserwuje. Czułam to, miss. Naprawdę.

Dzieci słuchały jej z szeroko otwartymi oczami i Geneviève nie mogła oprzeć się pokusie, by nadal nie pozostać w centrum uwagi.

— Słyszałam jakiś hałas... — mówiła dalej. — Myślę, że to musiał być duch. Kogoś, kto został tam uwięziony, zmarł, a jego dusza nie może zaznać spokoju.

Wiedziałam, że jest coraz bardziej podniecona, niemal na granicy hysterii. Uchwyciłam spojrzenie Jean Pierre'a, który skinął głową.

— Moi mili — zawołał — kto idzie tańczyć „Marsza ślimaków”? Jest właśnie odpowiedni moment, bo skoro dzięki nim mieliśmy dziś ucztę, to powinniśmy zatańczyć i w ten sposób je uczcić. Zapraszam, mademoiselle Geneviève. Ruszamy w pierwszą parę!

Dziewczynka poderwała się ochoczo i złożony dłoń w rękę Jean Pierre'a, zaczęła z nim tańczyć wokół pokoju.

* * *

Wyszłyśmy od Bastide'ów około czwartej. Gdy tylko znalazłyśmy się w zamku, jedna z pokojówek podbiegła do mnie z wiadomością, że madame de la Talle życzy sobie mnie widzieć w swym buduarze możliwie niezwłocznie.

Nawet się nie przebrałam i poszłam do niej w stroju do konnej jazdy.

Zapukałam do drzwi jej sypialni i usłyszałam stłumiony głos, zapraszający mnie do środka. Gdy znalazłam się w pokoju, stylowo umeblowanym, gdzie królowało łóżko z baldachimem z jedwabiu w niebiesko — pawim kolorze, okazało się, że tam jej nie ma. Zauważyłam uchylone drzwi i usłyszałam płynący spoza nich głos:

— Proszę tutaj, mademoiselle Lawson.

Buduar był prawie o połowę mniejszy od sypialni. Poza wielkim lustrem znajdowała się tam krótka wanna, toaletka, fotele i sofa, a nad tym wszystkim unosił się przytłaczający zapach perfum. Żona Philippe'a spoczywająca w półleżącej pozycji na sofie, otulona była w bladobłękitny, jedwabny szlafrok, na który spływały jej jasne włosy.

Musiałam z przykrością przyznać w duchu, że wygląda bardzo ładnie, wręcz kusząco. Przyglądała się swej nagiej stopie, wystającej spod fałd szlafroka.

— Och, mademoiselle Lawson, już pani wróciła. Była pani u Bastide'ów?

— Tak — odrzekłam.

— My oczywiście nic nie mamy przeciwko pani przyjaźni z tymi ludźmi — mówiła jej. Spojrzałam zdziwiona, a Claude dodała z uśmiechem:

— Absolutnie nic. Oni wytwarzają nasze wina, pani odnawia nasze obrazy.

— Nie widzę związku.

— Zauważy pani, gdy to przemyśli, mademoiselle Lawson. Mnie chodzi o Geneviève. Nie mam wątpliwości, że Monsieur le Comte nie życzyłby sobie, aby pozostawała w takich zażyłych przyjacielskich stosunkach z jego... podwładnymi.

Miałam już zaprotestować, gdy Claude pośpieszyła z dalszymi wyjaśnieniami. Mówiła niemal łagodnym tonem, jakby starała się uczynić swe uwagi w miarę możliwości najbardziej dla mnie delikatnymi.

— Być może my chronimy młode dziewczęta bardziej, niż to się dzieje u was, w Anglii. Nie uważamy, aby było rozsądne pozwalać im na takie swobodne obcowanie z osobami nie należącymi do ich sfery. Mogłoby to w pewnych okolicznościach prowadzić do... komplikacji. Z pewnością pani rozumie.

— Czy sugeruje pani, że powinnam nie dopuszczać do wizyt Geneviève u Bastide'ów?

— Chyba się pani zgodzi, że tak bliskie kontakty z nimi nie są rozsądne.

— A ja myślę, że chyba mnie pani przecenia. Absolutnie nie jestem w stanie przeszkodzić temu, na co dziewczynka ma ochotę. Mogę ją jedynie poprosić, żeby przyszła do pani i wtedy będzie pani mogła powiadomić ją o swych decyzjach.

— Ale pani towarzyszy jej w czasie odwiedzin u tych ludzi. To od pani wpływu zależy...

— Z pewnością nie mogę niczego jej zabronić. Przekażę, że chce pani z nią mówić.

I po tych słowach wyszłam z buduaru.

* * *

Wieczorem poszłam do swego pokoju i położyłam się do łóżka. Jeszcze nie usnęłam, kiedy zaczęło się dziać coś dziwnego. Usłyszałam przeraźliwe krzyki strachu i gniewu, więc włożyłam szlafrok i wyszłam na korytarz. Ktoś bardzo głośno przeciw czemuś protestował. Potem usłyszałam głos Philippe'a.

Gdy tak stałam przed drzwiami mego pokoju i zastanawiałam się, co robić, korytarzem przebiegła jedna z pokojówek.

— Co się stało? — zawołałam.

— Ślimaki w łóżku madame!

Wróciłam do pokoju i usiadłam zamyślona. Taka więc była odpowiedź Geneviève. Pewnie przyjęła reprimendę spokojnie, ale natychmiast obmyśliła rewanż. Z tego mogą wyniknąć kłopoty.

Ruszyłam do jej pokoju i zapukałam lekko w drzwi. Nie było odpowiedzi, więc weszłam i zobaczyłam, że leży w łóżku na plecach i udaje, że śpi.

— Zupełnie ci to nie wychodzi — powiedziałam.

Otworzyła jedno oko i zaczęła się śmiać.

— Słyszała pani te krzyki, miss?

— Wszyscy musieli je słyszeć!

— Proszę sobie wyobrazić jej minę, jak je zobaczyła!

— To naprawdę wcale nie jest śmieszne, Geneviève.

— Biedna miss. Zawsze żal mi ludzi nie mających poczucia humoru.
— A mnie żal tych, którzy dopuszczają się bezsensownych wybryków, bo tylko oni będą potem cierpieć. Jak myślisz, co z tego wyniknie?
— Nauczy się pilnować własnych spraw i nie wtykać nosa w moje.
— Możesz się zawieść w swych oczekiwaniach.
— Och, proszę przestać. Pani jest tak samo niedobra jak Claude. Ona chce rai zabronić widywania się z Jean Pierre'em i resztą jego rodziny. Nie uda jej się, zapewniam panią.
— Jeżeli tak postanowi twój ojciec... Zrobiła nadąsaną minę.
— Nikt mi nie zabroni widywać Jean Pierre'a... i pozostałych Bastide'ów.
— Nie pomogą ci dziecięce kawały ze ślimakami.
— Czyżby? Nie słyszała pani tych wrzasków? Była przerażona. To jej dobrze zrobi.
— Chyba sobie nie wyobrażasz, że puści to płazem?
— Niech sobie robi, co jej się podoba. A ja będę robiła swoje.
Nie było sensu dalej prowadzić z nią tej rozmowy, więc wyszłam.
Ale niepokoiłam się coraz bardziej, nie tylko z powodu głupiego zachowania, które mogło spowodować jedynie nieprzyjemne konsekwencje, ale także narastającym w niej zainteresowaniem osobą Jean Pierre'a.

* * *

Następnego dnia rano pracowałam w galerii, gdy zjawiała się tam Claude. Była ubrana w granatowy strój do konnej jazdy, na głowie miała także granatowy, będący częścią tego ubioru, melonik. Spod rondka spoglądały na mnie głęboko osadzone, niebieskie oczy. Po ich wyrazie mogłam się domyślić, że jest zła, ale stara się to ukryć.

— Zeszłej nocy miała miejsce żenująca sytuacja — oznajmiła. — Pewnie pani słyszała.
— Coś słyszałam, istotnie.
— Zachowanie Geneviève jest godne pożałowania. Czemu nie należy się dziwić, zważywszy na towarzystwo, w jakim się obraca.
Zrobiłam zdziwioną minę.
— I uważam, mademoiselle Lawson, że jest pani w jakimś stopniu za to odpowiedzialna. Odkąd tu pani przybyła, godziła się na jej przyjacielskie kontakty z robotnikami z winnic.
— Te przyjazne stosunki nie mają nic wspólnego z jej niewłaściwym zachowaniem. Tak samo się zachowywała, kiedy tu przyjechałam.
— Jestem przekonana, że ma pani na nią zły wpływ, mademoiselle Lawson, i z tego powodu proszę panią o opuszczenie naszego domu.
— Mam wyjechać?!
— Tak, to najlepszy sposób. Przypilnuję, żeby wypłacono pani wynagrodzenie, a mój mąż pomoże znaleźć inną pracę. Nie chcę słyszeć żadnych tłumaczeń. Oczekuję, że opuści pani zamek w ciągu dwóch godzin.
— To jakiś nonsens. Nie skończyłam pracy. — Sprowadzimy kogoś, kto to zrobi.
— Pani tego nie rozumie. Stosuję własne metody. Nie mogę zostawić obrazów nieukończonych.

— Ja tu jestem panią, mademoiselle Lawson, i żądam, aby pani wyjechała.
Jaka była pewna siebie! Czy istniały do tego podstawy? Jak wielki miała na niego wpływ? Czy z uwagi na względy, jakimi darzyła pana tego domu, mogła zakładać, że hrabia się z nią zgodzi? Tak niewątpliwie sądziła. Była absolutnie przekonana, że hrabia niczego nie może jej odmówić.
Jej usta wykrzywiły się w szyderczym uśmiechu.

— Świetnie. Otrzyma więc pani polecenie od niego. Uświadomiłam sobie, że ogarnia mnie strach. Musiała wiedzieć, że może tego zażądać. Może już rozmawiała o mnie z hrabią. Może już zażądała zwolnienia mnie z pracy, a on, chcąc zadowolić kochankę, wyraził na to zgodę.

Usiłowałam ukryć nurtujące mnie obawy, kiedy towarzyszyłam jej do biblioteki.

Zamaszyście otworzyła na oścież drzwi i zawołała:

— Lothair!

— Claude — odpowiedział — słucham cię, moja droga.

Podniósł się z fotela i szedł w jej kierunku, gdy nagle zobaczył mnie. W pierwszej chwili nie potrafił ukryć zaskoczenia, ale zaraz pochylił przede mną głowę w ukłonie.

— Lothair — odezwała się wyniosłym tonem — oznajmiłam mademoiselle Lawson, że nie może u nas dłużej pozostawać. Ponieważ odmówiła przyjęcia wypowiedzenia pracy ode mnie, przyprowadziłam ją tutaj, żebyś sam jej to powiedział.

— Powiedzieć jej? — Przeniósł wzrok z gniewnej twarzy żony Philippe'a na moją, wyrażającą w tej chwili głęboką pogardę.

Nie umknęło mojej uwagi, jak pięknie Claude w tym momencie wyglądała. Pod wpływem gniewu zaróżowiły się jej policzki, co podkreślało błękit oczu i biel równych, drobnych zębów.

— Geneviève włożyła ślimaki do mego łóżka. To było okropne.

— O Boże — mruknął pod nosem. — Jakąż czerpie satysfakcję z płatania tak idiotycznych figli!

— Sądzi, że to bardzo zabawne. Jej zachowanie jest oburzające. Czego się można spodziewać... czy wiesz, że jej najbliższymi przyjaciółmi są Bastide'owie?

— Nie wiedziałem — odrzekł hrabia.

— Więc zapewniam cię, że tak właśnie jest. Stale tam jeździ. Powiedziała mi, że nikogo z nas tu nie lubi. Nie jesteśmy tak mili, tak zabawni ani inteligentni jak jej najdroższy przyjaciel Jean Pierre Bastide. Tak, to jej najdroższy przyjaciel, choć Geneviève uwielbia także całą jego rodzinę. Bastide'owie! Wiesz, kim oni są!

— Najlepszymi wytwórcami wina w regionie — oświadczył spokojnie.

— Dziewczyna od nich musiała dopiero co ratować się pośpiesznym małżeństwem.

— Taka sytuacja nie jest rzadkim zjawiskiem w naszych stronach, zapewniam cię.

— A ów cudowny Jean Pierre. Wesołek, jak słyszałam. Zamierzasz pozwalać swej córce zachowywać się niczym wiejska dziewczyna, która niedługo będzie musiała... ee... ratować się z kłopotliwego położenia?

— Zbyt się tym ekscytujesz, Claude. Nikt nie pozwoli Geneviève na niestosowne zachowanie. Ale co to ma wspólnego z mademoiselle Lawson?

— To ona podsyca te przyjacielskie stosunki, ona towarzyszy Geneviève w czasie wizyt u Bastide'ów. Sama jest ich serdeczną przyjaciółką i niech będzie, bardzo pięknie. Wypowiedziałam jej pracę tylko ze względu na to, że wprowadziła swoją córkę do domu tych ludzi.

— Wypowiedziałas pracę? — powtórzył hrabia. — Przecież nie ukończyła jeszcze odnawiania obrazów. Co więc, zwróciła mi uwagę na ścienną malowidła.

Claude podeszła do niego bardzo blisko, unosząc swe piękne błękitne oczy.

— Lothair — powiedziała — usłuchaj mnie, proszę. Mam na uwadze dobro Geneviève.

Przeniósł wzrok na mnie.

— A pani w ogóle nie zabiera głosu, mademoiselle Lawson.

— Będzie mi przykro zostawić obrazy w takim stanie.

— To w ogóle nie do pomyślenia.

— Czy to znaczy... że trzymasz jej stronę? — spytała moja przeciwniczka z pretensją w głosie.

— To znaczy jedno — nie widzę, co takie rozwiązanie może przynieść dobrego Geneviève.

Natomiast wiem na pewno, jakie szkody poniesie moja kolekcja obrazów.

Claude cofnęła się nieco i przez moment wydawało mi się, że go uderzy. Po chwili jednak skrzywiła się tylko, ale w istocie na jej twarzy pojawił się wyraz, jakby zaraz miała wybuchnąć płaczem. Wybiegła z pokoju.

— Jest bardzo zła na pana — zauważyłam.

— Na mnie? Myślałem, że na panią.

— Wobec tego na nas oboje.

— Geneviève znowu fatalnie się zachowała.

— Niestety. Stało się tak dlatego, że zabroniono jej odwiedzać Bastide'ów.

— A pani ją tam zabierała?

— Tak.

— Czy to rozsądne?

— Wówczas wydawało mi się bardzo rozsądne. Brakowało jej towarzystwa młodych ludzi. Dziewczynka w jej wieku powinna mieć kontakt z rówieśnikami. To właśnie dlatego, że jest samotna, Geneviève stała się nieobliczalna i ulega różnym nastrojom, napadom złego humoru. Stąd te wszystkie wybryki.

— Rozumiem. I to był pani pomysł, żeby wprowadzić ją w tamto towarzystwo?

— Tak. Zauważyłam, że świetnie się czuje u Bastide'ów.

— I pani także?

— Tak. Bardzo przyjemnie spędzam u nich czas.

— Jean Pierre ma reputację uwodziciela.

— A który mężczyzna nie ma? Galanteria w stosunku do kobiet jest tak powszechna w tej części pańskiego kraju jak winna latorośl. W jego obecności zaczynałam zachowywać się nierozważnie. Chyba chciałam odkryć, jakie żywi do mnie uczucia hrabia... i jak się one mają do więzów łączących go z tamtą kobietą. Mówiłam dalej:

— Pomyślałam, że być może istotnie dobrze by było, gdybym wyjechała. W ciągu, powiedzmy... dwóch tygodni. Do tego czasu zapewne zdołałabym ukończyć odnawianie obrazów, przy których zaczęłam ostatnio pracować. To by chyba usatysfakcjonowało madame de la Talle, a skoro trudno przyjąć, że Geneviève będzie sama jeździła do Bastide'ów, to problem zostałby z pewnością rozwiązany.

— Nie można kształtować swego życia w imię zręczności, mademoiselle Lawson.

Roześmiałam się, a hrabia mi zawtórował.

— A teraz proszę — powiedział — ani słowa więcej o opuszczeniu nas.

— Ale madame de la Talle...

— Proszę to mnie zostawić. Ja to z nią załatwię.

Popatrzył na mnie i przez jedną cudowną chwilę wydawało mi się, że z jego twarzy opadła maska. Być może dał wyraz przekonaniu, że nie mógłby znieść myśli o opuszczeniu zamku przeze mnie tak samo jak ja o wyjeździe.

* * *

Kiedy znowu zobaczyłam Geneviève, była wyraźnie w ponurym nastroju. Oświadczyła, że nienawidzi wszystkich... całego świata. A szczególnie kobiety, która siebie nazwała ciocią Claude.

— Już po raz drugi zabroniła mi jeździć do Bastide'ów, miss. Tym razem był z nią papa. Powiedział, że nie wolno mi tam jechać bez jego pozwolenia. Co oznacza nigdy... bo on mi go nigdy nie da.

— Może ci pozwoli. Jeżeli...

— Nie. Ta kobieta mu powiedziała, żeby mi nie pozwalał, a papa robi to, co ona mu mówi. To dziwne, bo trudno sobie wyobrazić, żeby ojciec robił coś, co ktoś mu każe... ale tak właśnie jest zawsze z nią.

— Z pewnością nie zawsze.

— Pani się nie orientuje, miss. Czasami mi się wydaje, że jedyne, na czym się pani zna, to mówienie po angielsku i pouczanie niczym guwernantka.

— Guwernantki przynajmniej same musiały się wiele nauczyć, zanim zaczęły pouczać innych.

— Proszę nie zmieniać tematu, miss. Mówię pani, nienawidzę wszystkich mieszkańców tego domu. Pewnego dnia stąd ucieknę.

Kilka dni później spotkałam Jean Pierre'a. Jechałam konno sama, gdyż Geneviève unikała mnie od czasu ostatniego wybuchu gniewu. Przycwałował ku mnie z uradowaną miną, z jaką zresztą zwykle mnie witał.

— Popatrz na te winogrona! — zawołał. — Czy widziałaś kiedyś równie piękne? W tym roku nasze wino będzie warte zamkowej marki na butelkach. Jeżeli nic złego się nie stanie — dodał pośpiesznie, jakby pragnął ułagodzić jakieś bóstwo, które mogło go usłyszeć i ukarać za taką arogancję. — Jak pamiętam, był tylko jeden sezon, kiedy wyrosły tak samo dorodne. — Wyraz jego twarzy zmienił się nagle. — Ale może nie będę miał okazji uczestniczyć tutaj w winobraniu.

— Co takiego?

— Jak na razie to tylko pogłoski. Ale Monsieur le Comte szuka znajdującego się na rzeczy pracownika, aby go wysłać do winnic w Mermoz i mówiono mi, że jakoby ja mam być tym właściwym człowiekiem.

— Wyjechałbyś z Gaillard? Jak mógłbyś to zrobić?

— Zwyczajnie. Przeprowadziłbym się do Mermoz.

— To niemożliwe.

— Dla Boga i hrabiego wszystko jest możliwe. — Teraz w jego głosie brzmiało prawdziwe oburzenie. — Och, Dallas, czy nie widzisz, że dla Monsieur le Comte'a my się w ogóle nie liczymy? Jesteśmy jedynie pionkami, które ustawia tak lub inaczej, żeby odnieść korzyść z gier, które prowadzi. On sobie nie życzy mnie tutaj, tak to ujmijmy... cóż, wobec tego zostanie przesunięty na inne pole szachownicy. Tutaj stanowię niebezpieczeństwo dla pana i władcy.

— Niebezpieczeństwo? Jak to możliwe?

— Jak może skromny pionek sprawić, że król znajdzie się w szachu? To subtelna gra. Nie zawsze zdajemy sobie sprawę, że zakłócamy spokój ducha wielkim. Lecz jeśli tak jest, w jednej chwili nas się pozbywają i wysyłają jak najdalej. Rozumiesz?

— Był bardzo życzliwy dla Gabrielle. Ulokował ją w St. Vallient z Jakiem.

— O, bardzo... — mruknął pod nosem.

— Więc dlaczego miałby zapragnąć usunąć cię z drogi?

— Z kilku możliwych powodów. Być może dlatego, że ty i Geneviève nas odwiedzacie.

— Madame de la Talle chciała wyrzucić mnie za to z pracy. Nawet odwoływała się w tej sprawie do hrabiego.

— A on nie chciał o tym słyszeć?

— Pragnie, żeby praca przy renowacji obrazów została zakończona.

— Tylko to? Tak sądzisz? Dallas, lepiej uważaj. To niebezpieczny człowiek.

— Co masz na myśli?

— Kobiety fascynuje niebezpieczeństwo, sam to od nich słyszałem. Jego żona, biedna pani, była w najwyższym stopniu nieszczęśliwa. Stała się niepotrzebna, więc zmarła.

— Jean Pierre, co ty usiłujesz mi powiedzieć?

— Żebyś na siebie uważała — odrzekł. — Bardzo uważała. — Pochylił się ku mnie, ujął moją dłoń i pocałował. — To dla mnie ogromnie ważne.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W zamku panowała ciężka i napięta atmosfera. Geneviève stale okazywała zły humor, a ja zastanawiałam się, co jej chodzi po głowie. Claude natomiast była wściekła i upokorzona, gdyż hrabia nie zastosował się do jej życzenia. Czułam, że niechęć tej kobiety do mnie jeszcze się wzmogła. Poparcie udzielone mi przez hrabiego uznała, podobnie jak ja, za rzecz znaczącą.

Sam Philippe wyglądał na zaniepokojonego. Pewnego dnia przyszedł do mnie do galerii — wślizgnął się niemal ukradkiem, jakby nie chciał, żeby go ktoś zobaczył. Miałam wrażenie, że obawa ta dotyczyła zarówno jego żony, jak i samego hrabiego.

— Słyszałem, że doszło do konfliktu między panią a... moją małżonką. Przykro mi z tego powodu. Nie chcę powiedzieć, że pragnąłbym, aby pani wyjechała, ale w tym domu... — Wzruszył wymownie ramionami.

— Wydaje mi się, że powinnam ukończyć to, co zaczęłam.

— A czy to nastąpi... szybko?

— Cóż, jeszcze mam trochę do zrobienia.

— Kiedy pani ukończy swe prace, może być pewna, że jej pomogę w miarę swych możliwości... gdyby zaś pani zdecydowała wyjechać wcześniej, prawdopodobnie mógłbym znaleźć jej inne, podobne zajęcia.

— Będę o tym pamiętała.

Wyszedł w niezbyt dobrym nastroju i pomyślałam, że ten człowiek nade wszystko ceni sobie spokój. Philippe nie chciałby się w nic angażować. Pewnie dlatego tu jest.

Jednak jakkolwiek dziwne by się to wydawało, istniało pewne podobieństwo między nim a hrabią. Na przykład w brzmieniu głosu, w rysach twarzy. Tylko że to, co w jednym było pociągające, w drugim odstręczało. Philippe musiał żyć w cieniu swych bogatych i wpływowych krewnych. Być może właśnie dlatego stał się takim człowiekiem — zawsze trwożliwie poszukującym bezkonfliktowego wyjścia z sytuacji.

Ale dla mnie od samego początku był miły i jeżeli chciał, żebym wyjechała, to właśnie z powodu owej kontrowersji między mną a jego żoną.

Może i miał rację. Może powinnam wyjechać, gdy tylko ukończę pracę nad obrazem, który odnawiałam. Nic dobrego nie wyniknie z dalszego pobytu tutaj. Uczucia, jakie wzbudził we mnie hrabia, mogły się jeszcze spotęgować, a wtedy rany spowodowane rozstaniem byłyby jeszcze dotkliwsze.

Wyjadę! — obiecałam sobie. Ale mimo że podjęłam tak stanowczą decyzję, postanowiłam rozpocząć poszukiwania malowideł ściennych, które — jak podejrzewałam — mogły się znajdować pod wapienną zaprawą pokrywającą ściany. Wciągnęłaby mnie ta nowa praca i mogłabym zapomnieć o kłębiących się wokół mnie niesnaskach. Miałabym również pretekst do pozostania w zamku.

Szczególnie mnie zainteresowało niewielkie pomieszczenie w bezpośrednim sąsiedztwie galerii. Okno pokoju wychodziło na północ, co sprawiało, że dzięki doskonałemu światłu miałam stamtąd widok na łagodnie pofałdowane tereny winnic ciągnących się w kierunku Paryża.

Pamiętam, jak podniecony był mój ojciec, gdy zdarzyło mu się widzieć ściany podobne do tych na zamku. Opowiadał mi, w ilu angielskich starych rezydencjach pod warstwą wapiennej zaprawy ukryte były malowidła ścienne. Zamalowywano je — wyjaśniał mi — albo dlatego, że były uszkodzone albo po prostu przestały się podobać.

Usunięcie warstwy zaprawy, a mogło być tam ich kilka, stanowiło niezwykle delikatną

operację. Obserwowałam, jak wykonywał ją ojciec i nawet mu pomagałam. Miałam naturalny talent do tego typu pracy. Trudno powiedzieć, skąd się to wzięło, może był to po prostu instynkt — miał go mój ojciec i chyba po nim go odziedziczyłam — ale w chwili, gdy zobaczyłam tamtą ścianę, doznałam uczucia podekscytowania i mogłabym przysiąc, że wapienna zaprawa coś pod sobą kryje.

Zasiadłam do pracy ze szpachlą, ale nie udało mi się oddzielić zewnętrznej warstwy, a musiałam oczywiście ograniczyć się do najłżejszych dotknięć; jeden nieostrożny ruch zniszczyłby to, co mogło się okazać bardzo cennym malowidłem.

Pracowałam tak około półtorej godziny. Znałam zasady — nie było sensu pracować dłużej nad rzeczą wymagającą najwyższej koncentracji. Nie znalazłam przy tym niczego, co potwierdzałoby moje przypuszczenia.

Ale następnego dnia szczęście mi sprzyjało. Udało mi się odłupać we właściwy sposób mały kawałek zaprawy, nie większy niż około pół centymetra, ale zyskałam pewność, że na ścianie znajduje się malowidło.

To była najmądrzejsza rzecz, jaką mogłam zrobić — odrywała mnie całkowicie od napiętej atmosfery w zamku.

* * *

Pracowałam, gdy w galerii zjawiała się Geneviève.

— Miss! — zawołała. — Miss, gdzie pani jest?

— Tutaj — odpowiedziałam.

Kiedy wbiegła do pokoju, zauważyłam od razu, że jest bardzo poruszona.

— Przyniesiono wiadomość z Carrefour, miss. Dziadek gorzej się poczuł. Chce się ze mną zobaczyć. Proszę, niech mi pani towarzyszy!

— Twój ojciec...

— Nie ma go... wyjechał z nią konno. Proszę, miss, niech pani jedzie ze mną. Jeśli nie, będę musiała wziąć stajennego.

Powiedziałam jej, że szybko się przebiorę i spotkamy się koło stajni za dziesięć minut.

— Byle nie później — poprosiła.

W czasie jazdy do Carrefour dziewczynka milczała. Wiedziałam, że wizyty u dziadka przenikają ją lękiem, lecz jednocześnie fascynują.

Gdy dotarłyśmy do domu, w holu czekała na nas madame Labisse.

— O, mademoiselle — powiedziała — cieszę się, że i pani przyjechała.

— Czy bardzo z nim źle? — spytałam.

— Miał kolejny wylew. Maurice znalazł go w czasie *petit déjeuner*. Był lekarz i po jego wizycie posłałam po mademoiselle Geneviève.

— Czy to znaczy, że on... umiera? — spytała dziewczynka głuchym głosem.

— Trudno powiedzieć, mademoiselle Geneviève. Jeszcze żyje, ale jego stan jest bardzo ciężki.

— Czy możemy teraz pójść do niego?

— Proszę.

— Pani ze mną — powiedziała do mnie Geneviève.

Weszłyśmy do pokoju, który już kiedyś widziałam. Starzec leżał w łóżku. Zauważyłam, że madame Labisse zrobiła, co mogła, żeby mu było wygodniej — przykryła go kocem, a poza tym ustawiła w pokoju mały stolik i krzesła. Nawet dywan leżał teraz na podłodze. Ale gołe ściany, ozdobione jedynie krucyfiksem, i stojący w rogu kłęcznik nadal nadawały temu pomieszczeniu wygląd klasztornej celi.

Chory leżał na plecach z głową na poduszkach i przedstawiał opłakany widok: oczy tkwiły w oczodołach niby w czarnych jamach, sucha skóra na długim nosie była napięta. Wyglądał jak drapieżny ptak.

— To mademoiselle Geneviève, monsieur — wyszeptała madame Labisse.

Po nieco żywszym wyrazie jego twarzy wywnioskowałam, że ją poznał. Wargi starca poruszyły się, jednak słowa były sflumione i niewyraźne.

— Wnuczka...

— Tak, dziadku, jestem tutaj.

Skinął głową i utkwił oczy we mnie. Wydawało mi się, że nie widzi na lewe oko, gdyż było na wpół przymknięte i nieruchome, lecz prawe pozostawało jeszcze otwarte i bystre.

— Podejź bliżej — polecił i Geneviève przysunęła się do łóżka. Ale on patrzył na mnie.

— On ma na myśli panią, miss — wyszeptała dziewczynka. Wobec tego zamieniłyśmy się krzesłami i usiadłam bliżej starca, co go wyraźnie zadowoliło.

— Françoise — powiedział.

Wtedy zrozumiałam, że bierze mnie za matkę Geneviève.

— Wszystko dobrze. Nie ma się czym martwić — odpowiedziałam.

— Nie możesz... — wymamrotał. — Ostrożna. Uważaj...

— Dobrze, dobrze — odrzekłam uspokajająco.

— Nie powinnaś była poślubić... tego mężczyzny. Wiedziałem... to był... błąd.

— Wszystko w porządku — usiłowałam nadal go uspokoić. Ale twarz mężczyzny wykrzywiła się w grymasie.

— Musisz... On musi...

— Och, miss — odezwała się Geneviève — nie mogę tego znieść. Wrócę za chwilę. On majaczy. Nawet nie wie, że tu jestem. Czy muszę tu siedzieć?

Potrząsnęłam przecząco głową, a dziewczynka wyszła, zostawiając mnie w tym dziwnym pokoju samą z umierającym dziadkiem. Wyczułam, że zauważył jej nieobecność i że było mu to na rękę.

Sprawił wrażenie, jakby szykował się do podjęcia wielkiego wysiłku.

— Françoise... Trzymaj się z dala od niego. Nie pozwól mu...

— Dlaczego? — zapytałam. — Dlaczego mam się trzymać z dala od niego?

— Taki grzech... taki grzech — wyjęczał.

— Nie wolno się tak przejmować — odrzekłam.

— Wróć tutaj... Opuść zamek. Tam czeka cię tylko zatracenie... Spotka cię nieszczęście...

Wysiłek, jaki podjął, żeby tak wiele powiedzieć, musiał go wyczerpać. Zamknął oczy. Patrzyłam na niego z lękiem, a jednocześnie z rozczarowaniem, że nie powiedział mi nic więcej.

Nagle otworzył oczy.

— Honorine, jesteś taka piękna. Nasze dziecko... Co się z nią stanie? Och, grzech... grzech.

Wyczerpanie odebrało mu resztkę sił. Myślałam, że umiera. Podeszłam do drzwi, żeby zawołać Maurice'a.

— Koniec już niedaleki — zauważył służący.

Madame Labisse, wpatrując się we mnie, pokiwała głową.

— Mademoiselle Geneviève powinna tutaj być.

— Pójdę i ją przyprowadzę — odrzekłam zadowolona, że wymknę się z tego miejsca śmierci.

Idąc korytarzem, byłam świadoma panującej w tym domu ponurej atmosfery. Śmierć znajdowała się blisko, wyczuwałam ją. Ale było coś jeszcze. Jakby tu w ogóle uważano zawsze, że śmiech i szczęście są grzechem. Jak Françoise mogła czuć się szczęśliwa w takim miejscu? Z pewnością musiała się cieszyć, gdy zdołała uciec stąd na zamek!

Doszłam do schodów i spojrzałam w górę.

— Geneviève! — zawołałam cicho.

Nie otrzymałam odpowiedzi. Na podeście zobaczyłam okno, ale zasłaniały je do połowy ciężkie portiery, więc światło ledwie przez nie docierało. Pomyślałam, że prawdopodobnie zawsze były tak zaciągnięte. Podeszłam i wyjrzałam na zarośnięty ogród. Usiłowałam otworzyć okno, ale mi się nie udało. Pewnie przez całe lata nikt tego nie robił.

Miałam nadzieję, że zobaczę w ogrodzie Geneviève i dam jej znak, jednak tam jej nie było.

Jeszcze raz ją zawołałam, nadal bez skutku, więc zaczęłam iść po schodach na górę. Panująca tu cisza wprost mnie przytłaczała.

Zastanawiałam się, czy dziewczynka nie ukryła się w którymś z pomieszczeń z dala od pokoju chorego, nie mogąc znieść myśli o śmierci dziadka. To do niej podobne — uciec jak najdalej od czegoś, co wydawało się zbyt przykre. Być może w tym tkwiły korzenie jej kłopotów. Muszę ją przekonać, że jeśli się czegoś boimy, lepiej spojrzeć temu prosto w twarz.

— Geneviève! — zawołałam. — Gdzie jesteś?

Otworzyłam drzwi. Była to pogrążona w mroku sypialnia. Podobnie jak na podeście, okno do połowy zakrywały zasłony. Zamknęłam drzwi i otworzyłam kolejne. Tej części domu z pewnością nie użytkowano od lat.

Dalej wznosiła się następna kondygnacja schodów, a te, jak się domyśliłam, prowadziły do dzieciennych pokoi, gdyż z reguły umieszczano je na najwyższych piętrach.

Pomimo tego, co działo się na dole, wróciłam myślami do dzieciństwa Françoise opisywanego w zeszytach, które Nounou po jednym mi pokazywała. Przyszło mi na myśl, że Geneviève wysłuchiwała opowieści o dziecięcych latach swojej matki spędzonych w tym domu i jeżeli chciała się ukryć, to najprawdopodobniej poszła do dzieciennego pokoju.

Byłam pewna, że tam ją znajdę.

— Geneviève! — zawołałam głośniejszym głosem niż poprzednio. — Jesteś tam?

Żadnej odpowiedzi. Jedyne słaby podźwięk mego własnego głosu, wracający jak upiorne echo, żeby ze mnie drwić. Jeżeli tu była, nie miała zamiaru się ujawnić.

Otworzyłam drzwi i moim oczom ukazał się bardzo wysoki pokój, lecz niewielki. Na całe umeblowanie składało się wąskie twarde łóżko, stół, krzesło i klęcznik w kącie. Na ścianie wisiał krucyfiks. Dokładnie tak samo było w pomieszczeniu, w którym teraz leżał umierający. Ale zauważyłam pewną istotną różnicę. Jedyne okno, umieszczone wysoko, miało kraty. Pokój wyglądał jak cela więzienna i czułam instynktownie, że tak właśnie było.

W pierwszym odruchu miałam ochotę zatrasnąć drzwi i uciec, ciekawość jednak zwyciężyła. Wyglądał jak klasztor. Wiedziałam, że dziadek Geneviève żałował, iż nie został mnichem. „Skarb” w skrzyni to potwierdzał — habit zakonny był najdroższą rzeczą, jaką posiadał ten człowiek.

Dowiedziałam się tego z pierwszego zeszytu Françoise. A bicz? Czy chłostał się nim sam... a może też karał w ten sposób żonę i córkę?

I kto tu mieszkał? Ktoś co rano otwierał oczy na to zakratowane okno, na puste ściany i surowe wnętrze. Czy jemu... albo jej... było to potrzebne? A może...

Zauważyłam jakieś zadrapania na jednej ze ścian. Podeszłam bliżej. „Honorine” — przeczytałam litery — „więzień”.

Miałam rację. To było więzienie. Tu ją przetrzymywano wbrew woli. Tak jak tamtych nieszczęśników w lochach zamku.

Usłyszałam powolne stąpanie na schodach. Zastygłam nieruchomo w oczekiwaniu, co dalej. To nie były kroki Geneviève.

Ktoś stąpał po drugiej stronie drzwi — wyraźnie słyszałam czyjś oddech. Podeszłam szybko i otworzyłam je szeroko.

Kobieta patrzyła na mnie niedowierzającym wzrokiem.

— Mademoiselle! — wykrzyknęła.

— Szukałam Geneviève, madame Labisse — wyjaśniłam.

— Usłyszałam, że ktoś jest na górze. Zastanawiałam się... Chciała pani zejść na dół? Schody są tu zaraz, w pobliżu.

— A co z Geneviève?

— Pewnie schowała się w ogrodzie.

— To zrozumiałe — odrzekłam. — Młodzi nie lubią patrzeć na śmierć. Sądziłam, że znajdę ją w dziecinnym pokoju, a domyślałam się, że jest na samej górze.

— Pokoje dziecinne znajdują się piętro niżej.

— A ten...? — zaczęłam.

— To pokój babki mademoiselle Geneviève.

Spojrzałam na zakratowane okno.

— Opiekowałam się panią aż do samej jej śmierci — dodała madame Labisse.

— Była ciężko chora?

Potwierdziła tylko skinieniem głowy. Jej chłodna mina miała wyrażać, że jestem nazbyt wścibska. Ta kobieta nigdy w przeszłości nie zdradziła rodzinnych sekretów, gdyż była odpowiednio opłacana za milczenie. I teraz nie zamierzała ryzykować własnej przyszłości, ujawniając mi jakieś tajemnice.

Miała rację — Geneviève ukryła się w ogrodzie. Wróciła do domu dopiero wtedy, gdy okazało się, że dziadek zmarł.

* * *

Rodzina przyjechała do Carrefour na pogrzeb, który — jak słyszałam — wyprawiono z wielką pompą, jak zwykle przy takich okazjach. Ja w nim nie uczestniczyłam, Nounou również nie, twierdząc, że dopadł ją jeden z ataków migreny, a kiedy tak się działo, nie nadawała się do niczego poza pójściem do łóżka. Mnie zaś wydawało się, że ta uroczystość wywołałaby u staruszki zbyt wiele bolesnych wspomnień.

Geneviève pojechała powozem razem z ojcem, Philippe'em i Claude. Kiedy opuścili zamek, poszłam odwiedzić Nounou.

Zastałam ją — tak jak się spodziewałam — w łóżku. Na zapytanie, czy mogę u niej pobyc i trochę porozmawiać, odrzekła, że będzie jej miło w moim towarzystwie. Wobec tego przygotowałam kawę i piłyśmy ją razem.

Temat Carrefour i w ogóle przeszłości zatrzymał Nounou i pasjonował jednocześnie. Nasza rozmowa więc była chwilami wymijająca, a chwilami pełna zwierzeń staruszki.

— Nie sądzę, by Geneviève miała ochotę jechać na pogrzeb — powiedziałam.

Jej opiekunka pokiwała głową.

— Wolałabym, żeby nie musiała jechać.

— No, ale tego od niej oczekiwano. Jest prawie dorosła. W każdym razie nie można jej już traktować jak dziecka. Co pani o niej myśli? Czy ma teraz rzadziej te swoje napady złego humoru? Jest spokojniejsza?

— Zawsze była dość spokojna — odrzekła Nounou, mijając się wyraźnie z prawdą.

Popatrzyłam na staruszkę ze smutkiem, a ona odpowiedziała mi podobnym spojrzeniem. Chciałam jej wytłumaczyć, że udawanie niczego nie zmieni.

— Kiedy byłam ostatnim razem w tamtym domu, widziałam pokój jej babki. Bardzo dziwny. Jak więzienie. I ona sama tak to odczuwała.

— A skąd pani może wiedzieć? — zapytała.

— Ponieważ to powiedziała.

Oczy Nounou zrobiły się okrągłe ze zgrozy.

— Ona... pani powiedziała... W jaki...

Potrząsnęłam przecząco głową.

— Nie wstała z martwych, jeżeli o tym pani myśli. Napisała na ścianie, że jest więźniem. Widziałam ten napis. „Honorine więzień”. Czy ją tam więziono? Pani powinna wiedzieć. Pani tam przecież mieszkała.

— Była chora. Musiała pozostawać w swoim pokoju.

— Dziwny pokój jak dla osoby chorej... na samym szczycie domu. Służba musiała się nabiegać... donosząc tam jej wszystko na górę.

— Ma pani duży zmysł praktyczny, miss. Myśli pani o takich rzeczach.

— Sądzę, że i służące o tym myślały. Ale dlaczego ona sama uważała siebie za więźnia? Czy nie pozwolono jej stamtąd wychodzić?

— Była chora.

— Chorzy nie są więźniami. Nounou, proszę mi o tym opowiedzieć. Czuję, że to ważne... być może dla Geneviève.

— W jakim sensie? Do czego pani zmierza, miss?

— Gdybym to zrozumiała, może potrafiłabym pomóc. Chciałabym pomóc tej dziewczynce. Pragnę, żeby była szczęśliwa. Była wychowywana w nietypowych warunkach. To miejsce, gdzie mieszkała jej matka, a także zamek... i to wszystko, co się wydarzyło. Nie może pani zaprzeczyć, że to mogło mieć wielki wpływ na dziecko... wrażliwe, uczuciowe dziecko. Chciałabym, żeby pani pomogła mi jej pomóc.

— Zrobiłabym wszystko, żeby tylko była szczęśliwa.

— Wobec tego proszę powiedzieć mi wszystko, co pani wie.

— Ale ja nic nie wiem... nic...

— Przecież Françoise pisała te swoje dzienniki, prawda? Pani nie pokazała mi wszystkich zeszycików.

— Ona nie zamierzała ich nikomu pokazywać.

— Nounou... czy są jeszcze inne... wyjawiające więcej...? Z westchnieniem sięgnęła po klucz i otworzyła szafkę.

Wybrała jakiś zeszyt i wręczyła mi go. Widziałam, skąd go wyjęła. Leżał tam jeszcze jeden — ostatni w rzędzie — i miałam nadzieję, że i tamten dostanę. Ale Nounou mi go nie dała.

— Proszę to zabrać i przeczytać — powiedziała. — I zwrócić tylko mnie. Niech pani przyrzeknie, że nikomu tego nie pokaże i przyniesie zaraz po przeczytaniu.

Przyrzekłam.

* * *

Ten dziennik różnił się od poprzednich. Pisała go kobieta bardzo przerażona. Bała się własnego męża. W trakcie czytania nie mogłam pozbyć się wrażenia, że jak szpieg wnika w umysł i serce zmarłej. Ale to dotyczyło jego. Co by sobie o mnie pomyślał, gdyby wiedział, co robię?

Musiałam jednak czytać dalej. Z każdym dniem spędzonym w zamku coraz ważniejsze stawało się dla mnie odkrycie prawdy.

„Ostatniego wieczoru leżałam w łóżku i modliłam się, żeby do mnie nie przyszedł. W pewnej chwili usłyszałam kroki, ale to tylko była Nounou. Ona wie, co czuję. Ona krąży... modli się za mnie, nie wątpię. A ja się go boję. On o tym wie. Nie może zrozumieć, dlaczego. Inne kobiety są

mu tak przychylne, tylko ja czuję przed nim strach”.

„Dzisiaj widziałam się z Papą. Patrzył na mnie, jak to zwykle czyni, jakby chciał na wskroś przeniknąć moją duszę, jakby starał się dostrzec każdą chwilę mego życia... ale głównie chodziło mu o jedno: «Jak tam twój mąż?» — zapytał. Cała czerwona usiłowałam coś wyjąkać, gdyż wiedziałam, co on ma na myśli. Potem oświadczył: «Słyszałem, że są inne kobiety». Nie odpowiedziałam. Robił wrażenie, jakby był zadowolony z istnienia owych kobiet. «Diabeł niech go ma w swej pieczy, bo Bóg na pewno nie będzie» — powiedział. Tak, te inne kobiety go cieszyły i rozumiałam dlaczego. Wszystko lepsze, niż gdybym miała zostać zbrukana”.

„Nounou krąży wokół po cichu. Bardzo się boi. Ja także boję się nocy. Trudno mi zasnąć. A potem budzę się przerażona, bo mi się zdaje, że ktoś wchodzi do pokoju. To nie jest normalne małżeństwo. Żałuję, że przestałam być małą dziewczynką, która bawiła się w dzieciennym pokoju. Najlepsze czasy były przedtem, zanim Papa pokazał mi swój skarb w skrzyni... przed śmiercią Maman. Żałuję, że w ogóle dorosłam. Ale w przeciwnym wypadku przecież nie miałabym Geneviève”.

„Geneviève wpadła dzisiaj w gniew. Dlatego, że Nounou zabroniła jej wychodzić na zewnątrz — mała była lekko przeziębiona i niania martwiła się o nią. Dziewczynka zamknęła ją w pokoju i ta biedaczka czekała cierpliwie, aż ją znajdę. Nie chciała wydać Geneviève. Obie się zdenerwowałyśmy, gdy musiałyśmy ją zbesztać. Była taka... rozzłoszczona i krnąbrna. Powiedziałam jej, że przypomina swą babkę i bardzo zasmuca nianię takim zachowaniem”.

„Nounou powiedziała: «Nigdy więcej nie mów tego, Françoise, kochanie moje. Nigdy, nigdy». Zrozumiałam, że chodziło jej o to, co powiedziałam na temat podobieństwa charakteru Geneviève i jej babki”.

„Ostatniej nocy obudziłam się przerażona. Myślałam, że Lothair przyszedł do mojego pokoju. W ciągu dnia widziałam się z Papą. Może to pod jego wpływem bałam się jeszcze bardziej niż zwykle. Ale to był sen, Lothair nie przyszedł. Po co miałby przychodzić? Wie, że nienawidzę jego wizyt. Już więcej nie próbuje przekonywać mnie do przyjęcia jego punktu widzenia. Właściwie w ogóle przestałam go obchodzić. Jest zadowolony, gdy może wyrwać się z domu, nie mam co do tego wątpliwości. Ale w moim śnie był tutaj i przeżyłam potworny koszmar, gdyż spodziewałam się, że potraktuje mnie brutalnie. To był jednak tylko sen. Przyszła Nounou. Przyznała się, że nie zasnęła, tylko nasłuchiwała. Powiedziałam jej, iż nie mogę spać ze strachu, więc dała mi trochę opium. Sama zażywa je na bóle głowy. Według niej pod wpływem lekarstwa ból ustępuje i przychodzi sen. Wobec tego wzięłam kilka kropli i rzeczywiście zasnęłam, a rano wszystko wydawało mi się tylko senną zmorą... niczym więcej. On już nigdy nie użyje wobec mnie siły. Nie zależy mu na mnie. Są inne kobiety”.

„Powiedziałam Nounou, że mam okropny ból zęba, więc dała mi trochę opium. To ogromna ulga mieć świadomość, że kiedy nie mogę zasnąć, lekarstwo jest w buteleczce i czeka na mnie”.

„Dzisiaj nagle uderzyła mnie pewna myśl. To niemożliwe. A może? Zastanawiałam się, co będzie, jeżeli mam rację. Boję się, że tak się mogło stać... a z drugiej strony właściwie nie. Nie powiem jeszcze tego nikomu... a już z pewnością nie Papie. Byłby przerażony. On nienawidzi wszystkiego, co się z tym łączy, a przecież jest moim ojcem, więc to dziwne, bo chyba nie zawsze musiało tak być. Nie powiem Lothairowi... dopóki nie będzie to konieczne. W każdym razie jeszcze nie teraz. Ale on się zorientuje prędzej czy później. Cóż, trzeba czekać i zobaczymy. Może to tylko moje urojenia”.

„Geneviève przyszła dziś rano trochę później. Zasnęła. Bałam się już, czy jej się coś nie stało. Weszła i podbiegła do mnie. Objęłam ją ramionami, a ona szlochała i nie mogłam jej uspokoić. Kochane dziecko. Z radością bym jej o tym powiedziała... ale nie, jeszcze nie... och, jeszcze nie”.

Na tym relacja się — kończyła, a ja nie znalazłam tego, co chciałam wiedzieć. Odkryłam jednak

inną rzecz — najważniejszy był ostatni zeszyt, który widziałam w szafce Nounou. Dlaczego nie dała mi tamtego?

Wróciłam do pokoju staruszki. Leżała na łóżku z zamkniętymi oczami.

— Nounou — spytałam — o co tu chodzi... o jakąś tajemnicę? Co ona miała na myśli? Czego tak się bała?

— Okropnie cierpię — odrzekła. — Nie ma pani pojęcia, jak męczą mnie te bóle głowy.

— Przykro mi. Mogę jakoś pomóc?

— Nie... nic mi nie pomoże, tylko spokój.

— Jest jeszcze ostatni zeszyt — powiedziałam. — Ten, w którym pisała bezpośrednio przed śmiercią. Może tam znajduje się odpowiedź...

— Niczego tam nie ma — oświadczyła. — Może będzie pani taka dobra i zaciągnie zasłony w oknie. Światło mnie razi.

Odłożyłam zeszyt na stolik przy łóżku, zasłoniłam okno i wyszłam z pokoju.

Ale musiałam zobaczyć ten ostatni zeszyt. Byłam pewna, że znajdę w nim jakąś wskazówkę wyjaśniającą, co naprawdę wydarzyło się w ostatnich dniach przed śmiercią Françoise.

* * *

Następnego dnia dokonałam takiego odkrycia, że niemal zapomniałam o pragnieniu zdobycia ostatniego zeszytu. Cierpliwie pracowałam nad ścianą, w miejscu, gdzie — jak podejrzewałam — znajdowały się malowidła. Bardzo ostrożnie, za pomocą ostrego noża z kości słoniowej do papieru, po kawałeczku odkrywałam to, co było pod zaprawą wapienną i zobaczyłam... farbę! Serce zaczęło mi bić jak młotem z podniecenia, palce drżały. Musiałam się powstrzymać, żeby nie działać zbyt pośpiesznie. Tego nie wolno mi było robić. Czułam się zbyt podniecona i nie mogłam całkiem sobie ufać. Jeżeli na ścianie naprawdę znajdował się jakiś obraz — w co wierzyłam — moje dłonie muszą być niezawodne. Trzeba pohamować tę gorączkową ekscytację.

Cofnęłam się parę kroków z oczami utkwionymi w magiczny wycinek, pokryty — według mnie — farbą. Tkwiła jeszcze na niej cienka powłoka tynku, którą może będzie trudno usunąć, i nie dało się z całą pewnością określić koloru. Ale on tam był... nie miałam wątpliwości.

Nie zamierzałam nawet wspominać nikomu o niczym, dopóki nie będę pewna, że to, co chcę odkryć, warte jest zachodu.

W ciągu następnych dni pracowałam właściwie potajemnie, ale w miarę jak stopniowo odsłaniałam malowidło, coraz bardziej nabierałam pewności, że dane mi było wydobyć na światło dzienne cenne znalezisko.

Postanowiłam stanowczo, że pierwszą osobą, która usłyszy o moim odkryciu, będzie hrabia. Około południa zostawiłam swoje przybory w galerii i udałam się do biblioteki, gdzie miałam nadzieję go znaleźć. Tam jednak nie zastałam nikogo, więc uczyniłam to samo, co już mi się zdarzyło poprzednio — pociągnęłam za dzwonek i kiedy zjawił się służący, poprosiłam, żeby przekazał panu hrabiemu, iż chciałabym porozmawiać z nim w bibliotece w bardzo pilnej sprawie.

Odpowiedział, że hrabia właśnie wyszedł do stajen.

— Proszę tam iść i zawiadomić pana, że natychmiast muszę się z nim zobaczyć. To sprawa ogromnej wagi.

Gdy zostałam sama, przyszło mi na myśl, iż może zachowałam się zbyt impulsywnie. Być może hrabia uzna, że taka wiadomość mogłaby poczekać na bardziej stosowną chwilę. A może nie podzieli mego entuzjazmu? Ale powinien — mówiłam sobie. Przecież malowidło zostało odnalezione w jego domu.

Usłyszałam głosy w holu. Potem drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich, patrząc na

mnie zdziwionym wzrokiem. Był ubrany w strój do konnej jazdy, najwyraźniej przyszedł prosto ze stajni.

— Co się stało? O co chodzi? — zapytał i wtedy uświadomiłam sobie, że oczekuje jakiejś złej wieści, dotyczącej Geneviève.

— O odkrycie najwyższej wagi! Czy może pan pójść i zobaczyć je teraz? A jednak pod zaprawą wapienną na ścianie znajduje się malowidło... a do tego sądzę, iż jest ono artystycznie wartościowe.

— Ooo... — W kącikach ust mego pracodawcy dojrzałam ślad rozbawienia. — Oczywiście, że muszę zobaczyć.

— W czymś panu przeszkodziłam.

— Moja droga mademoiselle Lawson, jestem przekonany, że tak ważne odkrycie ma pierwszeństwo przed wszystkim innym.

— Proszę: więc iść i spojrzeć.

Poprowadziłam go do pokoju sąsiadującego z galerią. Tam właśnie to się znajdowało — odsłoniłam tylko niewielką część, lecz bez cienia wątpliwości była to dłoń spoczywająca na fragmencie stroju.

— W tej chwili malowidło jest jeszcze trochę zacienione i jak pan widzi, wymaga oczyszczenia. To portret, a na podstawie sposobu nakładania farby... patrząc na załamania aksamitu... można śmiało stwierdzić, że jest dziełem mistrza.

— Ma pani na myśli, moja droga mademoiselle Lawson, że pani może to stwierdzić.

— Czyż to nie nadzwyczajne?

Popatrzył mi w oczy i potwierdził z uśmiechem:

— Nadzwyczajne.

Byłam zadowolona, gdyż dowiodłam, że miałam słuszość. Potwierdziło się moje przekonanie o istnieniu malowideł pod wapienną zaprawą i długie godziny pracy nie poszły na marne.

— Jak dotąd widać raczej niewiele... — zauważył.

— Och, ale przecież tam jest. Teraz muszę uważać, żeby nie poddać się zbyt niemiernemu podnieceniu i nie działać zbyt niecierpliwie. Marzę o tym, aby wydobyć całą resztę, lecz trzeba pracować bardzo ostrożnie. Nie wolno spowodować najmniejszej szkody.

Hrabia ujął mnie pod ramię i powiedział:

— Jestem pani bardzo wdzięczny.

— Być może teraz już pan nie żałuje, że powierzył swe obrazy kobiecie.

— Szybko się zorientowałem, iż jest pani kobietą, której mogę w pełni zaufać.

Dłoń mężczyzny ściskająca lekko moje ramię; blask jego oczu, radość odkrycia, to wszystko było upajające. Przebiegła mi przez głowę irracjonalna myśl: to najszczęśliwsza chwila w moim życiu.

— Lothair! — Do pokoju weszła Claude i popatrzyła na nas spod zmarszczonych brwi. — A cóż to się dzieje? Byłeś tam... i nagle zniknąłeś.

Hrabia puścił moje ramię i zwrócił się ku niej.

— Otrzymałem wiadomość — powiedział. — Ważną wiadomość. Mademoiselle Lawson dokonała wspaniałego odkrycia.

— Czego? — Szła ku nam, przenosząc spojrzenie z niego na mnie.

— Niesłychanie nadzwyczajnego odkrycia! — powtórzył, nie spuszczać ze mnie wzroku.

— O co chodzi?

— Popatrz — wyjaśnił. — Mademoiselle Lawson wydobywa na światło dzienne malowidło... niewątpliwie bardzo cenne.

— To?! Wygląda jak coś poplamione farbą.

— Tak mówisz, Claude, gdyż nie patrzysz na to okiem malarza. Mademoiselle Lawson właśnie mi powiedziała, że jest to część portretu wykonanego zapewne przez ogromnie utalentowanego artystę, o czym świadczy sposób nakładania farby.

— Zapomniałeś, że mieliśmy jeździć konno dziś przed południem.

— Takie odkrycie usprawiedliwia roztargnienie, zgadza się, mademoiselle Lawson?

— Tego rodzaju odkrycia są wielką rzadkością — odparłam.

— Jesteśmy już spóźnieni — oświadczyła Claude, nie patrząc na mnie.

— Musi mi pani więcej o tym opowiedzieć innym razem, mademoiselle Lawson — rzekł hrabia, podążając za nią w stronę drzwi.

Jednak gdy tam doszli, odwrócił się jeszcze do mnie i uśmiechnął. Claude zauważyła wymianę spojrzeń między nami, a ja zostałam ze świadomością ogromnej animozji tej kobiety.

Myśl o tym była chyba nawet bardziej upajająca niż to, co się wydarzyło.

* * *

Przez dwa następne dni pracowałam wytrwale, wiedząc, że zadanie jest bardzo trudne. Ale w końcu trzeciego dnia, kiedy odsłoniłam większy fragment postaci, wraz z każdym kolejnym odkrywaniem elementem upewniałam się w przekonaniu, iż miałam rację, sądząc, że malowidło jest cenne.

Pewnego rana jednak doznałam wręcz szoku, gdy pracując nad jedną partią zaprawy, odkryłam coś, czego nie mogłam zrozumieć. Wyłoniła się bowiem litera. Na ścianie znajdował się napis. Coś, co mogłoby potwierdzić datę powstania dzieła? Ręka zaczęła mi drżeć. Być może powinienam przerwać pracę, aż się uspokoję, ale wymagałabym od siebie za wiele. Odkryłam litery BLI. Pracowałam ostrożnie wokół nich i wyłoniło się słowo *oubliez*. Nie mogłam przerwać moich wysiłków. Zanim nadszedł czas lunchu, rezultatem moich ostrożnych działań były słowa: *Ne m'oubliez pas* — „Nie zapominajcie o mnie”. Miałam pewność, że ten napis został wykonany znacznie później niż sam portret, obecnie już w połowie odsłonięty.

To było coś, co należało pokazać hrabiemu. Przyszedł obejrzyć portret i razem dokonaliśmy oględzin napisu. Wydawał się nim tak samo podekscytowany jak ja — albo może tylko dobrze udawał.

Usłyszałam otwierające się za moimi plecami drzwi. Ostrożnie, z uśmiechem, podważałam ostrzem noża brzeg zaprawy. Hrabia, podobnie jak ja, jest coraz bardziej poruszony odkryciem, pomyślałam, i nie może powstrzymać się, żeby znowu nie popatrzeć na efekt moich zabiegów.

W pokoju panowała absolutna cisza i gdy się odwróciłam, wszelki entuzjazm szybko zniknął z mej twarzy, gdyż w drzwiach zobaczyłam nie hrabiego, lecz Claude.

Obdarzyła mnie półuśmiechem, który chyba miał pokryć zakłopotanie. Nie mogłam zrozumieć takiej zmiany nastroju.

— Słyszałam, że odkryła pani jakieś słowa — odezwała się żona Philippe'a. — Czy mogę zobaczyć? — Podeszła bliżej do ściany i przyglądając się napisowi, wyszeptała: „*Ne m'oubliez pas*”, po czym odwróciła się ku mnie i patrząc zdumionym wzrokiem, spytała: — Skąd pani wiedziała, że on tam jest?

— Być może instynkt mi podpowiedział.

— Mademoiselle Lawson... — Zawahała się, jakby trudno jej było wyrażać myśli słowami. — Chyba zachowałam się zbyt porywczo. Parę dni temu... Chodzi o to, że obawiałam się o Geneviève.

— Tak, rozumiem.

— I pomyślałam... pomyślałam, że najlepszą rzeczą byłoby...

— Gdybym stąd wyjechała?

— To nie dotyczy tylko Geneviève.

Całkiem mnie zaskoczyła. Czy zamierzała mi się zwierzyć? Czy chciała mi powiedzieć, że ze względu na hrabiego jest o mnie zazdrosna? Niemożliwe!

— Może mi pani nie uwierzy, ale myślałam także o pani. Mąż rozmawiał ze mną i obojgu nam się wydawało... — Zmarszczyła brwi i rzuciła mi bezradne spojrzenie. — Wydawało się nam, że może pani sama pragnęłaby stąd wyjechać.

— Dlaczego?

— Przyczyny mogłyby się znaleźć. Chciałam tylko zawiadomić panią, że słyszałam o pewnej propozycji... naprawdę interesującej. Tak między nami, razem z mężem moglibyśmy prawdopodobnie zapewnić pani możliwość skorzystania z nadzwyczajnej okazji. Wiem, jak bardzo interesuje się pani zabytkowymi budowlami, i sądzę, że z przyjemnością powitałaby pani szansę dokładnego zwiedzenia niektórych naszych starych kościołów i klasztorów. Oraz oczywiście galerii malarstwa.

— Tak, naturalnie, ale...

— A więc słyszeliśmy o pewnym planie. Kilka pań zamierza odbyć podróż po Francji, żeby obejrzeć słynne skarby sztuki. Chciałyby mieć przewodnika, kogoś, kto odznacza się wybitną wiedzą na temat arcydzieł, które pragną zobaczyć. Oczywiście nie chcą, żeby towarzyszył im mężczyzna, stąd pomyślały, że gdyby gdzieś się znalazła taka dama, która potrafiłaby oprowadzić je i objaśnić... Jest to niepowtarzalna okazja. Zajęcie byłoby dobrze płatne i zapewniam panią, że mogłoby dać wiele innego rodzaju korzyści. Wyrobiłaby sobie pani jeszcze lepszą opinię, co z pewnością otworzyłoby drzwi do wielu znakomitych domów naszych najstarszych rodów. Stałaby się pani osobą poszukiwaną, gdyż wszystkie damy, które mają odbyć tę wycieczkę, są miłośniczkami malarstwa i posiadają własne kolekcje. Wydaje mi się, że to nadzwyczajna okazja.

Byłam zdumiona. Ta kobieta dążyła usilnie do pozbycia się mnie z zamku. Tak, nie ulega wątpliwości, musiała być zazdrosna!

— Istotnie plan wydaje się fascynujący — odrzekłam. — Ale ta praca... — wskazałam ręką na ścianę.

— Zakończy ją pani w krótkim czasie. Proszę rozważyć ten pomysł. Naprawdę uważam, że powinna pani wziąć go pod uwagę.

Zachowywała się jak ktoś zupełnie inny niż kobieta, którą znałam. Robiła wrażenie tak dobrotliwej, że mogłabym niemal uwierzyć, iż naprawdę przejmuję się moim losem. Nie mogła mi zaproponować nic bardziej pociągającego, niż możliwość zapoznania się z francuskimi skarbami sztuki w towarzystwie innych ich miłośniczek.

— Chętnie podam pani jeszcze więcej szczegółów — zapewniła mnie gorliwie. — Przemyśli to pani, mademoiselle Lawson?

Zawahała się, jakby chciała jeszcze coś powiedzieć, lecz zrezygnowała i opuściła pokój.

Zaintrygowała mnie. Albo była zazdrosną kochanką, która za wszelką cenę chce się mnie pozbyć, albo też ostrzegała mnie przed hrabią. Może chciała powiedzieć: „Bądź ostrożna. Patrz, jak on wykorzystuje kobiety. Mnie samą... oddał Philippe’owi, bo było mu tak wygodnie, Gabrielle wydał za Jacques’a. Co się stanie z tobą, jeśli tu zostaniesz i pozwolisz mu pokierować swym życiem, ale tylko dopóty, dopóki będzie mu się to podobało?”

Jednak w głębi duszy czułam, iż decyzję usunięcia mnie z drogi powzięła, ponieważ hrabia darzył mnie życzliwym zainteresowaniem. To przypuszczenie dodawało mi pewności siebie. Ale... na jak długo? Potem rozmyślałam o dopiero co otrzymanej propozycji. Jednej z tych, których odrzucenie przez ambitną kobietę, pragnącą wybić się w swym zawodzie, byłoby istnym szaleństwem. Taką okazję ma się tylko raz w życiu.

Kiedy myślałam o tym i o ewentualnych szansach pozostania w zamku, czułam się rozdarta między wątpliwościami, obawami i nadziejami... a zdrowy rozsądek podpowiadał mi, że te ostatnie są zupełnie nierealne, niemożliwe do spełnienia.

* * *

Odwiedziłam Gabrielle. Cięża była już widoczna, a młoda kobieta robiła wrażenie bardzo szczęśliwej. Rozmawiałyśmy o mającym narodzić się dziecku i Gabrielle pokazała mi szykowaną dla niego wyprawkę.

Spytałam o Jacques'a i wtedy podjęła temat szczerzej niż uprzednio.

— Posiadanie dziecka zmienia człowieka. To, co przedtem wydawało się istotne, okazuje się nagle bez znaczenia. Gdybym powiedziała Jacques'owi, mógłby coś wymyślić. Ale tak się bałam... i teraz wydaje mi się to strasznie głupie.

— A co mówi Jacques?

— Wyrzuca mi, że byłam taka niemądra. Lecz bałam się, ponieważ już dawno chcieliśmy się pobrać i wiedzieliśmy, że nie możemy, gdyż Jacques musiał opiekować się matką. Po prostu nie było nas stać na utrzymanie... trzyosobowej rodziny.

Jakie głupie wydawało się teraz moje podejrzenie, że hrabia jest ojcem dziecka. Czy w takim wypadku Gabrielle mogłaby być tak ogromnie szczęśliwa?

— Ale jeśli chodzi o hrabiego... — zaczęłam.

— Och, hrabia! — Uśmiechnęła się pogodnie.

— Wydawało mi się dziwne, że nie mogłaś o tym powiedzieć Jacques'owi, a potrafiłaś powiedzieć jemu.

Znowu ten sam uśmiech.

— O nie, to wcale nie jest dziwne. Wiedziałaś, że on zrozumie. A poza tym był jedynym człowiekiem, który mógłby nam pomóc... i pomógł. Jacques i ja zawsze będziemy mu za to wdzięczni.

Rozmowa z Gabrielle spotęgowała w pewien sposób moje wahania co do propozycji przedstawianej przez Claude. Nie opuszczę zamku, dopóki nie będzie to konieczne, bez względu na roztaczające się przede mną nęcące perspektywy.

Teraz pochłaniały mnie dwie sprawy — chciałam odsłonić do końca to, co znajdowało się pod wapienną zaprawą, oraz poznać prawdziwą osobowość mężczyzny, który zaczynał znaczyć tak wiele — zdecydowanie zbyt wiele — w moim życiu.

Napis „Nie zapomnijcie o mnie” był intrygujący i miałam nadzieję znaleźć dalsze słowa, ale tak się nie stało. Odkryłam natomiast głowę psa leżącego u stóp kobiety, której portret wylaniał się spod tynku. Właśnie gdy pracowałam nad tym fragmentem, dostrzegłam istnienie farby, która według mnie została położona później. Przeżyłam moment grozy, ponieważ wiedziałam o praktyce pokrywania starych fresków zaprawą wapienną i ponownego malowania na niej nowego obrazu. W takim wypadku mogłam zniszczyć dzieło namalowane na tym, nad którym pracowałam.

Pozostało mi jednak jedynie kontynuować to, co zaczęłam, i ku memu zdumieniu odsłoniłam coś, co wyglądało jak obraz dodany do oryginalnego i to później.

To było niezwykle i stawało się coraz bardziej intrygujące, okazało się bowiem, że pies leży w skrzynce mającej kształt trumny. Dopiero pod tym obrazkiem widniały słowa: „Nie zapomnijcie o mnie”.

Odłożyłam nóż i przyglądałam się malowidłu. Pies był spanielem, jak ten z miniatury, którą hrabia ofiarował mi na Gwiazdkę. Byłam też pewna, że przedstawiona na ścianie kobieta oraz dama z miniatury i ta z portretu, który odnawiałam pierwszy, to ta sama osoba.

Chciałam pokazać to hrabiemu, więc poszłam do biblioteki. Zastałam tam samą Claude. Spojrzała na mnie z nadzieją w oczach i zaraz sobie uświadomiłam, iż pomyślała, że przyszedłam w sprawie przyjęcia jej propozycji.

— Szukam hrabiego — oznajmiłam.

Rsy jej twarzy stwardniały i znowu ukazał się ów wyraz głębokiej niechęci.

— Czy sugeruje pani, żeby po niego posłać?

— Pomyślałam, że byłby zainteresowany pewnym fragmentem malowidła.

— Kiedy go zobaczę, przekażę, że pani życzy sobie, aby przyszedł.

Udałam, że nie słyszę kpiny w jej głosie.

— Dziękuję pani — odpowiedziałam i wróciłam do pracy.

Ale hrabia nie przyszedł.

* * *

Geneviève miała w czerwcu urodziny, które uczczono uroczystą kolacją w zamku. Nie uczestniczyłam w niej, choć dziewczynka mnie zaprosiła. Wykręciłam się jakąś wymówką, gdyż widziałam aż nadto dobrze, że Claude, ostatecznie pani tego domu, nie życzy sobie mojej obecności.

Samej Geneviève było wszystko jedno, czy się zjawię, czy nie. Miałam wrażenie, iż tak samo — ku mojemu ubolewaniu — myśli hrabia. To zresztą nie było przyjęcie dyktowane serdecznymi uczuciami i Geneviève wręcz niechętnie się odnosiła do uroczystości, a szła na kolację niemal z ponurą miną.

Kupiłam jej szare rękawiczki, które kiedyś podziwiała, gdy przechodziłyśmy koło jednej z witryn sklepowych w miasteczku. Zapewniła mnie, że bardzo się cieszy z prezentu, lecz nie opuszczał jej posępny nastrój, więc pomyślałam, że w tych okolicznościach lepiej nie wyprawiać uroczystych urodzin.

Następnego dnia podczas konnej przejażdżki spytałam, jak się bawiła.

— Wcale — odrzekła. — Było okropnie. Po co wyprawiać przyjęcie, jeśli nie można zaprosić swoich gości? Chciałabym mieć prawdziwe urodziny... i żeby może był tort, a w nim korona...

— To nie jest zwyczaj urodzinowy.

— A jakie to ma znaczenie? W każdym razie jakiś urodzinowy zwyczaj musi istnieć. Zapytam Jean Pierre'a, on będzie wiedział.

— Wiesz, jak ciotka Claude odnosi się do twojej przyjaźni z Bastide'ami.

Twarz dziewczynki wykrzywił grymas wściekłości.

— Powiedziałam pani, że sama będę sobie wybierała przyjaciół. Jestem już dorosła, muszą to przyjąć do wiadomości. Mam piętnaście lat.

— Tak naprawdę nie jest to jeszcze poważny wiek.

— Jest pani tak samo niedobra jak cała reszta.

Jeszcze kilka chwil obserwowałam wzburzoną twarz Geneviève już z profilu, zanim dziewczynka odjechała galopem. Usiłowałam za nią nadążyć, lecz robiła wszystko, żeby mi się nie udało.

Po jakimś czasie zawróciłam sama do zamku. Bardzo się niepokoiłam o Geneviève.

* * *

Upalne dni lipca upłynęły bez szczególnych wydarzeń. Nadszedł sierpień i winogrona

dojrzewały w słońcu. Kiedy mijałam winnice, zdarzało się często, że któryś z robotników rzucał w mój kierunek uwagę: „Dobre zbiory w tym roku się szykują, mademoiselle”.

W *pâtisserie*, dokąd od czasu do czasu zachodziłam na kawę i kawałek *gâteau de la maison*, madame Latiere zachwycała się dorodnością owoców. Nabiorą słodczy od promieni słonecznych, których nie skąpiło to lato.

Winobranie było niemal na dniach i chyba wszyscy tylko o tym myśleli. Można powiedzieć, że miał nastąpić punkt kulminacyjny roku. Ja nadal pracowałam nad ściennym malowidłem, poza tym były jeszcze obrazy do odnowienia. Ale przecież nie mogłam pozostawać w zamku w nieskończoność. Czy nie postąpiłam głupio, odrzucając propozycję Claude?

Jednak nie dopuszczałam do siebie myśli o opuszczeniu tego miejsca. Mieszkałam w Gaillard już od około dziesięciu miesięcy i wydawało mi się, że nigdzie przedtem nie żyłam tak prawdziwie jak tutaj. Nie wyobrażałam sobie życia gdzie indziej, żeby nie powiedzieć życia w ogóle. Żadna wyprawa, nie wiem jak interesująca, nie zrekompensowałyby utraty tego, co bym tu musiała pozostawić.

Rozpamiętywałam często rozmowy z hrabią i pytałam samą siebie, czy aby nie doszukałam się między wierszami czegoś, co nie istniało. Nigdy nie byłam pewna, czy sobie ze mnie nie żartował, w istocie dając mi do zrozumienia, żebym pilnowała własnego nosa, czy też to, co mówił, wskazywało pośrednio na jego sympatię do mnie.

Tak dalece pochłonęło mnie życie zamku, że kiedy usłyszałam o dorocznym *kermesse* — kiermaszu — zapragnęłam wziąć w nim udział i odegrać rolę w tej uroczystości.

To Geneviève mi o wszystkim powiedziała.

— Powinna pani mieć własne stoisko. Co będzie pani sprzedawać? Nigdy pani nie była na *kermesse* wcześniej, prawda?

Odparłam, że kiermasze odbywają się regularnie w naszych miastach i wsiach. Przygotowywałam różne rzeczy na wenty dobroczynne, organizowane przez kościół, i wyobrażałam sobie, że ten *kermesse* nie będzie się specjalnie różnił od tamtych.

Chciała się jeszcze czegoś dowiedzieć o naszych imprezach, a kiedy jej o nich opowiedziałam, z radością stwierdziła, że bardzo dobrze się orientuję w tym, co się dzieje na *kermesse*.

Wymyśliłam, że wymaluję kwiaty na filiżankach, spodkach i popielniczkach.

Wykonawszy kilka sztuk, pokazałam je Geneviève. Wybuchnęła entuzjazmem.

— Ależ miss, one są cudowne! Nikt nigdy nie widział czegoś podobnego na naszym *kermesse*.

Przystąpiłam więc z zapalem do malowania na filiżankach nie tylko kwiatów, lecz także zwierząt — słoników, królików i kotków. Przyszło mi do głowy, że dodam jeszcze imiona. Geneviève asystowała mi, podpowiadając, jakie mam tam umieścić. Oczywiście

„Yves” i „Margot”, lecz podała mi także imiona innych dzieci, które z pewnością przyjdą na *kermesse*.

— Powodzenie zapewnione! — wykrzyknęła. — Nie zdołają się oprzeć, żeby nie kupić filiżanki z własnym imieniem. Czy będę mogła siedzieć razem z panią przy stoisku? Zrobi się taki wielki ruch, że będzie pani potrzebowała kogoś do pomocy.

Bardzo było mi miło widzieć ją tak ożywioną.

— Papa też przyjdzie — oznajmiła. — Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek w czymś takim uczestniczył.

— Dlaczego?

— Och, zawsze wyjeżdżał do Paryża... albo gdzie indziej. Teraz przebywa w domu częściej niż przedtem. Słyszałam, że służące tak mówiły. To znaczy od czasu tego wypadku.

— Ooo? — Usiłowałam nadać swemu głosowi obojętny ton.

Być może, nie omieszkałam przypomnieć sobie uszczypliwie, to z powodu obecności Claude.

Rozmawiałyśmy o kiermaszach i bardzo mnie cieszył równy mojemu zapal dziewczynki, która opowiedziała mi też o poprzednich.

— Ten — oświadczyłam — musi być najbardziej udany ze wszystkich.

— I będzie, miss. Nigdy nie było filizanek z imionami dzieci. Pieniądze, które zbierzemy, są przeznaczone dla klasztoru. Powiem matce przełożonej, że powinna być za to wdzięczna pani, miss.

— *Il ne faut pas vendre la peau de l'ours avant de l'avoir tué* — przypomniałam jej i dodałam po angielsku: „Jeszcze niedźwiedź w lesie, a już skórę targują”.

Popatrzyła na mnie z uśmiechem, myśląc niewątpliwie, że bez względu na okoliczności, zawsze wyjdzie ze mnie guwernantka.

Pewnego popołudnia, kiedy wróciłyśmy z przejażdżki, pomyślałam, że na urządzenie kiermaszu można by wykorzystać fosę. Dotąd jeszcze nie spenetrowałam owego terenu, więc poszłyśmy na dół razem. Trawa była zielona i bujna. Zauważyłam, że byłoby oryginalnie, gdyby właśnie tam ustawić stragany.

Geneviève uznała to za doskonały pomysł.

— Tym razem wszystko będzie inaczej, miss. Nigdy przedtem nie wykorzystywaliśmy starej fosy, a ona idealnie się nadaje. Jak tu ciepło!

— Osłania ze wszystkich stron od wiatru — powiedziałam. — Wyobrażasz sobie, jak będą wyglądały stragany na tle tych szarych murów!

— Na pewno wspaniale. Tak zrobimy. Czy nie czuje się tu pani uwięziona, miss?

Rozumiałam, co miała na myśli. Wokoło panowała taka cisza, a wysokie, szare mury zamku z tak bliska robiły przytłaczające wrażenie.

Przeszłyśmy całą fosę wokół zamku i zaczęłam się zastanawiać, czy pomysł z ustawieniem straganów na jej nierównym dnie nie był zbyt pochopny, skoro znacznie wygodniej można by to zrobić na jednym z dobrze utrzymanych trawników, kiedy ujrzałam krzyż. Był umieszczony w ziemi, blisko murów zamku. Wskazałam go Geneviève. Pobiegła tam, przyklękła i zaczęła się czemuś przyglądać, więc podeszłam bliżej.

— Tu jest jakiś napis — powiedziała. Pochyliłam się, żeby lepiej widzieć.

— „Fidele, 1747” — odczytałam na głos. — To grób — dodałam. — Grób psa.

Dziewczynka uniosła na mnie wzrok.

— Tyle lat temu! Dziwne!

— Chyba to pies uwieczniony na mojej miniaturze.

— O tak, tej, którą papa pani ofiarował na Gwiazdkę. Fidele*, bardzo ładne imię.

— Jego pani musiała go kochać, skoro pochowała swego ulubieńca w taki sposób... z krzyżem, imieniem i datą.

Geneviève pokiwała głową.

— To trochę zmienia sytuację — powiedziała. — Sucha fosa jest czymś w rodzaju cmentarza.

Przytaknęłam.

— Nie sadzę, by było właściwe urządzać *kermesse* w miejscu, gdzie pochowano Fidele.

Zgodziłam się z nią.

— A poza tym wszyscy moglibyśmy zostać fatalnie pogryzieni, bo tu, w wysokiej trawie, jest mnóstwo nieprzyjemnego robactwa.

Weszłyśmy przez bramę do zamku i od razu poczułyśmy chłód od grubych murów.

— Ale mimo wszystko jestem zadowolona, że znalazłyśmy grób biednego Fidele — oświadczyła Geneviève.

* fr. wierny

— Tak — odrzekłam. — Ja też.

* * *

Dzień, w którym urządzono *kermesse*, był gorący i słoneczny. Na jednym z trawników ustawione zostały namioty, a wczesnym rankiem przybyli właściciele straganów, żeby umieścić na nich swe wyroby. Geneviève, pracująca wspólnie ze mną, dołożyła starań, aby nasz wyglądał barwnie. Na stole rozłożyła biały obrus i bardzo pomysłowo ozdobiła go zielenią. Na nim ustawiliśmy naszą malowaną porcelanę. Wyglądało to naprawdę uroczo i w duchu zgadzałam się z opinią dziewczynki, że nasze stoisko wyróżniało się spośród innych. Madame Latiere z *pâtisserie* w swym namiocie przygotowała napoje orzeźwiające. Wśród rzeczy na sprzedaż przeważały różne haftowane wyroby. Poza tym wystawiono kwiaty z zamkowych ogrodów, warzywa, ozdoby i biżuterię. Claude podjęła z nami rywalizację, gdyż przeznaczyła na sprzedaż niektóre ze swych strojów, a miała ich pełne szafy. Oczywiście każda kobieta chciała nosić jej rzeczy, skoro było wiadomo, że pochodziły z Paryża.

Zespół lokalnych muzykantów, pod kierunkiem grającego na skrzypcach Armanda Bastide'a, miał przygrywać od czasu do czasu przez całe popołudnie, a na wieczór zaplanowano tańce.

Poczułam się naprawdę dumna ze swej porcelany, a pierwszymi klientami były dzieci Bastide'ów, które znalazłszy filiżanki ze swymi imionami, zaczęły wykrzykiwać z radości, uznając zapewne, że stało się tak za sprawą czystego przypadku. Zgromadziłam też filiżanki, na których dopiero na kiermaszu chciałam wypisać imiona, więc stale byłam zajęta.

Kiermasz został otwarty przez hrabiego, co było samo w sobie szczególnym wydarzeniem, gdyż jak mi kilkakrotnie mówiono i jeszcze w trakcie przygotowań, to pierwszy kiermasz od lat, w którym Monsieur le Comte uczestniczył: „Pierwszy od czasu śmierci hrabiny”. Niektórzy uznali to za znaczący fakt. Widocznie nasz pan i władca uznał, że życie w zamku powinno wrócić do normalnego biegu.

Przyszła do nas Nounou i poprosiła, aby wymalować jej imię na filiżance. Siedziałam pod błękitną markizą, rozpiętą nad naszym straganem i czułam się bardzo szczęśliwa w ciepłe słoneczne dnia, wśród zapachu kwiatów, gwaru głosów i nieustannych śmiechów.

Przechodzący koło straganów hrabia przystanął koło nas i przyglądał się, jak pracuję.

— Och, papo, popatrz, jak miss świetnie maluje — zwróciła się do ojca Geneviève. — I jak szybko. Musisz także mieć filiżankę ze swym imieniem.

— Rzeczywiście, z pewnością powinienem — zgodził się z powagą.

— Twego imienia tutaj nie ma, papo. Nie wymalowała pani Lothaira, miss?

— Nie, nie sądziłam, że będzie potrzebne.

— I tu się pani pomyliła, mademoiselle Lawson.

— Właśnie — poparła go rozradowana Geneviève, jakby i ona, podobnie jak jej ojciec, ucieszyła się, że ja także mogę się mylić. — Pomyliła się pani!

— Tę pomyłkę można szybko naprawić, jeżeli zamówienie złożone zostało poważnie.

— Zupełnie poważnie.

Oparł się o kontuar, podczas gdy ja wybierałam filiżankę.

— Czy zależy panu na jakimś konkretnym kolorze?

— Proszę wybrać za mnie. Zdaję się na pani znakomity gust.

Popatrzyłam mu w oczy.

— Purpura, tak sądzę, purpura i złoto.

— Kolory królewskie? — zapytał.

— Najbardziej odpowiednie — potwierdziłam.

Zebrała się grupka osób, aby obserwować, jak malują filiżankę dla hrabiego. Poszeptywali coś między sobą, lecz miałam wrażenie, że błękitna markiza oddziela nas od wszystkiego, co mogłoby mi sprawić przykrość. Tak, tego popołudnia z pewnością byłam szczęśliwa.

I oto wymalowane jego imię — litera „i” miała kropkę złota, podobnie jak kropka postawiona po imieniu.

Rozległy się okrzyki podziwu widzów, a ja właściwie bez namysłu poniżej imienia domalowałam złotą lilię burbońską.

— Proszę — powiedziałam. — Podoba się panu?

— Musisz za nią zapłacić, papo.

— Jeżeli mademoiselle Lawson wymieni cenę.

— Sądzę, że trochę wyższą, prawda, miss, bo to jednak jest wyjątkowe zdobienie.

— Uważam, że o wiele wyższą — potwierdził jej ojciec.

— Pozostawiam to pana uznaniu.

Dały się słyszeć głosy zdumienia, kiedy hrabia wrzucił zapłatę do miseczki, którą Geneviève ustawiła na kontuarze. Byłam pewna, że uzbierana przez nas dzięki temu zakupowi kwota na klasztor będzie najwyższa.

Dziewczynka aż się zaróżowiła z zadowolenia. Chyba była tak samo uszczęśliwiona jak ja.

Po odejściu hrabiego pojawił się Jean Pierre.

— Chciałbym mieć filiżankę — powiedział — również z lilią burbońską.

— Niech mu pani też wymaluje taką, miss — poprosiła Geneviève z uśmiechem, nie odrywając oczu od młodego mężczyzny.

Zrobiłam, o co prosił, i potem wszyscy zaczęli prosić o lilie burbońskie i z powrotem przynoszono nam kupione już filiżanki.

— Z liliami będą droższe — stwierdziła z satysfakcją dziewczynka.

Więc malowałam dalej, policzki Geneviève jeszcze bardziej zarumieniły się z radości, a Jean Pierre przyglądał się nam obu z uśmiechem.

To był prawdziwy sukces. Za moje filiżanki zebrałam więcej pieniędzy, niż zarobiono na innych straganach, i wszyscy o tym rozprawiali.

Z zapadnięciem zmroku muzykanci zaczęli przygrywać do tańca. Jedni tańczyli na murawie, inni woleli hol zamkowy.

Tak się to zawsze odbywało, powiedziała mi Geneviève, ale podobnego kiermaszu jak ten jeszcze nigdy nie było.

Mój pracodawca gdzieś zniknął. Do jego obowiązków nie należało nic więcej poza pojawieniem się na *kermesse*. Claude z Philippe'em również sobie poszli. Złapałam się na tym, że tęsknie wypatruję hrabiego, w nadziei że powróci i mnie odszuka.

Tymczasem Jean Pierre nie odchodził.

— I jak ci się podobają nasze wiejskie uciechy?

— Bardzo podobne do znanych mi przez całe życie.

— No to jestem rad. Zatańczysz ze mną?

— Z przyjemnością.

— Pójdziemy na murawę? Tam nie będzie tak gorąco. O wiele milej tańczy się pod gwiazdami.

Poprowadził mnie w rytmie melodyjnego walca, którego muzykanci właśnie zaczęli grać.

— Ciekawi cię tutejsze życie? — zapytał. Jego wargi były tak blisko mego ucha, że właściwie wyszeptał to pytanie. — Ale przecież nie możesz tu zostać na zawsze. Masz swój własny dom.

— Nie mam domu. Została mi tylko kuzynka Jane.

— Ta kuzynka Jane wcale mi się nie podoba.

— Dlaczego?

— Bo jej nie lubisz. Usłyszałem to w twoim głosie.

— Tak łatwo zdradzam swe uczucia?

— Trochę cię już poznałem. Spodziewam się, że będziemy się rozumieć jeszcze lepiej, bo jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, prawda?

— Chyba tak.

— Byliśmy ogromnie szczęśliwi... moja rodzina... i ja... że potraktowałaś nas jak przyjaciół. Powiedz, proszę, co będziesz robić, jak skończysz pracę w zamku?

— Wyjadę, oczywiście. Ale praca nie jest jeszcze ukończona.

— A oni są z ciebie zadowoleni... ci z zamku. To oczywiste. Monsieur le Comte robił dzisiaj wrażenie, jakby był do ciebie... przychylnie nastawiony.

— Owszem, chyba jest zadowolony. Pochlebiam sobie, że wykonałam dobrą pracę, ślęcząc nad jego obrazami.

Jean Pierre pokiwał głową.

— Nie możesz nas opuścić, Dallas — oświadczył. — Musisz zostać z nami. Bylibyśmy nieszczęśliwi, gdybyś wyjechała... my wszyscy. A ja szczególnie.

— Jesteś bardzo miły...

— Zawsze będę miły dla ciebie... do końca naszych dni. Gdybyś wyjechała, już nigdy nie mogłbym być szczęśliwy. Proszę cię, zostań tutaj na zawsze... ze mną.

— Jean Pierre!

— Chciałbym, żebyś mnie poślubiła. Pragnę, żebyś powiedziała, że nigdy mnie nie opuścisz... nigdy nas nie opuścisz. Należysz już do tego miejsca, nie zdajesz sobie z tego sprawy, Dallas?

Natychmiast się zatrzymałam, a on wziął mnie za rękę i pociągnął w mrok pod jedno z drzew.

— To niemożliwe — odrzekłam.

— Dlaczego? Powiedz mi, dlaczego?

— Mam dla ciebie wiele sympatii... nigdy nie zapomnę waszej życzliwości, którą mi okazaliście, kiedy tu przyjechałam...

— Ale chcesz mi powiedzieć, że mnie nie kochasz?

— Staram ci się powiedzieć, że mimo całej sympatii, jaką do ciebie czuję, nie sądzę, abym mogła być dla ciebie dobrą żoną.

— Ale lubisz mnie, Dallas?

— Oczywiście.

— Wiedziałem. I teraz nie proszę cię o odpowiedź — tak czy nie. Bo może jeszcze nie jesteś gotowa.

— Jean — Pierre, musisz zrozumieć, że ja...

— Rozumiem — moja najdroższa.

— Nie sądzę.

— Nie będę cię naciskał w tej sprawie, ale nie opuszczaj nas. Zostaniesz tu jako moja żona... ponieważ nie zniosłabyś rozłąki z nami... a prędzej czy później... prędzej czy później... kochana Dallas, przekonasz się o tym. — Chwycił moją dłoń i pocałował. — Nie protestuj — dodał. — Należysz już do nas. A tu nie ma nikogo innego dla ciebie poza mną.

Do mych pełnych zamętu myśli wdarł się nagle głos Geneviève.

— O, tu pani jest, miss. Szukałam pani. Aaa, Jean Pierre, musisz ze mną zatańczyć. Obiecałeś!

Uśmiechnął się do mnie, uniósłszy brwi, wskazując miną, podobną w znaczeniu do wzruszenia ramionami, bezradność wobec tego żądania.

Kiedy obserwowałam go tańczącego z Geneviève, miałam poczucie jakiejś niejasnej obawy. Po raz pierwszy w życiu ktoś poprosił mnie o rękę. Byłam oszołomiona. Nigdy nie mogłabym wyjść za mąż za Jean Pierre'a. Jakżeby mogła, skoro... Czy doszło do tej rozmowy dlatego, że

zdradziłam swoje uczucia? Czyżby wtedy, gdy Jean Pierre stał nieopodal straganu, hrabia również zdradził swoje?

Radosny nastrój tego dnia prysł. Z zadowoleniem przyjął koniec tańców, odegranie „Marsylianki” i rozejście się do domów uczestników kiermaszu. Wróciłam do swego pokoju w zamku, żeby porozmyślać o dzisiejszych wydarzeniach, a także o niewyraźnie rysującej się przede mną przyszłości.

* * *

Trudno mi było zabrać się do pracy następnego dnia, gdyż obawiałam się, że mogę uszkodzić malowidło, jeżeli nie zdołam się należycie skupić. Niewiele dokonałam tego ranka, za to mój umysł pracował gorączkowo. Wydawało mi się niewiarygodne, abym oto ja, nie mając od czasu nieudanego romansu z Charlesem żadnego wielbiciela, stała się teraz obiektem zainteresowania dwóch mężczyzn, z których jeden właśnie mi się oświadczył. Lecz w istocie myśli moje koncentrowały się na intencjach hrabiego. Wyglądał młodziej i niemal radośnie, gdy stał poprzedniego dnia przy straganie. Nabrałam pewności, że potrafiłby być szczęśliwy. I uznałam, że ja to zdołam sprawić. Ale zarozumiałość! Przecież on mógłby najwyżej myśleć o mnie jako chętnej partnerce do jednej z niezobowiązujących miłości, którym zdaje się ulegał od czasu do czasu. Nie, byłam pewna, że to nieprawda.

Po śniadaniu wpadła do mnie Geneviève. Wyglądała przynajmniej o cztery lata poważniej, gdyż swe długie włosy upięła w kok na czubku głowy, co dodawało jej wzrostu i wdzięku.

— Geneviève, coś ty zrobiła?

Wybuchnęła śmiechem.

— Nie podoba się pani?

— Wyglądasz... na starszą.

— Właśnie o to mi chodziło, mam już dość traktowania mnie jak dziecko.

— A kto cię tak traktuje?

— Wszyscy. Pani, Nounou, papa... wujek Philippe i ta jego okropna Claude... Po prostu wszyscy. Nie powiedziała pani, czy jej się to uczesanie podoba.

— Nie sądzę, aby było... właściwe.

Skwitowała śmiechem moją odpowiedź.

— No cóż, ja uważam, że jest odpowiednie, miss, i tak się teraz będę czesała. Już nie jestem dzieckiem! Moja babcia wyszła za męża, kiedy była zaledwie rok starsza ode mnie.

Spojrzałam na nią zdumiona. Oczy błyszczały jej z podniecenia. Wyglądała, jakby wstąpiło w nią jakieś szaleństwo. Bardzo mnie zaniepokoił stan Geneviève, lecz zdawałam sobie sprawę, że dalsza nasza rozmowa nic nie da.

Poszłam odwiedzić Nounou i zapytać o jej ból głowy. Odparła, że męczył ją przez kilka ostatnich dni.

— Trochę się niepokoję o Geneviève — przeszłam do innego tematu. W oczach staruszki pojawił się lęk. — Upięła wysoko włosy i zupełnie nie wygląda na dziecko, którym jest.

— Dorasta. Jej matka była zupełnie inna... zawsze taka łagodna. Po urodzeniu córeczki sama robiła jeszcze wrażenie dziecka.

— Powiedziała mi, że jej babka miała szesnaście lat, kiedy wychodziła za męża... niemal tak, jakby chciała sama to uczynić.

— Coś jej strzeliło do głowy — orzekła Nounou.

Jednak dwa dni później niania przyszła do mnie zdenerwowana z wiadomością, że dziewczynka wyjechała sama konno tego popołudnia i jeszcze nie wróciła do domu. Była już piąta.

— Z pewnością wzięła któregoś ze stajennych. Nigdy nie jeździ sama.

— Tym razem pojechała.

— Widziała ją pani?

— Tak, z okna. Zauważyłam, że jest w jednym ze swych złych nastrojów, więc ją obserwowałam. Puściła się galopem przez łąkę i nikogo z nią nie było.

— Przecież wie, że jej nie wolno tego robić. — Popatrzyłam na staruszkę bezradnie.

— Zachowuje się tak od czasu *kermesse* — westchnęła Nounou. — Byłam tak szczęśliwa, widząc, jak się w to zaangażowała. A potem... dostrzegłam, że się zmieniła.

— Och, na pewno zaraz wróci. Chce nam prawdopodobnie udowodnić, że jest dorosła.

Potem każda z nas w swoim pokoju czekała na powrót Genevieve. Domyślałam się, że niania, podobnie jak ja, zastanawia się, jakie będzie trzeba poczynić kroki, gdyby dziewczynka nie pojawiła się w ciągu następnej godziny.

Zostało nam to oszczędzone, gdyż po upływie około pół godziny od tej rozmowy, zobaczyłam z okna winowajczynię wracającą do zamku.

Udałam się do szkolnego pokoju, przez który dziewczynka musiała przejść w drodze do swej sypialni i gdy tam weszłam, zaraz zjawiła się też Nounou.

— Wróciła — oznajmiłam.

Staruszka skinęła głową.

— Widziałam ją.

Wkrótce pojawiła się, zaróżowiona i niemal piękna z tymi swoimi czarnymi, błyszczącymi oczami. Gdy zobaczyła, że czekamy tam na nią, uśmiechnęła się do nas figlarnie i zdjawszy kapelusz, rzuciła go na szkolny stolik.

Jej opiekunka była tak roztrzęsiona, że to ja musiałam się odezwać.

— Byłyśmy bardzo niespokojne. Wiesz, że nie wolno ci jeździć konno samej.

— Ależ, miss, to było dawno temu. Teraz już mnie to nie dotyczy.

— Nie wiedziałam.

— Nie wie pani wszystkiego, choć tak się pani zdaje.

Byłam ogromnie przygnębiona, gdyż stojąca przed nami dziewczynka po prostu sobie z nas drwiła i nie różniła się od tamtej, która tak niegrzecznie zachowała się wobec mnie, gdy przyjechałam do zamku. Sądziłam, że osiągnęliśmy w naszych stosunkach pewien postęp, lecz okazało się, że cud nie nastąpił. Chociaż Geneviève potrafiła być grzeczna i miła, to stawała się nieznośna jak przedtem, kiedy opanował ją taki nastrój.

— Twój ojciec z pewnością będzie bardzo niezadowolony. Odwróciła się do mnie ze złością:

— To proszę mu poskarżyć. Niech mu pani powie! Jesteście takimi dobrymi przyjaciółmi.

— Wygadujesz bzdury — odrzekłam wzburzona. — To po prostu bardzo nieostrożne wybierać się samotnie na przejażdżki.

Na jej twarzy pojawił się tajemniczy uśmieszek i w tym momencie przyszło mi do głowy pytanie, czy ona rzeczywiście była sama. W przeciwnym — wypadku był jeszcze większy powód do obaw.

Nagle odwróciła się i stanęła twarzą do nas.

— Posłuchajcie — powiedziała — wy obie. Będę robiła to, co mi się podoba. I nikt... ale to zupełnie nikt... mnie nie powstrzyma.

Po tych słowach wzięła ze stolika kapelusz i weszła do swego pokoju, trzaskając za sobą drzwiami.

* * *

Następne dni minęły w atmosferze niepokoju. Nie miałam ochoty odwiedzać Bastide'ów, gdyż bałam się spotkania z Jean Pierre'em. Czułam, że nasze miłe przyjacielskie stosunki, które tak mnie cieszyły, mogą się popsuć. Hrabia wyjechał do Paryża w parę dni po *kermesse*. Geneviève mnie unikała. Usiłowałam z jeszcze większym skupieniem rzucić się w wir pracy i teraz, kiedy kolejna część malowidła została odsłonięta, była to wielka pociecha dla mej skołatanej głowy.

Pracowałam z zapalem pewnego dnia, a kiedy uniosłam nagle wzrok, okazało się, że nie jestem sama. To Claude miała taki niemiły obyczaj: wchodziła do pokoju bezszelestnie i jej obecność naprawdę mogła przestraszyć.

Wyglądała bardzo ładnie w błękitnym peniuarze, ozdobionym wstążkami koloru burgunda. Pachniała delikatnym, zawsze tym samym, zapachem mieszaniny piżma i olejku różanego.

— Mam nadzieję, że nie przestraszyła pani, mademoiselle Lawson? — spytała uprzejmie.

— Nie, skąd.

— Pomyślałam, że porozmawiam z panią. Coraz bardziej się niepokoję o Geneviève. Jest wprost nie do zniesienia. Dzisiaj rano zachowała się bardzo niegrzecznie wobec mnie i mojego męża. Uważam, że jej maniery stają się z każdym dniem coraz gorsze.

— W tym wieku dziewczęta ulegają różnym nastrojom, ale potrafi być też urocza.

— Oceniam jej zachowanie jako wybitnie naganne, jest arogancka i nietaktowna. Wątpię, czy jakaś szkoła zechce ją przyjąć, jeżeli będzie nadal tak się sprawowała. Podczas *kermesse* zwróciłam uwagę na jej stosunek do ludzi uprawiających winnice. Jeżeli nie zmieni swego postępowania i pozostanie taka uparta, może narobić sobie kłopotów. Trudno ciągle nazywać ją dzieckiem i obawiam się, iż niewykluczone jest, że pozwoliłaby sobie na związek, który mógłby okazać się... niebezpieczny.

Skinęłam głową, gdyż dobrze rozumiałam, co ma na myśli — to była aluzja do fascynacji Geneviève Jean Pierre'em. Claude zbliżyła się do mnie.

— Gdyby mogła pani wykorzystać swój wpływ na«nią. Jeżeli zauważy, że my się tym niepokoiimy, będzie postępować jeszcze bardziej nierozważnie. Widzę, że pani też uświadamia sobie grożące Geneviève niebezpieczeństwo.

Patrzyła na mnie nieco kpiąco i odgadłam, co ma na myśli. Jeżeliby pojawił się kłopot takiej natury, o jakiej znacząco napomknęła Claude, ja byłabym w jakiejś mierze za to odpowiedzialna. Czyż to nie ja sprzyjałam owej przyjaźni? Zanim nawiązałam bliższą znajomość z Bastide'ami, Geneviève nawet nie bardzo zdawała sobie sprawę z istnienia Jean Pierre'a.

Poczułam się niepewnie i zaczęło kielkować we mnie ziarno winy.

Claude zmieniła temat.

— Czy zastanawiała się pani dłużej nad moją propozycją sprzed paru dni?

— Uważam, że muszę skończyć pracę tutaj, zanim zacznę rozważać jakieś inne projekty:

— Niech pani tego zbyt długo nie odkłada. Wczoraj dowiedziałam się, że jedna z owych osób myśli o otwarciu w Paryżu elitarnej szkoły malarstwa. Chyba byłoby to niezłe jak na początek.

— Wprost zbyt dobre, aby okazało się prawdziwe.

— Sądzę, że to szansa, jaka zdarza się raz w życiu. Ale, oczywiście, decyzję należy podjąć dość szybko. — Uśmiechnęła się do mnie prawie przepraszająco i wyszła.

Próbowałam pracować, lecz nie potrafiłam się skupić. Madame de la Talle pragnęła, żebym stąd wyjechała, co do tego nie było wątpliwości. Czy poczuła się urażona, gdyż hrabia darzył mnie pewnym zainteresowaniem, które wyłącznie jej się należało? Mogło tak być. A jeśli naprawdę martwiła się o Geneviève? W tym przypadku, musiałam to przyznać, powstawał poważny problem. Czyżbym ją źle osądziła?

* * *

Wkrótce nabrałam przekonania, że Claude naprawdę martwi się o Geneviève. Stało się to wtedy, gdy zobaczyłam żonę Philippe'a pogrążoną w poważnej rozmowie z Jean Pierre'em. Było to w lasku, w którym hrabiemu przydarzył się wypadek. Wybrałam się z wizytą do Gabrielle i wracałam do zamku krótszą drogą, właśnie przez ten zagajnik, kiedy usłyszałam głosy. Nie zrozumiałam dokładnie, co kto mówił, i zastanawiałam się, dlaczego wybrali to miejsce na swe rendez-vous. Potem przyszło mi na myśl, że spotkanie wcale nie musiało być zaplanowane. Mogli się spotkać przypadkiem, więc Claude zdecydowała, że skorzysta z okazji i powie Jean Pierre'owi, iż nie pochwała jego zażyłości z Geneviève.

Jako że mimo wszystko mnie to nie dotyczyło, zawróciłam szybko, okrążyłam zagajnik i pojechałam do zamku. Jednak owo zdarzenie utwierdziło mnie w przekonaniu, że madame de la Talle istotnie troszczy się o córkę hrabiego. A ja w swej zarozumiałości myślałam, że powoduje nią w głównej mierze zazdrość o jego zainteresowanie moją osobą.

Usiłowałam uwolnić umysł od tych wszystkich denerwujących spraw i skoncentrować się na pracy. Rozmiary malowidła powiększały się — i oto ujrzałam ją przed sobą: damę ze szmaragdami, gdyż choć kolor był wyblakły, klejnoty miały taki sam kształt jak kosztowności na pierwszym płótnie, które odnawiałam. Ta sama twarz. To ta kobieta, kochanka Ludwika XV, zapoczątkowała kolekcję szmaragdowej biżuterii. W istocie obraz był niezwykle podobny do tamtego portretu, poza tym że ta kobieta miała na sobie suknię z błękitnego aksamitu, w odróżnieniu od tamtej, czerwonej. I leżał u jej stóp spaniel. Nadal intrygował mnie ów napis. „Nie zapomnijcie o mnie”. Teraz, kiedy odsłoniłam psa w szklanej trumience, zobaczyłam, że jest za nim coś jeszcze. Przeżyłam moment tak ogromnego podniecenia, gdy już zidentyfikowałam ów przedmiot, że omal zapomniałam o swych osobistych rozterkach.

Za psem w szklanej trumnie leżało coś, co wyglądało jak klucz ozdobiony przy uchwycie ornamentem lilii burbońskiej.

Niewątpliwie miało to coś oznaczać, gdyż napis, skrzynka, w której pies został umieszczony, i klucz — o ile był to rzeczywiście klucz — nie stanowiły elementów pierwotnego malowidła. Wszystko to zostało domalowane do oryginału i to ręką w najlepszym razie niewprawnego amatora.

Jak tylko hrabia wróci do zamku, będę musiała mu to pokazać.

* * *

Im dłużej rozmyślałam nad elementami dodanymi do portretu, tym bardziej wydawały mi się one znaczące. Staralam się myśleć wyłącznie o tym — pozostałe sprawy były zbyt bolesne. Geneviève unikała mnie i każdego popołudnia wyjeżdżała konno sama, a nikt jej w tym nie przeszkadzał. Nounou zamknęła się w swoim pokoju. Podejrzywałam, że na nowo czyta najwcześniejsze zapiski w zeszytach Françoise, chyba w daremnym oczekiwaniu ponownego nadejścia spokojnych dni, gdy sama jeszcze coś znaczyła jako opiekunka.

Martwiłam się o Geneviève i zastanawiałam, czy Claude nie ma racji, przypisując mi część winy.

Rozmyślałam o moim pierwszym spotkaniu z dziewczynką i o zamknięciu mnie w *oubliette*, także o tym, jak jeszcze przed tamtym wydarzeniem obiecała przedstawić mnie matce, a zabrała na jej grób i oznajmiła, że matka została zamordowana przez... ojca.

Zapewne te wspomnienia skierowały mnie pewnego popołudnia na cmentarz de la Talle'ów.

Podeszłam do grobu Françoise i ponownie odczytałam jej imię wyryte w otwartej księdze z marmuru. Potem zaczęłam szukać grobu damy z portretu. Musiał tu gdzieś być.

Nie znałam jej imienia, wiedziałam jedynie, że to jedna z hrabin de la Talle, a skoro w młodości była kochanką Ludwika XV, to data jej śmierci musiała się mieścić w drugiej połowie osiemnastego wieku. Wreszcie znalazłam grób Marie Louise de la Talle, zmarłej w 1761 roku. Bez wątpienia musiała to być owa dama z portretów. Gdy zbliżyłam się do grobowca, ozdobionego posągami i innymi ornamentami, dotknęłam czegoś stopą. Pochyliłam się i spojrzałam z niedowierzaniem, gdyż zobaczyłam krzyż, podobny do tego znalezionego w fosie. Na krzyżu widniała wyskrobana data. I jakieś słowo. Ukłękłam i teraz mogłam przeczytać: „Fidele, 1790”.

To samo imię! Tylko data była inna. Pies z fosy został pochowany w 1748 roku. Ten tutaj Fidele zmarł wtedy, gdy rewolucjoniści szli na zamek, a młoda hrabina zmuszona była ratować się ucieczką nie tylko ze względu na własne życie, lecz także jej jeszcze nienarodzonego dziecka.

Chyba musiało być w tym coś znaczącego. Stojąc tam, byłam o tym głęboko przekonana. Ktokolwiek wymalował skrzynkę wokół psa i napisał słowa: „Nie zapomnijcie o mnie”, chciał coś przez to przekazać. Co?

To było nieoczekiwane odkrycie, gdyż właśnie data okazała się taka ważna. Ukłękłam i przyjrzałam się krzyżowi. Pod imieniem i datą wyskrobano jakieś słowa.

N'oubliez pas... — odcyfrowałam i serce zaczęło mi szybko bić z emocji, gdyż pismo wydawało się podobne do tego na malowidle. *N'oubliez pas ceux qui furent oubliés!**. Na co to wskazywało?

Jednej rzeczy tylko byłam pewna: że muszę się tego dowiedzieć; przyszło mi bowiem na myśl, iż to nie wygląda na grób, gdzie kochająca pani złożyła swego ulubieńca.

Jeden grób psa znajdował się w fosie. Ten, kto żył w roku 1790, najbardziej brzemienym w skutki dla Francuzów, usiłował przekazać pewną wiadomość przez owe wszystkie lata. To wyzwanie, które należało podjąć.

Podniosłam się z klęczek i opuściłam cmentarz. Skierowałam się drogą wiodącą przez niewielki zagajnik w stronę ogrodów. W trakcie wcześniejszych przechadzek zauważyłam, że znajdowała się tam szopa, w której ogrodnicy trzymali narzędzia. Wzięłam szpadel i wróciłam z nim na cmentarz.

Kiedy szłam przez zagajnik, odniosłam nieprzyjemne wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Znieruchomiałam. Wokół panowała cisza, przerywana jedynie nagłym trzepotaniem ptasich skrzydeł w liściach nade mną.

— Czy jest tu ktoś? — zawołałam. Przesadzasz, powiedziałam sobie w duchu. Stajesz się nerwowa. Spojrzałaś w przeszłość i strach cię obleciał. Zmieniłaś się, odkąd przyjechałaś do zamku Gaillard.

Przedtem zawsze byłaś rozsądna, a teraz zachowujesz się całkiem niepoważnie...

Co by pomyślał ów ktoś, kto by mnie zobaczył teraz ze szpadlem w ręku, zamierzającą kopać na cmentarzu?

Musiałabym wyjaśnić... A to nie byłoby po mojej myśli. Pragnęłam przedstawić hrabiemu moje odkrycie jako potwierdzone i nie budzące wątpiwości, by go zadziwić. Doszedłszy do krzyża, obejrzałam się przez ramię. Nikogo nie zobaczyłam, ale nietrudno byłoby komuś, kto śledził mnie z zagajnika, ukryć się teraz za jednym z monumentalnych grobowców, wznoszonych przez Francuzów swym zmarłym.

Zaczęłam kopać.

Mała kasetka znajdowała się dość płytko pod powierzchnią i od razu uświadomiłam sobie, że

* fr. Nie zapominajcie o tych, którzy zostali zapomniani!

nie jest dostatecznie duża, by pomieścić szczątki psa. Podniosłam ją i oczyściłam z ziemi. Była wykonana z metalu i na wieczku zobaczyłam wyskrobane słowa, takie same jak na krzyżu: „1790. *N'oubliez pas ceux qui furent oubliés*”.

Nie było łatwo otworzyć kasetki, gdyż zardzewiała na brzegach. W końcu mi się udało. I chyba musiałam spodziewać się tego, co znalazłam wewnątrz.

Gdy tylko wyjęłam ją z ziemi, pojęłam, że odsłaniając ściennie malowidło, odkryłam jednocześnie celowo pozostawioną tam wiadomość. A w kasetce był klucz, taki sam jak leżący za psem na obrazie. Miałam pewność co do tego, gdyż na uchwycie klucza widniała lilia burbońska.

Teraz trzeba znaleźć zamek, do którego ten klucz pasował. Wtedy dowiem się, co ów ktoś, kto pozostawił przesłanie, chciał nam powiedzieć. Nigdy ani mój ojciec, ani ja, nie mieliśmy do czynienia z tak dramatycznym odkryciem. Pragnęłam się nim podzielić z kimś... z kimkolwiek... z hrabią, oczywiście.

Spojrzałam na klucz. Gdzieś w zamku znajdują się drzwi, do których będzie pasował.

Muszę je znaleźć.

Wsunęłam ostrożnie klucz do kieszeni sukni, zamknęłam kasetkę, włożyłam z powrotem do dołu, a potem przysypałam ją ziemią. Za kilka dni nikt się nie zorientuje, że ktoś tu czegoś szukał.

Poszłam do szopy i odstawiłam szpadel dokładnie w to samo miejsce. Potem wróciłam do zamku i udałam się prosto do pokoju. Lecz dopiero tam, gdy już zamknęłam za sobą drzwi, zdałam sobie sprawę z wrażenia, że jestem śledzona.

* * *

Nastaly dni niebywałych upałów. Hrabia nadal bawił w Paryżu, a mnie udało się odsłonić już całe malowidło, więc przystąpiłam do jego oczyszczenia. Ten proces nie zajmie mi wiele czasu. Kiedy już to wykonam i odnowię nieliczne pozostałe obrazy z galerii, nie będę miała żadnego pretekstu do dalszego pobytu w zamku. Gdybym była rozsądna, powinnam powiedzieć Claude, że zgadzam się na jej propozycję.

Byliśmy już niemal u progu winobrania.

Miałam uczucie, że zbliżamy się do jakiegoś przełomu, i gdy winobranie zostanie zakończone, zakończy się jednocześnie ten epizod mego życia.

Gdziekolwiek wychodziłam, zawsze miałam przy sobie ów klucz — nosiłam go w kieszeni jednej z halek. Była to bardzo bezpieczna kieszeń, chowałam w niej zawsze to, co bałam się utracić, gdyż miała zapięcie na guziczki i ukryty tam przedmiot w żaden sposób nie mógł wypaść.

Wiele myślałam o tym kluczu i doszłam do wniosku, że jeżeli uda mi się znaleźć odpowiadający mu zamek, to odnajdę szmaragdy. Owa trumienka została namalowana wokół psa w 1790 roku, tym samym, w którym rewolucjoniści ruszyli na zamek. Z pewnością szmaragdy zostały zabrane ze skarbcza i ukryte gdzieś w pobliżu, a klucz otwierał kryjówkę, w której się znajdowały. Należał do właściciela Gaillard i nie miałam prawa trzymać go u siebie. Nie mogłam jednak dać nikomu innemu — to hrabia powinien razem ze mną poszukać zamka, do którego klucz pasował.

A swoją drogą marzyło mi się, że sama odnajdę to miejsce. Poczekam, aż hrabia wróci, i powiem mu: „Oto pańskie szmaragdy”.

Nie mogły leżeć w szkatułce, gdyż tę odnaleziono by dawno temu. Musiała być to jakaś skrytka lub schowek, gdzie przeleżały ukryte przez sto lat.

Zaczęłam badać każdy kawałek mego pokoju, opukując boazerię, gdyż istniała możliwość, że za nią znajduje się jakaś wnęka.

I gdy to robiłam, znieruchomiałam nagle, gdyż przypomniałam sobie odgłosy, które słyszała nocami Geneviève. Ktoś szukał klejnotów tak jak teraz ja. Kto? Hrabia? To byłoby nawet

zrozumiałe, lecz czemu on, właściciel zamku, mając prawo do jawnego szukania ukrytych tu i należących doń klejnotów, miałby to robić potajemnie?

Przypomniałam sobie zabawę w poszukiwanie skarbów, kiedy to ja odkryłam właściwą wskazówkę. Czułam, że słowa wyskrobane na kasetce są podobnego rodzaju tropem.

Czy owymi zapomnianymi byli dawni więźniowie, przykuci kajdanami w klatkach lub wrzuceni do *oubliette*? Służba wierzyła, że w tych lochach straszy, i wzbraniała się przed schodzeniem na dół. Podobnie przesądni mogli być rewolucjoniści. Gdzieś tam, w dole, znajdował się zamek, do którego pasował klucz schowany w kieszeni mojej halki.

Owo miejsce musi się znajdować w *oubliette*, nie ma wątpliwości, słowo „zapomniani” na to wskazywało.

Dobrze pamiętałam zapadnię w podłodze, sznurową drabinę i sytuację, w której się znalazłam, gdy Geneviève mnie tam zamknęła. Bardzo pragnęłam zbadać *oubliette*, lecz wcześniejsza przygoda zniechęcała mnie do samotnej wyprawy.

Czy powinnam powiedzieć Geneviève o swym odkryciu? Postanowiłam tego nie robić. Nie, powinnam iść tam sama, tylko muszę się upewnić, że ktoś o tym będzie wiedział i w razie jakiegoś przypadkowego zamknięcia się zapadni, wyratuje mnie stamtąd.

Poszłam z tym do starej piastunki.

— Nounou — powiedziałam — wybieram się dziś po południu przebadać *oubliette*. Sądzę, że tam pod wapienną zaprawą może znajdować się coś interesującego.

— Jak malowidło, które pani odkryła?

— Coś w tym rodzaju. Mogę się tam dostać i wyjść stamtąd jedynie po sznurowej drabinie, więc jeżeli do czwartej nie zjawię się z powrotem, będzie pani wiedziała, gdzie mnie szukać.

Nounou skinęła głową i oświadczyła:

— Ona nigdy by tego nie zrobiła po raz drugi. Nie ma obawy, miss.

— Oczywiście. W każdym razie tam będę.

— Nie zapomnę.

Na wszelki wypadek powiedziałam dziewczynie przynoszącej mi posiłki, gdzie się wybieram.

— Och, idzie tam pani, miss — odrzekła — dobrze, że to nie ja.

— Nie lubisz tego miejsca?

— No cóż, jak się pomyśli, co się tam dzieje. Mówią, że straszy. Wie pani o tym, prawda?

— Zwykle podobnie się mówi o takich miejscach.

— No tak... ale ci wszyscy ludzie zamknęci na zatracenie... Och, dobrze, że ja nie muszę tam iść.

Dotknęłam klucza w kieszeni spódnicy i pomyślałam o satysfakcji, jaka mnie czeka, kiedy zaprowadzę hrabiego do *oubliette* i oznajmię: „Znalazłam pański skarb”.

Nie mogłam pozwolić, żeby wystraszyła mnie obawa przed duchami.

* * *

Kiedy stanęłam w pomieszczeniu z zapadnią, skąd prowadziło jedyne wejście do *oubliette*, i obserwowałam promienie słońca odbijające się od broni zawieszonych na ścianach, przyszło mi na myśl, że zamek, do którego pasował klucz, mógłby się znajdować właśnie tutaj, gdyż ci „zapomniani” musieli najpierw tędy przechodzić.

Broń palna różnego rodzaju i kształtu! Czy obecnie była kiedykolwiek używana? Wiedziałam, że służba miała obowiązek sprawdzać co jakiś czas, czy wszystko jest należycie utrzymane. Słyszałam, że zawsze chodziły tam razem dwie osoby.

Jeżeli jednak jakiś schówek znajdowałby się właśnie tutaj, odkryto by go już dawno temu.

Nagle mój wzrok natrafił na coś błyszczącego, co leżało na ziemi. Szybko podeszłam bliżej.

Były to nożyce tego rodzaju, jakie już widziałam, służące do ścinania winnych gron, które nie osiągnęły pożądaných wymagań. Jean Pierre nosił takie w kieszeni i używał ich przy winoroślach. Schyliłam się i podniosłam nożyce.

Miały znany mi nietypowy kształt. Czyżby były dwie identyczne pary? A jeśli nie, to w jaki sposób własność Jean Pierre'a znalazła się w zamku?

Wsunęłam je głęboko do kieszeni. W końcu uznałam, że to, czego szukam, znajduje się najprawdopodobniej w *oubliette*, więc wyciągnęłam sznurową drabinę, otworzyłam zapadnię i zesłam do tego miejsca zatracenia, gdzie ginęli uwięzieni wrogowie de la Talle'ów. Zadrżałam na wspomnienie owych przerażających chwil, kiedy Geneviève podciągnęła drabinę i zamknęła zapadnię, pozostawiając mnie, abym choć na jakiś czas doświadczyła tego, przez co przechodziły setki ludzi przede mną w tych murach.

Było to niesamowite pomieszczenie, zamknięte, o ograniczonej przestrzeni, ciemne, gdyż jedyne światło przedostawało się tu przez otwartą zapadnię.

Ale przecież nie mogłam pozwolić, by wyobraźnia zapanowała nad moim zdrowym rozsądkiem. Tutaj „zapomniani” dokonywali żywota i tu doprowadziła mnie wskazówka. Uznałam, że gdzieś w tym pomieszczeniu znajduje się zamek, który uda się otworzyć za pomocą klucza.

Zbadałam mury. I tu były one pokryte tak znaną mi zaprawą wapienną, położoną zapewne około osiemdziesięciu lat temu. Opukiwałam delikatnie ściany w poszukiwaniu wydrążeń, ale niczego takiego nie znalazłam. Popatrzyłam wokół, obejrzałam sufit i posadzkę z kamiennych płyt. Weszłam do otworu, który według Geneviève prowadził do labiryntu. A może to gdzieś tam? Zbyt mało miałam światła, by zbadać dobrze całe wnętrze, lecz kiedy wyciągnęłam rękę i dotknęłam dłonią kamiennego filaru, trudno mi było sobie wyobrazić, że coś tu można by ukryć.

Zdecydowałam się dokładniej sprawdzić ściany i podczas badań w pewnym momencie nagle zabrakło nawet owego wąskiego światła.

Wydałam cichy okrzyk przerażenia i odwróciłam się w stronę zapadni.

Spoglądała stamtąd na mnie madame de la Talle.

— Dokonujemy kolejnych odkryć? — spytała.

Uniosłam na nią wzrok i przesunęłam się w kierunku sznurowej drabiny. Podciągnęła ją trochę ponad ziemię, jakby dla żartu.

— Nie wiadomo, czy tu w ogóle jest coś do odkrycia — odparłam.

— Tyle pani wie o średniowiecznych zamkach. Widziałam, że pani tu idzie, i odgadłam, co pani zamierza.

Domyśliłam się, że cały czas mnie obserwowała w nadziei, że podejmę decyzję o wyjeździe z Gaillard.

Sięgnęłam dłonią, żeby dotknąć drabiny, lecz Claude ze śmiechem poderwała ją do góry.

— Nie czuje się pani nieco zatrwożona, mademoiselle Lawson?

— Z jakiego powodu?

— Na myśl o duchach owych wszystkich więźniów zmarłych w straszliwy sposób, przeklinających swych dręczycieli, którzy ich tam pozostawili na powolną śmierć.

— Do mnie nie mogliby mieć żadnej urazy.

Utkwiłam oczy w drabinie, którą ta kobieta trzymała tuż ponad zasięgiem moich rąk.

— Mogłaby się pani poślizgnąć i spaść. Wszystko mogłoby się zdarzyć. Mogłaby pani zostać tu uwięziona... jak tamci.

— Jeżeli nawet, to na krótko — odrzekłam. — Przyszliby po mnie. Powiedziałam Nounou i innym, że tu będę i nie zostanę długo.

— Okazała się pani równie praktyczna jak bystra. Sądzi pani, że i tam są jakieś malowidła na ścianach?

— W takich zamkach jak ten nigdy nie wiadomo, co się znajdzie. Potrzebne są dokładne badania.

— Przyłączyłabym się do pani — powiedziała Claude, opuszczając drabinę, i odczułam ulgę, że mogę jej dosięgnąć. — Ale nie zrobię tego — dodała — gdyż jeśli dokona pani jakiegoś odkrycia, to z pewnością zaraz nas pani zawiadomi.

— Zawiadomię. W każdym razie teraz już stąd wychodzę.

— Ale będzie pani prowadzić tam dalsze poszukiwania?

— Prawdopodobnie tak, choć moje dzisiejsze próby nie wskazują na to, by coś tu było interesującego.

Mocno chwyciłam drabinę i wspięłam się na górę.

Rozmowa z żoną Philippe'a spowodowała, że zapomniałam o znalezionych w zbrojowni nożycach i dopiero po powrocie do pokoju przypomniałam sobie, że mam je w kieszeni.

Było jeszcze wcześniej, więc zdecydowałam, że pójde do Bastide'ów i zapytam, czy to własność Jean Pierre'a.

Zastałam tylko samą madame Bastide. Pokazałam nożyce i spytałam, czy należą do jej wnuka.

— A, tak — odrzekła — szukał ich niedawno.

— Jest pani pewna, że to jego?

— Nie mam najmniejszych wątpliwości.

Położyłam je na stole.

— Gdzie je znalazłaś?

— W zamku.

Dojrzałam strach w oczach staruszki i od tej chwili przypadkowi znaleźisko zaczęło nabierać większego znaczenia.

— Tak, w zbrojowni. Pomyślałam, że to dziwne miejsce na pozostawienie nożyc.

Zapadła cisza, słychać było tylko tykanie zegara na kominku.

— Zgubił je parę tygodni temu, kiedy poszedł zobaczyć się z Monsieur le Comte'em — wyjaśniła w końcu madame Bastide, lecz czułam, że usiłuje jedynie usprawiedliwić bytność Jean Pierre'a w zamku, sugerując, iż zgubił nożyce przed wyjazdem hrabiego.

Obydwie unikałyśmy patrzenia sobie w oczy. Nie miałam wątpliwości, że madame Bastide jest przerażona.

* * *

Nie spałam dobrze tej nocy. To był denerwujący dzień. Zastanawiałam się, co skłoniło Claude, żeby iść za mną do *oubliette*. Co by się stało, gdybym zaniechała ostrożności i nie uprzedziła Nouno, oraz służącej, że tam będę? Ciarki mi przeszły po krzyżu. Czy moja nieprzyjaciółka tak bardzo chciała się mnie pozbyć, że ogarniało ją coraz większe zniecierpliwienie, ponieważ nadal się wahałam, czy przyjąć propozycję, jaką mi zaoferowała?

Także znalezienie nożyc Jean Pierre'a w zbrojowni wydawało mi się niepokojące, a już najbardziej zaskoczyła mnie reakcja ma damę Bastide, kiedy je przyniosłam.

Nic dziwnego, że to wszystko mnie zmartwiło.

Jakiś szmer wyrwał mi nagle z płytkiego snu, aż się wzdrygnęłam, a serce zaczęło mi bić jak młotem. Drzwi do pokoju były otwarte. Miałam wrażenie, że wokół mnie czai się zło.

Usiadłam gwałtownie na łóżku i zobaczyłam w jego nogach postać otuloną w coś niebieskiego. Chyba jeszcze na wpół śniłam, gdyż przez kilka sekund zdawało mi się, że mam do czynienia z

jednym z zamkowych duchów. Wreszcie rozpoznałam Claude.

— Chyba panią przestraszyłam. Myślałam, że pani jeszcze nie śpi. Pukałam do drzwi, ale nie było odpowiedzi.

— Drzemałam — odrzekłam.

— Chciałam z panią porozmawiać.

Spojrzałam na nią zdziwiona, a Claude mówiła dalej:

— Pewnie uważa pani, że miałam już ku temu lepszą sposobność... ale niełatwo jest mi to powiedzieć. Musiałam przezwyciężyć znaczne opory, aby się na to zdobyć... i ciągle odkładałam.

— Co ma mi pani do powiedzenia?

— Będę miała dziecko — oznajmiła.

— Moje gratulacje. — Ale dlaczego obudziła mnie, żeby mi to wyjawić?

— Chciałabym, żeby pani zrozumiała, jakie to ma znaczenie.

— Że będzie pani miała dziecko. Według mnie to po prostu bardzo dobra wiadomość i chyba nie całkiem niespodziewana.

— Jest pani kobietą światową.

Zdziwiła mnie taka ocena, jednak nie oponowałam, choć czułam, że ta kobieta próbuje mi pochlebić, co było dziwne.

— Jeżeli urodzi się chłopiec, zostanie przyszłym hrabią.

— Zakłada pani, że hrabia nie będzie miał własnego syna?

— Z pewnością zna pani na tyle historię tej rodziny, by rozumieć, że Philippe jest tutaj dlatego, ponieważ hrabia nie chce się ożenić. Jeżeli się nie ożeni, mój syn zostanie dziedzicem.

— Być może — odrzekłam. — Ale co przez to usiłuje mi pani powiedzieć?

— To, że powinna pani zaakceptować propozycję, którą przedstawiłam, zanim będzie za późno. Ta oferta nie będzie czekać w nieskończoność. Miałam zamiar porozmawiać z panią dziś po południu, ale okazało się to zbyt trudne.

— Co pani pragnie mi powiedzieć?

— Będę z panią całkiem szczerą. Jak pani sądzi, czyje dziecko urodzę?

— Oczywiście swego męża.

— Mój mąż nie interesuje się kobietami. Zresztą tak czy inaczej, nie może mieć dzieci. Sama pani widzi, jak to upraszcza sprawę. Hrabia nie chce się ożenić, ale pragnie, żeby jego syn po nim dziedziczył. Już pani rozumie?

— To wszystko zupełnie mnie nie dotyczy.

— Ma pani rację. Ja tylko staram się pani pomóc. Wiem, myśli pani, że to dziwne, ale tak naprawdę jest. Przyznaję, że nie zawsze byłam wobec pani miła, więc się pani zastanawia, z jakiego powodu teraz zadaję sobie trud, żeby pani pomagać. Sama nie wiem... poza tym, że kobietę pani pokroju można zranić boleśniej niż większość ludzi. Hrabia jest człowiekiem, który zawsze stawia na swoim, w jego rodzinie wszyscy byli tacy. Nie przejmują się niczym, tylko sobą. Powinna pani stąd wyjechać. Powinna pani pozwolić sobie pomóc. Teraz chcę to zrobić, ale jeśli wkrótce nie podejmie pani decyzji, straci pani swoją szansę. A przecież jest to niezwykła okazja, nieprawdaż?

Nie odpowiedziałam. Myślałam jedynie o tym, co Claude dała mi do zrozumienia — że noszone przez nią dziecko jest hrabięgo. Nie chciałam uwierzyć, lecz wszystko się zgadzało z tym, co już wiedziałam. To dziecko miałoby zapewniony tytuł hrabiowski i majątek. Philippe zaś, usłużny Philippe, wobec świata występowałby w roli ojca. To była cena, którą musiał zapłacić, by otrzymać tytuł hrabiowski, gdyby prawdziwy hrabia zmarł przed nim. Cena, którą musiał zapłacić za nazywanie zamku swoim domem.

Ona ma rację, pomyślałam. Muszę wyjechać.

Obserwowała mnie bacznie i po chwili odezwała się łagodnie, niemal tkliwie:

— Wiem, co pani czuje. On zachowywał się wobec pani... z atencją, prawda? Nigdy nie spotkał przedtem kobiety podobnej do pani. Pani się od nas różni, a jego zawsze pociągała nowość. Dlatego nic go nie zatrzyma na długo. Czy nie lepiej uniknąć tak bolesnej rany...

Stała w nogach łóżka niby duch ostrzegający mnie, że zagraża mi tragedia, którą mogę jeszcze odwrócić od siebie.

— Czy mam podjąć przygotowania do udziału pani w tej wycieczce?

— Przemyślę to — odrzekłam spokojnie.

Wzruszyła ramionami, odwróciła się i skierowała w stronę drzwi. Przystanęła przed nimi na moment i spojrzała na mnie.

— Dobranoc — powiedziała cicho i wyszła z pokoju.

Długo nie mogłam zasnąć.

Jeżeli zostanę, doznam bolesnego rozczarowania. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, jak bardzo bolesnego i jak gorzkiego.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Hrabia wrócił na zamek parę dni później. Robił wrażenie czymś zatroskanego i nie czynił najmniejszych wysiłków, aby się ze mną zobaczyć. Ja zaś byłam tak wstrząśnięta tym, co powiedziała mi Claude, że postanowiłam go unikać. Powtarzałam sobie, że gdybym naprawdę go kochała, to nie uwierzyłabym tej kobiecie. Faktem było jednak, iż nie mogłam odrzucić możliwości, że mówiła prawdę. Lecz choć to może dziwne, taka ewentualność nie miała wpływu na moje uczucia wobec hrabiego. Nie kochałam go za jego zasługi. Widziałam go takim, jaki jest, w istocie nawet niewłaściwie go osądzałam, co wyszło na jaw w sprawie Gabrielle i mademoiselle Dubois — i mając świadomość wad tego mężczyzny — ślepo ulegałam fascynacji jego osobą.

Prawdę powiedziawszy, nie potrafiłam zrozumieć własnych uczuć. Wiedziałam jedno: hrabia zapanował nad moim życiem, bez niego byłoby bezbarwne, nudne i pozbawione sensu. Nawet nie mogłam go zapytać, czy wersja Claude jest prawdziwa. Odgradzała nas zbyt wielka bariera. Ten człowiek stanowił dla mnie zagadkę — a mimo to wydawało mi się, że znikną wszystkie moje nadzieje na szczęście, jeżeli jego zabraknie w moim świecie.

To nie było rozsądne. Nigdy bym się po sobie tego nie spodziewała, a jednak tak się stało.

Można było nazwać mój stan lekkomyślnym zauroczeniem bez nadziei na przyszłość. Zauroczenie! Jakie to dla mnie typowe szukać innego słowa na miłość, skoro — upomniałam się szyderczo — bałam się stawić czoło prawdzie, że pokochałam tego mężczyznę na zawsze.

W ciągu następnych kilku dni moje napięcie wzrastało. Jednego tylko byłam pewna: taki stan rzeczy nie mógł trwać długo, gdyż zagrażał wybuchem. Zmierzałyśmy do kryzysu, po którym okaże się, jaka jest właściwie moja sytuacja.

Przypuszczałam, że zawsze wraz ze zbliżającym się winobraniami wokół narastała atmosfera podniecenia. Lecz w moim wypadku chodziło o świadomość nadchodzącego przełomu w sprawach osobistych. Moja praca zbliżała się ku końcowi i nie mogłam pozostawać w zamku w nieskończoność. Powinnam porozmawiać z hrabią o swoich planach, lecz doznawałam poczucia żalu, a nie ukojenia, na myśl, że miałabym powiedzieć temu mężczyźnie, iż wyjeżdżam, a on wyraziłby na to zgodę.

Los rzucił mnie w życie toczące się według niemal feudalnych reguł, ja zaś, wychowana w Anglii, starałam się w nie wtopić. Miałam nadzieję, że mi się to uda, być może jednak się myliłam. Łudziłam się owymi słowami „być może”. Nie wyrażały one pewności i stały się moją jedyną ostoją.

W tym szczególnym okresie napięcia pojawiło się nagle poczucie zagrożenia... zagrożenia całkiem innego rodzaju niż to, jakie towarzyszyło nierozsądnej kobiecie, snującej romantyczne marzenia, które nie mogą się spełnić. Miałam świadomość stale zagrażającego mi niebezpieczeństwa. Działo się tak za sprawą niejasnego wrażenia, że ktoś mnie śledzi. Słyszałam trudne do zidentyfikowania, lecz nieurojone dźwięki, kiedy szłam korytarzami do swego pokoju. Jakiś szósty zmysł nieoczekiwanie nakazywał mi zerkać do tyłu lub rzucać spojrzenie przez ramię. To uczucie stale było przy mnie obecne i mnie nie opuszczało.

Cały czas myślałam o kluczu w kieszeni halki. Zamierzałam pokazać go memu pracodawcy, abyśmy wspólnie poszukali zamka, do którego pasuje. Lecz od czasu rozmowy z Claude nie byłam w stanie spojrzeć hrabiemu w oczy.

Obiecywałam sobie, że poświęcę jeszcze parę dni na poszukiwania. W skrytości serca wyobrażałam sobie, jak idę do niego i mówię, że odzyskałam jego szmaragdy, gdyż coraz bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, iż właśnie te klejnoty bym znalazła. Być może — pielęgnowałam

w głębi duszy ową myśl — będzie tak tym poruszony, że jeżeli nawet przedtem nie myślał o mnie poważnie, to teraz zacznie.

Jakie głupie myśli chodzą po głowie zakochanym kobietom! — upominałam się, gdy do głosu powracał zdrowy rozsądek. Żyją w romantycznym świecie, mającym niewiele wspólnego z rzeczywistością, wymyślają urocze fantazje i wmawiają sobie, że to prawda.

Ja z pewnością byłam daleka od tego typu rojeń.

Nie przyszedł zobaczyć, jak postępuje praca przy ściennym malowidle, co mnie bardzo dziwiło. Czasami zastanawiałam się, czy Claude nie mówiła mu o mnie i czy nie śmiali się oboje z mojej naiwności. Jeżeli naprawdę ta kobieta urodzi jego dziecko, to pozostaną w bardzo intymnych stosunkach. Nie mogłam w to uwierzyć albo raczej nie była do tego zdolna owa tkwiąca we mnie naiwna romantyczka. Patrząc na całą sprawę z praktycznego punktu widzenia, wszystko wydawało się logiczne. A czyż Francuzi nie są znani z logicznego myślenia? To, co wedle mego angielskiego rozumienia wydawało się niemoralne, zgodnie z ich francuską logiką mogło być uznane za sytuację normalną. Hrabia nie miał ochoty się żenić, a jednak pragnął, by jego syn odziedziczył nazwisko i rodowy majątek — wszelkie dobra tak dlań ważne. Philippe w nagrodę dziedziczyłby przed chłopcem w wypadku śmierci kuzyna, a zamek stałby się jego domem. Claude mogłaby się cieszyć bliskością kochanka bez utraty godności. To rzeczywiście było rozsądne i logiczne.

Mnie wszakże ta sytuacja wydawała się okropna, nie potrafiłam jej zaakceptować i w obawie, że się z tym zdradzę, nie próbowałam się z nim zobaczyć. A jeszcze do tego byłam śledzona.

Pewnego dnia po południu odwiedziłam Gabrielle, teraz już w zaawansowanej ciąży i zadowoloną z życia. Miło spędziłam czas, gdyż rozmawialiśmy o hrabim, a Gabrielle była jedną z tych osób, które wyrażały się o nim z wielkim szacunkiem.

Po wyjściu od niej wybrałam drogę na skróty przez lasy i właśnie tam w jeszcze większym stopniu niż poprzednio powróciło owo zatrważające wrażenie, że ktoś mnie śledzi. Byłam sama w zagajniku — tym samym, w którym miał wypadek hrabia. Jakieś szelesty w poszyciu, trzask łamanych gałęzi — i serce podeszło mi do gardła. Zatrzymałam się i słuchałam. Panowała cisza, ja jednak miałam poczucie zagrożenia.

Instynkt podpowiedział mi, żeby uciekać. Biegłam w takiej panice, iżomalże głośno nie krzyknęłam, gdy spódnica zaczęła mi się o krzew jeżyn. Wyrwałam ją, pozostawiając strzęp materiału na krzaku, gdyż nic nie byłoby w stanie mnie zatrzymać. Nie miałam wątpliwości, że słyszę za sobą pośpieszne kroki, lecz gdy drzewa przerzedziły się i spojrzałam do tyłu, nikogo nie było.

Wyszłam z zagajnika, lecz żadna postać nie wyłoniła się z gęstwiny. Nie zatrzymałam się jednak na dłużej i ruszyłam w długą powrotną drogę do zamku.

W pobliżu winnic spotkałam jadącego na koniu monsieur Philippe'a. Zmierzał w moją stronę i gdy tylko podjechał bliżej, wykrzyknął:

— Mademoiselle Lawson, czy coś się stało?

Domyśliłam się, że muszę wyglądać na poruszoną, więc nie było sensu tego ukrywać.

— Miałam dość nieprzyjemną przygodę w zagajniku. Chyba mnie ktoś śledził.

— Nie powinna pani chodzić do lasu sama.

— Tak, chyba ma pan rację. Nie pomyślałam o tym.

— To raczej tylko takie wrażenie, ale całkiem zrozumiałe. Pewnie przypomniała sobie pani, jak znalazła mego kuzyna tam, gdzie oddano strzał, i wyobraziła sobie, że ktoś ją śledzi. Mógł też być tam ktoś, kto polował na zające.

— Możliwe.

Philippe szedł z konia i zwrócił wzrok w stronę winnic.

— Będziemy mieli w tym roku rekordowe zbiory — zauważył. — Czy widziała pani kiedyś

winobranie?

— Nie.

— Spodoba się pani. To już niedługo, owoce są prawie dojrzałe. Ma pani ochotę zajrzeć do składów? Tam przygotowuje się kosze. Napięcie rośnie.

— Nie będziemy przeszkadzać?

— Z pewnością nie. Miło im, że wszyscy są tak samo podekscytowani, jak oni.

Poprowadził mnie ścieżką do składów i opowiadał o winogronach. Przyznał, że od lat nie był tu podczas uroczystego święta winobrania. Czułam się zakłopotana w towarzystwie tego człowieka. Patrzyłam teraz na niego jak na godną politowania ofiarę tej wstrętnej zмовы. Nie potrafiłam jednak taktownie się wymówić.

— W przeszłości — mówił Philippe — spędzałem w zamku wiele tygodni latem i na zawsze pozostały w mej pamięci te uroczystości. Miałem wrażenie, że ciągną się długo w noc, wychodziłem z łóżka i słuchałem, jak ludzi śpiewają, ugniatając nogami winogrona. To był fascynujący widok.

— Z pewnością.

— O, tak, mademoiselle Lawson. Nigdy nie zapomnę widoku mężczyzn i kobiet wchodzących do kadzi i skaczących na winogronach. I muzykantów grających znane pieśni, przy których tamci tańczyli i śpiewali. Pamiętam, że obserwowałem, jak coraz bardziej zagłębiają się w szkarłatnym soku.

— Zatem wyczekuje pan tego święta.

— Tak, ale może wszystko wydaje się bardziej kolorowe, gdy jest się młodym. Jednak chyba to święto winobrania zdecydowało, że wolę mieszkać właśnie w Château Gaillard niż w jakimkolwiek innym miejscu na ziemi.

— Cóż, spełniły się pana życzenia.

Nie odpowiedział, a jego wargi zacisnęły się w posępnym grymasie. Zastanawiałam się, co czuje ten człowiek, mający świadomość związku łączącego hrabiego i jego żonę. Sprawiał wrażenie zniewieściałego, co czyniło stwierdzenie Claude prawdopodobnym, fakt zaś, że z rysów twarzy byli z hrabią do siebie podobni, a tak różnili się charakterami, jeszcze bardziej to wyjaśniał. Byłam gotowa uwierzyć, że nad wszystko przedkładał pragnienie, aby pozostać już na stałe w zamku i mieć go na własność. Dla uzyskania tytułu hrabiego de la Talle prze Frymarczył swój honor, poślubił kochankę kuzyna i godził się uznać jego syna z nieprawego łoża za własne dziecko... by w konsekwencji pewnego dnia, w przypadku śmierci hrabiego, stać się królem na zamku. Nie miałam bowiem wątpliwości, że gdyby nie zaakceptował warunków postawionych przez hrabiego, nie zostałby wybrany na spadkobiercę.

Po drodze rozmawialiśmy jeszcze o zbiorach i święcie winobrania, jak je zapamiętał z dzieciństwa. Kiedy weszliśmy do składów, obejrzałam przygotowane już kosze i przysłuchiwałam się rozmowie Philippe'a z robotnikami.

W drodze powrotnej do zamku prowadził konia za uzdę, a ja ostatecznie uznałam, że jest to człowiek życzliwy w stosunku do innych, raczej zamknięty w sobie i nie w pełni zadowolony z życia. Jednym słowem, szukałam dla niego usprawiedliwienia.

* * *

Poszłam do swego pokoju i gdy tylko przekroczyłam próg, zorientowałam się, że podczas mojej nieobecności ktoś tu był.

Popatrzyłam wokół i dostrzegłam, co się zmieniło. Książka, którą zostawiłam na nocnym stoliku, leżała na toalecie? Wiedziałam, że jej tam nie odłożyłam. Podeszłam i wzięłam ją do ręki.

Otworzyłam szufladę. Wyglądało, że wszystko jest w porządku. Otworzyłam następną i kolejną. Rzeczy były poukładane jak zawsze.

Jednak byłam pewna, że książka została przełożona.

Może, pomyślałam, któraś ze służących tu była. Po co? Żadna zwykle nie przychodziła do mego pokoju o tej porze dnia.

Wtedy poczułam słaby zapach perfum. Piżmo i róża, woń znana mi już wcześniej, kobieca, przyjemna. Czulałam ją wówczas, gdy Claude znajdowała się w pobliżu.

Tak więc to z całą pewnością ona była w moim pokoju. Dlaczego tu przyszła? Czy możliwe, że wiedziała o kluczu i chciała sprawdzić, czy go nie ukrywam gdzieś w pokoju?

Stałam nieruchomo, przez spódnicę dotykając mego znaleziska ukrytego bezpiecznie w kieszeni halki. Zapach się rozwiął, ale zaraz znowu go poczułam — był słaby i ledwo uchwytny, lecz znamieny.

Następnego dnia służąca przyniosła mi do pokoju list od Jean Pierre'a. Pisał, że musimy się bezzwłocznie zobaczyć. Chciał ze mną porozmawiać na osobności, więc prosił, żebym jak najszybciej przyszła do winnicy, gdzie nikt nam nie przeszkodzi. Błagał mnie o to.

Wyszłam na piekące słońce, minęłam zwodzony most i skierowałam się w stronę winnic. Wydawało się, że cała okolica trwa w uśpieniu w to upalne popołudnie. Kiedy szłam ścieżką pomiędzy krzewami winorośli, uginającymi się pod dojrzałymi już owocami, zobaczyłam Jean Pierre'a, który wyszedł mi naprzeciw.

— Trudno tu rozmawiać — odezwał się cicho. — Wejdźmy do środka.

Zaprowadził mnie do budynku gospodarczego i zeszliśmy do najbliższej piwnicy.

Tu było chłodniej, a po oślepiającym blasku słońca wydawało się ciemno. Światło docierało do piwnicy przez małe szczeliny i przypomniałam sobie, jak mi mówiono o niezbędnym regulowaniu temperatury za pomocą żaluzji. Stojący między beczkami Jean Pierre oznajmił:

— Mam stąd wyjechać.

— Wyjechać? — powtórzyłam, nie myśląc, po czym spytałam: — Kiedy?

— Niezwłocznie po zbiorach. — Wziął mnie za ramiona. — Ty, Dallas, wiesz dlaczego.

Potrząsnęłam przecząco głową.

— Ponieważ Monsieur le Comte chce mnie usunąć z drogi.

— Z jakiego powodu?

Zaśmiał się gorzko.

— On nie tłumaczy powodów, jedynie wydaje rozkazy. Już mu nie odpowiada moja obecność tutaj, a zatem — choć mieszkam w tym miejscu całe życie — mam się teraz stąd wynieść.

— Ale z pewnością, kiedy wyjaśnisz...

— Co mam wyjaśniać? Że tutaj mam swój dom... tak jak zamek jest jego? My, moja droga Dallas, rzekomo nie mewamy takich niedorzecznych sentymentów. Jesteśmy poddanymi, chłopami... nawykłymi do posłuszeństwa. Nie zdawałaś sobie z tego sprawy?

— Ależ, Jean Pierre, to nonsens.

— A jednak nie. Dostałem rozkazy.

— Idź do niego... powiedz mu... Jestem pewna, że cię wysłucha.

Uśmiechnął się ironicznie.

— Czy wiesz, dlaczego chce usunąć mnie z drogi? Może zgadniesz? Ponieważ wie o naszej przyjaźni. I jej nie pochwała.

— A jakie to miałyby dla niego znaczenie? — Żywiłam nadzieję, że Jean Pierre nie wyczuł napięcia w moim głosie.

— Takie, że sam jest tobą zainteresowany... na swój sposób.

— Ależ to śmieszne.

— Sama wiesz, że nie. Wokół niego zawsze były jakieś kobiety... a ty jesteś inna od tamtych, które znał do tej pory. Pragnie, żebyś jemu wyłącznie poświęciła uwagę... do czasu.

— Skąd możesz to wiedzieć?

— Skąd? Bo go znam. Mieszkam tu całe życie i choć on często wyjeżdża, to jego dom też znajduje się tutaj. Tu mieszka, jeżeli akurat nie przebywa w Paryżu. Tu jest panem i władcą nas wszystkich. Dla niego czas się zatrzymał. On chce, żeby nic się nie zmieniło.

— Jean Pierre, ty go nienawidzisz.

— Kiedyś lud francuski powstał przeciw takim jak on.

— Zapomniałeś już, jak pomógł Gabrielle i Jacques'owi?

Znowu gorycz zabrzmiała w jego śmiechu.

— Gabrielle, jak wszystkie kobiety, ma do niego słabość.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że nie wierzę w jego dobroć. Zawsze kryje się za nią jakiś motyw. Dla hrabiego nie jesteśmy ludźmi mogącymi żyć własnym życiem. Mówię ci, że jesteśmy jego niewolnikami. Jeżeli zapragnie kobiety, to każdy, kto stanie mu na drodze, będzie usunięty, a kiedy kochanka nie jest już mu potrzebna, no to... Wiesz, co się stało z hrabiną.

— Nawet nie ośmielaj się mówić takich rzeczy.

— Dallas, Co się z tobą stało?

— Chcę wiedzieć, co robiłeś w zbrojowni w zamku.

— Ja?

— Tak. Znalazłam twoje nożyce do winogron. Twoja babka powiedziała, że to twoje i że ci się gdzieś zapodziały.

Stropił się nieco i po chwili powiedział:

— Musiałem przyjść do zamku, żeby zobaczyć się z hrabią w interesach... to było przed jego wyjazdem.

— I zabrał cię do zbrojowni?

— Nie.

— A ja tam je znalazłam.

— Hrabiego nie było, więc pomyślałem, że się trochę rozejrzę po zamku. Dziwisz się? To bardzo ciekawe miejsce. Nie mogłem się oprzeć. Jest tam pomieszczenie, w którym jeden z mych przodków ostatni raz oglądał światło dzienne.

— Jean Pierre, nie powinieneś do nikogo żywić takiej nienawiści.

— Dlaczego to wszystko ma być jego? Wiesz, że on i ja jesteśmy połączeni więzami krwi? Mój prapradziadek był przyrodnim bratem ówczesnego hrabiego. Jedyna różnica między nimi była taka, że matka mego przodka nie była hrabiną.

— Proszę cię, nie mów tak. — Straszliwa myśl przyszła mi do głowy. — Chyba byłbyś zdolny go zabić.

Nie odpowiedział, a ja ciągnęłam swą myśl:

— Tego dnia w lesie...

— To nie ja strzelałem. Sądziś, że jestem jedyną osobą, która go nienawidzi?

— Nie masz żadnego powodu do nienawiści. Przecież ciebie nigdy nie skrzywdził. Nienawidzisz go tylko za to, kim jest, i dlatego, że chcesz mieć to, co on.

— To całkiem dobry powód. — Jean Pierre roześmiał się nagle. — Teraz to akurat jestem na niego wściekły, bo chce się mnie stąd pozbyć. A ty nie czułaś nienawiści do kogoś, kto by chciał cię wysłać gdzieś daleko od domu i ukochanej osoby? Nie przyszedłem tu mówić o nienawiści do hrabiego, tylko o miłości do ciebie. Po zakończeniu winobrania mam się przenieść do Mermoz i pragnę, Dallas, żebyś ze mną wyjechała. Ty należysz do nas. Poza wszystkim innym jesteśmy

rodakami twojej matki. Pobierzemy się i wtedy będziemy mogli się z niego śmiać. On nie ma nad tobą władzy.

Nie ma nade mną władzy! Mylisz się, Jean Pierre, pomyślałam. Nikt przed nim nie miał w rękach mego szczęścia, nie potrafił tak mnie uskrzydlić i tak przygnębić.

Jean Pierre przyciągnął mnie do siebie i ścisnął moje dłonie. Wpatrywał się we mnie roziskrzonym wzrokiem.

— Dallas, wyjdź za mnie. Pomyśl, jak uszczęśliwisz nas wszystkich — siebie, mnie, moją rodzinę. Lubisz nas, prawda? Czujesz, że tu jest twoje miejsce.

Milczałam, zastanawiając się nad tym wszystkim. Nad życiem, jakie mi proponował ten mężczyzna. Wyobrażałam sobie, jak budzi się we mnie zamiłowanie do uprawy winorośli. Jak wyjmuję sztalugi i rozwijam swój niewielki talent malarski. Odwiedzałam dom rodzinny Bastide'ów... Nie, to nie, bo wtedy musiałabym oglądać zamek, a nigdy nie byłabym w stanie patrzeć na niego bez bólu w sercu. A mogłoby się zdarzyć i tak, że spotkałabym hrabiego. Spojrzyłby na mnie i uprzejmie się uklonił. I być może zadałby sobie pytanie: „Kim jest ta kobieta? Już gdzieś ją widziałem. O, to mademoiselle Lawson, która odnawiała obrazy, a potem wyszła za mąż w Mermoz za Jean Pierre'a Bastide'a”.

Lepiej zaraz stąd wyjechać, lepiej skorzystać ze sposobności, którą mi podsunęła Claude. Owa propozycja pozostawała wciąż aktualna, choć zapewne już niezbyt długo.

— Wahasz się — stwierdził Jean Pierre.

— Nie. To niemożliwe.

— Nie kochasz mnie?

— Jean Pierre, tak naprawdę to ja prawie cię nie znam. — Te słowa wymknęły mi się bezwiednie.

— Ale sądziłem, że jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

— Tak mało jeszcze wiemy o sobie.

— Mnie wystarczy, że cię kocham.

Miłość? — pomyślałam. Nie mówisz o niej z taką namiętnością jak o nienawiści.

Jego zaciekle wrogość wobec hrabiego była silniejsza niż miłość do mnie. I przyszło mi do głowy, że to drugie uczucie wyrosło z pierwszego. Czy ten mężczyzna nie pragnął mnie poślubić wyłącznie dlatego, iż uznał, że podobam się hrabiemu? Gdy to w pełni pojęłam, mój stosunek do Jean Pierre'a uległ całkowitej zmianie. Przestałam go uważać za dobrego przyjaciela, w którego domu spędziłam tyle godzin. Przede mną stał złowrogi, obcy człowiek.

— No, Dallas — namawiał mnie. — Powiedz, że się pobierzemy. Pójdę do hrabiego i oznajmię mu, że zabieram ze sobą pannę młodą do Mermoz.

Tu go mam! Poszedłby zatryumfować nad swym wrogiem.

— Przykro mi, Jean Pierre, ale to nie jest możliwe.

— Chcesz mi powiedzieć, że za mnie nie wyjdiesz?

— Nie mogę cię poślubić.

Wypuścił z rąk moje dłonie i grymas gniewnego rozczarowania pojawił się na jego twarzy. Potem wszakże wrzucił ramionami.

— A jednak — oświadczył — nie będę tracił nadziei.

Miałam wielką ochotę rzucić się do ucieczki. Tak straszliwa nienawiść jednego człowieka do drugiego była przerażająca. Ja zaś, uważając się dotąd za kobietę niezależną i odważną, dopiero teraz zaczynałam w pełni pojmować istotę strachu.

Z ulgą wyszłam na światło upalnego dnia.

* * *

Udałam się prosto do swego pokoju i rozmyślałam o oświadczeniach Jean Pierre'a. Nie zachowywał się jak zakochany mężczyzna. Pokazał jedynie, jak intensywne były jego uczucia wobec hrabiego. Ożeniłby się ze mną na przekór tamtemu. Ta okropna myśl wprawiła go w uniesienie. A więc on też zauważył, że hrabia się mną interesuje, choć od czasu powrotu z Paryża ledwie mnie zauważał.

Następnego dnia rano, gdy pracowałam nad ściennym malowidłem, wymagającym już tylko finalnych zabiegów, przyszła do mnie ogromnie zdenerwowana Nounou.

— Chodzi o Geneviève — oznajmiła. — Wróciła skądś i poszła prosto do swego pokoju. Na przemian to się śmieje, to płacze, i nie mogę z niej wydobyć, co się stało. Może poszłyby pani do niej?

Podążyłam za staruszką do pokoju Geneviève. Dziewczynka była najwyraźniej rozgniewana. Kapelusz do konnej jazdy i szpicruta leżały ciśnięte w kąt pokoju, a ona siedziała na łóżku wpatrzona wściekłym wzrokiem w przestrzeń.

— Geneviève, co się stało? — spytałam. — Może potrafiłabym ci pomóc?

— Pomóc! Jak może pani pomóc? Chyba że pójdzie pani do mego ojca i poprosi go... — Patrzyła na mnie wyczekująco.

— Poproszę o co? — zapytałam spokojnie.

Nie odpowiedziała, tylko zacisnąwszy pięści, zaczęła walić nimi w łóżko i wykrzykiwać:

— Nie jestem dzieckiem! Jestem dorosła! Jak mi się spodoba, to tu nie zostanę. Ucieknę!

Nounou wstrzymała oddech z przerażenia, lecz ja nie ustępowałam.

— Dokąd?

— Tam, gdzie mi się będzie podobało i gdzie mnie nie znajdziecie.

— Nie sądzę, abym miała ochotę cię szukać, gdybyś nadal była w takim złym humorze.

Wybuchnęła śmiechem, lecz zaraz spoważniała.

— Mówię pani, miss, że nie chcę, by traktowano mnie jak dziecko.

— Co cię tak zdenerwowało? Kto cię traktuje jak dziecko? Spuściła wzrok na czubki swych sztylpów.

— Jeżeli będę chciała mieć przyjaciół, to będę ich miała.

— Kto powiedział, że nie możesz?

— Według mnie ludzi nie można wypędzać tylko dlatego... — Zamilkła i rzuciła mi gniewne spojrzenie. — To nie pani sprawa. Ani twoja, Nounou. Idź sobie! Przestań patrzeć na mnie tak, jakbym była dzieckiem.

Staruszka o mało nie wybuchnęła płaczem, a ja pomyślałam, że poradzę sobie lepiej bez niej, gdyż stale przypominała Geneviève ich dawne relacje dziecka i niani. Dałam jej znak, żeby zostawiła nas same. Wyszła z wyraźną ulgą.

Usiadłam na łóżku i czekałam. Geneviève odezwała się nagle:

— Ojciec przynosi Jean Pierre'a, ponieważ ten jest moim przyjacielem.

— Kto tak powiedział?

— Nikt nie musiał mi nic mówić. Ja wiem.

— Ale dlaczego Jean Pierre miałby być z tego powodu przeniesiony?

— Bo ja jestem córką papy, a on jednym z jego robotników uprawiających winnice.

— Nie widzę związku.

— Bo ja jestem już dorosła, to dlatego. Bo... — Patrzyła na mnie i nagle zaczęły drżeć jej wargi. Rzuciła się na łóżko i rozplakała tak gwałtownie, że szloch wstrząsnął jej ciałem.

Pochyliłam się nad nią.

— Geneviève — odezwałam się łagodnie — czy masz na myśli to, iż oni się boją, że się w nim zakochasz?

— Teraz pani się ze mnie wyśmiewa! — wykrzyknęła, zwracając ku mnie rozgorączkowaną twarz i rzucając pełne złości spojrzenie. — Mówię pani, że jestem wystarczająco dorosła. Przystałam być dzieckiem.

— Nie powiedziałam, że nadal nim jesteś. Geneviève, czy ty się . zakochałaś w Jean Pierze? Nie zaprzeczyła, więc pytałam dalej.

— A on?

Skinęła głową.

— Powiedział mi, że to dlatego papa go prznosi.

— Rozumiem — odrzekłam w zamyśleniu. Dziewczynka zaśmiała się gorzko.

— Jedźcie tylko do Mermoz. Pojadę razem z nim! Nie zostanę tutaj, jeżeli on odejdzie.

— Czy Jean Pierre ci to zaproponował?

— Niech mnie pani przestanie wypytywać. Nie trzyma pani mojej strony.

— Ależ nie, Geneviève. Jestem po twojej stronie.

Usiadła na łóżku i znów podniosła ku mnie wzrok.

— Naprawdę?

Skinęłam głową.

— Myślałam, że pani jest przeciwko mnie, ponieważ... ponieważ sądziłam, że i pani on się podoba. Byłam o panią zazdrosna — wyznała naiwnie.

— Nie musisz być o mnie zazdrosna, Geneviève. Ale powinnaś zachowywać się rozsądniej. Kiedy byłam młoda, też się zakochałam.

Prawie ją to rozbawiło.

— O nie, miss, pani?

— Tak — odrzekłam cierpko — nawet ja.

— To musiało być zabawne.

— Raczej tragiczne.

— Dlaczego? Czy pani ojciec go odprawił?

— Nie mógł tego zrobić. Ale uświadomił mi, że to nie miałyby sensu.

— A nie miałyby?

— Tak zwykle jest, kiedy zakocha się ktoś bardzo młody.

— Teraz usiłuje pani na mnie wpłynąć. A ja pani mówię, żenię będę tego słuchać. I jeszcze coś pani powiem: kiedy Jean Pierre wyjedzie do Mermoz, ja pojadę z nim.

— To nastąpi po winobranii.

— I wtedy wyjadę — odparła Geneviève z całą stanowczością.

Zdałam sobie sprawę, że dopóki pozostaje w takim nastroju, dalsza perswazja jest bezcelowa.

Martwiło mnie to. Zadawałam sobie pytanie, co to właściwie znaczy. Czy ona tylko wyobrażała sobie, że Jean Pierre jest w niej zakochany, czy też on jej coś powiedział? Czy mógłby tak uczynić w tym samym czasie, kiedy prosił mnie o rękę?

Przypomniałam sobie płonące nienawiścią oczy młodego mężczyzny podczas naszej rozmowy w piwnicy.

Robił wrażenie, jakby w całym życiu kierował się pochłaniającą go pasją, którą była nienawiść do hrabiego. Dlatego, sądząc, że hrabia się mną interesuje, zaproponował mi małżeństwo. A skore Geneviève była córką hrabiego... czyżby próbował ją uwieść? Tę podejrzliwość było nad wyraz niepokojące.

* * *

Na następny dzień wyznaczono zbiór winogron. Pogoda była wspaniała — przez cały czas na błękitnym niebie nie dostrzegłam ani jednej chmurki, słońce grzało mocno, winogrona dojrzały do ze rwania.

Ja jednak nie myślałam o jutrzejszym dniu, tylko o Jean Pierze i jego żądzy odwetu na hrabim. Obserwowałam Geneviève, gdyż trudno było przewidzieć, co wymyśli w obecnym nastroju. Nie mogłam się także pozbyć złowróbnego odczucia, że jestem śledzona.

Marzyłam o *tête-à-tête* z hrabią, lecz właśnie teraz mnie ignorował. Pomyślałam, że może to lepiej, skoro w mych własnych uczuciach panował zamęt. Claude wypowiedziała szereg uwag, wyraźnie sugerujących, że zbliża się koniec mej pracy na zamku. Jakże pragnęła się mnie pozbyć! Philippe natomiast podczas naszych rzadkich spotkań zachowywał się jak zwykle — z dystansem, ale przyjaźnie.

Po scenie, którą urządziła Geneviève, zastanawiałam się, co robić, i nagle pomyślałam, że jedyną osobą, mogącą przyjść mi z pomocą, jest babka Jean Pierre'a.

Było już późne popołudnie, a właściwie prawie wieczór, kiedy złożyłam jej wizytę. Liczyłam, że zastanę ją w domu samą, gdyż prawie wszyscy znajdowali się na terenie winnic, czyniąc przygotowania na następny dzień. Nawet dzieci nie było w pobliżu.

Przywitałyśmy się jak zwykle serdecznie i bez wstępów wyjawiałam jej, co mnie trapi.

— Jean Pierre poprosił, żebym za niego wyszła — powiedziałam.

— A ty go nie kochasz?

Potrząsnęłam przecząco głową.

— On też mnie nie kocha — mówiłam dalej. — Ale nienawidzi hrabiego.

Zauważyłam, jak nabrzmiały jej żyły, gdy mocno zacisnęła obie dłonie.

— I chodzi o Geneviève — ciągnęłam. — On daje jej do zrozumienia...

— Och, nie!

— To impulsywna i wrażliwa dziewczynka, boję się o nią. Kiedy się dowiedziała o jego wyjeździe, wpadła niemal w histerię. Musimy coś przedsięwziąć. Tylko nie bardzo wiem co. Ale obawiam się, że może się wydarzyć coś strasznego. Ta jego nienawiść jest nienormalna.

— On się urodził z tym uczuciem. Spróbuj zrozumieć. Każdego dnia, kiedy patrzy na zamek, myśli: „Dlaczego to ma być hrabiego... majątek i cała władza, która się z tym łączy? Dlaczego nie...?”

— Ależ to nonsens! Skąd tego rodzaju zawiść? Wszyscy w sąsiedztwie widzą zamek i nie uważają, że powinien do nich należeć.

— Jest pewna różnica. W nas, Bastide'ach, płynie ta sama krew, co w de la Talle'ach. Bastide! Tu, na południu, to słowo oznacza „wiejski domek”... ale czy kiedyś nie było to *batard**? Tak się tworzą nazwiska.

— Musi być sporo rodzin w okolicy, które uważają, że i w ich żyłach płynie ta sama krew.

— Tak jest, lecz z Bastide'ami rzecz ma się inaczej. My byliśmy w bliższych związkach z zamkiem. Należeliśmy do niego, a nie upłynęło jeszcze tak dużo czasu, by o tym zapomnieć. Ojciec mego męża był synem hrabiego de la Talle. Jean Pierre wie o tym, więc kiedy patrzy na zamek lub gdy widzi hrabiego, myśli: „To ja mógłbym objeżdżać konno te ziemie. Winnice mogłyby być moje... i cały majątek”.

— To jakieś... chorobliwe mrzonki.

— On zawsze był ambitny. Poznawał historię zamku, którą przekazywano z pokolenia na

* fr. bękart

pokolenie w naszej rodzinie. Wiedział, że hrabina znalazła schronienie w naszym domu... że tu urodził się jej syn i mieszkał aż do chwili, gdy mógł powrócić do swej babki, do zamku. Bo widzisz, madame Bastide, która dała mu schronienie, również miała syna. Był tylko o rok starszy od małego hrabiego, ale mieli tego samego ojca.

— Rozumiem, że to stwarza silne więzi, lecz nie wyjaśnia zazdrości i nienawiści trwającej tyle lat.

Madame Bastide pokiwała głową, a ja dodałam zapalczywie:

— Musi pani przemówić mu do rozumu. Jeżeli będzie dalej tak się zachowywał, dojdzie do tragedii, czuję to. W lesie, kiedy ktoś strzelał do hrabiego...

— To nie Jean Pierre.

— Ale skoro tak go nienawidzi...

— Nie jest mordercą.

— Wobec tego kto...?

— Taki człowiek jak hrabia ma wielu wrogów.

— Nikt nie potrafiłby go nienawidzić w takim stopniu, jak pani wnuk. Mnie się to nie podoba. Trzeba położyć temu kres.

— Ty, Dallas, zawsze dążysz do naprawiania ludzi, żeby byli tacy, jacy według ciebie powinni być. Ale istoty ludzkie to nie obrazy, jak sama wiesz. Ani...

— Ani ja nie jestem doskonała, żeby rościć sobie prawo do nawracania innych. Ale ta sytuacja budzi obawę.

— Gdyby znane nam były ukryte myśli innych ludzi, to często znalazłby się powód do trwogi. A powiedz mi, Dallas, jak to jest z tobą? Zakochałaś się w hrabim, prawda?

Zmieszana, odwróciłam od niej głowę.

— Dla mnie jest to tak samo oczywiste, jak dla ciebie to, że Jean Pierre go nienawidzi. Jesteś przerażona nie z tego powodu, że mój wnuk żywi do kogoś takie uczucie, tylko dlatego, że nienawidzi właśnie hrabiego. Boisz się, żeby nie wyrządził mu jakiejś krzywdy. Ale to uczucie jest Jean Pierre'owi niezbędne, bo podsyca jego dumę. Ty zaś, ze względu na swą miłość, jesteś w większym niebezpieczeństwie niż on z powodu nienawiści.

Milczałam.

— Moja droga, powinnaś wrócić do domu, do swojego kraju. Mówię ci to ja, stara kobieta, która rozumie niektóre sprawy o wiele lepiej, niż ci się wydaje. Jakie mogłabyś tu znaleźć szczęście? Czy hrabia cię poślubi? Czy zostałabyś w zamku jako jego kochanka? Nie sądzę. To by nie odpowiadało ani jemu, ani tobie. W swoim kraju zdołasz o wszystkim zapomnieć, bo jeszcze jesteś młoda, i spotkasz kogoś, kogo potrafisz pokochać. Będziesz miała dzieci i one przyniosą ci szczęście.

— Madame Bastide — zauważyłam — pani jest zaniepokojona. Nie odpowiedziała.

— Pani martwi się tym, co mógłby zrobić Jean Pierre.

— Ostatnio się zmienił.

— Poprosił mnie o rękę; przekonuje Geneviève, że jest w nim zakochana... Co dalej?

Po pewnym wahaniu odrzekła:

— Może nie powinnam ci nic mówić, ale to nie daje mi spokoju, odkąd się dowiedziałam. Kiedy hrabina uciekła przed rewolucjonistami i schroniła się tutaj, z wdzięczności dla Bastide'ów zostawiła u nich niewielką, złotą szkatułkę. Wewnątrz znajdował się klucz.

— Klucz! — powtórzyłam.

— Tak, mały klucz. Nigdy przedtem podobnego nie widziałam. Na uchwycie miał lilię burbońską.

— No i co? — ponaglałam ją niecierpliwie.

— Owa szkatułka pozostawała zamknięta i była przeznaczona dla nas. Przedstawiała dużą wartość. Trzymano ją na wypadek, gdybyśmy się znaleźli w szczególnej potrzebie. Klucz miał być zwrócony de la Talle'om dopiero wtedy, gdyby o niego poproszono. Nie wcześniej.

— I nigdy o niego nie poproszono?

— Nie, nigdy. Zgodnie z tym, co przekazywano sobie w rodzinie, nie wolno było nikomu o niczym mówić, żeby nie zażądały go osoby niepowołane. Dlatego nigdy nie wspominaliśmy o kluczu... ani o szkatułce. Mówiono, że hrabina napomykała o dwóch kluczach... jednym w szkatułce, a drugim, ukrytym w zamku.

— Gdzie jest ten klucz? Czy mogę go zobaczyć?

— Zniknął... dość niedawno. Chyba ktoś go zabrał.

— Jean Pierre — wyszeptalam. — Usiłował się dowiedzieć, do czego pasowałby w zamku.

— To możliwe.

— A gdyby się dowiedział, co wtedy?

Staruszka uścisnęła moją dłoń.

— Gdyby znalazł to, czego szuka, uwolniłby się od nienawiści.

— Pani ma na myśli... szmaragdy?

— Gdyby znalazł szmaragdy, uznałby, że to jego udział w majątku, który mu się należy. Boję się, że tak to sobie wymyślił. Boję się, że ta... obsesja jak rak toczy jego umysł. Dallas, boję się, do czego to doprowadzi.

— Nie mogłaby pani z nim porozmawiać?

— To by nic nie dało. Już kiedyś próbowałam. Mam dla ciebie wiele sympatii i nie chcę, żeby cię skrzywdzono. Wszystko tu wygląda na pozór tak spokojnie... ale pod powierzchnią nic nie jest takie, jak się wydaje. Nikt z nas nie pokazuje światu prawdziwej twarzy. Powinnaś stąd wyjechać. Nie wolno ci dać się wplątać w ten ciągnący się od lat konflikt. Jedź do domu i zacznij życie od nowa. Z czasem wszystko tutaj wyda ci się snem, a my — kukiełkami w teatrze cieni.

— Nigdy tak się nie stanie.

— Ależ owszem, moja droga, stanie się... gdyż takie jest życie.

Pożegnałam ją i wróciłam do zamku.

Czułam, że już dłużej nie mogę pozostawać na uboczu wydarzeń; Muszę zacząć działać. Tylko nie bardzo wiedziałam jak.

* * *

Rozpoczęcie *vendange* wyznaczono na wpół do siódmej rano. Mężczyźni, kobiety i dzieci z całej okolicy podążali w stronę winnic, gdzie Jean Pierre i jego ojciec mieli nimi pokierować. Przynajmniej, mówiłam sobie w duchu, nikt dzisiaj nie będzie zajmował się niczym innym poza zrywaniem winogron.

W zamkowych kuchniach, zgodnie ze starym zwyczajem, przygotowano posiłek dla wszystkich pracujących i gdy tylko rosa obeschła, rozpoczęło się winobranie.

Zbierający pracowali parami — jeden ostrożnie obcinał winogrona, uważając, by odrzucać te nieodpowiedniej jakości, drugi zaś musiał trzymać koszyk z łożyny tak, żeby się nie chwiały, bo owoce mogłyby się uszkodzić.

Z winnic popłynął śpiew robotników, wszyscy razem podjęli tutejszą ludową pieśń. To też był stary obyczaj, o którym kiedyś opowiadała mi madame Bastide, a słowa pieśni mówiły o tym, że: *Bouche qui morde d la chanson ne morde pas d la grappe*. No tak, usta zajęte śpiewaniem nie zajmują się winogronami...

Tego rana nie pracowałam. Poszłam do winnic popatrzeć, co się tam dzieje. Nie widziałam Jean

Pierre'a. Miał za dużo pracy, by zwracać uwagę na mnie czy na Geneviève; był zbyt zajęty, aby myśleć o swej nienawiści.

Czułam, że nie jestem postacią z tego obrazu. Nie miałam tu nic do roboty. Nie należałam do tego miejsca i to nabierało znaczenia symbolu.

Poszłam do galerii i oglądałam efekty mojej pracy, która wkrótce dobiegnie końca.

Madame Bastide, moja dobra przyjaciółka, namawiała mnie do wyjazdu. Zastanawiałam się, czy hrabia, unikając mnie, nie wyraża tego samego. Żywił do mnie pewną sympatię, tego byłam pewna i myśl o tym będzie mnie nieco podtrzymywała na duchu, kiedy opuszczę zamek. Jeżeli będę smutna, przypomnę sobie: on okazywał mi pewne względy. Miłość? Może nie byłam kobietą, która potrafi wzbudzić wielkie uczucie. To „może” prawie mnie rozśmieszyło. Gdybym umiała patrzeć trzeźwo na to wszystko, dojrzałabym absurdalność całej sytuacji. Oto mężczyzna — doświadczony i wybredny światowiec... a oto ja — nieładna kobieta, zainteresowana wyłącznie swoją pracą, całkowite jego przeciwieństwo! W dodatku szczyciłam się zdrowym rozsądkiem, którego sądząc z zachowania, niestety mi zabrakło. Lecz powinnam pamiętać o jednym: on w jakiejś mierze okazywał mi życzliwość.

Jego rezerwa była nawet wyznacznikiem owej życzliwości. Zarówno on jak i madame Bastide mówili do mnie: „Wyjedź. Tak będzie lepiej”.

Wyjęłam klucz z kieszeni. Muszę go dać hrabiemu i wyjaśnić mu, skąd się wziął w moim posiadaniu. Wtedy mu powiem: „Niemal ukończyłam pracę. Wkrótce wyjeżdżam”.

Spojrzałam na klucz. Jean Pierre miał identyczny. I szukał właściwego zamka akurat w tym samym czasie, co ja.

Wróciłam myślą do owych chwil, gdy wydawało mi się, że byłam śledzona. Czyżby to Jean Pierre? Bał się, że znajdzie to, czego on tak rozpaczliwie szukał?

Nie wolno mu zabrać szmaragdów, gdyż nieważne, jak by to sobie tłumaczył, byłaby to kradzież... i gdyby go złapano...

Sytuacja wprost nie do pomyślenia. Jakie nieszczęście spotkałoby tych wszystkich ludzi, których tak polubiłam.

Nie było sensu czynić mu wymówek. Mogłam zrobić tylko jedno — odnaleźć szmaragdy, zanim jemu to się uda. Jeżeli w ogóle tutaj są, to w lochach, gdyż *oubliette*, jako miejsce ukrycia, można było wyłączyć.

I właśnie nadarzała się sposobność, gdyż dzisiaj w zamku nie było prawie nikogo. Przypomniałam sobie, że widziałam w pobliżu drzwi do lochów latarnię, i postanowiłam, że tym razem ją zapalę, żeby zbadać dokładnie całe to miejsce. Skierowałam się ku osi wnętrza zamku i zesłam na dół kamiennymi schodami. Otworzyłam nabite żelaznymi ćwiekami drzwi, które ponuro zaskrzypiały.

Zaraz ogarnął mnie chłód tego miejsca, ale byłam zdecydowana iść dalej, więc zapaliłam latarnię i uniosłam ją do góry. Moim oczom ukazały się wilgotne i zagrzybione ściany, klatki wykute w murze oraz tu i ówdzie żelazne pierścienie, przez które przewleczono łańcuchy.

To miejsce, ponure, mroczne i odstręczające, po upływie tylu lat ciągle było naznaczone cierpieniem zapomnianych uwięzionych tu niegdyś mężczyzn i kobiet.

Gdzie mógł się znajdować zamek, do którego pasował mój klucz?

Postąpiłam w mrok, świadoma nie odstępującego mnie zagrożenia. Doskonale wiedziałam, co czuli w przeszłości ludzie przyprowadzeni tutaj. Miałam świadomość ich panicznego strachu i bezradności.

Zdawało mi się, że każdy nerw mego ciała ostrzega mnie: „Wyjdź stąd. Tu czai się coś złego, coś groźnego”. Jakby doszedł do głosu szósty zmysł, który budzi się w chwili największego niebezpieczeństwa. Wiedziałałam, że nie jestem sama, że ktoś mnie śledzi.

Pamiętam, że pomyślałam wtedy: Jeżeli ktoś tu na mnie czeka, to dlaczego mnie nie atakuje?

Ale zdawałam sobie sprawę, że ów ktoś, kto czai się w mroku, jednocześnie czeka na to, co zrobię, i dopiero gdy coś odkryję, zagrozi mi prawdziwe niebezpieczeństwo. Och, Jean Pierre, pomyślałam, ty byś mnie nie skrzywdził, nawet za cenę szmaragdów z Gaillard.

Trzęsły mi się ręce. W tym momencie gardziłam sobą. Nie byłam lepsza od wchodzącej tu służby. Bałam się, tak samo jak oni, duchów z przeszłości.

— Kto tam? — zawołałam pozornie wojowniczym głosem. Odpowiedziało mi jakieś upiorne echo.

Doszłam do wniosku, że zaraz muszę stąd wyjść. Instykt mnie ostrzegał: Teraz, zaraz! I nie wracaj tu więcej sama!

— Czy jest tam kto? — spytałam, a potem powiedziałam głośno niby do siebie: — Tu nic nie ma...

Nie wiedziałam, dlaczego mówię na głos. Chyba w reakcji na strach, który mnie opanował. Ale to nie duch czaił się w cieniu. Miałam więcej powodów, żeby bardziej bać się żywych niż zmarłych.

Cofnęłam się — usiłując robić to powoli i spokojnie — do wyjścia, zdmuchnęłam latarnię i postawiłam ją na ziemi. Przekroczyłam próg nabitych żelaznymi ćwiekami drzwi, wspięłam się po kamiennych schodach i dopiero z ich podestu rzuciłam się do ucieczki, biegnąc prosto do swojego pokoju.

Nigdy więcej nie zejść tam sama! — przyrzekłam sobie. Pomyślałam, co by było, gdyby drzwi zatrzasnęły się przede mną. Wspomniałam zagrażające mi niebezpieczeństwo. Nie wiedziałam, w jakiej pojawiłoby się postaci, lecz czułam, że wtedy mogłoby się zrealizować moje pragnienie pozostania w zamku na zawsze.

Powzięłam decyzję. Muszę natychmiast porozmawiać z hrabią!

Było typowe dla rejonu Gaillard, że tutaj ugniatano winogrona w tradycyjny sposób. W innych częściach kraju być może korzystano z pras, lecz w Gaillard zachowano stare metody.

— Nie ma lepszych sposobów nad stare — powiedział kiedyś Armand Bastide. — Żadne wino nie smakuje tak jak nasze.

Ciepłe powietrze wypełniały głosy rozweselonych ludzi. Winogrona zostały już zebrane i rozłożone w warstwach grubości około jednej trzeciej metra w wielkim, specjalnym korycie.

Ci, co mieli je ugniatć, wyszorowali już nogi i stopy tak, że aż lśniły. Muzykanci stroili instrumenty. Narastało podniecenie.

To widowisko odbywające się w świetle księżyca wydawało mi się wprost fantastyczne, nigdy w życiu nie widziałam nic podobnego. Przypatrywałam się wraz z innymi, bo właśnie ludzie szykujący się do ugniatania winogron, ubrani tylko w krótkie białe obcisłe spodnie, weszli do koryta i zaczęli tańczyć.

Poznałam ową pieśń, którą już na początku naszej znajomości śpiewał mi Jean Pierre. Teraz nabrała ona szczególnego znaczenia.

*Qui sont-ils les gens qui sont riches?
Sont-ils plus que moi qui n'ai rien...*

Patrzyłam, jak tańczący pogrążają się coraz głębiej w szkarłatnej masie. Twarze im błyszczały, głosy wznosiły się w pieśni. Muzykanci zaczęli grać jeszcze żwawiej, okrążając koryto. Kierował nimi Armand Bastide grający na skrzypcach. Był jeszcze akordeon, triangel i bęben, a niekiedy z ugniatających winogrona grali na kastanietach, posuwając się w koło wewnątrz koryta.

Puszczono między tańczących butelkę koniaku, co przyjęli głośnymi okrzykami uznania. Śpiew

zabrzmiał głośniejszy, taniec stawał się żywszy.

W przelocie mignęli mi Yves i Margot. Razem z innymi dziećmi, szaleńczo podekscytowani, tańczyli i pokrzykiwali, radośnie udając, że i oni ugniatają winogrona.

Była tam też Geneviève z upiętymi wysoko włosami. Wyglądała na bardzo przejętą i z tajemniczą miną niespokojnie rozglądała się wokół, niewątpliwie szukając wzrokiem Jean Pierre'a.

Nagle koło mnie znalazł się hrabia. Był uśmiechnięty i zadowolony. Poczulałam się absurdalnie szczęśliwa, gdyż przypuszczałam, że mnie szukał.

— Oo, Dallas — powiedział i sprawiło mi ogromną przyjemność to, że wymówił moje imię — i co pani o tym myśli?

— Nigdy nie widziałam nic podobnego.

— Cieszę się, że mamy coś, co widzi pani po raz pierwszy. Ujął mnie pod łokieć.

— Muszę z panem porozmawiać — oznajmiłam.

— A ja z panią. Ale nie tutaj. Zbyt dużo tu hałasu.

Wyprowadził mnie z tłumy. Tam, dalej od zgromadzonych widzów, powietrze było rześkie. Spojrzałam na księżyc, który właśnie zbliżał się do pełni. Zarysy jego powierzchni były tak wyraźne, że naprawdę wyglądał jak spoglądająca na nas z uśmiechem okrągła twarz.

— Jakoś dawno już nie rozmawialiśmy ze sobą — odezwał się hrabia. — Nie mogłam się zdecydować, co mam pani powiedzieć. Chciałam się zastanowić... nad nami. Nie byłoby dobrze, gdyby uznała pani, że działałam pochopnie... pod wpływem impulsu. Chyba to by się pani nie podobało.

— Chyba nie — odrzekłam.

Szliśmy wolno w stronę zamku.

— Miała mi pani coś do powiedzenia. Więc pani pierwsza, słucham.

— Za kilka tygodni ukończę pracę. Wtedy nadejdzie czas wyjazdu.

— Nie może pani wyjechać.

— Musiałby być jakiś powód, dla którego miałabym tu zostać.

— Tak, Dallas, musimy znaleźć ów powód.

Zwróciłam ku niemu twarz. To nie był czas na przekomarzanie się. Muszę poznać prawdę. Nawet gdybym zdradziła się z własnymi uczuciami, muszę ją znać.

— I jaki to miałby być powód?

— Taki, że poprosiłbym cię, żebyś została, gdyż twój wyjazd by mnie unieszczęśliwił.

— Chyba powinien mi pan powiedzieć wyraźnie, co ma na myśli.

— Mam na myśli to, że nie mógłbym pozwolić ci na wyjazd. Ponieważ pragnę, żebyś tu została na zawsze... żeby mój dom stał się twoim domem. Innymi słowy, mówię ci, że cię kocham.

— Czy prosisz, żebym wyszła za ciebie za mąż?

— Jeszcze nie. Są sprawy, które przedtem musimy wyjaśnić.

— Ale przecież byłeś zdecydowany, że ponownie się nie ożenisz.

— Tylko jedna kobieta na świecie byłaby w stanie odwieść mnie od tego postanowienia. Nawet nie wiedziałem, że ona istnieje, więc skąd mogłam przypuszczać, że pojawi się na mojej drodze?

— Jesteś tego pewien? — spytałam. Usłyszałam radość we własnym głosie.

Przystanął i ujął moje dłonie, patrząc mi poważnie w oczy.

— Niczego do tej pory nie byłem bardziej pewny.

— A jednak nie oświadczasz mi się?

— Moja najdroższa — odrzekł — nie chciałbym, żebyś zmarnowała sobie życie.

— Miałabym zmarnować... gdybym cię kochała?

— Nie mów „gdybym”. Powiedz „kocham”. Bądźmy ze sobą całkowicie szczerzy. Czy kochasz

mnie, Dallas?

— Mało wiem o miłości. Wiem natomiast, że gdybym miała cię już więcej nie zobaczyć, byłabym nieszczęśliwa jak jeszcze nigdy w życiu.

Pochylił się i delikatnie pocałował mnie w policzek.

— To tylko na początek. Ale jak to się stało, że możesz żywić takie uczucie... do mnie?

— Nie wiem.

— Masz zrozumienie dla mnie takiego, jaki według ciebie jestem. Bardzo mi na tym zależy, nie mógłbym jednak pozwolić, żebyś mnie poślubiła, dopóki nie poznasz mnie naprawdę. Pomyślałaś o tym, Dallas?

— Staram się nie rozważać tego, co wydaje się całkiem nierealne. Ale przyznaję, w głębi duszy myślałam o tym.

— Uważałaś to za nierealne?

— Nie widziałam siebie w roli *femme fatale*.

— Boże broń!

— Uważam siebie za nie najmłodszą już kobietę, pozbawioną szczególnego wdzięku, potrafiącą jednak poradzić sobie w życiu; taką, która umie odrzucić szalone, romantyczne marzenia.

— I właściwie nie znasz samej siebie.

— Gdybym się tu nie zjawiała, pozostałabym taka na zawsze.

— Gdybyś mnie nie poznała... A gdybym ja cię nigdy nie poznał...? Ale spotkaliśmy się i udało się nam czegoś dokonać. Zaczęliśmy usuwać „zmydlenie”... pleśnie... to określenia z twojego słownika. I oto widzimy teraz siebie takimi, jacy jesteśmy naprawdę. Nigdy nie pozwolę ci mnie opuścić... ale musisz być pewna.

— Jestem pewna.

— Zważ, że dopuściłaś do głosu odrobinę szaleństwa, trochę romantyzmu. Dlaczego mnie kochasz?

— Nie wiem.

— Nie podziwiasz cech mojego charakteru i słyszałaś plotki. A co, jeśli powiem, że większość z nich jest prawdziwa?

— Nie oczekuję, że jesteś święty.

— Zdarzało mi się być bezwzględny... często okrutny. Byłem też niewierny, samolubny, arogancki... A jeśli znowu stanę się taki?

— Muszę być na to przygotowana. Z pewną zarozumiałością i uporem bronię swych wyborów... mam zadatki na guwernantkę, jakby powiedziała Geneviève...

— Geneviève... — powtórzył cicho, a potem dodał ze śmiechem: — Ja też jestem na to przygotowany.

Chwycił mnie za ramiona, czułam narastającą w nim napiętność i odpowiedziałam tym samym całą sobą. Usiłował jednak się opanować, jakby powstrzymywał chwilę, kiedy mnie obejmie i zapomnimy o wszystkim poza radością, że wreszcie jesteśmy rzeczywiście razem.

— Dallas — odezwał się nagle — musisz być pewna.

— Jestem... jestem... nigdy nie byłam bardziej...

— A zatem akceptujesz mnie?

— Całkowicie.

— Wiedząc to... co wiesz.

— Zaczniemy od nowa — powiedziałam. — Co było, minęło. Nieważne, jaki ty byłeś i jaka ja byłam przedtem, nim się spotkaliśmy. Ważne jest tylko to, że będziemy razem.

— Nie jestem dobrym człowiekiem.

— Kto może orzekać, czym jest dobroć?

— Ale od czasu twego przyjazdu stałem się lepszy.

— Wobec tego muszę zostać, żeby ocenić, jakie robisz postępy.

— Moja kochana — rzekł cicho i przytulił mnie do siebie, lecz nie widziałam jego twarzy.

Następnie uwolnił mnie z objęć i poprowadził w kierunku zamku.

Wyłaniał się przed nami w świetle księżycy jak pałac z bajki, wydawało się, że baszty wbijają się w fiołkowogranatową materię nieba.

Czułam się jak królowna z bajki. I to mu powiedziałam.

— Która żyła potem długo i szczęśliwie — dodałam.

— Wierzysz w szczęśliwe zakończenie? — zapytał hrabia.

— Nie liczę na nieustanną ekstazę. Jednak wierzę, że oboje potrafimy stworzyć nasze szczęście. Jestem o tym przekonana i dołożę wszelkich starań, żeby się nam udało.

— Miej takie przekonanie przez wzgląd na nas oboje. Cieszę się, że tak myślisz. Zawsze osiągasz swój cel. Chyba powzięłaś zamiar poślubienia mnie już dość dawno. Dallas, kiedy nasze plany staną się jawne, wybuchną plotki. Czy jesteś na to przygotowana?

— Nie będą mnie obchodziły żadne plotki.

— Jednak nie możesz mieć co do nich złudzeń.

— Myślę, że wiem już to, co najgorsze. Sprowadziłeś tu Philippe'a, ponieważ byłeś zdecydowany nie żenić się powtórnie. Jak on to przyjmie?

— Wróci do swych dóbr w Burgundii i zapomni, że po mojej śmierci miał dziedziczyć. Poza tym być może musiały na to długo czekać, a nawet, kto wie, czy gdyby mu się udało, nie byłby za stary, żeby miało to jeszcze dla niego jakieś znaczenie.

— Ale po nim dziedziczyłby jego syn. To mogłoby mieć dla niego znaczenie.

— Philippe nigdy nie będzie miał syna.

— A co z jego żoną? Słyszałam, że jest twoją kochanką. To prawda, nie zaprzeczysz?

— Była, swego czasu.

— I oddałeś ją za żonę Philippe'owi, który według ciebie nie mógłby mieć własnego syna, więc ona miałaby urodzić twój?

— Uknucie takiej intrygi byłoby do mnie podobne. Mówiłem ci, że jestem lajdakiem, czyż nie? I właśnie dlatego tak cię potrzebuję, żeby przezwyciężyć swoje wady. Dallas, nie wolno ci mnie porzucić.

— A dziecko? — zapytałam.

— Jakie dziecko?

— Jej... Claude.

— Nie ma żadnego dziecka.

— Ale ona mi powiedziała, że spodziewa się dziecka... twój dziecko.

— Nie ma takiej możliwości — odrzekł stanowczo.

— Przecież jest twoją kochanką?

— Była, już ci mówiłem, nie jest. Wywarłaś na mnie wielkie wrażenie, gdy tylko tu przyjechałaś. Od czasu jej ślubu z Philippe'em nic już nas nie łączy. Masz niepewną minę. Czyżby to oznaczało, że mi nie wierzysz?

— Wierzę ci — odparłam. — I... ucieszyło mnie to. Rozumiem, że w ten sposób chciała się mnie pozbyć. Ale to nieważne. Już nic poza nami się nie liczy.

— Zapewne od czasu do czasu usłyszysz jeszcze o innych moich karygodnych uczynkach.

— Cokolwiek się zdarzyło, to już przeszłość. Mnie będzie interesowała jedynie teraźniejszość i przyszłość.

— Jakże ja tęsknię do chwili, kiedy nic mnie nie będzie obchodziło poza tobą.

— No to może założmy, że tak się stanie już od tego momentu?

— Zachwycasz mnie. Jesteś wspaniała. Kto mógłby przypuszczać, że usłyszę tyle cudownych słów z twoich ust?

— Sama bym w to nie uwierzyła. Rzuciłeś na mnie urok.

— Moja ukochana! Ale musimy wszystko uporządkować. Proszę... proszę, zadaj mi więcej pytań. Musisz już teraz wiedzieć to, co najgorsze. Co jeszcze o mnie słyszałaś?

— Sądziłam, że jesteś ojcem dziecka Gabrielle.

— Nie, jego ojcem jest Jacques.

— Teraz już to wiem. Dowiedziałam się też, ile okazałeś życzliwości mademoiselle Dubois. Wiem, że w głębi serca jesteś dobrym człowiekiem...

Kiedy wchodziliśmy na zwodzony most, hrabia objął mnie ramieniem i powiedział:

— O jednej sprawie nie wspomniałaś. Nie pytasz o moje małżeństwo.

— A według ciebie o co miałabym zapytać?

— Musiały dochodzić do ciebie jakieś plotki.

— Tak, to prawda.

— Swego czasu prawie o niczym innym się nie mówiło. Przypuszczam, że polowa okolicy uważa, iż ją zamordowałem. Będą uważali cię za niezwykle odważną kobietę, skoro nie boisz się poślubić człowieka, który według tutejszych ludzi zabił własną żonę.

— Powiedz mi, jak ona umarła.

Milczał.

— Proszę — nalegałam — proszę, powiedz mi.

— Nie mogę.

— To znaczy...

— Musisz mnie zrozumieć, Dallas.

— Znasz przyczynę jej śmierci?

— Przedawkowanie opium.

— Jak to się stało? Powiedz mi, jak?

— O to nigdy mnie nie pytaj.

— Przecież mamy mówić sobie prawdę... zawsze.

— Właśnie dlatego nie mogę ci powiedzieć.

— Czy zatem odpowiedź jest tak bolesna?

— Jest bardzo bolesna — odrzekł krótko.

— Nie wierzę, że ją zabiłeś. I nigdy w to nie uwierzę!

— Dziękuję ci... dziękuję, moje kochanie. Nie mówmy już więcej o tym, przyrzeknij, że nie będziemy.

— Ale ja muszę wiedzieć.

— Tego właśnie się obawiałem. Już patrzysz na mnie inaczej. Nie masz pewności. Dlatego nie prosiłem cię o rękę. Nie mogłem, dopóki nie zadasz mi tego pytania... i nie usłyszysz odpowiedzi.

— Ale ty mi nie odpowiedziałeś.

— Usłyszałaś wszystko, co miałem do powiedzenia. Czy poślubisz mnie?

— Tak... nikt mi nie wmówi, że jesteś mordercą. Nie wierzę w to i nigdy nie uwierzę!

Pochwycił mnie w ramiona.

— Złożyłaś mi obietnicę. Żebyś nigdy jej nie żałowała!

— Boisz się powiedzieć mi...

Przyłgął wargami do mych ust i daliśmy się ponieść niepohamowanej namiętności.

Przywarłam do niego bez sił — oszołomiona. W ekstazie, jak w moim wyśnionym, romantycznym marzeniu.

Kiedy uwolnił mnie z objęć, miał posępne spojrzenie.

— Będziesz musiała stawić czoło plotkom. Znajdą się tacy, którzy zaczną szeptać za naszymi plecami. Będą cię ostrzegać...

— Niech ostrzegają.

— Nie będziesz miała łatwego życia.

— Ale to życie, jakiego pragnę.

— Będziesz miała pasierbicę.

— Którą już darzę sympatią.

— Dziewczynkę trudną, a nie wiadomo, czy nie będzie z nią jeszcze więcej, kłopotów.

— Spróbuję być dla niej matką.

— Już bardzo wiele dla niej zrobiłaś, ale...

— Robisz wrażenie, jakby ci zależało na przekonaniu mnie, że nie powinnam za ciebie wychodzić za męża. Chcesz, żebym powiedziała „nie”?

— Nigdy bym na to nie pozwolił.

— A co by było, gdybym tak odpowiedziała?

— Zaniósłbym cię do jednego z lochów i tam trzymał.

Wtedy przypomniałam sobie o kluczu i opowiedziałam mu, gdzie go znalazłam.

— Miałam nadzieję, że odnajdę twoje dawno utracone szmaragdy — powiedziałam.

— Jeżeli ten klucz zaprowadzi nas do klejnotów, to ja sprezentuję je tobie — odparł.

— Czy uważasz, że rzeczywiście otwiera do nich drogę?

— Przekonamy się.

— Kiedy?

— Teraz. My oboje. Tak, pójdziemy zbadać sprawę razem.

— Jak sądzisz, dokąd powinniśmy się udać?

— Uważam, że do lochów. Jedna z klatek ozdobiona jest ornamentem z lilii burbońskich, takich samych jak ta. Może to właśnie naprowadzi nas na jakiś trop. Chciałabyś iść zaraz?

Nagle uświadomiłam sobie, że inni wprost depczą nam po piętach. Jean Pierre już poszukiwał w zamku szmaragdów... musimy znaleźć skrytkę pierwsi, gdyż w przeciwnym razie on je ukradnie i zhańbi swoją rodzinę.

— Tak — odrzekłam — zaraz.

Hrabia poprowadził mnie do stajni, skąd wziął latarnię. Zapalił ją i skierowaliśmy się ku lochom.

— Chyba wiem, gdzie znajdziemy ten zamek — powiedział. — Coś sobie przypomniałem. Wiele lat temu, kiedy byłem chłopcem, przeszukiwano lochy i odkryto ową klatkę ozdobioną liliami burbońskimi. Zwrócono na to uwagę, gdyż ornament wydawał się tak niezwykły. Wewnątrz klatki, w dolnej części ściany, znajduje się rząd wyrzeźbionych lilii. Uznano za dziwny pomysł ozdobienia takiego miejsca, widocznie jednak był w tym określony cel.

— Ale nie sprawdzano, czy nie ma tam jakiegoś ukrytego schowka?

— Najwidoczniej nic na to nie wskazywało. Przyjęto, że któremuś z nieszczęsnych więźniów w jakiś sposób udało się je wyrzeźbić — choć nikt nie wiedział jak — a następnie umieścić na ścianie. Jak mógł wykonać taką pracę w ciemnościach — pozostało tajemnicą.

Udaliśmy się do lochów, a hrabia otworzył na oścież nabijane ćwiekami drzwi. W jakże innym nastroju wchodziłam do tego ciemnego i ponurego miejsca razem z nim! Cały strach gdzieś zniknął. Uznałam to w pewnej mierze za symboliczne. Cokolwiek się stanie, wszystkiemu potrafię stawić czoło, jeśli będziemy razem, pomyślałam.

W jednej ręce trzymał wysoko latarnię, drugą ujął moją dłoń.

— Gdzieś tutaj jest ta klatka — powiedział.

Duszne powietrze przesycone było wilgocią i zapachem stęchlizny. Dotknęłam niechcący stopą jednego z żelaznych pierścieni, do którego przymocowany był zardzewiały łańcuch.

Okropieństwo! A jednak teraz wcale się nie bałam.

Usłyszałam nagle jego okrzyk:

— Chodź i popatrz tutaj!

Stałam za nim i zobaczyłam lilie burbońskie. Było ich dwanaście — umieszczone w równych odstępach, tworzyły rząd dookoła wnętrza klatki około piętnastu centymetrów ponad ziemią.

Hrabia wręczył mi latarnię i przykucnął. Usiłował zdjąć pierwszy z kwiatów, lecz ozdoba nie poruszyła się, widocznie była tak mocno przytwierdzona do ściany. Obserwowałam, jak próbował poruszyć innymi po kolei. Przy szóstej lilii zatrzymał się na dłużej.

— Poczekaj chwilę — rzekł. — Ta chyba luźno się trzyma.

Uniosłam wyżej latarnię i zobaczyłam, że przesunął kwiat na bok. Pod spodem był zamek.

Klucz pasował i właśnie przekręcał się w dziurce.

— Czy widzisz jakieś drzwiczki? — zapytał.

— Coś takiego musi tu być — odrzekłam. — Zamek jest umieszczony tutaj. — Popukałam w mur.

— Tu za ścianą jest puste miejsce! — wykrzyknęłam.

Naparł ciałem na bok klatki i ku naszemu zdumieniu rozległo się przeciągłe skrzypienie, a część ściany zaczęła się wolno przesuwać.

— To właśnie są drzwi — stwierdziłam.

Naparł na to miejsce ponownie. Tym razem małe drzwi całkiem się otworzyły i usłyszałam tryumfalny okrzyk Lothaira.

Stałam tuż za nim z kołyszącą się w górze latarnią. To, co zobaczyłam, wyglądało jak szafka — mała skrytka o powierzchni niewiele ponad pół metra kwadratowego. Leżała w niej szkatułka, robiąca wrażenie srebrnej.

Hrabia wyjął ją i podniósł na mnie wzrok.

— Wygląda na to, że znaleźliśmy szmaragdy.

— Otwórz ją! — zawołałam.

Podobnie jak przy drzwiach, dało się to zrobić po pokonaniu pewnego oporu, ale wszystko tam było: pierścionki, bransoletki, pasek, naszyjnik i diadem, którym przywracałam barwę na portrecie.

Kiedy tak staliśmy koło siebie nad szkatułką, uświadomiłam sobie, że Lothair patrzy na mnie, a nie na klejnoty.

— A więc to ty przywróciłaś zamkowi jego skarb — powiedział. Wiedziałam, że nie myśli o szmaragdach.

Ta właśnie chwila miała być dla mnie na długo najszczęśliwszym momentem życia. Potem stało się bowiem tak, jakby ktoś wszedł na szczyt góry po to, aby zostać z niej strąconym na samo dno rozpacz.

Czy nagle rozległ się zgrzyt nabijanych ćwiekami drzwi? Czy coś poruszało się w ciemności?

W tej samej chwili oboje doznaliśmy poczucia zagrożenia. Wiedzieliśmy, że nie jesteśmy sami. Hrabia szybko przyciągnął mnie do siebie i objął ramieniem.

— Kto tam? — zawołał.

Z ciemności wynurzyła się znajoma postać.

— A więc je znaleźliście — skonstatował Philippe.

Spojrzałam na jego twarz i zamarłam z przerażenia. Słabe światło latarni ukazało mi człowieka, którego nigdy w życiu nie widziałam. Owszem, miał rysy Philippe'a, ale nic nie pozostało z owego wyrazu rezygnacji i zniewieściałości. Przed nami stał człowiek szalony, zawzięty w swym dążeniu

do celu.

— Ty też ich szukałeś? — spytał hrabia.

— Dostaliście się tu przede mną. A więc jednak pani tego dokonała, mademoiselle Lawson... obawiałem się, że się pani uda.

Lothair przycisnął do siebie moje ramię.

— Chodź już... — zaczął, ale kuzyn mu przerwał:

— Mademoiselle Lawson, proszę się nie ruszać z miejsca.

— Czy postradałeś zmysły? — zwrócił się do niego hrabia.

— Bynajmniej. Żadne z was stąd nie wyjdzie.

Hrabia, ściskając mnie za ramię, postąpił do przodu, lecz zaraz się zatrzymał, gdyż Philippe uniósł dłoń. Trzymał w niej pistolet.

— Nie rób z siebie wariata, Philippe — odezwał się Lothair.

— Tym razem, kuzynie, już mi się nie wymkniesz, chociaż w lesie ci się udało.

— Oddaj pistolet.

— Jest mi potrzebny, gdyż zamierzam cię zastrzelić.

Hrabia szybkim ruchem zasłonił mnie sobą. Szyderczy śmiech tamtego odbił się niesamowitym echem w tym ponurym miejscu.

— Nie zdołasz jej ocalić. Zabiję was oboje.

— Posłuchaj mnie, Philippe.

— Zbyt często musiałem cię słuchać. Teraz kolej, żebyś ty wysłuchał mnie.

— Zamierzasz mnie zabić, gdyż chcesz tego, co jest moje, prawda?

— Masz rację. Jeśli zależało ci, aby pozostać przy życiu, nie powinieneś był dążyć do poślubienia mademoiselle Lawson. Nie powinieneś znaleźć szmaragdów. Trzeba było zostawić coś dla mnie. A pani, mademoiselle Lawson, dziękuję za wskazanie mi drogi do nich. Ale teraz są moje. Wszystko jest moje!

— I sądzisz, że to morderstwo... ujdzie ci na sucho?

— Tak, przemyślałem sprawę. Moją intencją było przyłapać was oboje... właśnie tak. Nie sądziłem, że mademoiselle Lawson będzie na tyle uprzejma, że najpierw odnajdzie jeszcze nasze rodzinne klejnoty. Ale skoro tak, to nie mogło być lepiej. Morderstwo i samobójstwo. O, nie moje, kuzynie. Ja pragnę żyć... żyć według mych własnych reguł... wyjść z cienia, przynajmniej raz w życiu. Mademoiselle Lawson wzięła pistolet ze zbrojowni, zastrzeliła ciebie, a potem siebie. Tak pięknie ułatwiliście mi zadanie — będziecie mieli reputację, na jaką zasłużyliście.

— Philippe, jesteś szalony!

— Skończyłem rozmowę. Teraz przyszedł czas na działanie. Ty pierwszy, kuzynie... musimy dokonać tego we właściwej kolejności...

Zobaczyłam uniesiony pistolet. Usiłowałam się ruszyć, żeby ochronić hrabiego, ale on mocno trzymał mnie za sobą. Bezwiednie zamknęłam oczy. Usłyszałam ogłuszający wystrzał, a po tym huku... zapadła cisza. Niemal omdlewając z przerażenia, otworzyłam oczy.

Na ziemi walczyli ze sobą dwaj mężczyźni — Philippe i Jean Pierre. Już nawet nie byłam w stanie się zdziwić. Ledwie docierało do mnie to, co robią. W tym momencie bowiem uświadomiłam sobie, że wprawdzie nie postradałam życia w lochach, lecz straciłam wszystko, dla czego warto było żyć, gdyż na ziemi, brocząc krwią, leżał mężczyzna, którego kochałam.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Na zewnątrz zabawa trwała w najlepsze. Ludzie obchodzący święto winobrania nie wiedzieli, że hrabia leży w łóżku bliski śmierci; że Philippe zasnął pod wpływem środka nasennego, który zaaplikował mu lekarz; że ja z Jean Pierre'em siedzimy w bibliotece w niemym oczekiwaniu.

U rannego było dwóch lekarzy. Odesłali nas tutaj, żebyśmy czekali, a owo czekanie nie miało końca.

Jeszcze nie minęła jedenasta, a mnie się wydawało, że przeżyłam wieki od chwili, gdy znalazłam się w lochach, i nagle przyszło mi stanąć oko w oko ze śmiercią.

I co dziwne, był ze mną Jean Pierre, blady, z wyrazem zakłopotania w oczach, jakby nie rozumiał, co on tu właściwie robi.

— Jak to długo trwa — odezwałam się w pewnej chwili.

— Nie bój się. Nie umrze.

Pokiwałam głową.

— Tak — dodał niemal z goryczą — nie umrze, dopóki sam nie zechce. Czyż nie jest tak zawsze, że on... — Nikły uśmiech wykwitł mu na wargach. — Usiądź — powiedział z mocą. — Takie chodzenie w kółko nic ci nie da. Sekunda wcześniej, a byłbym go ocalił. Spóźniłem się o tę sekundę.

Wziął na siebie obowiązek przewodzenia w tych trudnych chwilach. Został tutaj i mogło się tak złożyć, że sam zostałby hrabią. Po raz pierwszy zauważyłam jego podobieństwo do rodziny de la Talle'ów — szczegół zaiste nieistotny w tych okolicznościach!

To Jean Pierre zapanował nad sytuacją w trakcie owej przerażającej sceny. To on polecił mi, żebym wezwała lekarzy, i ustalił dalszy plan postępowania.

— Trzeba jak najmniej mówić o tym, co się zdarzyło w lochach — uprzedził mnie. — Bo możesz być pewna, że hrabia poda własną wersję wydarzenia. Prawdopodobnie taką, że pistolet wystrzelił przypadkowo. Nie będzie chciał, żeby oskarżono monsieur Philippe'a o próbę morderstwa. Trzeba więc zachować daleko idącą dyskrecję, dopóki się nie dowiemy, jak on to przedstawi.

Uczepiłam się tych słów: „Dopóki się nie dowiemy”. Więc powinniśmy się dowiedzieć. Lothair otworzy oczy i będzie żył.

— Jeżeli będzie żył... — zaczęłam.

— Będzie — przerwał mi Jean Pierre.

— Gdybym mogła być tego pewna...

— On pragnie żyć. — Milczał przez chwilę, po czym mówił dalej: — Widziałem, jak się z nim oddalasz. Co mogłem na to poradzić! Monsieur Philippe także was dostrzegł... cóż, wszyscy widzieli i domyślali się, jak sprawy stoją. Obserwowałem was. Szedłem za wami do lochów... tak jak Philippe. Ale hrabia nie wyrzeknie się życia... i jeśli będzie chciał żyć, to przeżyje.

— W takim razie, Jean Pierre, okażesz się jego wybawcą.

Zmarszczył brwi.

— Nie wiem, dlaczego to zrobiłem — wyznał. — Mogłem pozwolić, by Philippe go zastrzelił. Jest pierwszorzędnym strzelcem, kula przeszłaby serce. Tam mierzył. Widziałem to i mówiłem sobie: „Już koniec z panem, Monsieur le Comte”. I wtedy... to zrobiłem... Rzuciłem się na zabójcę, chwyciłem go za ramię... O sekundę za późno. Można powiedzieć o ułamek sekundy. Pół sekundy wcześniej, i nabój trafiłby w sufit... pół sekundy później, i przebiłby mu serce. Ale nie mogłem dopaść Philippe'a wcześniej, nie byłem dostatecznie blisko. Nie wiem, dlaczego to

zrobiłem. Po prostu się nie zastanawiałem.

— Jean Pierre — powtórzyłam — jeżeli hrabia przeżyje, okażesz się jego wybawcą.

— To dziwne — przyznał.

Zapadła cisza.

Trzeba zacząć mówić o czymś innym. Nie mogłam znieść myśli, że on tam leży nieprzytomny... że z wolna ulatuje zeń życie, a wraz z tym moje nadzieje na szczęście.

— Szukałeś szmaragdów — powiedziałam.

— Tak. Zamierzałem je zabrać i wyjechać stąd. To nie byłaby kradzież, bo miałem prawo do czegoś... Teraz, oczywiście, nic nie dostanę. Pojadę do Mermoz i będę jego niewolnikiem przez całe życie... jeżeli on przeżyje, a przeżyje dzięki temu, co zrobiłem.

— Nigdy ci tego nie zapomnimy, Jean Pierre.

— Poślubisz go?

— Tak.

— A więc ciebie także utracę.

— Jean Pierre, ty nigdy mnie nie kochałeś. Chciałeś jedynie tego, czego według ciebie on pragnął.

— To dziwne... jak on zawsze był tu obecny... przez całe moje życie. Nienawidzę go, wiesz o tym. Były sytuacje, kiedy mogłem go zastrzelić... I pomyśleć, jeżeli teraz przeżyje, to dlatego że uratowałem mu życie. Samemu trudno mi w to uwierzyć!

— Nikt z nas nie wie, jak zachowa się w określonych okolicznościach... dopóki nie zetkniemy się z nimi twarzą w twarz. Dzisiaj, Jean Pierre, dokonałeś wspaniałego czynu.

— To był czyn nedorzeczny. Dla mnie nie do pojęcia. Już ci mówiłem, że nienawidzę hrabiego. Całe życie go nienawidziłem. Miał wszystko, czego pragnąłem. I jest tym, kim ja chcę być.

— I kim także pragnął być Philippe. Nienawidził go tak samo jak ty. To zazdrość. Jeden z siedmiu grzechów głównych, Jean Pierre, a ja sądzę, że najgorszy. Ty odniosłeś nad nim zwycięstwo. Cieszę się z tego, Jean Pierre, bardzo się cieszę.

— Jednak muszę ci powiedzieć, że to nie było zamierzone. A może było. Może w istocie nigdy poważnie nie myślałem o zabiciu go. Natomiast gdybym miał możliwość, na pewno ukradłbym te szmaragdy.

— Ale nigdy nie odebrałbyś mu życia. Teraz już sobie to uświadomiłeś. I pewnie nawet byś mnie nie poślubił. Może próbowałbyś ożenić się z Geneviève...

Twarz mu natychmiast złagodniała.

— Może jeszcze teraz mógłbym próbować — rzekł. — To właśnie rozdrażniło wielmożnego pana hrabiego.

— A Geneviève? Wykorzystałbyś ją jako narzędzie zemsty?

— Jest uroczym dziewczęciem. Młodą kobietką... kierującą się emocjami... i być może nieobliczalną jak ja. Oraz córką hrabiego. Nie sądzę, by ten dzisiejszy szalony wyczyn wpłynął dodatnio na mój charakter. Co do Geneviève, to niczego nie mogę obiecać.

— Jest młodziutka i wrażliwa.

— Ma dla mnie dużo uczucia.

— Nie wolno jej zranić. Nie miała łatwego życia.

— Uważasz, że bym ją zranił?

— Nie, Jean Pierre. Sądzę, że nawet w połowie nie jesteś taki zły, za jakiego się uważasz.

— Nie wiesz o mnie wiele, Dallas.

— Chyba sporo.

— Gdybyś wiedziała więcej, byłabyś zdumiona. Mam własne plany... zamierzam doczekać chwili, gdy mój syn zostanie panem na zamku, jeżeli mnie się to nie uda.

— Jak to byłoby możliwe?

— Bo widzisz, on miał pewne zamiary, zanim zapragnął poślubić ciebie. Nie ożenił się ponownie, więc zdecydował, że sprowadzi tu kochankę i wyda ją za mąż za Philippe’a. Jego syn i jej byłby dziedzicem zamku. Ale to nie będzie jego syn, lecz mój.

— Ty... i Claude!

— Dlaczego by nie? Ona była wściekła, bo hrabia ją ignorował. Z Philippe’a żaden mężczyzna, tak więc... I co o tym myślisz?

Usłyszałam zbliżające się kroki. Mogłam teraz myśleć wyłącznie o tym, co działo się w pokoju na piętrze. Lekarze weszli do biblioteki. Obydwaj pochodzili z miasteczka i dobrze orientowali się w naszej sytuacji. Jeden z nich leczył hrabiego po tamtym wypadku w lesie.

Wstałam i obaj mężczyźni podeszli do mnie.

— On... — zaczęłam.

— Teraz śpi — powiedział jeden z nich.

Patrzyłam na nich w milczeniu, błagalnym wzrokiem prosząc o trochę nadziei.

— Mało brakowało — odezwał się ten sam lekarz niemal czułym głosem. — Kilka centymetrów i... miał szczęście.

— Czy wyzdrowieje? — Mój głos zabrzmiał nieskrywanym uczuciem.

— Na razie nie można powiedzieć, że już nie zagraża mu niebezpieczeństwo. Jeżeli przeżyje tę noc...

Opadłam na fotel.

— Mógłbym pozostać tu do rana — zaproponował lekarz.

— O tak, bardzo proszę.

— Jak to się stało? — zapytał starszy z doktorów.

— Pistolet przyniesiony przez monsieur Philippe’a wypalił — odrzekł Jean Pierre. — Monsieur le Comte będzie mógł dokładnie wyjaśnić, jak do tego doszło... kiedy wróci do sił.

Obaj pokiwali głowami. Zastanawiałam się, czy to oni byli tu w dniu śmierci Françoise. I czy wtedy też czekali na wyjaśnienia hrabiego dotyczące tamtej tragedii.

Nie obchodziło mnie, co się stanie potem. Jednego, czego pragnęłam, to jego wyzdrowienia.

— Pani jest mademoiselle Lawson, czy tak? — spytał młodszy lekarz.

Potwierdziłam.

— Ma pani na imię Dallas czy jakoś podobnie?

— Tak.

— Chyba usiłował wypowiedzieć pani imię. Może posiedziałyby pani przy jego łóżku? Nie będzie w stanie mówić do pani, ale gdyby się obudził, może chciałby panią ujrzeć.

Udałam się do sypialni Lothaira i przesiedziałam tam całą noc, wpatrując się weń i modląc o jego życie. Nad ranem otworzył oczy i spojrzał na mnie. Byłam pewna, że ucieszył się z mojej obecności.

— Musisz żyć — odezwałam się wtedy. — Nie możesz teraz umrzeć i mnie zostawić.

Mówił mi później, że usłyszał te słowa, i z tego właśnie powodu powiedział śmierci: „nie”.

* * *

Po tygodniu było już wiadomo, że powrót rannego do zdrowia jest tylko kwestią czasu. Miał niezwykle silny organizm, orzekli lekarze, i cudem uniknął śmierci. Teraz należało oczekiwać po nim cudownego odzyskania sił.

Hrabia przedstawił własną wersję tego, co zaszło. Zachował się tak, jak podejrzewaliśmy. Nie chciał ujawnić, że własny kuzyn próbował go zamordować. Philippe i Claude wyjechali do

Burgundii. W rozmowie między kuzynami zostało wyraźnie stwierdzone, że tamten nigdy do zamku nie wróci.

Byłam zadowolona, że już więcej nie muszę oglądać Claude, zwłaszcza teraz, kiedy wiedziałam, że miała nadzieję na odnalezienie szmaragdów. Zainteresowała się bowiem malowidłem ściennym po odkryciu przeze mnie zapisanych tam słów i wtedy prawdopodobnie domyśliła się, że przypadkowo wpadłam na właściwy trop. Porozumiała się z mężem i pilnowała mnie. Przeszukiwała moją sypialnię w czasie, gdy on zatrzymał mnie w winnicy. To Philippe szedł za mną tamtego dnia w zagajniku. Czy zamierzał mnie zastrzelić, tak jak poprzednio usiłował zabić hrabiego? Chcieli się mnie pozbyć i starali się ze wszystkich sił nakłonić mnie do wyjazdu, proponując inną pracę. Zauważyli bowiem, że hrabia bardzo się mną interesuje. Gdyby mnie poślubił, ich plany zostałyby zniweczone.

Claude miała dziwnie skomplikowaną naturę. Byłam przekonana, że początkowo rzeczywiście martwiła się o mnie i chciała uchronić mnie przed hrabią, częściowo dla mego własnego dobra. Trudno jej było uwierzyć, że kobieta taka jak ja mogłaby wzbudzić w nim trwałe uczucie, skoro nawet takiej piękności jak ona to się nie udało. Zapewne byłaby gotowa sprzymierzyć się albo z mężem, albo z Jean Pierre'em — wyjechać z tym drugim, gdyby znalazł szmaragdy, lub zostać z Philippe'em, gdyby to jemu się poszczęściło.

Byłam więc zadowolona, że Jean Pierre nie będzie miał z nią kontaktu, gdyż zawsze darzyłam go sympatią.

Hrabia oświadczył, że winnice w Mermoz przekaże mu na własność.

— Taki niewielki rewanż — wyjaśnił — za uratowanie mi życia.

Nie wyjawiałam mu tego, czego się dowiedziałam. Zresztą chyba on też to wiedział, gdyż nigdy nie spytał, co właściwie Jean Pierre robił w zamkowych lochach.

Nastaly dni pełne nadziei i obaw. To ze mną rozmawiali lekarze o stanie rannego, a ja odkryłam w sobie kwalifikacje na pielęgniarkę. Być może wyzwoliło je we mnie szczególne uczuciowe zaangażowanie wobec pacjenta.

Siadywaliśmy w ogrodzie i rozmawialiśmy o naszej przyszłości, a także o Philippie i Jean Pierze. Philippe, tak mi się wydawało, chciał początkowo, żebym została w zamku, gdyż sądził, że hrabia nigdy poważnie mną się nie zainteresuje. Kiedy jednak dostrzegł, że się pomylił, szukał sposobu, żeby się mnie pozbyć. Razem z Claude obmyślili, że zaproponują mi renowację obrazów jej ojca i wyjadę z Gaillard. Claude jeszcze próbowała mnie skusić bardziej atrakcyjną pracą. W końcu oczywiście to Philippe zaplanował usunięcie mnie z drogi w bardziej radykalny sposób.

Doszliśmy do wniosku, że skrytka w ścianie została wykonana w miejscu, gdzie jakiś nieszczęsny więzień dawno temu przekopywał drogę z *oubliette* do lochów. Hrabia pamiętał, że jego dziadek wspominał o takich wypadkach.

Szmaragdy umieszczono w skarbcu. Może pewnego dnia będę je nosić. Myśl o tym jednak nadal wydawała mi się nierealna.

Pragnęłam, żeby wszystko zostało doprowadzone do porządku, gdyż w ogóle lubiłam ład wokół siebie i dopiero wtedy czułam całkowite zadowolenie. Czasami, gdy siedziałam w pełnym słońca ogrodzie, wpatrując się w uwieńczone machikułami baszty zamku, zdawało mi się, że żyję w bajce. Byłam księżniczką w przebraniu. Uratowałam królewicza, na którego ktoś rzucił urok. Zdjęłam zeń ów zły czar, a księżę będzie żyć szczęśliwie przez długie, długie lata. Tego właśnie chciałam być pewna teraz... podczas babiego lata przy brzegu wodnej tafli, mając u boku mężczyznę, którego wkrótce zamierzałam poślubić i który z każdym dniem odzyskiwał siły.

Ale życie nie jest bajką.

Jean Pierre wyjechał do Mermoz i z tego powodu Geneviève była w ponurym nastroju. Miała głowę pełną szalonych planów, a je —

den szlachetny uczynek nie zmienił z dnia na dzień charakteru młodego Bastide'a.
A nad mym szczęściem unosił się ponury cień.
Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek uda mi się zapomnieć o pierwszej żonie Lothaira.
Ludzie wiedzieli, że mam poślubić hrabiego. Widziałam ich spojżenia... madame Latiere,
madame Bastide... całej służby.

To była bajka.

Młoda, uboga kobieta przybyła do zamku i miała poślubić ich hrabiego!

Geneviève, rozszalona po stracie Jean Pierre'a, wyraziła bez ogródek to, co myśleli inni.

— Jest pani bardzo odważna.

— Odważna? Co masz na myśli?

— Jeżeli on zamordował pierwszą żonę, to czemu nie miałby za» bić też następnej? &»

Nie, nie zanosilo się na szczęśliwe zakończenie romansu.

* * *

Myśl o Françoise zaczęła mnie prześladować. To było bardzo dziwne. Twierdziłam, że nie wierzę plotkom, które do mnie docierały, i rzeczywiście tak było. A jednak nie dawały mi spokoju.

On jej nie zabił, powtarzałam sobie nieustannie. Ale dlaczego nie chciał wyjawic mi prawdy?

„W stosunkach między nami nie ma miejsca na kłamstwa” — tak kiedyś powiedział. To z tego powodu nie mógł mi wyjawic, jak było.

Nadarzyła się jednak pewna sposobność i nie mogłam się jej oprzeć.

A stało się to tak. Było popołudnie, w zamku panowały spokój i cisza. Martwiłam się o Geneviève, więc poszłam do Nounou, gdyż chciałam porozmawiać o jej podopiecznej. Pragnęłam się zorientować, jak bardzo dziewczynka przeżyła wyjazd Jean Pierre'a.

Zapukałam do drzwi. Nie było odpowiedzi, więc weszłam do pokoju. Staruszka leżała na kanapie z oczami zasłoniętymi ciemną chustką. Domyśliłam się, że znowu ma migrenę.

— Nounou — odezwałam się cicho, ale nie odpowiedziała. Przeniosłam wzrok ze śpiącej kobiety na szafkę, gdzie trzymała owe zeszyty, i zobaczyłam, że klucz tkwi w zamku. Zwykle nosiła go na łańcuszku i nie zdarzało się, by niezwłocznie po zamknięciu drzwiczek klucz nie wrócił na swoje miejsce.

Pochyliłam się nad staruszką. Oddychała głęboko, spała mocnym snem. Spojrzałam ponownie na szafkę i pokusa okazała się nie do odparcia. Musiałam wiedzieć. Przekonywałam samą siebie, że przecież Nounou pokazała mi inne dzienniczki, więc dlaczego nie miałabym zobaczyć tego jednego? Przecież Françoise nie żyje. Skoro te notatki mogła czytać jej piastunka, to dlaczego nie ja?

To bardzo istotne, mówiłam sobie. Sprawa wręcz najwyższej wagi. Muszę wiedzieć, co jest w tym ostatnim zeszycie.

Podeszłam cicho do szafki i obejrzawszy się na śpiącą, otworzyłam drzwiczki. Zobaczyłam buteleczkę, przy której stał mały kieliszek. Wzięłam ją do ręki i powąchałam. Zawierała opium, które staruszka trzymała na wypadek migreny. Ten sam narkotyczny lek, który zabił Françoise.

Zapewne Nounou zażyła go, gdyż ból głowy był nie do zniesienia. Musiałam dowiedzieć się prawdy. Nie czas teraz na zbytne skrupuły.

Sięgnęłam po zeszyt ostatni w rzędzie. Nie miałam wątpliwości, że dzienniczki ułożone zostały we właściwym porządku. Otworzyłam go i rzuciłam okiem.

To był ten, który pragnęłam przeczytać.

Podeszłam do drzwi.

Nounou nadal leżała nieruchomo. Pośpieszyłam do swego pokoju i zaczęłam czytać z bijącym

sercem.

„A więc będę miała dziecko. Tym razem może to będzie chłopiec. To by sprawiło mu przyjemność. Jeszcze nikomu o tym nie mówiłam. Lothair musi dowiedzieć się pierwszy. Powiem mu: «Lothair, będziemy mieli dziecko. Cieszysz się?». Oczywiście boję się, nawet bardzo. Ale jak już będzie po wszystkim, to okaże się, że było warto. Co na to powie Papa? Poczuję się dotknięty... oburzony. O ile byłby szczęśliwszy, gdybym przyszła do niego i powiedziała, że wstępuję do zakonu, by żyć z dala od nikczemności świata, od żądz i próżności. To by mu się spodobało. A ja pójdę do niego i powiem: «Papo, będę miała dziecko». Ale jeszcze nie teraz. Wybiorę odpowiednią chwilę. Dlatego jeszcze nikomu nie mogę nic wyjawić. Bo Papa mógłby się dowiedzieć”.

„Mówią, że kobieta w ciąży się zmienia. Ja też się zmieniłam. Mogłabym być taka szczęśliwa. I prawie jestem. Marzę o tym dziecku. To będzie chłopiec, bo tak go pragniemy. Trzeba koniecznie, by hrabiowie de la Talle mieli synów. Oni dlatego się żenią. Gdyby nie to, zadowolaliby się kochankami. Tak naprawdę to tylko one ich obchodzą. Ale teraz wszystko się zmieni. Lothair spojrzy na mnie w inny sposób. Nie będę tylko tą, którą poślubił przez wzgląd na rodzinę. Będę matką jego syna”.

„Jest cudownie. Powinnam była przedtem to wiedzieć. Nie powinam była słuchać Papy. Wczoraj pojechałam do Carrefour, ale mu nie powiedziałam. Nie miałam dość siły. A przyczyna jest taka, że czuję się bardzo szczęśliwa z tego powodu, a on to zbruka. Spojrzy na mnie tym surowym, zimnym wzrokiem i dojrzy wszystko... wszystko, co doprowadziło do tego, że jestem w ciąży... ale nie w ten sposób, jak było... tylko tak, jak on to pojmuje: jako rzecz straszną i grzeszną... Chciałam zawołać do niego: «Nie, Papo, to nie tak. Ty się mylisz. Nigdy nie powinam była cię słuchać»,.

„Och, ten pokój, gdzie klęczeliśmy razem i ty modliłeś się, żebym została uchroniona przed żądzami ciała! To dlatego wzbraniałam się przed bliskością Lothaira. Stale pamiętam tamtą noc przed ślubem. Dlaczego Papa się zgodził na to małżeństwo? Prawie natychmiast tego pożałował. Przypominam sobie, jak po wieczornym przyjęciu z okazji zawarcia *contrat de mariage* modliliśmy się razem i on powiedział: «Moje dziecko, żałuję, że to w ogóle się stało». A ja na to: «Dlaczego, Papo, wszyscy mi gratulują!». Odpowiedział: „Ponieważ małżeństwo jako wejście do rodziny de la Talle uważane , jest za korzystne, ale ja byłbym szczęśliwy, gdybym wiedział, że żyjesz w czystości». Wtedy go nie rozumiałam. Odparłam, że będę się starała żyć uczciwie, ale on nadal coś mamrotał o żądzach ciała. A wieczorem przed ślubem w kościele modliliśmy się razem. Byłam taka niewinna i zupełnie nie wiedziałam, czego się ode mnie oczekuje, poza tym, że chodzi o rzeczy haniebne i że ojciec żałuje, iż nie zdoła oszczędzić mi wstydu. I w ten sposób podeszłam do mego męża...”.

„Ale teraz będzie zupełnie inaczej. Doszłam do przekonania, że Papa całkowicie się mylił. Nigdy nie powinien był się żenić. Chciał przecież być mnichem. Miał wstąpić do zakonu, ale doszedł do wniosku, że bardziej pragnie się ożenić, więc zmienił pierwotny zamiar i poślubił moją matkę. Znienawidził siebie za własną słabość i habit stał się jego najdroższym skarbem. Nie miał racji, teraz to wiem. Mogłam być szczęśliwa. Mogłam nauczyć się, w jaki sposób zdobyć miłość Lothaira, gdyby Papa mnie nie straszył, gdyby mi nie wmawiał, że małżeńskie łoże przynosi hańbę. Staram się go nie potępiać. Przez te wszystkie lata, kiedy mój mąż stronił ode mnie, kiedy spędzał noce z innymi kobietami, może one wcale nie były mu potrzebne. Zaczęłam rozumieć, że to ja odwróciłam się od niego z powodu owego przejmującego mnie przerażeniem i odrazą poczucia grzechu. Pojadę jutro do Carrefour i wyznam Papie, że będę miała dziecko. Powiem mu: «Papo, nie czuję wstydu... lecz dumę. Od tej chwili wszystko już będzie inaczej»,.

„Nie pojechałam do Carrefour, tak jak sobie przyrzekłam. Znowu zaczął mnie boleć ząb

mądrości. Nounou powiedziała mi: «Kobiety w ciąży czasem tracą zęby. Ty chyba nie jesteś... co, dziecko?». Zaczerwieniłam się i ona już wiedziała. Jak mogłam trzymać to w sekrecie przed nianią? Zwróciłam się do niej z prośbą: «Nie mów jeszcze o tym nikomu, Nounou. Jeszcze mu nie powiedziałam. Lothair powinien dowiedzieć się pierwszy, prawda? I chcę też oznajmić to Papie». Nounou umiała wczuć się w moje położenie. Tak dobrze mnie знаła. Wiedziała, do jakich modlitw Papa mnie skłania, kiedy do niego przychodzi. Wiedziała, że Papa by wolał, żebym została zakonnica. Wiedziała, co myślał o małżeństwie. Potarła mi dżiasto olejkiem goździkowym, twierdząc, że to pomoże. Usiadłam na podnóżku i przytuliłam się do niej, tak jak to robiłam jako dziecko. I dalej rozmawiałyśmy. Wyznałam jej, co czuję. Powiedziałam: «Papa nie miał racji, Nounou. Wpisał we mnie przekonanie, że małżeństwo przynosi kobiecie hańbę. I to właśnie z tego powodu... ponieważ to ja stworzyłam memu mężowi sytuację nie do zniesienia, on zwrócił się w stronę innych kobiet». «Nie obwiniaj się — odrzekła. — Ty nie złamałaś żadnego z przykazań». «Papa sprawił, że czułam się nieczysta — ciągnęłam. — Tak było od samego początku. Dlatego mąż odwrócił się ode mnie. Nigdy nie potrafiłam mu tego wytłumaczyć. Uważał mnie za kobietę oziębłą, a ty wiesz, Nounou, że on nie jest mężczyzną pozbawionym temperamentu. Potrzebował ciepłej, uczuciowej i mądrej żony. Nie został potraktowany uczciwie». Nounou nie chciała się ze mną zgodzić. Powtarzała, że nic złego nie robiłam. Oskarżyłam ją, że staje po stronie Papy. Zarzuciłam jej nawet więcej: «Chyba ty także wolałabyś, żebym poszła do klasztoru, niż wyszła za mąż...». Nie zaprzeczyła. Przycisnęłam ją do muru: «Ty także, Nounou, uważasz, że małżeństwo hańbi kobiety?». I tym razem nie oponowała. Ból zęba nie ustępował, więc dała mi parę kropli opium rozpuszczonego w wodzie i ułożyła mnie na kanapie w swoim pokoju. Zamknęła butelkę w szafce i usiadła przy mnie. «Teraz będziesz mogła się zdrzemnąć — rzekła. — To ci zapewni przyjemny sen». Tak też się stało”.

„To jest zbyt straszne. Chyba nie zapomnę do końca życia tego, co bez przerwy zaprzęta mi głowę. Może gdybym opisała, co się wydarzyło, potrafiłabym przestać myśleć o tym bez końca. Papa jest ciężko chory. A zaczęło się tak. Dzisiaj pojechałam do niego z wizytą. Zdecydowałam, że powiem mu o dziecku. Kiedy przyszłam, był w swoim pokoju, więc udałam się prosto do niego. Siedział przy stole i czytał Biblię. Podniósł na mnie wzrok, założył stronę, na której skończył czytanie, jedwabną czerwoną zakładką i zamknął książkę. «Jesteś, moje dziecko» — rzekł. Podeszłam i pocałowałam go. Chyba od razu zauważył we mnie zmianę, gdyż sprawiał wrażenie zaskoczonego i jakby trochę zaniepokojonego. Spytał mnie o Geneviève, czy ją ze sobą przywiozłam. Powiedziałam, że jej nie wzięłam. Biedne dziecko, nie można od niej wymagać, by wytrzymywała te długie modlitwy. Robi się wtedy jeszcze krnąbrniej sza, a Papa przejmuje się tym bardziej niż kiedyś. Zapewniłam go, że ona jest dobrym dzieckiem. Stwierdził, iż dziewczynka przejawia skłonności do całkowitej samowoli. Trzeba na to uważać. Może dlatego, że miałam znowu zostać matką, stawałam się oporna wobec jego argumentów. Nie życzyłam sobie, aby Geneviève podchodziła do swego męża — gdy na to przyjdzie czas — tak samo jak ja do mego. Odpowiedziałam dość ostro, że uważam ją za normalne dziecko, takie, jakim powinna być. Nie można oczekiwać, żeby dzieci zachowywały się jak aniołki. Wstał i popatrzył na mnie straszonym wzrokiem. «Normalne — powtórzył. — Dlaczego to powiedziałaś?». Odrzekłam, iż to normalne, że dzieci czasem bywają samowolne, jak to określił. I taka jest Geneviève. Nie będę jej za to karała. «Rózczką Duch Święty dziateczki bić radzi». Przeraził mnie. «Nie masz racji, Papo — rzekłam. — Całkiem się z tobą nie zgadzam. Geneviève nie będzie bita. Ani żadne z mych dzieci». Spojrzał na mnie zdziwiony, a ja się wygadałam: «Tak, Papo, będę miała dziecko. Tym razem, mam nadzieję, chłopca. Modlę się, żeby tak się stało, i ty też powinieneś się o to modlić». Usta wykrzywiły mu się w jakimś dziwnym skurczu. «Spodziewasz się dziecka...». Odpowiedziałam radośnie: «Tak, Papo. Jestem szczęśliwa... szczęśliwa... szczęśliwa...». «Jesteś niezwykle

podniecona» — oświadczył. «Czuję podniecenie i chciałabym tańczyć z radości». Wtedy on uchwycił się stołu, jakby miał osunąć się na podłogę. Złapałam go i uchroniłam przed upadkiem. Nie mogłam zrozumieć, co mu się stało. Wiedziałam tylko, że ciężko zaniemógł. Wezwałam madame Labisse i Maurice'a. Przyszli i zaprowadzili go do łóżka. Mnie samej zrobiło się słabo i zemdlalam. Posłali po mego męża i potwierdziło się, że ojciec jest bardzo chory. Byłam przekonana, że on umiera.

Dwa dni temu ojciec zażądał widzenia ze mną. Cały dzień o to prosił. Chciał, żebym przy nim posiedziała. Lekarz uważa, że powinnam, bo dobrze mu to robi. Ciągle jestem w Carrefour. Mój mąż także jest tutaj. Opowiedziałam mu, jak to się stało. «Poczuł się tak źle, kiedy mu powiedziałam, że będę miała dziecko. To był chyba dla niego wstrząs». Lothair mnie pocieszał. «On już od dłuższego czasu był chory — tłumaczył. — Dostał wylewu i taka rzecz mogła się wydarzyć w każdej chwili». «Ale — odpowiedziałam na to — on nie chciał, żebym miała dzieci. Uważał to za grzech». Mówił, że nie powinnam się denerwować, bo mogę zaszkodzić dziecku. Jest bardzo zadowolony. Wiedziałam, że będzie zadowolony, bo ponad wszystko pragnął mieć syna”.

„Dzisiaj siedziałam przy Papie. Byliśmy sami. Otworzył oczy i mnie zobaczył. «Honorine... to ty, Honorine?». «Nie — odrzekłam. — To ja, Françoise». Ale on nadal powtarzał: «Honorine», więc nie miałam wątpliwości, że bierze mnie za moją matkę. Gdy tak siedziałam przy jego łóżku, wróciłam myślą do owych dawnych dni, kiedy ona jeszcze żyła. Nie każdego dnia ją widywałam. Czasami madame Labisse przyprowadzała ją do salonu ubraną w popołudniowy peniuar, ozdobiony wstążkami i koronkami. Siadała na fotelu i niewiele się odzywała. Zawsze myślałam, że jest dziwną matką. Ale była bardzo piękna. Zdawałam sobie z tego sprawę nawet jako dziecko. Wyglądała jak lalka, którą kiedyś miałam. Twarz miała gładką, cerę zaróżowioną i bez żadnej zmarszczki. Była bardzo szczupła w talii, jednak poza tym zaokrąglona, miała takie kształty jak piękne kobiety na oglądanych przeze mnie obrazach. Tu, koło jego łóżka, myślałam o niej i o tym, jak kiedyś tu przyszłam i zastałam ją śmiejącą się tak dziwnie, że po prostu nie mogła przestać i się uspokoić. Dopiero madame Labisse zabrała mamę do jej pokoju, skąd przez długi czas nie wychodziła. Znałam ten pokój, gdyż raz tam byłam. Weszłam schodami na górę, bo chciałam z nią posiedzieć. Zastałam ją na fotelu; nogi w rannych aksamitnych pantoflach opierała na podnóżku. Pamiętam, że na zewnątrz padał śnieg, a tam było bardzo ciepło. Lampa znajdowała się wysoko na ścianie, a wokół kominka stała taka sama osłona, jaką miałam w dzieciennym pokoju. Zwróciłam uwagę na okno, bardzo małe, bez zasłon, za to zakratowane. Podeszłam do niej i usiadłam u jej stóp. Nie odezwała się do mnie, lecz była zadowolona z mej obecności, gdyż zaczęła się bawić moimi włosami — targać je, pociągać za nie, aż całkiem mi je rozczochrała. Nagle zaczęła się śmiać w ten sam dziwny sposób, śmiechem, który już przedtem słyszałam. Do pokoju weszła madame Labisse i mnie tam znalazła. Oświadczyła, że mam natychmiast wyjść. Powiedziała też Nounou, że ma mnie skarcić i zakazać mi wchodzenia na górę. Więc widywałam Mamę tylko wtedy, gdy schodziła do salonu. Kiedy Papa powtarzał stale imię *maman*, wszystko to sobie przypominałam. Powiedział nagle: «Honorine, muszę iść. Muszę odejść. Nie, nie mogę zostać». Potem zaczął się modlić: «O Boże, jestem słabym i grzesznym człowiekiem. Ta kobieta mnie kusi i to przez nią stałem się grzesznikiem. A kara nadchodzi. Ty wystawiasz mnie na próbę, o Panie, i Twój nieszczęsny sługa zdradził Ciebie... siedemdziesiąt siedem razy Cię zdradziła Odezwałam się: «Papo, nie denerwuj się, tu nie ma Honorine.

To ja, Françoise, twoja córka.. A ty nie jesteś grzesznikiem. Byłeś dobrym człowiekiem». Potem nadal mówiłam do niego, próbując go uspokoić”.

„Tej nocy zrozumiałam wiele z tego, co dotyczyło mego ojca. Leżałam w łóżku i wyłaniał się przede mną obraz Papy. Tęsknił do świętości; pragnął być mnichem, lecz jego zmysły stanęły na przeszkodzie temu celowi. Mężczyzna o takiej naturze jak on musiał cierpieć tortury, świadomy

własnych ułomności, szukający drogi do ich wykorzenienia. A gdy poznał moją matkę, zapragnął jej, porzucił marzenie o klasztorze i się ożenił. Lecz nawet po ślubie starał się tłumić własne pożądanie, a kiedy mu się to nie udawało, nabrał do siebie pogardy. Moja matka była piękna, nawet będąc dzieckiem, potrafiłam to dostrzec. Dla niego zaś była kobietą, której nie mógł się oprzeć. Wyobrażałam go sobie, jak krąży po pokoju, starając się trzymać od niej z daleka. Uważał miłość fizyczną za grzeszną, lecz nie potrafił jej się przeciwstawić. Mogłam sobie wyobrazić, jak to było w czasie tych dni i nocy, kiedy zamykał się w podobnym do celi pokoju, spał na twardym posłaniu lub kiedy się biczował. Oczekiwał zemsty, gdyż wierzył w zemstę. Najmniejszy błąd mój czy służby musiał być ukarany. W czasie porannych modlitw to był temat jego codziennych religijnych rozważań. «Do Mnie należy pomsta... — mówi Pan»*. Biedny Papa. Jak bardzo musiał być nieszczęśliwy. Biedna *maman!* Czym był dla niej ten związek? Wtedy pojęłam, co on mi uczynił i jak zniszczył moje małżeństwo, i zapłakałam. Ale pomyślałam sobie: «Jeszcze nie jest za późno. Będę miała dziecko, więc może jeszcze nie wszystko stracone». Zastanawiałam się też, jak mogłabym pomóc Papie, lecz nie widziałam żadnego sposobu”. „Dzisiaj rano przyszła do mnie Nounou, żeby podnieść story w oknach. Popatrzyła na mnie z niepokojem. Powiedziała, że mizernie wyglądam, bo musiałam mieć bezsenność. Tak rzeczywiście było. Godzinami nie mogłam zasnąć, myśląc o Papie i o tym, co zrobił z moim życiem. «Czy bolał cię ząb?» — spytała niania. Nadal traktuje mnie jak dziecko i nie przychodzi jej na myśl, że mogą mnie trapić jakieś poważniejsze kłopoty. Niech myśli, że to ząb. Nie potrafiłabym wyjaśnić jej tych spraw, zresztą nawet na to nie miałam ochoty. «Musisz zażyć dziś wieczorem trochę opium, moje dziecko» — powiedziała. «Dobrze, Nounou — odrzekłam. — Dziękuję ci za troskę».

„Gdy przyjechałam do Carrefour, Maurice powiedział, że Papa mnie oczekuje. Miał bez przerwy wzrok utkwiony w drzwi i gdy ktokolwiek w nich się pojawił, wymawiał me imię. Wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy się zjawiłam. Udałam się do pokoju Papy i usiadłam koło łóżka. Oczy miał zamknięte i gdy je po jakimś czasie otworzył, właściwie nie zwrócił na mnie uwagi. Mamrotał coś do siebie, powtarzając bez końca: «Pomsta Pana...». Robił wrażenie bardzo niespokojnego. Pochyliłam się nad nim i wyszeptalam: «Papo, nadwerężasz swe siły, leż spokojnie». «Czy to Françoise? — zapytał. — Czy to moja córka?». Potwierdziłam. «A czy jest tu dziecko?». «Tak, Papo, twoja mała wnuczka, Geneviève». Zmarszczył ponuro brwi, a ja się przelekkłam. Zaczął szeptać do mnie: «Rozpoznałem oznaki... grzechy ojców...». Czułam, że muszę go pocieszyć. Powiedziałam: «Papo, chyba cię rozumiem. Kochałeś swą żonę, ale to nie grzech. Miłość jest rzeczą ludzką i ze swej natury mężczyźni i kobiety mają dzieci. W ten sposób został urządzony świat». Nadal mamrotał coś do siebie i zastanawiałam się, czy nie zawołać Maurice'a. Od czasu do czasu dało się słyszeć składne zdania. «Ja wiedziałem, to była choroba... Nadszedł czas, kiedy zaczęła bawić się ogniem. Nadszedł czas, kiedy złapaliśmy ją na tym, jak roznieciła ognisko w sypialni... Układała patyki jeden na drugim... wszędzie znajdowaliśmy patyki, jakby przygotowane na ognisko, w szafach, pod łózkami... Potem wezwaliśmy lekarzy». «Papo — zapytałam — czy chcesz powiedzieć, że Mama była obłąkana?». Nie odpowiedział i mamrotał dalej, jakby nie usłyszał mego pytania. «Mogłem ją oddalić... Powinienem był ją usunąć z domu... ale nie potrafiłem obyć się bez niej... i nadal do niej chodziłem... chociaż już wiedziałem. A w stosownym czasie pojawił się owoc jej obłędu. To mój grzech i przyjdzie pomsta... i ja wyglądam jej... oczekuję jej». Byłam przerażona, zapomniałam, że mam do czynienia z chorym człowiekiem. Wiedziałam, że to, co mówił, było prawdą, tak jak Papa ją widział. Teraz pojęłam również, dlaczego Mamę trzymano w pokoju z zakratowanymi oknami. Poznałam też przyczynę nienormalnej sytuacji w naszym domu. Moja matka była obłąkana. To z

* Biblia Tysiąclecia, Rz. 12,19

tego powodu ojciec nie chciał, żebym wychodziła za mąż. «Françoise — szeptał. — Françoise... moja córko!». «Jestem tutaj, Papo». «Czuwałem nad Françoise — rzekł. — Była dobrym dzieckiem: spokojnym, nieśmiałym i skromnym... niepodobnym do swej matki. Nie miała jej bezwstydu, nie pozwalała sobie na miłość, obciążoną grzechami ciała. Nie, moja córka uniknęła tego... Ale to jest wpisane do trzeciego i czwartego pokolenia. Została wybrana na małżonkę przez de la Talle'ów, a ja wyraziłem zgodę. Popełniłem grzech pychy. Nie potrafiłem powiedzieć hrabiemu, gdy prosił o rękę Françoise dla swego syna, że jej matka była obłąkana. Oznajmiłem mojej córce, że powinna wyjść za mąż, i zostałem ukarany za pychę i żądzę, gdyż ponosiłem winę za owe dwa z najcięższych grzechów. Ale nie zapobiegłem temu małżeństwu i moja córka znalazła się w zamku». Usiłowałam go uspokoić: «Wszystko dobrze, Papo, nie ma żadnych powodów do obaw. Co było, minęło. Teraz wszystko jest dobrze». «Aż do trzeciego, i czwartego pokolenia — powtarzał. — Grzechy ojców... Dostrzegłem je w tym dziecku. Ona jest rozpuszczona i podobna do swojej babki. Rozpoznaje oznaki. Będzie taka jak jej babka... nie oprze się rozkoszom ciała i zarodek zła przejdzie na następne pokolenia». «Nie możesz tak myśleć o Geneviève, o mojej małej dziewczynce». «Zarodek zła tkwi w tym dziecku, widziałem to. Będzie rósł i rósł, aż ją zniszczy. Powinienem był ostrzec moją córkę. Ona tego uniknęła, lecz jej dziecko nie zdoła». Narastał we mnie strach, zaczęłam rozumieć znacznie więcej niż przedtem. Teraz pojęłam, dlaczego tak go przeraziła wiadomość, że będę miała drugie dziecko. Siedziałam przy łóżku mego ojca zmartwiała ze zgrozy.

Nie mam nikogo, z kim mogłabym porozmawiać. Kiedy wróciłam z Carrefour, poszłam do jednego z kwiatowych ogrodów i rozmyślałam tam długo w samotności. Geneviève! Moja córka! Różne wydarzenia z przeszłości stawały mi przed oczyma. Czułam się tak, jakbym oglądała jakąś sztukę w teatrze, scena po scenie, wszystkie o doniosłym znaczeniu, prowadzące do punktu kulminacyjnego. Wspominałam jej niepohamowane wybuchy złości; jak śmiała się głośno i długo, a ów śmiech mieszał się w moich uszach z echem z przeszłości. Moja matka... i moja córka. Nawet były do siebie podobne... Im bardziej próbowałam przypomnieć sobie rysy *maman*, tym bardziej widziałam twarz Geneviève. Zrozumiałam teraz, że powinnam była czuwać nad moją córką tak samo jak ojciec czuwał nade mną. Każde drobne wykroczenie z czasów jej dzieciństwa, które wtedy traktowałam jak psotę, nabierało teraz nowego znaczenia. Zarodek zła przeszedł przeze mnie do następnego pokolenia. Ojciec, który pragnął być mnichem, nie potrafił opanować swej namiętności do żony, choć wiedział, że jest obłąkana, a w rezultacie tego ja się urodziłam, a potem z kolei ja urodziłam dziecko. Dostrzegając groźbę sytuacji, w jakiej się znalazłam, zaczęłam trząść się ze strachu nie tylko z powodu mej biednej Geneviève. Było wszak jeszcze nienarodzone dziecko”.

„Wczoraj nie pojechałam do Carrefour. Nie mogłam. Wymówiłam się chorym zębem. Nounou się mną zajęła, dała mi parę kropli swego lekarstwa i wysłała do łóżka. Kiedy się obudziłam, poczułam się wypoczęta, lecz zaraz wróciły poprzednie lęki. To dziecko, którego z takim upragnieniem oczekuję... jakie ono będzie? A co z moją biedną Geneviève? Przyszła do mnie rano, to zawsze pierwsze, co robi. Słyszałam jej rozmowę z Nounou za drzwiami. Niania tłumaczyła: «*Maman* nie czuje się dobrze. Boli ją ząb i chce odpocząć». «Ale ja zawsze do niej chodzę» — odpowiedziała moja córka. «Nie dzisiaj, moja droga. Pozwól mamie odpocząć». Lecz Geneviève wpadła we wściekłość i tupiała głośno, a kiedy Nounou usiłowała odciągnąć ją od drzwi, ugryzła biedaczkę w rękę. Leżałam na łóżku i cała się trzęsłam. On ma rację. Te nagłe przejawy agresji to coś więcej niż dziecięce wybuchy złości. Nounou nie potrafiła nad nimi zapanować... ani ja. Zawołałam, żeby Geneviève weszła do mnie. Oczy miała błyszczące od łez, a wargi opuchnięte. Rzuciła się do mnie, objęła i ścisnęła zbyt gwałtownie i mocno, zbyt gorąco. «Nounou próbuje nas rozdzielić. Nie pozwolę jej na to. Kiedyś ją zabiję!». Tak właśnie się wyraziła, nie panując nad

słowami, bez zastanowienia. Zawsze mówiłam, że mała nie myśli nic złego, tylko po prostu ma taki sposób bycia. Po prostu taki sposób bycia! Sposób bycia Honorine. Ojciec zauważył w mej córce zarodek zła. Teraz uwierzyłam... i ogarnął mnie paniczny strach”.

„Papa pytał o mnie, więc pojechałam do Carrefour. «Przez cały czas na ciebie czeka — powiedzieli mi. — Wpatruje się w drzwi, pyta o twoją matkę. Chyba bierze cię za swą żonę». Usiadłam przy łóżku, a on patrzył na mnie szklanym, błędnym wzrokiem. Mamrotał coś o grzechu i zemście, lecz to, co mówił, nie było już tak logiczne jak przedtem. Pomyślałam, że Papa umiera. Zauważyłam, jak zmuszał się z wielkim wysiłkiem do mówienia, więc pochyliłam się, żeby go usłyszeć. «Dziecko? — zapytał. — Urodzi się dziecko?». Sądziłam, że myślał o tym, co mu wyznałam, ale uświadomiłam sobie w pewnej chwili, że wrócił do dalekiej przeszłości. «Dziecko... Honorine będzie miała dziecko. Jak to się mogło stać? Och, to zemsta Boga. Wiedziałem i mimo tej wiedzy... poszedłem do niej i Pan wymierza swą zemstę... aż do trzeciego i czwartego pokolenia... a zarodek zła będzie żył wiecznie». «Papo — tłumaczyłam mu — to było dawno temu. Honorine nie żyje, a ja mam się dobrze. Nic złego się ze mną nie dzieje». Utkwił we mnie swe zamglone, półprzytomne oczy i wymamrotał: «Powiedzieli mi, że ona jest w ciąży. Dobrze pamiętam ten dzień. Powiedzieli, że zostanę ojcem, i uśmiechali się do mnie... Nie wiedzieli, jaką odrazę noszę w sercu. Zemsta nadeszła. Mój grzech nie umrze wraz ze mną. Będzie żył w trzecim i czwartym pokoleniu. Poszedłem tego wieczoru do jej pokoju i stanąłem nad nią. Spała, trzymałem w rękach poduszkę. Mogłem przycisnąć ją do jej twarzy i to byłby koniec, jej i dziecka... Ale była taka piękna... Patrzyłem na jej czarne włosy i dziecięcy owal twarzy... Byłem tchórzem, opadłem na nią, wziąłem ją w ramiona i uświadomiłem sobie, że nigdy nie mógłbym jej zabić». «Papo, niepotrzebnie się denerwujesz — rzekłam. — Tamto już minęło. Nic nie zmieni tego, co się wydarzyło, ale teraz to ja jestem tutaj... i czuję się dobrze, zapewniam cię». Nie słuchał mnie, a ja pomyślałam o Geneviève i nienarodzonym jeszcze dziecku”.

„Nie mogłam zasnąć tej nocy. Ciągle myślałam o bólu szarpiącej duszę Papy. A także o Geneviève. Myślałam o jej wybuchach gniewu, które tak przerażały Nounou. Wiedziałam dlaczego. Znała moją matkę. Obawy Nounou były odbiciem strachu mego ojca. Widziałam, jak ona obserwuje moją córkę. Przysnęłam i miałam koszmar. W pokoju z zakratowanym oknem znajdowała się jakaś osoba i musiałam ją zabić. Stałam z poduszką w rękach. To była moja matka, lecz miała rysy twarzy Geneviève, a w ramionach trzymała dziecko... jeszcze nienarodzone dziecko. Zmusiłam ją do położenia się i stałam nad nią z poduszką. Obudziłam się z krzykiem: «Nie! Nie!». Długo dygotałam i nie mogłam się uspokoić. Bałam się, że gdy zamknę oczy, znowu nawiedzi mnie ów koszmar, więc wzięłam trochę opium Nounou i zapadłam w długi sen bez owych upiornych wizji”.

„Kiedy obudziłam się rano, miałam wypoczęty umysł i rozjaśniło mi się w głowie. Jeżeli urodzę syna, to chłopiec będzie kontynuował linię rodu de la Talle. Pomyślałam o owym zarodku obłądu, który wejdzie do zamku niczym duch, by straszyć w tym miejscu przez następne stulecia. Ja miałam go tu wprowadzić. Geneviève? Nounou dobrze się nią opiekuje. I Nounou wie. Przypilnuje, żeby moja córka nigdy nie wyszła za mąż. Może przekona ją, by poszła do klasztoru, do czego Papa chciał mnie namówić. Ale to dziecko... jeżeli to będzie chłopiec... Papie zabrakło odwagi. To wymaga ogromnej odwagi. Gdyby wtedy Papa zabił moją matkę, w ogóle bym się nie narodziła. Nie zaznałabym bólu... niczego. I to właśnie powinno przypaść w udziale dziecku”.

„Zeszłej nocy stała się dziwna rzecz. Obudziłam się z tamtego koszmaru i przypomniałam sobie spokojny sen, który zawdzięczałam małej, zielonej buteleczce z mrożonego szkła. Mrożonego — Nounou zwróciła mi na to uwagę, gdyż jeżeli wyjmie się ją w ciemności, będzie wiadomo, że to trucizna. Trucizna! Przecież opium przynosi taki błogi sen, taką ulgę! Pomyślałam, jak łatwo byłoby zażyć dwukrotną lub trzykrotną dawkę tej, którą dawała mi Nounou na ból zęba... I wtedy

koniec z obawami, żadnych zmartwień więcej. Dziecko nie będzie niczego świadome. Zostanie mu oszczędzone przyjście na świat i nieustanna obserwacja, czy nie widać już pierwszych objawów zarodka zła. Sięgnęłam po buteleczkę i pomyślałam: «Nie będę takim tchórzem jak Papa». Wyobraziłam sobie, że jestem już stara, taka jak on teraz i na łożu śmierci mam wyrzuty sumienia z powodu nieszczęścia, które sprowadziłam na własne dzieci. Spojrzałam na buteleczkę i przeleżałam się nagle. Wzięłam kilka kropli i zasnęłam. Rano zaś powiedziałam sobie: «To nie jest wyjście».”

„Jest noc i lęki znowu mnie nie opuszczają. Nie mogę spać. Bez przerwy myślę o Papie i o matce w pokoju z zakratowanym oknem, a także o dziecku, które noszę w łonie. Nounou, zaopiekuj się Geneviève, proszę. Polecam ją twojej trosce. Zastanawiam się, czy zdobędę się na odwagę, której Papie zabrakło. Sądzę, że gdyby udało mu się to zrobić, byłoby lepiej dla nas wszystkich. Moja mała Geneviève nigdy by się nie urodziła... Nounou także zostałyby zaoszczędzone wszelkie obawy... Ja też bym nie przyszła na świat. Sądzę, że ojciec miał rację. Widzę zieloną buteleczkę z mrożonego szkła. Dołożę ten zeszyt do poprzednich w szafce, Nounou je znajdzie. Uwielbia czytać o czasach, kiedy jeszcze byłam małą dziewczynką, mówi, że moje zeszyty przenoszą ją do przeszłości. Ona wytłumaczy wszystkim, dlaczego... Nie wiem, czy ja bym potrafiła ani czy to słuszne. Teraz spróbuję zasnąć. Lecz jeśli mi się nie uda... rano napiszę, jak można czuć się w nocy. W świetle dnia wszystko wydaje się inne. Ale Papie zabrakło odwagi... Zastanawiam się, czy ja będę miała jej wystarczająco dużo. Zastanawiam się...”

Tu tekst się urywał. Wiedziałam jednak, co się stało. Françoise znalazła w sobie to, co nazwała odwagą, i z tego powodu matka Geneviève oraz jej nienarodzone dziecko zmarli tej nocy.

Moją wyobraźnię wypełniły obrazy z pamiętnika Françoise. Widziałam je wszystkie bardzo wyraźnie. Dom, ukrywający ponurą tajemnicę; pokój z zakratowanym oknem, osłoniętym kominkiem oraz lampą umieszczoną wysoko na ścianie; obłąkana i pełna namiętności kobieta; mąż, obsesyjnie wyznający surowe zasady moralne, który wszakże nie potrafił jej się oprzeć; jego walka z własnymi żądzami, a wreszcie poddanie się namiętności i to, co umysł fanatyka uznał za zemstę. Narodziny Françoise, baczna jej obserwacja, wychowanie w odosobnieniu... a potem małżeństwo z hrabią. Zrozumiałam, dlaczego było ono skazane na klęskę od samego początku. Młoda dziewczyna, niewinna i naiwna, a nawet uczona, że ma podchodzić do małżeństwa ze wstrętem; rozczarowanie ich obojga: jej przypadek w udziale pełen męskiego wigoru mąż, jemu — oziębła żona.

Wszyscy w zamku byli świadomi, że ów związek nie dawał zadowolenia żadnej ze stron, i znali przyczynę takiego stanu rzeczy. Kiedy Françoise zmarła na skutek przedawkowania opium, pytano się nawzajem: czy jej mąż nie przyłożył do tego ręki?

Było to okrutnie niesprawiedliwe i wina leżała po stronie Nounou. Czytała to samo, co ja, wiedziała to, co ja dopiero odkryłam, a jednak pozwalała, by krążyły plotki oskarżające hrabiego o zamordowanie żony. Dlaczego nie ujawniła tego ostatniego zeszytu, który wyjaśniał sprawę bez żadnych wątpliwości?

Cóż, w każdym razie teraz prawda wyszła na jaw.

Spojrzałam na zegarek przypięty do bluzki. Hrabia musi już być w ogrodzie. Będzie się zastanawiał, dlaczego mu nie towarzyszę, jak zwykle. Siadywaliśmy przy fontannie i omawialiśmy sprawy związane ze ślubem, który miał się odbyć, gdy tylko rekonwalescent nabierze sił.

Zeszłam do niego na dół. Widać było, że czeka już na mnie niecierpliwie. Zaraz zauważył, że coś się zdarzyło.

— Dallas! — Wymawiał moje imię z taką czułością, że niezmiennie mnie to wzruszało. Teraz jednak byłam przepelniona gniewem, że on, niewinny człowiek, mógł być tak niesłusznie oskarżany.

— Poznałam prawdę o śmierci Françoise. — Nie mogłam się powstrzymać od wyjawienia mu swego odkrycia. — Wszyscy powinni teraz ją poznać. Wszystko jest tutaj, sama to napisała. Wyjaśnienie nie budzi najmniejszych wątpliwości. Popelniła samobójstwo.

Dostrzegłam wrażenie, jakie wywarły na nim moje słowa, i z uniesieniem mówiłam dalej:

— Przechowywała swe zeszyty... takie dzienniczki. Przez cały czas były u Nounou. Ona o wszystkim wiedziała... i nie powiedziała ani słowa. Pozwoliła, żeby na ciebie zrzucono całą winę. To potworne. Lecz teraz Wszyscy się dowiedzą.

— Dallas, moja droga, jesteś bardzo podekscytowana.

— Podekscytowana! Odkryłam tę tajemnicę. Teraz mogę pokazać to wyznanie światu. Nikt już nie odważy się twierdzić, że ty zabiłaś Françoise.

Lothair położył rękę na mej dłoni.

— Powiedz mi, co odkryłaś — rzekł.

— Byłam zdecydowana, że muszę dowiedzieć się prawdy. Czytałam już te zeszyty. Niektóre z nich pokazała mi Nounou. Poszłam do jej pokoju. Spała, a szafka, gdzie je trzyma, była otwarta. Więc zabrałam ten ostatni. Domyśliłam się, że w nim będzie jakaś wskazówka, ale nie myślałam, że odpowiedź okaże się sformułowana tak wyraźnie... tak niepodważalnie.

— Czego się dowiedziałaś?

— Françoise popelniła samobójstwo w obawie przed obłędem. Jej matka była obłąkana, wyjawił jej to ojciec, kiedy po wylewie utracił kontrolę nad tym, co mówi. Wyznał jej, że chciał zabić żonę, i dlaczego mu się nie udało... i że byłoby o wiele lepiej, gdyby to zrobił. Nie rozumiesz? Ona była taka... oderwana od rzeczywistości. To wynika z jej pamiętników. Była gotowa przyjąć jako nieuchronne to, co wtłoczono jej do głowy. Ale tutaj wszystko jest jasne, czarno na białym. Już nikt nigdy nie oskarży cię o morderstwo.

— Cieszę się, że to odkryłaś. Teraz już nie będzie żadnych tajemnic między nami. Może powinienem był ci powiedzieć i pewnie zrobiłbym to w swoim czasie. Ale obawiałem się, że nawet ty mogłabyś zdradzić jakimś spojrzeniem, jakimś gestem...

Spojrzałam na niego badawczo.

— Ależ ja nie miałam żadnych wątpliwości, że jej nie zabiłaś. Nie przypuszczałaś chyba, że choć przez moment uwierzyłam w te absurdalne plotki...

Ujął moją twarz w dłonie i pocałował mnie.

— Miła mi jest świadomość, że możesz mieć wątpliwości, a mimo to mnie kochasz.

— To mogę zrozumieć — przyznałam. — Natomiast nie rozumiem Nounou. Jak mogła, znając prawdę, zatrzymać ją dla siebie?

— Z tych samych przyczyn co ja.

— Co... ty?

— Wiedziałem, co się stało. Françoise zostawiła mi list wyjaśniający swą decyzję.

— Wiedziałaś, że odebrała sobie życie i jaki był powód, a jednak pozwoliłaś im.

— Tak, wiedziałem i pozwoliłem im.

— Ale dlaczego... dlaczego? To niesprawiedliwe i okrutne...

— Przyzwyczaiłem się do pogłosek oczerniających mnie, a w większości na nie zasłużyłem. Pamiętasz, ostrzegałem cię, że nie wychodzisz za mąż za świętego.

— Ale morderstwo...

— Teraz ty znasz tę tajemnicę, Dallas.

— Znam. Lecz zamierzam ją wyjawić...

— Nie. Jest ktoś, o kim zapomniałaś.

— Geneviève.

Zaczynałam rozumieć.

— Tak, Geneviève — mówił dalej. — Znasz jej usposobienie. Potrafi zachowywać się w sposób tak nieopanowany, jest bardzo pobudliwa. Jakże łatwo byłoby skierować ją na drogę, na którą weszła jej babka. Od czasu twego przyjazdu tutaj trochę się zmieniła. Och, nie za bardzo. Trudno nam tego oczekiwać, lecz sądzę, że najprostszym sposobem popchnięcia w szaleństwo osoby żyjącej w dużym napięciu nerwowym, byłoby nieustanne jej obserwowanie i tłumaczenie, że tkwi w niej jakiś zarodek, który może się rozwinąć. Nie chcę, żeby na nią patrzono w ten sposób. Pragnę stworzyć jej wszelkie możliwości, żeby dorastała normalnie. Françoise odebrała sobie życie przez wzgląd na dziecko, które miała urodzić. Ja przynajmniej mogę stawić czoło plotkom ze względu na naszą córkę. Rozumiesz teraz, Dallas?

— Tak, rozumiem.

— Cieszę się. Od tej chwili nie będziemy mieli przed sobą żadnych tajemnic.

Patrzyłam na połyskujące za trawnikiem lustro wody. Jeszcze było ciepło, ale nadchodził już wieczór. Od mego przyjazdu minął zaledwie rok. Tyle się wydarzyło, pomyślałam, w ciągu tego krótkiego jednego roku.

— Zamilkłaś. Powiedz mi, o czym myślisz?

— Myślę o wszystkim, co się stało od chwili, kiedy tu przybyłam. Nic nie jest takie, jakie mi się wydawało, gdy pierwszy raz weszłam do zamku... kiedy po raz pierwszy ujrzałam ciebie. Sądziłam, że jesteś zupełnie inny niż w rzeczywistości... a teraz jeszcze okazało się, że jesteś zdolny do wielkiego poświęcenia.

— Moja kochana, chyba nazbyt dramatyzujesz. Owo... poświęcenie niewiele mnie kosztowało. Mam się przejmować tym, co o mnie mówią? Wiesz, że jestem dostatecznie dumny, żeby drwić sobie ze świata i powiedzieć: „Myślcie sobie, co chcecie”. Lecz chociaż lekceważę sobie cały świat, jest jedna osoba, której opinię, dobrą opinię’ cenię najwyżej... Dlatego siedzę tutaj, pławiąc się w jej pochwałach, i pozwalam, aby nad moją głową zabłysła aureola. Oczywiście wiem, że owa osoba wkrótce odkryje, iż to tylko złudzenie... ale miło jest choć przez jakiś czas dostrzegać własny blask.

— Dlaczego zawsze starasz się oczerniać?

— Ponieważ mimo swej arogancji żywię pewną obawę.

— Boisz się? Ty? Czego?

— Że przestaniesz mnie kochać.

— A co ze mną? Nie sądzisz, że żywię podobną obawę?

— Pocieszające jest wiedzieć, że i ty od czasu do czasu potrafisz wymyślić jakieś głupstwo.

— To chyba — odrzekłam — najszcześniejsza chwila w moim życiu.

Objął mnie ramieniem i tak przytuleni siedzieliśmy przez jakiś czas, wpatrując się w pejzaż pogrążonego w błogiej ciszy ogrodu.

— Niech więc trwa — powiedział hrabia.

Wziął ode mnie zeszyt i oderwał okładkę. Potem zapalił zapałkę i przyłożył ją do zapisanych kartek.

Patrzyłam, jak błękitne i żółte płomienie pochłaniają dziecinne pismo.

Wkrótce nic nie pozostało ze zwierzeń Françoise.

— Nie byłoby rzeczą rozsądną pozostawienie tego — odezwał się Lothair. — Wyjaśnisz to Nounou?

Skinęłam głową. Podniosłam okładkę i wsunęłam ją do kieszeni.

Obserwowaliśmy oboje, jak kawałki poczerńiałego papieru unosi ponad murawą wiatr. Myślałam o przyszłości — o szeptanych przez ludzi plotkach, które od czasu do czasu do mnie dotrą, o kapryśnym usposobieniu Geneviève i skomplikowanej naturze mężczyzny, którego pokochałam.

Przyszłość stanowiła wyzwanie. Lecz ja zawsze byłam pierwsza do podejmowania wyzwań losu.